

Kathleen E. Woodwiss
MIŁOŚĆ BEZ PAMIĘCI

Prolog

Księżycową ciszę rzeki zakłócił pulsujący pomruk. Ponad szmer wartkiego nurtu wznosił się odgłos pracy tłoków parowych i plusk wody ciętej łopatkami kół po obu burtach. Ogromny pływający pałac minął właśnie zakole, pozostawiając za sobą smugę światła bijącego z bogato iluminowanych pokładów. Parostatek skrzył się i jarzył, tylko mostek, oświetlony jedynie lampą kompasu, tonął w półmroku. Tu za sterem tkwił wachtowy wpatrzony w czarno- srebrzystą gładź przed dziobem. Obok sternika stał kapitan i cichym głosem ostrzegał przed mijanymi mieliznami. Pod jego dowództwem statek ominął bezpiecznie piaszczystą łachę, a potem unoszący się na wodzie pień drzewa.

Wysoki, barczysty mężczyzna wsparty o drewnianą poręcz mostka uśmiechał się do siebie, czując pod stopami spokojny, wibrujący ruch maszyn. Jednym ramieniem obejmował młodą kobietę, która przytuliła się mocno do jego piersi i z rozkoszą podzielała dumę męża. „Czarodziejka”, przedmiot owej dumy, od bywała właśnie swój dziewiczy rejs w górę rzeki. Kapitan wyjął z ust fajkę, odwrócił głowę i rzucił przez ramię:

— Jak na nowy statek, bardzo dobrze się sprawuje, sir. — W jego głosie słychać było uznanie. — Trochę jeszcze sztywna, ale szybka niczym łania.

— Taka właśnie jest, kapitanie — przytaknął mężczyzna w za myśleniu, przesuwając lekko dłonią po plecach żony. — Taka właśnie jest.

Kapitan pyknął z fajeczki, po czym rzekł:

— Kotły dobrze hartowane, a tłoki pracują prawie bezszelestnie. Za dnia robiliśmy jakieś osiem węzłów, i to w górę rzeki, a prąd silny, bo nurt bardziej wezbrany niż zwykle o tej porze roku.

Nachylił się do sternika, wskazując cybuchem kolejną prze szkodę.

— Daj prawo na burt, bo inaczej nie ominiesz tej płataniny gałęzi.

Wysoki mężczyzna nie słyszał ostatnich słów kapitana, zapatrzony w zielone, uśmiechnięte oczy swojej towarzyszki. Przytulił ją mocniej do siebie, na co palce żony odpowiedziały delikatną pieśczęcią, wreszcie oderwał wzrok od ukochanej twarzy.

— Zostawiamy pana, kapitanie, na posterunku. Jeśli będzie mnie pan potrzebował, proszę po mnie przysłać. Schodzimy do kabiny.

— Dobranoc, sir. Pani. — Zasalutował kobiecie z galanterią.

Para zeszała na niższy pokład, tutaj obydwójce zatrzymali się jeszcze na chwilę, podziwiając srebrzące rzekę refleksy księżyca i spienioną biel kilwateru za rufą „Czarodziejki”.

— Jest naprawdę piękna, Ashtonie — powiedziała cicho kobieta.

— Jak ty, moja najdroższa — szepnął jej do ucha mężczyzna.

Obróciła się w objęciach męża i pogładziła go pieśczętliwie po mocno zarysowanej brodzie.

— Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem. Zdaje się, że jeszcze wczoraj byłam przekonana, iż powinnam zostać starą panną.

Ashton zaśmiał się rozbawiony uwagą żony.

— Jeszcze wczoraj?

Zawtórowała mu śmiechem i wzruszyła ramionami.

— Powiedzmy, jakiś miesiąc temu. — Podniosła ręce i zarzuciła mu na szyję, przywierając doń całym ciałem. — Zawsze czarujesz i zniewalasz kobiety w takim błyskawicznym tempie?

— Tylko wtedy, kiedy dama tak głęboko zapadnie mi w serce, jak ty. — Spojrzał na żonę pytająco, lekko uniółszy brwi. — Żałujesz, że nie poczekałaś na pozwolenie swojego ojca?

— Ani trochę — zapewniła go gorąco i teraz sama zadała pytanie: — A ty? Żałujesz, że nie jesteś już kawalerem?

— Moja kochana Lierin — westchnął i nachylił usta ku jej wargom. — Nie wiedziałem, czym jest życie, dopóki nie pojawiłaś się na mojej drodze.

Ashton przerwał i zaczął nasłuchiwać, gdy gdzieś z dołu do szło raptem ciche puf, potem głośniejsze klik i donośne bang, a wreszcie rozległ się ogłuszający huk. Para uchodząca z kotłów przesłoniła rufę „Czarodziejki”, łopatki kół obracały się coraz wolniej, po chwili znieruchomiały. Piękny statek stracił sterowność i niczym żaloszny wrak zaczął dryfować w stronę brzegu. Spod pokładu dobiegały pełne przerażenia krzyki. Kapitan do skoczył do syreny, pociągnął za spust, ale wydobył z niej jedynie żaloszne sapnięcie resztek uchodzącej pary. Widząc, że nic nie wskóra, zaczął bić w dzwon, zawiadamiając o niebezpieczeństwie wszystkich, którzy mogli słyszeć ostrzeżenie.

W pobliżu „Czarodziejki” zamajaczył na wodzie ciemny kształt; zrazu niewyraźny po chwili stał się bardziej widoczny. Niewielka, zamaskowana ściętymi krzakami barka uderzyła całą siłą rozpędu o burtę statku, a wtedy spod gałęzi wyroliła się w jednej chwili chmara mężczyzn z bosakami przygotowanymi do abordażu.

— Piraci! — Wykrzyknął Ashton tylko jedno, napawające lękiem słowo.

Niemal równocześnie dał się słyszeć odgłos wystrzału i koło ucha jeszcze przed momentem dumnego armatora bzyknęło coś niby wściekła osa. Schylił się odruchowo, pociągając żonę za sobą i wykrzykując ostrzeżenia pod adresem swojej załogi. Tym czasem uzbrojeni napastnicy wdarli się już na dolny pokład i wspinali się po schodach na górny. Rozległy się kolejne wystrzały. Przerażeni pasażerowie i marynarze chwyтали, co kto miał pod ręką, a co mogło stanowić broń. Na statku rozpętało się prawdziwe pandemonium, kiedy napadnięci zwarli się w chaotycznej walce z piratami, których mogło być około trzydziestu.

Ashton zerwał z siebie czarny surdut i narzucił na ramiona żony, by jej jasna suknia w mroku mniej rzucała się w oczy. Wśród wizgu kul zgięci wpół powoli ruszyli ku schodom. Ashton przyciskał cały czas żonę do ściany, osłaniając ją własnym ciałem. Raptem usłyszał, że ktoś za nimi biegnie, odwrócił się i stanął oko w oko z uzbrojonym w sztylet napastnikiem. Lierin krzyknęła przerażona i zatoczyła się na reling, zbój zaś z impetem natarł na przypartego do ściany Ashtona, usiłując zatopić śmiercionośne ostrze w jego ciele.

Na wszystkich pokładach toczyły się podobne potyczki, tym czasem kapitan i sternik czynili rozpaczliwe wysiłki, by zapanować nad dryfującym statkiem. Dziób otarł się o jakiś pień, uniósł się i pchnięty silnym nurtem kadłub osiadł na mieliźnie, silnie przechylony na prawą burtę. Obydwaj mężczyźni na mostku uderzyli o ściany małego pomieszczenia: sternik upadł zalany krwią, kapitan zaś osunął się na kolana.

Siła gwałtownego przechyłu wypchnęła Lierin za burtę w mroczną przepaść. Rozległ się krzyk, potem głośny plusk wody. Ashton, jakby ktoś go dźgnął, przerażony, naparł z siłą rozjuszonego byka na zbója, rzucił go na pokład i wraził obcas w jego twarz. Napastnik znieruchomiał, Ashton zaś przypadł do relingu. Z jego ust wydarło się imię żony, oczy

rozpaczliwie wypatrywały w ciemnościach jakiegoś jej śladu. W ciemnej wodzie zamajaczył jaśniejszy kształt i Lierin wypłynęła na powierzchnię. Ashton zdarł z nóg buty, chwycił za reling i już miał skończyć w czarną otchłań, gdy straszliwe uderzenie w bok rzuciło go na deski pokładu.

Resztkami świadomości przywoływał jeszcze imię żony. Po winien biec jej na ratunek! Musi ją ratować! Była całym jego życiem, bez niej nic nie miało sensu. Pociemniało mu w oczach, resztkami sił próbował jeszcze podnieść głowę. Jak przez mgłę dojrzał nad sobą jakąś brodatą, okoloną gęstwą czarnych włosów twarz. Łotr wznosił już nóż do ciosu, gdy raptem w pobliżu rozległ się strzał. Na twarzy mężczyzny odmalowało się zdumienie, a na piersi pojawiła plama krwi. Wzniesiona ręka opadła bezwładnie, nóż wypadł z martwiejących palców. Ashton nie widział już, jak pirat chwiejnie wlecze się ku schodom — zapadł w czarną otchłań.

Lierin, mimo iż wyglądała na delikatną, miała w sobie dość hartu, by z determinacją walczyć o życie. Gdzieś w głowie kołatała się uporczywa myśl, że nie po to wreszcie spotkała miłość, by teraz ją tracić w tak bezsensowny sposób. Usiłowała ze wszystkich sił utrzymać się na powierzchni, choć ciężka od wody suknia ciągnęła ją w głąb. Walczyła z żywiołem... dopóki nie zobaczyła błysku wystrzału, męża upadającego na pokład i stojącego nad nim łotra. Straciła wolę życia. Zamiast nadziei, czuła teraz rozpaczliwą, przeraźliwą pustkę. Prąd zakręcił jej suknię, wir wciągał w głębinę. Zimna, czarna toń już po raz drugi za mknęła się nad jej głową, ale tym razem nie miała już siły walczyć. Powoli szła na dno styksowej otchłani.

1

9 marca 1833, Missisipi

Przez cały dzień siekł deszcz i dął zmienny wiatr, ale gdy noc spowiła ziemię czarnym całunem, wszystko ucichło. Zdawało się, że nawet powietrze znieruchomiało. Od czasu do czasu zza ciężkich chmur przebijały się promienie księżyca, a wtedy skąpany w srebrzystym blasku krajobraz nabierał niesamowitego charakteru. Zrujnowany ceglany dom otoczony zdziczałym ogrodem i żelaznym ogrodzeniem zdawał się płynąć we mgle. Czas jakby stanął.

W nocnej ciszy rozległo się skrzypnięcie zawiasów; dźwięk zamarł równie szybko i nieoczekiwanie, jak się narodził. Krzak przy drzwiach kuchennych poruszył się nienaturalnie, wychynęła zza niego jakaś postać, uważnie rozejrzała po podwórzu i niczym wielki, czarny nietoperz z furkotem oponczy przemknęła pod ścianę domu. Tu dłoń w rękawicy, odnalazłszy ukryty między kamieniami ładunek prochu strzelniczego, skrzesała ogień. Po sypały się iskry, potem buchnął płomień, który zamienił się po chwili w dym. Zajarzyły się trzy lonty biegnące pod domem w trzech różnych kierunkach, ku kupkom prochu usypanym obok suchych paków i nasączonych naftą szmat. Lonty kurczyły się z sykiem, w nocną ciszę wkradł się niepokój, poruszenie wywołane nadchodzącym nieszczęściem. To pierzaści i futerkowi mieszkańcy domu pospiesznie opuszczali swoje siedziby, umykając w noc. Cień wycofał się, szybko minął żelazną bramę i spiesznie ruszył ku pobliskiemu zagajnikowi, gdzie czekał spętany wierzchowiec, potężny wałach z białą gwiazdką na czole, zwierzę silne i szybkie. Mężczyzna skierował go na torfową ścieżkę, mokry grunt tłumiał odgłos kopyt. Kiedy oddalił się już na bezpieczną odległość od domu, smagnął konia z całych sił pejczem, przymuszając do galopu. Po chwili jeździec i rumak zniknęli w ciemnościach nocy.

Zapadła śmiertelna cisza. Dom zdawał się w milczeniu oplakiwać swój mający się właśnie dopełnić los. Przegniłe okiennice ronili ostatnie krople deszczu spływające na ziemię powoli niby łzy, gdzieś wewnątrz narastały niespokojne szmery: podniosły się stłumione głosy, jęki, wreszcie przeraźliwy, obłąkany, pozbawiony sensu śmiech rozdarł martwe powietrze. Księżyc skrył się za chmurą i dalej kontynuował wędrówkę po niebie, obojętny na sprawę tego świata.

Trzy syczące węże lontów pełzły wyznaczonym torem ze ślepym posłuszeństwem, póki jasne wybuchy prochu nie zasygnalizowały, iż sięgnęły celu. W ciemnościach błysnęły żółte płomienie, od których zajęły się nasączone naftą szmaty. Ogień zaczął trawić drewniane elementy konstrukcji. W jednym z frontowych pomieszczeń parteru pojawił się pełgający, z każdą chwilą coraz intensywniejszy blask. Pod wpływem narastającego gorąca wyginały się kraty w oknach, zaczęły pękać szyby, żarłoczne języki ognia lizały już zewnętrzne ściany.

Z piętra domu dobiegały przeraźliwe krzyki, palce kurczowo zaciskały się na kratkach, skrwawione pięści rozbijały szyby. Ktoś z całych sił walił w zamknięte drzwi wejściowe, aż wreszcie ustąpiły pod naporem siły. Oslaniając łysą czaszkę dłońmi, jakby lada chwila spodziewał się ciosu, wypadł na dziedziniec potężny mężczyzna, przebiegł dobrych kilkadziesiąt metrów i dopiero wtedy się zatrzymał, odwrócił i spojrzał na dom ze zgrozą, niby dziecko, będące świadkiem wydarzenia, którego w pełni nie po trafi pojąć. Przez drzwi kuchenne uciekł jeden z pielęgniarzy, gdy tymczasem pozostawiona na pastwę żywiołu reszta walczyła z opornymi zamkami, w panice i zamęcie szukając kluczy. Krzyki i zawodzenia uwięzionych zagłuszały huk pożaru. Pewien salowy, wielki i silny, uznał, że powinien ratować tylko tych, których zdoła wyprowadzić bez żadnego dla siebie uszczerbku. Inny, dużo węższej postury, czynił herkulesowe wysiłki, świadom, że nikt poza nim nie przyjdzie z pomocą pensjonariuszom za kładu dla obłąkanych.

Wkrótce na dziedzińcu zaczęli pojawiać się oszołomieni pacjenci, jedni zostali wyciągnięci z sal w samych koszulach, kilku przewidujących zdążyło zabrać ze sobą koce, ci byli w znacznie lepszej sytuacji niż ich towarzysze. Teraz już bezpieczni, lecz ciągle przerażeni, zbili się w gromadkę, wciąż jeszcze nie pojmując, co się wydarzyło.

Nieustraszonego opiekun wyprowadzał kolejnych chorych, do póki spadające belki stropowe nie zatarasowały drogi odwrotu. Po raz ostatni wybiegł z domu, wynosząc jakiegoś staruszka, po czym osunął się na kolana i zaczął gwałtownie łapać powietrze. Całkowicie wyczerpany, nie zauważył, jak kilku pensjonariuszy przemknęło się przez żelazną bramę i znikło w zaroślach.

W nocne niebo biła czerwona łuna szalejącego pożaru, nad nią unosił się gęsty szary dym. Huczący ogień zagłuszał wszelkie inne odgłosy i nikt nie mógł słyszeć stuku kopyt, gdy w miejscu, skąd niedawno wyruszył, pojawił się ten sam, co wcześniej, wierzchowiec. Koń zatrzymał się posłuszny rozkazom okrytego czarną peleryną jeźdźca. W ukrytych pod kapturem oczach odbijała się krwawa poświata, kiedy wpatrywały się w ludzi na dziedzińcu. Jeździec trwał chwilę w bezruchu, po czym ogarnął niespokojnym wzrokiem zbocze wzgórza za swoimi plecami. Szczupłe dłonie szarpnęły wodze i koń popędził w stronę lasu. Rozdęte nozdrza świadczyły, że zwierzę jest już mocno utrudzone, ale jeździec nie pozwolił mu odpocząć; gnał pośród drzew z pozorów na oślep, w gruncie rzeczy pewną ręką prowadząc rumaka.

Pęd powietrza zerwał kapturem z głowy, odsłaniając długie, targane teraz wiatrem sploty włosów. Gałęzie drzew zaczęły o jedwabiste pukle, zahaczały o poły peleryny. Dziewczyna gnała przed siebie niepomna tych drobnych niedogodności. Od czasu do czasu oglądała się tylko niespokojnie za siebie, jakby lękała się, że goni ją jakaś niebezpieczna bestia. Gdzieś obok przemknął spłoszony jeleń, na moment wstrzymała oddech, ale parła dalej do przodu nieprzetartym szlakiem.

Gdy spośród drzew wyjechała na otwartą, oświetloną blaskiem księżycy przestrzeń, z drżącej piersi dobyło się westchnienie ulgi. Tutaj koń mógł ruszyć pełnym cwałem. Spięła go bosymi piętami, wierzchowiec skoczył przed się i w tej samej chwili usłyszała cichy turkot kół i zdała sobie sprawę, że nie jest na równinie sama. Gnała prosto na spotkanie jakiegoś zaprzęgu. Zdjęło ją dławiące przerażenie. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że owiewa ją już oddech parskających koni i śmierć zagląda do oczu. Czarny stangret próbował zboczyć z drogi i zapanować nad przechylonym niebezpiecznie powozem, ale było za późno. Z piersi dziewczyny wyrwał się krzyk i zamarł pod wpływem uderzenia.

Wytracony z drzemki gwałtownymi wstrząsami Ashton Wingate w pierwszej chwili pomyślał, że jego stangret postradał zmysły. Kiedy lando, kolebiąc się na boki, zjechało z drogi, zdążył jeszcze dojrzeć, jak wyrzucony z siodła jeździec leci w powietrzu niby ranny ptak, uderza o ziemię i stacza się do rowu. Zanim jeszcze konie stanęły, zerwał z ramion pelerynę, wyskoczył z po wozu i dobiegł do leżącej na wpół w wodzie postaci. W oparach mgły zsunął się do rowu, stanął w lodowatej wodzie i wyciągnął dziewczynę na pobocze. Jej twarz przysłaniała gęstwa mokrych włosów. Nachylił się, ale nie usłyszał, by z ust dobywał się oddech. Ujął bezwładną dłoń, na próżno szukając pulsu, wreszcie przyłożył drżący palec do tętnicy szyjnej i dopiero teraz wyczuł słabe tętno... potwierdzenie, że dziewczyna żyje... Jeszcze żyje.

Podniósł głowę i zobaczył, że obok stoi stangret. Ten, zmuszony spędzać w zimowe miesiące wiele godzin na koźle, a nie chcąc rozstawać się z bardzo przez się cenionym melonikiem, miał zwyczaj nakładać na denko wełniany szalik, który wiązał elegancko pod brodą, w ten sposób łącząc szyk z dbałością o zdrowie. Teraz biedak miał w wielkich dłoniach końce szala z taką desperacją, że wytworne nakrycie głowy zjechało mu prawie na nos.

— Uspokój się, Hiramie. Dziewczyna jeszcze oddycha — po cieszył Ashton wystraszonego sługę. Przerażliwe rzenie wałacha, który w czasie kolizji połamał nogi, niemal zagłuszyło słowa Ashtona. Wingate podniósł się z klęczek i wskazał na konające zwierzę: — Hiram, weź no ze skrzyni na bagaże pistolet, który wozisz, i wybaw to stworzenie od dalszych męczarni.

— Juści, panie. Zara się uwinę! — Chociaż zadanie nie należało do przyjemnych, Hiram skwapliwie wykonywał polecenia, byle zając czymkolwiek myśli.

Ashton ponownie nachylił się nad dziewczyną. Ciągle nieprzytomna, leżała bez ruchu na brzegu rowu, tam gdzie ją położył. Przyklękł przy niej z niejakim trudem, przemoczone nogi zaczęły dawać znać o sobie, nasączone wodą spodnie przylegały do ciała niczym lodowaty kokon. Spojrzał na twarz leżącej i uniósł brwi zdziwiony. Nie była już dzierlatką, jak mu się w pierwszej chwili wydawało. Okryte wilgotną koszulą nocną ciało niewątpliwie należało do kobiety, młodej, co prawda, niemniej w pełni dojrzałej.

Na suchy odgłos strzału Ashton gwałtownie poderwał głowę. Nieszczęsny koń przestał się miotać w męczarniach, wydał ostatni jęk i znieruchomiał. Nad nim, w prześwietlonej księżycem mgłę, rysowała się przygarbiona sylwetka Hiram. Ashton wie dział, jak bardzo jego służący kocha zwierzęta, może nawet miał dla nich więcej współczucia niż dla ludzi, ale teraz, kiedy należało ratować inne cenne życie, nie czas było opłakiwać tego, które właśnie zgasło.

— Hiramie! Chodź tutaj, musimy zabrać dziewczynę do domu.

— Juści, panie.

Zmobilizowany do działania Hiram przybiegł na brzeg rowu, gdy Ashton, zdjąwszy z ramion rannej mokry płaszcz, wziął ją na ręce i wyniósł na drogę, z trudem pokonując śliskie

pobocze. Tu czekał już Hiram. Pomógł nieść dziewczynę ostatnie kilka metrów, po czym skoczył otwierać drzwi powozu, cały czas mamrocząc żarliwe modlitwy, by wszystko się dobrze skończyło. Przez ostatnie dziesięć lat śmierć kilka razy okrutnie doświadczała pana Wingate'a. Najpierw zabrała mu rodziców, zmiatając w czasie huraganu ich dom w Karolinie, potem, przed trzema laty, pojawiła się pod postacią rzecznych piratów, którzy napadli należący do Ashtona statek. Utonęła wtedy jego dopiero, co poślubiona żona. Hiram w duchu prosił Boga, by tym razem śmierć ominęła progi jego pana.

— Daj mi chwilę, muszę ją ułożyć — rzucił Ashton przez ramię, kładąc dziewczynę na ławce i owijając swoją peleryną.

— Czy... czy ona wróci do zdrowia, panie? — Zapytał Hiram z niepokojem.

— Nie wiem, Hiramie, nie umiem ci odpowiedzieć na to pytanie. — Ashton usiadł w powozie i położył sobie głowę nieprzytomnej na kolanach, by w ten sposób amortyzować ewentualne wstrząsy podczas uciążliwej drogi. Kiedy tak układał bezwładną nieznajomą, uderzył go zapach jaśminu, a wraz z nim napłynęły lube i bolesne wspomnienia, które czym prędzej odpędził z pamięci. Nie, nie pozwoli, by znowu dręczyła go tęsknota, której nic już nie mogło ukoić... Spróbował odgarnąć rude włosy z twarzy dziewczyny. Zmierzwione, nie poddawały się łatwo. Dopiero po chwili cierpliwych zabiegów udało mu się rozdzielić splątane pasma i założyć część z nich za ucho. Gdy światło padło na blade oblicze, wstrzymał raptownie oddech, znieruchomiał, jego mózg przestał pracować, tak nieoczekiwany miał przed oczami widok.

— Lierin? — Szepnął z rozdzierającym serce smutkiem.

Niczym lawina spadły na niego wspomnienia tamtych dni w Nowym Orleanie, kiedy to poznał i poślubił swoją żonę. Mimo iż zapewniano go, że Lierin nie żyje, teraz nagle uderzyła go myśl, iż popełniono straszliwy błąd i że ukochana znowu jest razem z nim. Jeśli nie, podobieństwo młodej kobiety do jego zmarłej żony było, co najmniej zdumiewające.

Hiram spoglądał z niepokojem na mieniącą się rozmaitymi uczuciami twarz, Ashtona.

— Coś się stało, sir? Wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

— Być może zobaczyłem — mruknął oszołomiony Ashton, w którego duszy nadzieja walczyła o lepsze z lękiem. Jeśli dziewczyna to Lierin...

Nie było czasu do stracenia.

— Wskakuj na kozioł, Hiramie — rzucił nagłym, pełnym nie pokoju tonem. — Jedź do domu, najszybciej jak możesz. Spiesz się, człowieku.

Zdziwiony, przestraszony służący zatrzasnął drzwiczki powozu, wdrapał się na swoje miejsce, chwycił lejce, zwolnił hamulec.

Cugowe koniki, przyuczone do chodzenia w zaprzęgu, ruszyły z kopyta i po chwili lando pędziło traktem na złamanie karku. W chłodnym wieczornym powietrzu z końskich grzbietów unosiła się para, powóz przechylał się niebezpiecznie na ostrych zakrętach, zawadzając niekiedy kołami o pobocze. Ashton, za-party nogami o przeciwległą ławkę, tulił w ramionach swój cenny skarb. Nachylił głowę, zamknął powieki i modlił się w duszy:

Dozwól, Boże, aby to była Lierin... Pozwól jej przeżyć.

Ponownie spojrzął na dziewczynę. Migotliwe światło lamp powozu złociło jej bladą twarz, wydobywało z mroku ludzaco znajome rysy. Ręka mu drżała, gdy z troską w oczach delikatnie dotykał siniaka na jej czole, tym samym, na którym składał, być może, kiedyś czułe pocałunki. Ashtonem targały sprzeczne uczucia, to dawał się ponieść szalonej nadziei, że

znalazł swoją ukochaną Lierin, to znowu dławił go okrutny lęk o życie dziewczyny; nie wiedział przecież, jak poważne odniosła obrażenia. Los do prawdy okazałby się okrutny, gdyby przyszło mu raz jeszcze stracić dopiero, co odzyskaną żonę.

Ciężko wzdychając, przekonywał siebie, że powinien uporządkować chaotyczne myśli, nadać im sens. Być może powodowany tęsknotą, za Lierin, ulegał tylko złudzeniu? Czyżby tracił zmysły, a umysł płatał mu okrutne figle? Czyżby, mamiony wspomnieniami, dopatrywał się ukochanych rysów w obcej twarzy? W końcu znał Lierin zanim ją poślubił, zaledwie miesiąc. Przyjaciele z Nowego Orleanu pokpiwali, że tak mu pilno do ołtarza. Nie rozumieli, jak mógł się tak bez pamięci zakochać, by wiązać się z dziewczyną, o której nic właściwie nie wiedział, ledwie znał jej nazwisko. A potem los wymierzył okrutny cios, mroczny nurt pochłonął ukochaną. Od tamtej chwili minęły trzy lata, miesiąc i tydzień bez jednego dnia, a każdy z tych obsesyjnie liczonych dni jeden gorszy od drugiego. Teraz była znowu przy nim... ona albo ktoś łudzaco do niej podobny. Musiał zakładać, że zaszła pomyłka, jeśli nie chciał przysporzyć sobie cierpień.

Delikatnie pogładził dziewczynę po twarzy, a gdy zatrzymał palce na skroni, gdzie wyczuł słaby puls, odetchnął z ulgą.

Okrzyki Hirma obwieściły, że dojechali. Byli na plantacji. Ashton wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, w oddali, między po tężnymi dębami, migotały już światła. Belle Chnate rezydencja Wingate'a, swoim przepychem przypominała francuski pałac: rozłożysta jak tamte, posadowiona między reprezentacyjnym dziedzińcem a ogrodem, składała się z korpusu głównego i dwu skrzydeł. Przez skołataną głowę Ashtona przemknęła myśl, że wreszcie przywozi swoją oblubienicę do domu.

Ku swemu zdziwieniu na podjeździe dojrzał tłoczące się po wozy i uwiązane do pacholek wierzchowce. Domyślił się, że z okazji jego powrotu babka postanowiła wydać przyjęcie. Spojrzał z troską na dziewczynę. Starsza pani wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie takiej niespodzianki. Jeśli nie chciał przy prawić jej o palpitanie, nie mógł pokazać się wśród gości z nie przytomną, okrytą ledwie koszulą nocną kobietą. Po tym, jak za którymś wyjazdem do Nowego Orleanu ożenił się tak niespodziewanie, Amanda Wingate krzywym okiem patrzyła na eskapady wnuka w dół rzeki. I oto wracał z kolejnej takiej podróży. To, że wywoła kolejne plotki na swój temat, było mu zupełnie obojętne, ale babka starzała się i musiał mieć wzgląd na jej lata.

Chybotliwe lando minęło powozy, płosząc przy okazji konie, i zatrzymało się przed głównym wejściem do domu. Hiram ze skoczył z kozła i podbiegł panu na pomoc, Ashton tymczasem otulił dziewczynę swoją peleryną. Ponownie uderzył go ulotny zapach jaśminu, który dręczył go przez ostatnie trzy lata. Krótco był z żoną, ale każda minuta z nią spędzona miała dla niego ogromną wartość.

— Poślij konnego po doktora Page'a — rzucił przez ramię, wstępując na schody.

— Juści, panie! — Zawołał Hiram. — Zaraz wyślę Lathama, w mig obróci.

Ashton przez chwilę mocował się z drzwiami, wreszcie udało mu się nacisnąć klamkę łokciem i otworzyć podwoje energicznym kopnięciem. Przez hol ku wejściu szedł już kamerdyner, który usłyszał nadjeżdżający powóz. Zachowującemu zwykle kamienną twarz Willisowi szczeka opadła na widok pana dźwigającego w ramionach nieznaną kobietę. Choć wytresowany na służącego o nieskazitelnych manierach, nie miał pojęcia, jak się za chować w tak niezwykłej sytuacji.

— Jak to do... — Głos go zawiódł, przechodząc w dziwne skrzeczenie. Odchrząknął i zaczął raz jeszcze: — Jak to dobrze, panie Ashtonie, widzieć pana zno... Starannie przygotowane

słowa powitania, tak teraz nieprzystające do okoliczności, za marły mu na ustach. Spoglądał w absolutnym osłupieniu to na wysuwające się spod czarnej peleryny długie rude pasma włosów, to na idącego spokojnie ku schodom Ashtona.

Amanda Wingate, która wyszła właśnie z salonu w towarzystwie siostry Jennifer, zwanej ciotką, i kilkorga gości, była nie mniej poruszona od kamerdynera. Spojrzała z mieszaniną obrzydzenia i zgrozy na niesione przez wnuka bezwładne ciało, szybko oceniła sytuację i podeszła do niego energicznym krokiem.

— Na litość boską, Ashtonie! — Przy tych słowach położyła drżącą dłoń na piersi. — Czyżbyś znowu chciał nas zaskoczyć i po raz drugi ożenił się w tajemnicy przed rodziną?

Ashton marzył tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w po kojach na górze, wiedział jednak, że nie wymknie się babce, nie udzielając wyjaśnienia.

16

— Ciebie nikt chyba nie jest w stanie zaskoczyć, grand mere — zwrócił się do babki, używając określenia, które słyszał od swojej matki. — W tym jednak wypadku...

— Amando — szepnęła ciotka Jennifer, która widać najszybciej odzyskała zimną krew. — Może nie roztrząsajmy przy gościach, co tym razem zmalował Ashton.

Zbita z tropu Amanda musiała poniechać cisnących się jej na usta pytań. Widząc nieruchome ciało w ramionach wnuka, wy ciągnęła wniosek, który nasuwał się w sposób oczywisty i wy dawał całkiem logiczny: że oto Ashton niesie do sypialni śpiącą oblubienicę. Wyczuwała, że jest zniecierpliwiony i że chciałby jak najszybciej znaleźć się na górze. Już miała ustąpić mu z drogi, kiedy poła peleryny uchyliła się nieco, odsłaniając bladą twarz dziewczyny. Całkiem ładna... pomyślała, ani trochę nie zdziwiona wyborem wnuka... I prawie naga, dokończyła w duchu z nie oczekiwaną zgrozą, gdy opończa rozchyliła się jeszcze bardziej i pokazał się spod niej skąpy przyodziewek nieznajomej.

Amanda szybko potoczyła wzrokiem wokół. Niestety, świadkami nieprzystojnej sceny było kilka statecznych matron. Spoglądały z wyraźnym zgorszeniem w oczach i rozdziawionymi ustami, co też Wingate pod burką tam chowa. Rozległy się pojedyncze, nieśmiałe szepty, potem szmer podnieconych głosów, wreszcie wrzawa, pośród której można było rozróżnić słowa koszula i dziewczyna.

— To nie jest tak, jak myślisz, grand mere — szepnął Ashton, chcąc uspokoić babkę.

Amanda jęknęła w odpowiedzi.

— Nie wiem, czy chcę znać prawdę.

Ciotka Jennifer próbowała dodać siostrze otuchy.

— Pamiętaj, co mówił ojciec, moja droga. W trudnych sytuacjach należy zachować trzeźwy umysł.

Do grupki gości otaczającej Ashtona dołączył jakiś mężczyzna, który posłyszał widać tylko część toczonej rozmowy.

— Pokaźże nam, Ashtonie, oblubienicę — zagadnął przyjacielsko. — Najwyższa była pora, żebyś znalazł sobie drugą żonę.

— Oblubienica! — Rozległ się jazgotliwy kobiecy głos. — Żona! — Wywołując niejaki zamieszanie, do przodu przeciskała się wzburzona dama. — Co się tu dzieje? Przepuście mnie!

Ciotce Jennifer jakby nieco puściły nerwy.

— Coś mi się widzi, że maksyima papy nie do każdych przystaje okoliczności — mruknęła pod nosem.

Przed Ashtonem stanęła wysoka, szczupła brunetka, panna Marelda Rousse. Powiodła wzrokiem po mokrych, zmierzwionych splotach rudych włosów, zrobiła wielkie oczy na widok ubłoconych spodni i utkwiała pytające spojrzenie w oblicze pana domu, na próżno walcząc o zachowanie resztek godności, jak też bez skutecznie powściągając wzburzenie.

— Co to wszystko ma znaczyć, Ashtonie? Wyglądasz jakbyś się tarzał w bagnie z tą niewiastą. Naprawdę wzięłeś sobie żonę?

Ashton, porządnie już zirytowany tymi dociekaniem, najchętniej położyłby im kres, ale nie miał zamiaru otwierać serca i zwierzać się ze swoich nadziei czeredzie natrętów, którzy na dodatek nie zdawali sobie sprawy ze stanu dziewczyny.

— Zdarzył się wypadek, Mareldo. Ta kobieta spadła z konia, potracona przez mój zaprzęg.

— Wybrała się na przejażdżkę w samej koszuli nocnej? O tej porze? — Zawołała Marelda. — Doprawdy, Ashtonie, chyba nie oczekujesz, że w to uwierzemy!

Ashton zacisnął zęby. Marelda Rousse na wiele sobie pozwalała, ale nigdy nie posunęła się do tego, by kwestionować jego słowa, i to w jego domu, w obecności tak wielu świadków.

— Nie mam teraz czasu wdawać się w wyjaśnienia — odparł krótko. — Dziewczyna potrzebuje pomocy. Zechciej mnie prze puścić.

Marelda otworzyła już usta, by zgłaszać dalsze pretensje, ale szybko zrezygnowała i potulnie zesłała mu z drogi: gniewny wzrok Ashtona nie wróżył nic dobrego. Znała Wingate'a i wie działa, że kiedy się uprze, potrafi być okrutny w swojej miłkliwości, a wtedy lepiej zostawić go w spokoju.

— Różowy pokój we wschodnim skrzydle stoi pusty, Ashtonie — Amanda, zażenowana, że tak łatwo pofolgowała pustym podejrzeniom, chciała zrehabilitować się przed wnukiem. — Znajdę Willabelle i zaraz ci ją przyślę. — Kiedy Ashton wchodził już po schodach, skinęła na czarną dziewczynę, która obserwowała zajście w holu z galerii pierwszego piętra? — Luella May, biegnij przygotować pokój.

— Już, pani Amando — zawołała dziewczyna i natychmiast zniknęła.

Tymczasem Ashton siedł, rozmyślając, jak to przed trzema laty marzył o tym, że wniesie po tych samych schodach pannę młodą i poniesie do swojej sypialni. I oto teraz trzymał w ramionach kobietę, która mogła być Lierin i której pojawienie się mogłoby położyć kres poczuciu samotności, jakie nie opuszczało go od tamtej tragicznej nocy na rzece.

W pokoju krzątała się już Luella May. Zdjęła kapę z wielkiego, zwieńczonego baldachimem łoża, wygładziła wybieloną na słońcu pościel, poprawiła poduszki i odsunęła się, dając Ashtonowi przejście.

— Pan się nie martwi, massa — pocieszała go. — Mama zaraz przyjdzie, już ona wszystkiego dopatrzy, zaradzi, jak ulżyć waszej lady...

Ashton, nie słuchając trajkotania Luellii, złożył chorą na łóżku, zamoczył ręcznik w stojącej na umywalni misce i począł ścierać błoto z białych policzków. Kiedy skończył, przybliżył lampę i przyjrzał się uważnie owalnej twarzy, jakby szukał w niej odpowiedzi na dręczące go pytania. Przesuwał wzrokiem po wąskim, prostym nosie, po delikatnych wargach, powiekach z gęstymi, długimi rzęsami. Jeśli dziewczyna była jego żoną, kryły się pod tymi zamkniętymi powiekami szmaragdowozielone, pełne życia oczy. W jej gęstych włosach tkwiły jeszcze

liście, żdźbła trawy i grudki zaschłego błota, ale nawet teraz nie straciły one swojego blasku. Tak, to obraz tej kobiety nosił przez ostatnie lata w sercu. Musiała być jego żoną!

— Lierin — szepnęła tęsknie. Jak długo nie wymawiał jej imienia? Czy nie mylił się, wypowiadając je dzisiejszego wieczoru już po raz drugi?

W pokoju pojawiła się wysoka niewiasta o obfitych kształtach. Dokonała szybkiej oceny sytuacji i przejęła komendę.

— Przynieś no koszulę nocną, co ją pani Amanda obiecała dać — poleciła pokojówce. — I gorącej wody do mycia.

Luella May wypadła z sypialni niby pocisk, jej matka zaś podeszła do łóżka, by obejrzeć siniak na czole dziewczyny. Ash ton obserwował jej ruchy, zaciskając kurczowo palce na wsporniku baldachimu.

— Jak myślisz, Willabelle, wyjdzie z tego? — zapytał niespokojnie.

Ochmistrzyni uniosła powiekę dziewczyny.

— Nie trapić się tak i nie gryźcie, massa. Z bożą pomocą biedactwo za kilka dni przyjdzie do zdrowia. Wszystko będzie dobrze.

— Jesteś pewna?

— Pewności nie mam, bo ja nie doktor. Trzeba czekać, czas wszystko pokaże.

— Psiakrew! — Ashton zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Ochmistrzyni obserwowała jego zachowanie z zafrasowaną miną. Coś się tu działo, czego ledwie się domyślała. Kiedy po wierzchnia wody zaczyna się burzyć, przyczyna owego poruszenia tkwi gdzieś głębiej. Willabelle była tego prawie pewna, a kolejne pytanie tylko utwierdziło ją w owej pewności.

— Możemy coś dla niej zrobić, zanim przyjedzie doktor Page? — Niecierpliwiał się Ashton.

— Juści. Obmyję niebożę, przebiorę, ułożę wygodnie, a pan niech sobie idzie do swoich spraw — odparła z namaszczeniem, ofiarując się zrobić wszystko, co w jej mocy.

Ashton zmarszczył brwi, jakby uznał tę pomoc za niewystarczającą. Chwilę stał w milczeniu, nie wiedząc, co czynić, wreszcie z ociąganiem sięgnął po swoją pelerynę i ruszył ku drzwiom. Z sercem ściśniętym lękiem obejrzał się jeszcze od progu na znieruchomiałe na łóżku ciało.

— Zajmij się nią dobrze, Willabelle.

— A jakże, massa.

Zamknął drzwi i ruszył powoli korytarzem. Zatrzymał się na chwilę przy balustradzie i z ręką wpartą o poręcz szukał odpowiedzi na trapiące go pytania. Lierin cudem tylko mogła dopłynąć do brzegu. Jeśli jednak dokonała tego, dlaczego nie próbowała odszukać męża? Dopóki trwały konieczne naprawy, uszkodzona „Czarodziejka” długo jeszcze tkwiła na mieliźnie. W tym czasie ludzie Ashtona przeszukiwali brzegi rzeki na wiele mil w górę i w dół jej biegu, ale nie natrafili na żaden ślad. Jeśli Lierin nie utonęła, dlaczego nie odezwała się ani słowem przez trzy długie lata?

Nie znajdując rozsądnego wyjaśnienia, pokręcił kilka razy głową, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie karku. Powtórzył sobie po raz nie wiadomo, który, że czas zapomnieć o wątpliwościach, i rozejrzał się wokół, jakby chciał wrócić do rzeczywistości, ale wszystkie myśli kierowały się na powrót ku kobiecie, którą przed chwilą opuścił. Czy Lierin spodoba się jego dom? Czy wzbudzi w niej podobny zachwyt jak w przyjaciółkach Ashtona? A może

w porównaniu z angielską rezydencją jej ojca ta wyda się jej nazbyt skromna?

Spojrzał na marmurową posadzkę sieni, na pastelowe freski na ścianach. Dostrzegając rzeczy, których zwykle nie zauważał, przypominał sobie fakty, które zdążyły zatrzeć się w pamięci. Ze zdobionego stiukami sufitu zwieszał się ogromny kryształowy żyrandol: w jego misternie ciętych pryzmatach łamało się światło i rozjaśniało wnętrze tańczącymi wesoło refleksami. Nikt by się nie domyślił, jak bardzo ucierpiał, gdy do domu wtargnął pijany opryszek znad rzeki. Rozochocony alkoholem, ośmielony nieobecnością pana domu, sterroryzował służbę, czyniąc sobie z kryształowego cacka tarczę strzelniczą. Dopiero Amanda położyła kres tym uciechom, kiedy wtargnęła do sieni ze strzelbą i zmusiła intruza jak niepysznego do odwrotu. Wróciwszy do domu, Ashton najął rzemieślników, kazał usunąć szkody, po czym z rachunkami za naprawy w kieszeni wybrał się nad rzekę odszukać norę wesołego strzelca. Dla pewności wziął ze sobą kogoś. We dwóch wytłumaczyli opryszkowi, a przy okazji kilku jego kompanom, by na przyszłość dawał upust niszczycielskim zapędom na własnym terenie i na własny koszt, teraz zaś zechciał uregulować rachunki, szczególnie, gdy prosi o to Wingate w towarzystwie jednego z czarnych nadzorców z plantacji, Judda Barnuma.

Dręczony obawami Ashton ruszył ku swoim apartamentom. Machinalnie zdjął zabłocone ubranie, umył się, ogolił, przebrał i już odświeżony pojawił się ponownie w progu pokoju gościnnego, ale że Willabelle, ciągle jeszcze zajęta toaletą dziewczyny, nie wpuściła go do środka, zszedł na dół. W salonie przywitał go gwar podnieconych męskich głosów.

— Opowiedz nam o niej, Ashtonie — nalegali goście.

— Kim ona jest?

— Gdzie ją znalazłeś?

— Skąd pochodzi?

— Co robiła sama po nocy na drodze?

— To prawda, że nie miała na sobie nic, poza koszulą nocną?

Atakowany ze wszystkich stron Ashton podniósł dłoń, prosząc o ciszę.

— Łaski, panowie. Nie jestem jasnowidzem, nie wiem, jak się nazywa. Nie pochodzi z tych okolic i przypuszczam, że nikt z was jej nie zna. Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego miała na sobie tylko koszulę nocną. Wiem, że gdzieś w pobliżu wybuchł pożar, być może uciekła z płonącego domu. Zupełnie nieoczekiwanie wypadła na drogę z lasów Mortona, prosto pod koła mojego powozu.

— Podobno to prawdziwa piękność. Szczęściarz z ciebie, mój Ashtonie.

Szczęściarz! Jak oni mogą mówić coś takiego? Stracił żonę... stracił swoją miłość... a teraz..., gdy prawdopodobnie ją odnalazł, śmierć może mu ją odebrać.

— Nie będę mówił o szczęściu, dopóki nie przekonam się, że dziewczyna wyjdzie z tego.

— Prawda — zgodził się jakiś starszy pan. — Jeśli odniosła po ważne obrażenia, głupie żarty na jej temat są zupełnie nie na miejscu.

Z kąta pokoju obserwowała Ashton Marelda. Wyraźnie urażona, że nie podszedł do niej od razu, zastanawiała się, jak okazać mu swoje niezadowolenie. Mogła na jakiś czas zerwać z nim kontakty, ale domyślała się, że taka kara nie wywarłaby na Ashtonie żadnego wrażenia. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, wzięłaby po prostu swoją narzutkę i opuściła przyjęcie. Ale Ashton był zbyt przystojny, by go mogła skreślić. Nawet w mniej wytwornym ubraniu niż to, które miał na sobie w tej chwili, jego sylwetka prezentowała się doskonale. Nie, zdecydowanie nie na leżało rezygnować ze znajomości z tak interesującym mężczyzną.

Przeciwnie, może właśnie powinna zacząć działać bardziej zdecydowanie. W końcu wiele już zyskała właściwą sobie przebojowością.

Co pomyślawszy, zaatakowała z impetem szarżującej brygady konnej. Wydęła wargi, przybrała zalotną, wielokrotnie ćwiczoną przed lustrem minę i ujęła pana domu pod ramię.

— Powinam cię złać, Ashtonie, za to niezwykle entree dzisiejszego wieczoru. Zaskoczyłeś wszystkich.

Panowie otaczający Ashtona, przepaszając, jeden po drugim zaczęli się rozchodzić, nie chcąc być świadkami sprzeczki kochanków. Ashton dotąd nie mógł zrozumieć, jak Marelda zdołała zasugerować obecnym, że coś ją z nim łączy. Z drugiej strony musiał jednak przyznać, że nie wzbraniał się specjalnie przed umizgami przedsiębiorczej panny i jej częstymi wizytami, ta zaś brała pobłażliwość za zachętę do dalszych karesów i roiła sobie jakieś plany.

— Przepraszam, Mareldo, wierz mi, że nie zamierzałem robić widowiska.

Marelda nachyliła lekko głowę, eksponując wdzięczny profil. Wiedziała, że jest ładna, i była bardzo dumna ze swoich błyszczących czarnych oczu i kruczonych włosów.

— Domyślam się, że nie mogłeś nic zrobić, kiedy ta mała rzuciła ci się pod koła, tak właśnie działasz na kobiety... — Nagle zaświtała jej pewna myśl. — A może to dziecko? Zdawała się taka drobna... — Powiedziała z nadzieją w głosie.

Ashton pokręcił głową.

— Na pewno nie jest już dzieckiem.

— Ty oczywiście musisz wiedzieć lepiej — zauważyła z urazą. — Widziałeś ją przecież w koszuli. Pewnie specjalnie ją włożyła, żeby zwrócić twoją uwagę.

Ashton skwitował jej przypuszczenie uprzejmym uśmiechem. Czowała, że się ośmiesza, ale zazdrość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem.

— Prawdę powiedziawszy, miała też na sobie pelerynę sprostował z nieznacznym wzruszeniem ramion.

— Ale pod spodem była prawie naga!

— Ujmuj rzecz, jak chcesz, Mareldo. — W głosie Ashtona zabrzmiał wyraźny sarkazm. — Pozostaje faktem, że był to wypadek.

— Oczywiście, że to był wypadek — parsknęła Marelda. — Tyle, że panna, zanim wpadła pod koła, upewniła się, że to twój powóz.

— Wkrótce pojawi się doktor Page. Jego diagnoza rozwieje wszelkie wątpliwości, co do stanu dziewczyny.

Za plecami wiodącej spór pary rozległ się piskliwy chichot. Odwrócili się, by stwierdzić, że zyskali publiczność w osobie pana Horacego Titcha, małego, korpulentnego człowieczka o wiecznie załzawionych oczach.

— Doktor Page nie może przyjechać — oznajmił niemal z radością.

Ashton nie lubił Horacego, natręta, który nagminnie wściubiał nos w nie swoje sprawy. Amanda zapraszała go tylko przez wzgląd na przyjaźń, jaką darzyła jego siostrę. Ta dzielna i rozsądna kobieta zdołała uratować pokaźną schedę po rodzicach. Gdyby nie jej determinacja, Horacy przetraciłby zapewne cały majątek, jako że nie odznaczał się tą samą, co siostra, gospodarnością ani też zbyt mocnym charakterem. Był ostatnią osobą, którą Ashton miał ochotę widzieć dzisiejszego wieczoru.

— Doktor pojechał do Wilkinsów — ciągnął Horacy. — Tam już następny dzieciak w drodze, a że ostatni poród był ciężki, Page na zimne dmucha. Tyle tam gąb do wykarmienia, że lepiej by było, gdyby bachor w ogóle na świat nie przychodził.

Ashton uśmiechnął się kwaśno.

— Szkoda, że nikomu taka myśl nie przyszła do głowy, kiedy tyś się rodził, Titch. Natchez mogłoby wtedy znacznie lepiej wyglądać.

Horacy aż poczerwieniał ze złości. Ze sterczącymi, krótko przyciętymi włosami przypominał, wypisz wymaluj, nasrożone go jeża.

— Ja... ja dobrze ci radzę powściągnij język, Ashton... — wy bąkał. — Pa... pamiętaj, że część bawełny, którą ładujesz na swój statek, należy do mnie.

— Prowadzę interesy z twoją siostrą, Horacy, i zapewniam jej znacznie tańszy fracht niż jakikolwiek inny przewoźnik na rzece. A jak nie będzie chciała korzystać z moich usług, znajdzie się na jej miejsce inny chętny plantator.

— Nawet o tym nie wspominaj, Ashtonie. — Do rozmawiających przyłączyła się Corissa Titch, kobieta przedkładająca szczerą nad dobre maniery. — Wiem, co mi się opłaca, natomiast Horacy nie ma o niczym zielonego pojęcia. — Tu zmierzyła czerwonego jak burak brata surowym wzrokiem.

Horacy zerknął na pana domu, wyczytał w jego oczach wyraźną kpinę. Wściekły, że siostra ośmieszyła jego pogroźki, odwrócił się na pięcie i odszedł, sarkając pod nosem i poprzysięgając sobie, że jeszcze weźmie wet na Ashtonie. Corissa wzruszyła ramionami, jakby w ten sposób chciała przeprosić za Horacego, i poszła za bratem; znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że przez najbliższe godziny będzie się użalał na sobą. Czasami zastanawiała się, czym skończą się któregoś dnia jego ataki de presji.

Tymczasem zirytowany bezsensowną wymianą zdań Ashton, chcąc ochłonać, skinął na służącego, wziął z tacy dwa kieliszki szampana, podał jeden Mareldzie, ta wzniosła szkło z promiennym uśmiechem.

— Witaj w domu, mój drogi. Tęskniłam za tobą. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Ashton spod przymkniętych powiek wpatrywał się w trunek. Myślami był z Lierin. Odezwał się dopiero po długiej chwili milczenia.

— Dobrze być znowu w domu — powiedział w końcu.

Marelda delikatnie przesunęła dłonią po klapie jego surduta.

— Tak się martwię o ciebie, kiedy wyjeżdżasz do Nowego Orleanu, Ashtonie — szepnęła. — Wracasz jakiś odmieniony. Dla czego nie możesz siedzieć w domu i doglądać plantacji jak twoi sąsiedzi?

— Judd, mój rządca, robi to lepiej ode mnie, Mareldo. Z całkowitym spokojem powierzam mu nadzór nad majątkiem, sam tymczasem wolę szukać klientów dla mojej firmy przewozowej.

— Bardzo ufasz Juddowi, prawda? Jesteś jedynym plantatorem w całej okolicy, który zatrudnia czarnego administratora.

— Być może, ale chciałbym ci przypomnieć, że moja plantacja uchodzi za jedną z najbardziej dochodowych. Judd zasłużył sobie na moje zaufanie.

Marelda nie należała do osób, które łatwo ustępują.

— A jednak uważam, że biały potrafiłby zmusić twoich ludzi do większego wysiłku.

— Mylisz się, moja droga. Judd wiele wymaga od robotników, wiedzą, że nie mogą się objąć, a w zamian, po zejściu z pola, mają zagwarantowane przyzwoite jedzenie i godziwy wypoczynek. Belle Chante to dobrze prowadzona plantacja i nie widzę powodów, by zmieniać sposób gospodarowania. A teraz — tu Ash ton cofnął się o krok i skłonił głowę w prośbie o wybaczenie — pozwolisz, że cię opuszczę. Zdaje mi się, że Latham właśnie wrócił, chciałbym usłyszeć, jakie wieści przywozi.

Marelda podniosła dłoń, próbowała go zatrzymać, ale on odwrócił się już i odszedł pospiesznie. Śledziła go smutnym wzrokiem, myśląc, ile radości i życia potrafiła wносить jego obecność i jak przeraźliwie pusto robiło się, kiedy zniknął.

Wszedł do kuchni akurat w tym samym momencie, kiedy wbiegł do niej posłaniec, zostawivszy wcześniej konia w stajni. Zasapany chłopak wyrzucił z siebie, że doktor będzie mógł przyjechać dopiero rano, ale z zupełnie innych powodów niż utrzymywał Horacy.

— Spalił się dom wariatów, massa — mówił Latham. — Do cna wypalony, jeno kuchnia została. Na własne oczy widziałem, ja kem jechał po doktora.

— Zakład dla obłąkanych! — Jęknęła Amanda, która pojawiła się właśnie w kuchni w towarzystwie siostry. — To straszne!

— Doktor powiedział, że musi się zająć ludziskami i temu też nie przyjedzie do nas — wyjaśniał chłopak. — Dużo tam poparzonych, ale prawie wszystkie uszły w życiem.

— Prawie wszyscy? — Zapytał Ashton.

Latham wzruszył ramionami.

— Wariaty. Niektóre uciekły, niektóre zgorzały w ogniu. Nikt ich jeszcze nie policzył, massa.

— Powiedziałaś doktorowi, że bardzo na niego czekamy i że jest tu pilnie potrzebny? — Nastawał Ashton.

— Juści przytaknął żywo chłopak.

— Berto, znajdziesz coś do jedzenia dla naszego młodzika? — Zagadnął Ashton krzątającą się przy garnkach kucharkę.

Staruszka z chichotem wytarła dłonie w fartuch i wskazała na stół.

— A bo to mało tu mamy? Niech dzieciak je na zdrowie.

— Słyszałaś, Lathamie, co mówi Berta. Siadaj i jedz — zachęcił chłopca Ashton.

— Dziękuję. — Uradowany Latham chwycił talerz i zaczął nakładać sobie smakołyki z półmisków.

Ashton stanął tymczasem koło pieca i wpatrywał się z posępną miną w buzujący ogień. Zaniepokoiły go wieści przywiezione przez chłopca. Zakład dla obłąkanych położony był w pobliżu miejsca, gdzie doszło do wypadku. Być może Lierin stamtąd właśnie uciekała? Może chciała dotrzeć do Belle Chante. To by wyjaśniało, dlaczego gnała na oślep przed siebie, ubrana tylko w koszulę nocną i okryta peleryną.

— Biedne, skołatane dusze — wzruszyła się ciotka Jennifer.

— Trzeba posłać tam jutro z samego rana wóz z jedzeniem i kocami — podsunęła Amanda.

— Może ktoś z gości też zechce pomóc. Na pewno będą potrzebowali ubrań, pościeli...

Ciotka Jennifer zafrasowała się, tknięta nagłą myślą.

— Czy to możliwe, Ashtonie, żeby dziewczyna była z tego domu dla obłąkanych?

Ashton poderwał głowę, spojrział zdumiony na cioteczną babkę, ale nie był w stanie odpowiedzieć na jej pytanie. Z odsieczą pospieszyła mu babka.

Dlaczego tak sądzisz, Jennifer?

— Mówiło się coś o tym, że mogła uciec z pożaru, a teraz słyszę, że spłonął zakład dla obłąkanych.

— To zapewne zbieg okoliczności — orzekła Amanda. — Nie masz się, czym gryźć. To biedne dziecko samo nam wszystko wyjaśni, kiedy przyjdzie do siebie.

Ashton uczeplił się określenia zbieg okoliczności. Przekonywał siebie, iż obydwie wydarzenia, pożar i wypadek, nie pozostają zapewne w żadnym związku. Nie wierzyłby, Lierin miała przebywać w domu dla obłąkanych. Nie, nie powinien dawać dostępu fantastycznym domniemaniom.

Zatopiony w myślach poszedł do pokoju gościnnego. Tu zatrzymał się na moment w progu, czekając, aż wzrok oswoi się z półmrokiem rozpraszającym jedynie przez ogień na kominku i złoty płomień świecy stojącej na komódce obok łóżka. Dziewczyna nadal leżała bez ruchu. Serce ścisnął mu się lęk na ten widok, ale po chwili dojrzał, że jej pierś unosi się lekko i opada: oddychała. On też odetchnął z ulgą.

— Czekałam, kiedy pan przyjdzie powiedziała Willabelle, wstając z bujanego fotela.

— Co z nią? — Zapytał, podchodząc do łóżka.

Gospodyni stanęła obok niego.

— Jeszcze się nie ocknęła, marsa, ale widzi mi się, że trochę jej lepiej. Posiniaczona tylko mocno, nieboga, i taką pręgę ma na plecach, nie wiedzieć, od czego, jakby kto ją zdzielił batogiem. — Willabelle pogłaskała szczupłą dłoń leżącą bezwładnie na kołdrze. — Luella May mi pomogła, tośmy umyły jej włosy, wysuszyły, potem ją obmyłam, nałożyłam jej czystą koszulę. Teraz niech sobie leży w cieple.

— Chciałbym z nią zostać chwilę sam — mruknął Ashton.

Willabelle spojrzała na niego zdziwiona, ale nieobecny wyraz twarzy Ashtona nie zachęcał do pytań. Chwilę jeszcze zwlekała z wyjściem, zdjęta troską o pana. Pamiętała, jak rozpacział po stracie żony, i teraz lękała się, jaki skutek może wyrzucić na nim dzisiejszy wypadek.

— Pani Amanda była tu dopiero, co. Dziwne jej, że pan tak się zamartwia obcą dziewczyną.

— Porozmawiam z babką.

Widząc, że nic więcej z niego nie wyciągnie i że musi się zadowolić tą lakoniczną odpowiedzią, Willabelle podeszła do drzwi.

— A, prawda — rzekła jeszcze od progu. — Panna Marelda to znowu chce u nas przenocować.

Ashton westchnął ciężko. Marelda miała zwyczaj przesiadywać w Belle Chante tak długo, jak się jej podobało, i wyjeżdżać dopiero wtedy, kiedy przyszła jej ochota.

— Pan zawoła, jak będzie mnie potrzebował, massa — mruknęła Willabelle cicho i zamknęła drzwi za sobą.

Kiedy ucichły oddalające się kroki gospodyni, Ashton podszedł do łóżka. Z poczuciem narastającej samotności przyglądał się dziewczynie. Leżała bez ruchu z włosami swobodnie rozsypany mi na poduszce. Dotknął jej dłoni i poczuł pod palcami delikatną, jedwabistą

skórę. Długie paznokcie były starannie utrzymane, tak jak paznokcie Lierin. Przypomniało mu się, jak pewnego wieczoru na „Czarodziejce” siedział nad księgami rachunkowymi, żona zaś nachyliła się nad nim i zaczęła wodzić palcami po jego nagiej piersi, muskając przy tym ucho. Wobec tych słodkich pieszczot rzędy cyfr przestały się liczyć i papiery poszły w ką.

Zapatrzony w oświetloną płomieniem świecy twarz przestał się bronić przed napływającymi wspomnieniami, pozwalając wreszcie błędzić myślom swobodnie. Przysiadł na skraju łóżka. Przed oczami stanął mu obraz poranka w hotelu w Nowym Orleanie. Przez na wpół przymknięte żaluzje sączyło się światło słoneczne, opromieniając łagodnym blaskiem splecione w uścisku ciała, a w powietrzu unosił się uderzający do głowy zapach jaśminu. Nigdy wcześniej Ashton nie zaznał takiej bliskości i takiej intymności jak wówczas, w pierwszych dniach swojego małżeństwa, kiedy to poznawał prawdziwy smak miłości.

Ocknął się z marzeń, widząc, że drzwi pokoju uchylają się powoli. W progu stanęła Marelda.

— Ashtonie... Jesteś tutaj? — Zawołała cicho i spojrzała w stronę łóżka. — Och, jesteś. Nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Nie miałam, kogo spytać... — Zamilkła na moment, zerknęła na nie przytomną kobietę, na jej twarzy pojawił się grymas. — Nie wiem, czy to wypada, żebyś sam tu z nią pozostawał.

— Nie obawiaj się, Mareldo, zapewniam cię, że nie zgwałciłem i raczej nie zgwałcę tej biedaczki — powiedział z nutą sarkazmu w głosie.

Ubodła ją ta kpina.

— Mój Ashtonie, wiesz jak szybko rozchodzą się plotki. Niech się tylko ludzie dowiedzą, a będziesz na wszystkich językach stąd do Vicksburga.

— Czego to ludzie mieliby się dowiedzieć? — Zagadnął łagodnym uśmiechem. — Że siedzę przy łóżku nieprzytomnej kobiety, która jest moją... — Tu ugryzł się w język, nie chcąc zdradzić więcej. Jak mógł snuć jakiegokolwiek przypuszczenia, skoro tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi? I tak już powiedział o jedno słowo za dużo i wiedział, że Marelda nie da mu spokoju, dopóki nie wydobędzie z niego reszty.

— Jest kim? — Warknęła. — Kim jest ta dziewczka dla ciebie? Do diabła, Ashtonie, mów zaraz! — Gorączkowała się, widząc, że spogląda na nią z pobłażliwym, nieco lekceważącym uśmiechem.

Podszedł do drzwi i zamknął je starannie, by odgłosy rozmowy nie przeniknęły na korytarz.

— Usiądź lepiej, Mareldo — poprosił. — Nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

- Mów!

— Przypuszczam, że to jest... — Uśmiechnął się niemal przepraszająco — moja żona.

Po raz drugi tego wieczoru Mareldę wpadła w panikę. Poczula, że kręci się jej w głowie i chwyciła się oparcia najbliższego krzesła.

— Twoja żona? — Powtórzyła słabym głosem, choć kipiała gniewem. — Nie wiedziałam, że ożeniłeś się po raz drugi.

— Bo też się nie ożeniłem.

Wpatrywała się w niego, niczego nie rozumiejąc.

— O czym ty mówisz?

Ashton wskazał na łóżko.

— Mówię, że ta kobieta to prawdopodobnie moja pierwsza żona, Lierin.

— Ale... Ona przecież się utopiła — wyjąkała wprawiona w osłupienie Marelda.

— I jak tak sądziłem, dopóki nie zobaczyłem twarzy tej kobiety. Marelda przez długą chwilę trwała w bezruchu, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do łóżka, wzięła do ręki świecę i nachyliła się nad nieznaną. W jej oczach pojawił się błysk podziwu dla urody rywalki, zaraz potem zazdrość i nienawiść. Gdyby była teraz sama w pokoju, najchętniej pozostawiłaby kilka dodatkowych siniaków na bladym liczku, odpłaciłaby za cierpienia, których przysporzyła jej ta obca kobieta. Ale czy rzeczywiście obca?

Nagle zdała sobie sprawę, że Ashton tak mówił, jakby do końca nie był pewien swoich słów. Postanowiła wykorzystać jego wątpliwości, skoro się z nimi zdradził, i obrócić je przeciwko niemu.

— Na pewno się mylisz, Ashtonie. Twoja żona nie żyje od trzech lat. Sam mówiłeś, że wypadła za burtę, a ty nie mogłeś pośpieszyć jej na ratunek, bo jakiś zbój cię postrzelił. Zdajesz sobie sprawę, jaki to musiałby być nieprawdopodobny zbieg okoliczności, gdyby ta kobieta rzeczywiście okazała się twoją żoną? Przyznasz chyba, że to prawie niemożliwe, by Lierin ni stąd, ni zowąd pojawiła się w Natchez i czystym przypadkiem wpadła akurat pod koła twojego powozu. Ktoś zaplanował to wszystko, ktoś chciałbyś uwierzyć, że twoja żona żyje, i zgodził się na wszystko, o co cię poprosi. Idę o zakład, że to niewiarygodnie, kimkolwiek jest, słyszy każde wypowiedziane przeze mnie słowo. — Marelda spojrzała oskarżycielsko na nieruchomą postać. — Zdolna z niej komediantka, skoro dotąd nie przejrzałaś podstęp.

— To jest Lierin, Mareldo.

— Nie! — Zawołała, zaciskając pięści. — To jakaś wywłoka, która chce twoich pieniędzy.

— Mareldo. — W głosie Ashtona dał się słyszeć twardy ton. — Lierin nie potrzebuje moich pieniędzy. Jej ojcem jest bogaty angielski kupiec, a ona sama posiada ziemie w okolicach Nowe go Orleanu i Biloxi, które odziedziczyła po krewnych.

— Spójrz na to obiektywnie — przemówiła Marelda łagodnie. Uznawszy, że wobec nieustępliwości Ashtona pora zmienić taktykę, podeszła do niego i próbowała go objąć, ale odsunął jej dłonie. Załkała cicho i zaczęła ronić łzy. — Jak ty jesteś pewien, że to Lierin, tak ja jestem przekonana, że to nie może być prawda. Jeśli to ona, czemu milczała przez trzy lata? Czy tak twoim zdaniem postępuje kochająca żona?

— Nie będziemy dyskutować na ten temat. Kiedy Lierin odzyska przytomność, wszystko się wyjaśni.

— Nic się nie wyjaśni, Ashtonie. Otworzy oczy i powie, że jest twoją żoną, a to będzie kłamstwo wymyślone przez kogoś, kto czyha na twoje pieniądze.

— Wszędzie poznałbym Lierin.

Marelda wyprostowała się dumnie niby heroina, która samotnie musi stawić czoło całemu światu. Natknąwszy się na tak absurdalny upór, potrzebowała czasu, by zastanowić się, jak go przełamać.

— Zostawiam cię teraz... z nią... Pójdę do mojego pokoju, ale nie będę spała. Pamiętaj, Ashtonie, że bardzo cię kocham.

Bohaterska męczennica idąca na śmierć nie mogłaby trzymać głowy wyżej niż Marelda, kiedy opuszczała pokój w majestacie cierpienia. Zatrzymała się jeszcze w progu, dając Ashtonowi czas na reakcję, po czym zamknęła drzwi z trzaskiem, który rozniósł się zapewne po całym domu. Ashton niemal widział, jak to wcielenie zawiedzionej miłości sunie korytarzem do swojego pokoju i czekał, kiedy rozlegnie się kolejne trzaśnięcie drzwiami. Nie zawiódł się.

Doszedł go potężny huk, a w chwilę później odgłosy szybkich kroków i zaniepokojonych kobiecych głosów. Gdy pod niósł głowę, w progu stały zasapane staruszki.

— Na Boga, Ashtonie! — Zawołała babka, z trudem łapiąc od dech. — Co cię napadło? Dlaczego tłuczysz się po domu niczym potępieniec, trzaskając drzwiami?

— Nie bądź dla niego taka surowa, Amando — uspokajała siostrę Jennifer. — Na pewno musi być zmartwiony, doktor Page przyjedzie dopiero rano, do tego czasu nie będzie wiadomo, jaki jest stan dziewczyny... — Spojrzała na Ashtona, szukając u niego potwierdzenia. — Prawda, mój drogi, żeś zdenerwowany?

Amanda nie dała się ugłaskać.

— Powinnam zabronić mu tych podróży w dół rzeki — burknęła niechętnie. — Za każdym razem, kiedy jedzie do Nowego Orleanu, coś musi mu się przydarzyć. To jakieś przekleństwo.

— Uspokój się, grand mere, proszę — przemówił Ashton przymilnie i pociągnął babkę w stronę kominka. — Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Na twarzy babki odmalowało się powątpiewanie.

— Pierwej mi powiedz, dlaczego trzaskałeś drzwiami, a kiedy mi się wytłumaczysz, może wysłucham reszty.

Ashton parsknął śmiechem i objął czule wątle plecy babki.

— Uwierzysz, że to Marelda trzaskała drzwiami, a nie ja?

— Marelda? — W głosie Amandy dało się słyszeć zdumienie. — A to, dlaczego, Ashtonie?

— Ponieważ powiedziałem jej, że ta ranna dziewczyna to Lierin...

— Lierin? Twoja żona Lierin? — Zapytała niepewnie babka. — Przecież... ona nie żyje.

— Utopiła się, mój drogi. — Ciotka Jennifer poklepała Ashtona po ramieniu w geście pocieszenia, pewna, że biedny chłopak zwariował.

— Nie, ona jest tutaj. Żyje! Nie potrafię wytłumaczyć, jak się to stało, ale ona tu jest — przekonywał Ashton. — Tu, w tym pokoju.

Kompletnie oszołomione staruszki podeszły niepewnie do łóżka. Ciotka Jennifer wzięła z szafki nocnej świecę i przysunęła ją do twarzy leżącej.

— Ładna — mruknęła z uznaniem.

— Prześliczna — poprawiła ją Amanda, myśląc równocześnie, że powinna zachować spokój w obliczu wstrząsających wypadków. Ashton tak długo opłakiwał ukochaną żonę, iż teraz, za pewne powodowany próżną nadzieją, ulegał złudzeniom, chciał odnaleźć Lierin w nieznajomej, a podobnej do niej kobiecie.

Nagle przypomniała sobie, że w pokojach wnuka wisi portret Lierin. Być może on pomógłby rozstrzygnąć, na ile nadzieje Ashtona są uzasadnione.

— Dziewczyna rzeczywiście jest podobna do Lierin z portretu, mój drogi. Może przyniesiesz go i porównamy twarz z konterfektem?

Czyniąc zadość prośbie babki, Ashton po chwili wrócił do pokoju gościnnego z rzezonym malowidłem. Jeden rzut oka wy starczył mu, by nabrał pewności, że nieprzytomna dziewczyna i młoda kobieta na portrecie to jedna i ta sama osoba.

Podczas jego krótkiej nieobecności siostry ustawiły przy łóżku kilka lamp i podkręciły knoty, oświetlając rześście twarz rannej. Ciotka Jennifer wsparła obraz o wezgielowie łoża, po czym

oby dwie starszki oddały się pilnemu porównywaniu postaci żywej i namalowanej. Dziewczyna z portretu miała na sobie żółtą suknię i tego samego koloru wstążki w ciemno rudych włosach. Jej szmaragdowe oczy promieniały radością życia. Owszem, przy wieziona przez Ashtona nieznamą wydawała się do niej podobna, czegoś jednak tu brakowało.

— Co prawda z podobizny emanuje prawdziwe ciepło — mruknęła Amanda — ale jeśli ta tu dziewczyna to Lierin, artysta nie oddał jej sprawiedliwości, rysy tej biedaczki zdają się znacznie delikatniejsze niż na konterfekcie.

Ashton uważnie przyjrzał się obrazowi. Jeśli dostrzegał jakieś różnice, przypisywał je raczej niedostatkom warsztatu malarza.

— Nie można oczekiwać, by portret w sposób doskonały od dawał podobieństwo — odezwała się ciotka Jennifer, jakby odgadywała jego myśli. — Dobrze, jeśli artysta uchwyci właściwy kolor włosów i oczu.

— Dostałeś ten konterfekt po śmierci Lierin, tak? — Dopytywała się Amanda. — Jak trafił w twoje ręce?

Zapisał mi go w dziadek Lierin. Nie mam pewności, ale prawdopodobnie jest to malowidło od pary, na drugim przedstawiona była siostra Lierin, Lenora. Obydwa zostały przekazane sędziemu Cassidy, kiedy, na krótko przed tym, jak poznałem Lierin, odwiedzili go Somertonowie z Anglii.

— To fatalnie, że nigdy nie miałaś sposobności poznać rodziny swojej żony, Ashtonie — westchnęła ciotka Jennifer ze smutkiem w głosie.

— A dla mnie to straszne, że nigdy nie miałam sposobności poznać samej Lierin — dodała Amanda. — Tyle razy powtarzałam Ashtonowi, że powinien zapewnić ciągłość nazwisku, dochować się potomków i dziedziców, ale on przez lata wolał trwać w kawalerskim stanie i ani myślał o wypełnieniu obowiązków wobec naszego rodu. Kiedy w końcu się ożenił, było to tak nieoczekiwane, że omal nie dostałam zawału, a potem... bach, koniec! — Amanda strzeliła palcami. — Wrócił do domu ranny, już wdowcem.

— Cierpliwości, Amando — łagodnie strofowała siostrę Jennifer — Ashton, co prawda, nie staje się coraz młodszy, ale ma dopiero trzydzieści cztery lata, a to jeszcze nie starość.

— Ach, daj mi spokój. — Amanda machnęła ręką. — Mój wnuk więcej myśli o plantacji niż o małżeństwie.

— Moje drogie, nie decydujcie za mnie, jak mam żyć, miejcie trochę litości nade mną — obruszył się Ashton ze śmiechem.

— Litości się domaga, widzicie go — sarknęła babka, ale w jej oczach pojawiły się wesołe iskierki. — To ja powinnam prosić o zmiłowanie.

Kiedy ostatni goście bądź wsiedli do powozów, bądź po szli spać, Ashton ruszył do swoich pokoi. Przeszedł przez oświetlony ciepłym blaskiem lamp gabinet, minął salon i wszedł do sypialni, w której na kominku buzował ogień. Przewidujący Willis przygotował już gorącą kąpiel w małym pomieszczeniu, które służyło za gotownię. Ashton zrzucił ubranie i zanurzył się w wodzie, rad, że może wreszcie odpocząć i spokojnie rozważyć wydarzenia minionego dnia. Zatopiony w myślach, strząsał od czasu do czasu popiół z cygara do porcelanowej popielniczki umieszczonej na stoliku przy wannie, gdzie stała również karafka i rozmaite słoiczki. Z głową opartą o brzeg wanny obserwował dym unoszący się leniwie w górę i snujący swobodnie — zupełnie jak obrazy, które zaczęły się przesuwać przed jego oczami.

Przypomniał mu się ów ranek, kiedy to po raz pierwszy zobaczył Lierin. W towarzystwie starszej pani szła nowoorleańską ulicą pełną sklepów z kobiecymi fatalaszkami. Tak go zachwycała, że zapomniawszy o pilnym spotkaniu, na które właśnie spieszył, siedł za nią przez dłuższy czas. Piękna nieznajoma zdawała się go nie zauważać. Dopiero, gdy zatrzymała się przed sklepem modystki, posłała mu pytające, nieco zalotne spojrzenie spod jedwabnej parasolki. Niestety, niemal w tej samej chwili, zanim Ashton zdołał zareagować w jakikolwiek sposób, zasłonił ją przejeżdżający powozik, a kiedy już zniknął za zakrętem, zniknęła również dziewczyna i wszelka nadzieja na ponowne spotkanie.

Rozczarowany, zatrzymał fiakra, rzucił adres i kazał się wieźć na umówione spotkanie. Nie zapowiadało się ono zbyt miło i Ashton gotował się na ostrą wymianę zdań. Zamierzał oprotestować fakt zaarrestowania należącego doń parostatku i postanowił tak długo prowadzić spór, póki nie osiągnie zadawalającego rezultatu. Jego ludziom postawiono zarzut uprawiania piractwa, całkowicie nieuzasadniony, gdyż przedstawione dowody okazały się fałszywe.

Przyjechawszy do rezydencji sędziego Cassidy'ego, został za prowadzony do gabinetu pana domu. Zaczął mu właśnie wyjaśniać swoje stanowisko, gdy w sąsiednim pokoju rozległ się głośny, gniewny okrzyk jakiejś kobiety. Ashton zamilkł w pół słowa. Nikt go nie uprzedził, że stary, samotnie żyjący sędzia gości swoją wnuczkę z Anglii i że jest nią ta sama dziewczyna, którą śledził owego popołudnia na ulicy. Wtargnęła właśnie do gabinetu i cała złość Ashtona rozviała się w jednej chwili; nie mógł uwierzyć we własne szczęście, w to, że tak łatwo udało mu się odnaleźć piękną nieznajomą. Lierin, nieco zaskoczona nieoczekiwanym spotkaniem, szybko odzyskała zwykły rezon, a że ze strony matki odziedziczyła porywczą irlandzką krew, natychmiast utarła gościowi nosa za niewłaściwe zachowanie i to w obecności przedstawiciela prawa.

Ashton był tak uradowany, że ani trochę nie przejął się reprimendą, odwrotnie, wysłuchał jej rozanielony. Od chwili, gdy spojrzał w roziskrzone, szmaragdowe, ocienione gęstymi rzęsami oczy panny Somerton, wiedział, że życie bez niej będzie rozpaczliwie puste. Mając teraz możliwość przyjrzeć się jej bliżej, upewniał się, że jest obdarzona niepospolitą urodą. Błyszczące oczy, wąski, prosty nosek, delikatne, pełne wyrazu usta — wszystko to wprawiało go w niebiański zachwyt. Zafascynowany wpatrywał się w nią tak długo, że dziewczyna spłonęła się w końcu pod jego spojrzeniem. Później przyznała mu się, że nigdy wcześniej nie widziała takiego żaru w oczach mężczyzny.

Rozbrojony zjawiskową obecnością dziewczyny, Ashton grzecznie przeprosił sędziego za swój wcześniejszy wybuch i począł szczegółowo opowiadać o okolicznościach aresztowania statku. Cassidy z kolei, rozbawiony ciętym zachwytem, z jakim jego gość spogląda na wnuczkę, zaprosił Ashtona na kolację, mówiąc, że przy stole będą mogli szczegółowo rozważyć sprawę. W rzeczywistości miał znacznie bardziej przebiegłe zamiary. Później przyznał, że chciałby jedna z jego wnuczek, zamiast za Anglika, jak matka, wyszła za Amerykanina i osiadła gdzieś w pobliżu.

I tak za przyzwoleniem sędziego Ashton zaczął się ostrożnie zalecać do Lierin.

Teraz wyszedł z wanny, wytarł ręcznikiem szeroką pierś, nadal błądząc myślami wokół wydarzeń sprzed trzech lat. Włożył welwetowy szlafrok, nalał sobie drinka i z cygarem w ustach wy siedł na balkon. Zimne nocne powietrze przesiąknięte było mocnym zapachem sosen, który zawsze kojarzył się Ashtonowi z domem. Oparł się o balustradę i powrócił do wspomnień.

Lierin w sposób zasadniczy odmieniła jego życie. Wcześniej unikał małżeństwa niczym śmiertelnej zarazy, teraz jednak perspektywa wyjazdu z Nowego Orleanu bez Lierin była nie

do pomyślenia. Nie potrafił określić, w jakim dokładnie momencie zaczął patrzeć na nią jako na swoją przyszłą żonę, w każdym razie nadzieja na to zawładnęła nim szybko i całkowicie. Kiedy przyszło do oświadczeń, uczynił to z wahaniem, lękał się, bowiem, że Lierin zacznie nalegać na dłuższe narzeczeństwo, że będzie jej zależało na błogosławieństwie ojca. Tymczasem, ku jego zastrzeżeniu, okazało się, że zależy jej na szybkim ślubie tak samo jak jemu. Z twarzą rozpromienioną szczęściem zarzuciła mu rękę na szyję i wykrzyknęła:

— Och, tak, tak!

Mimo że obydwójgu spieszo było do ołtarza, należało najpierw uporać się z rozmaitymi przeszkodami. Nieobecność ojca oblubienicy oznaczała, że nie będzie on mógł usankcjonować małżeństwa. Nawet gdyby był obecny, być może wcale nie udzieliłby młodemu swojemu błogosławieństwa. Lierin podsunęła myśl, by zastąpił go dziadek, ale w ten sposób cała trójka ściągała sobie najprawdopodobniej na głowę gniew Roberta Somertona. Ashton żartował, że uwiedzie ukochaną, a kiedy ta zajdzie w ciążę, jej papa nie będzie miał innego wyjścia, jak zgodzić się na ślub.

Przez tych kilku krótkich tygodni, które spędził razem z Lierin w Nowym Orleanie, obserwował zmiany zachodzące w jego zapatrywaniach na świat. Nigdy wcześniej nie dostrzegał kwiatów, dopiero Lierin podczas wspólnych spacerów po parku nauczyła go rozkoszować się ich subtelnym pięknem. Całymi latami spoglądał na zachody słońca, obserwując z niejakim roztargnieniem mieniący się purpurą i złotem widnokrąg, ale kiedy obydwójce stali o przedwieczornej godzinie w oknie pokoju hotelowego, zwykle zjawisko nabierało szczególnego znaczenia, stanowiło wspaniałe zakończenie sielskiego dnia; widok twarzy Lierin, jej śmiech, jej miękki głos przepelniały serce Ashtona tkliwym szczęściem.

Postawił szklankę na balustradzie balkonu, zapatrzył się w ciemności nocy, cygaro nadal tkwiące w ustach niepostrzeżenie zgasło.

Po ślubie spędzili jeszcze cudowny tydzień w Nowym Orleanie, po czym wsiedli na pokład „Czarodziejki”. Płynęli do Natchez, gdzie panna młoda miała poznać rodzinę męża i gdzie obydwójce chcieli przeprosić za niespodziewany, pospieszny ślub. Spełniwszy owe obowiązki, zamierzali wrócić do Nowego Orleanu na spotkanie z podróżującym ojcem Lierin i jej siostrą. Robert Somerton należał, według słów córki, do tych Anglików, którzy serdecznie nie lubili przebojowych Amerykanów. Jedyną osobą z Nowego Kontynentu, jaką zaakceptował, była matka, Lierin, Dierdre. Kochał ją bardzo, a że nie chciała wyjechać ze Stanów, zgodził się zamieszkać w Nowym Orleanie. Dopiero po śmierci żony wrócił z córeczkami do Anglii, skąd nie ruszał się do chwili, kiedy Lenora zaręczyła się z młodą właścicielem ziemskim z Karaibów. Nowa sytuacja wymusiła podróż, należało, bowiem odwiedzić przyszłego zięcia w jego wyspiarskim raj. Ulegając prośbom Lierin, zabrał ją ze sobą i zgodził się, by została u dziadka w Nowym Orleanie, sam zaś z drugą córką popłynął na Karaiby, by omówić jej zaślubiny.

Ashton od samego początku swoich zalotów podejrzewał, że Robertowi Somertonowi trudno będzie zrozumieć, że kiedy on takim nakładem wysiłków przygotowuje ślub jednej z córek, druga, korzystając z krótkiej nieobecności ojca, wychodzi za mąż za zupełnie obcego człowieka. Rejs do Natchez zakończył się tragedią. W efekcie Ashton nigdy nie spotkał Somertona. Wiść o śmierci Lierin dotarła do Nowego Orleanu, zanim młody wdowiec wyleczył się z ran odniesionych podczas ataku na „Czarodziejkę”. Kiedy poczuł się już na tyle dobrze, by ruszyć w podróż do Nowego Orleanu, stary sędzia umierał, Somertonowie zaś odплыli już z powrotem do Anglii, nie troszcząc się ani o Cassidy'ego, ani tym bardziej o męża nieboszczki, o którym nie wiedzieli nawet, czy przeżył piracką napaść na rzece?

Chłodny wietrzyk wytrącił Ashtona z rozmyślań, przywracając go do rzeczywistości. Wystawił twarz na powiew, poczuł na policzkach kropelki mgły i zimno przenikające przez poły szlafroka. Przypomniawszy sobie ostatnią noc na pokładzie statku, ostatnie szczęśliwe chwile w życiu, które miało odtąd być wypełnione jedynie cierpieniem. Mimo że poszukiwania na rzece trwały jeszcze przez tydzień i były prowadzone przez kilka statków równocześnie, Ashton długo nie chciał przyjąć do wiadomości oczywistych faktów. Znaleziono ciała kilku piratów, ale nie natrafiono na żaden ślad Lierin. Nic, choćby strzępka sukni. W końcu musiał pogodzić się z myślą, że okrutna w swojej obojętności rzeka pochłonęła kolejną ofiarę, a jemu zabrała mu ukochaną kobietę. Przez trzy lata bolał nad stratą, aż dzisiaj wróciła nadzieja. Od jutra życie miało się zacząć na nowo. Lierin była w domu.

2

Powoli wracała jej świadomość. Czuli się jak ktoś, kto budzi się do życia, nie mając pojęcia o wcześniejszej egzystencji. Była tylko mroczna czeluść, którą zostawiała za sobą, i chwila bieżąca. Rozum, pamięć, czas nic nie znaczyły i nie odgrywały żadnej roli. Miała wrażenie, że jest kimś na podobieństwo embriona unoszącego się na falach mroku. Żyła, oddychała, ale nic nie łączyło jej ze światem. Jak przez mgłę dostrzegała jakiś zapraszający blask? Wysilała mózg, usiłując dotrzeć tam, gdzie przedzierały się promienie rzeczywistości, a myślą rządziły władze umysłowe. Poczuli przejmujący ból w skroniach i cofnęła się na powrót w siebie. Wolała trwać w mrokach niepamięci, niż znosić wwiercające się boleśnie w mózg światło świadomości.

— Czy mnie słyszysz? — Głos, niewyraźny i stłumiony płynął ku niej gdzieś z głębi długiego tunelu, był jak groźba, która zmusza do reakcji. Teraz brzmiał donośniej: — Pytam, czy mnie słyszysz, pani?

Wbrew jej woli ktoś ją nawoływałby wynurzyła się na powierzchnię. Jęknęła w cichym proteście. Miała wrażenie, że zdjęto ją z koła tortur, całe ciało bolało, członki ciążyły, jakby były z ołowiu. Próbowwała się poruszyć, ale nie była w stanie przemóc sztywności. Otworzyła oczy, krzyknęła oślepią promieniami słońca i z trudem odwróciła głowę od okna.

— Niech ktoś zasunie zasłony — polecił siedzący obok łóżka mężczyzna. — Światło ją razi.

Po chwili w pokoju zapanował łagodny półmrok. Odetchnęła, przesunęła drżącą dłonią po czole i skrzywiła się z bólu, gdy palce natrafiły na czułe miejsce nad brwią. Dziwne, nie mogła sobie przypomnieć, by się o coś uderzyła. Kilka razy zamrugła powiekami, by coś dojrzeć, mgła powoli zaczynała układać się w wyraźniejsze kształty, mogła wreszcie rozpoznać sylwetkę na chylonego nad nią starszego pana o pomarszczonej twarzy, ze szpakowatą brodą i przysypanymi siwizną obfitymi bokobrodami. Wiek nie przygasił jednak jego spoglądających zza drucianych okularów szarych oczu; błyskały w nich żywe, pogodne iskierki.

— Już myślałem, że nie podoba się ci się nasze towarzystwo, młoda damo. Jestem doktor Page i zostałem wezwany, by się tobą zaopiekować, moje dziecko.

Otworzyła usta do odpowiedzi, ale wydobyło się z nich tylko nieartykułowane skrzeczenie. Przesunęła językiem po spierzchniętych wargach. Doktor zareagował natychmiast, wziął od stojącej obok czarnej kobiety szklanekę z wodą, uniósł lekko głowę pacjentki i przytknął brzeg naczynia do jej warg. Kiedy zaspokoila już pragnienie, pozwolił jej opaść na poduszki i przyłożył wilgotny okład cło czoła? Pulsujące fale bólu nieco osłabły.

— Ja się czujesz? — Zapytał serdecznie.

Za całą odpowiedź powiodła wzrokiem wokół siebie. Leżała w ogromnym łożu z baldachimem przybrzany różowym jedwabiem, z głową ułożoną wysoko na poduszkach. Draperie z różowego jedwabiu zebrane różowo-zielonymi sznurami, kwieciste tapety w tonacji różu, jasnej żółci i wiosennej zieleni, obicia na fotelach utrzymane w tych samych kolorach, wszystko to stwarzało pogodny nastrój, tyle, że wygodne wnętrze, zamiast przynieść ukojenie, odstręczało ją i niepokoiło swoją obcością. Nie była w stanie niczego tu rozpoznać, żadnego mebla, porcelanowej figurki czy obrazu. Miała na sobie cudzą zapewne koszulę nocną, wpatrzone w nią oczy zebranych w pokoju ludzi nie przywodziły żadnych wspomnień. Obok przesłoniętego bogatymi kotarami okna stały dwie staruszki, a za krzesłem doktora czekała w pogotowiu postawna czarna niewiasta w białym wykrochmalonym fartuchu i zawoju na głowie. Przy kominku, z odwróconą głową, tkwił drugi mężczyzna. Widziała tylko jego ciemne włosy, biały gors jedwabnej koszuli i sztuczkowe spodnie. Zaintrygował ją ten człowiek, który, gdy inni wlepiali w nią ciekawie oczy, nie chciał nawet spojrzeć w stronę łóżka, tak jakby usiłował zdystansować się wobec niej i reszty zebranych.

Do pokoju weszła młoda czarna dziewczyna z tacą, na której stał kubek bulionu i porcelanowa zastawa do herbaty. Doktor Page sięgnął po zupę i podał ją pacjentce.

— Wypij, jeśli możesz — rzekł zachęcająco. — To cię wzmocni.

Kiedy poprawiono poduszki, tak by mogła znaleźć się w pół-siedzącej pozycji, zaczęła pić małymi łykami.

— Co ja tu robię? — Zapytała po chwili.

— Zdarzył się wypadek — odparł doktor Page. — Zderzyłaś się z powozem i spadłaś ze swojego wierzchowca. Potem zostałaś przywieziona do tego domu.

— Z mojego wierzchowca?

Doktor ponownie służył informacjami, tym razem obserwując uważnie twarz pacjentki.

— Przykro mi, madame, ale konia trzeba było, niestety, dobić.

— Dobić? — Szukała w pamięci jakichkolwiek wydarzeń, o których opowiadał doktor, ale nawet te dwa krótkie pytania przyprawiły ją o taki ból głowy, że nie była w stanie myśleć. Przytknęła drżące palce do skroni. — Nic nie mogę sobie przytomnieć.

— Miałaś, pani, paskudny wypadek. Odpręż się, wypocznij, a pamięć ci wróci.

Ponownie powiodła wzrokiem wokół siebie, na próżno szukając czegoś znajomego dla oka.

— Gdzie ja jestem?

— W Belle Chante — Doktor Page przyglądał się jej bacznie. — W domu Ashtona Wingate'a, na jego plantacji.

— Ashton Wingate? — powtórzyła i natychmiast zdała sobie sprawę, że zebrani przyglądają się jej w pełnym oczekiwania napięciu.

Mężczyzna w sztuczkowych spodniach gwałtownym ruchem wetknął pogrzebacz do stojaka. Ten nagły gest wywołał jej niepokój, jeszcze zanim zdążyła ujrzeć twarz nieznanego. Zdezorientowana, przyglądała mu się, jak przemierza pokój, nie mogąc zrozumieć powodów niezadowolenia objawiającego się w każdym jego ruchu i w rysach. Wyrazisty, piękny profil po winien obudzić podziw w kobiecym sercu, tymczasem, zamiast ciepłych uczuć, zdjął ją niewytłumaczalny chłód. Zatrzymał się w nogach łóżka i wbił w nią nieruchomy wzrok. Jak zahipnotyzowana, odstawiła powoli kubek z bulionem na komodę.

Na ustach mężczyzny pojawił się dziwny uśmiech.

— Nie rozumiem, jaki to cud sprawił, że cię wreszcie odzyskałem, ale dziękuję losowi, że tak się stało, moja najdroższa.

Te niepojęte słowa wprawiły ją w panikę. Przerazona, zastanawiała się, które z nich dwojga oszalało. Mężczyzna sprawiał wrażenie zupełnie trzeźwego, nie mogła, więc tłumaczyć sobie jego zachowania tym, że wypił zbyt dużo, a i też nie wyglądał na kogoś, kto zaglądałby do kieliszka. Trzymał się dumnie i pro sto, jak człowiek umiejący panować nad swoimi słabościami. Dlaczego zatem przemawia do niej tak, jakby ją znał?

Jeśli Ashton żywił dotąd jakieś wątpliwości, rozproszyło je ostatecznie jedno spojrzenie zielonoszmaragdowych oczu. Znał te oczy, to były oczy jego żony.

— Przeżyłem szok, kiedy zobaczyłem cię wczoraj wieczorem. Myślałem, że nie żyjesz, a teraz, po trzech długich latach, pojawiaasz się tak nieoczekiwanie. To wielka dla mnie radość, że nie jestem jednak wdowcem.

To ona musiała stracić rozum! Gdyby jego słowa były bełkotem szaleńca, reszta z pewnością nie przysłuchiwałaby się im z takim spokojem. Poczęła drżeć na całym ciele. Pragnęła na powrót zapaść się w mroczną otchłań, skryć się znowu w bezpiecznej niepamięci, skąd ją tak nagle wyrwano. Teraz już nie drżała, a wręcz dygotała. Ból w skroniach stał się tak dojmujący, że rozsadał czaszkę. Zaciśnęła powieki i skuliła się w pościeli, jak by chciała za wszelką cenę odizolować się od wrogiego świata.

— Lierin! — Zabrzmiało jej w uszach głuchym echem. To wy powiedziane tonem wahającym się między prośbą a poleceniem słowo nie budziło żadnych wspomnień, odwrotnie — wprawiło ją w jeszcze większe pomieszenie. Nigdzie nie znajdowała zakotwiczenia dla swoich myśli, żadnego oparcia, które pomogłoby wydobyć się z mroku i stanąć na pewnym gruncie pamięci. Nie miała do dyspozycji nic poza tym, czego doświadczała od chwili odzyskania przytomności, a były to doznania mylące, które nie pozwalały odzyskać kruchej choćby równowagi i prowadziły do całkowitego rozstroju. Pokój tańczył jej przed oczami, rozrzuciła szeroko ramiona, jakby chciała chwycić się krawędzi łóżka i po wstrzymać wirujący świat.

— Szybko! — Doktor Page skinął na Willabelle. — Podaj sole trzeźwiące z mojej torby. — Powstrzymał Ashtona gestem dłoni, kiedy ten próbował podejść bliżej. — Jest jeszcze w szoku. Daj jej trochę czasu.

Pan domu, bezradny i zafrasowany, przyglądał się męczarniom chorej. Doktor tymczasem podłożył jej dłoń pod głowę i przytknął flaszeczkę pod nos. Cucące kryształki zadziały. Otworzyła powieki i już przytomnym wzrokiem rozejrzała się po pokoju. Każdy detal rysował się przed oczami z bolesną wyrazistością. Mężczyzna, który przyprawił ją o taki rozstrój, zaciskał z całych sił palce na wsporniku łóżka, jak by to on odchodził od zmysłów, nie ona.

Oslabiona, wyczerpana, spocona, opadła na poduszki.

— Mogę dostać jeszcze trochę wody? — Wychrypiała.

— Oczywiście, moje dziecko. — Doktor Page sięgnął po szklanekę.

Podziękowała mu grzecznie za pomoc, wyjęła szkło z ręki i zaczęła pić drobnymi łykami, zerkając równocześnie spod oka na postać mężczyzny stojącego w nogach łóżka. Wysoki, mocno zbudowany, szczupły, o szerokich ramionach i wąskich biodrach mógł zwracać uwagę i budzić zachwyty kobiet. Nagle poczuła, że ten człowiek rozbiera ją wzrokiem i oblała się rumieńcem. Nie dość, że dręczył ją dziwnymi słowami, to jeszcze molestował wręcz spojrzeniem. Podciągnęła wyżej kołdrę.

Oddała szklankę doktorowi, podejmując równocześnie decyzję; musiała wreszcie wyjaśnić deprymującą sytuację, zrozumieć, co się z nią dzieje.

— Czy ja znam tu kogoś? — Zapytała z niepewnością w głosie. Zdumiony doktor Page otworzył szeroko usta, spojrział na Ash tona, który, jeszcze przed chwilą pewny, że odnalazł żonę, zdawał się równie, jeśli nie bardziej zbity z tropu.

— Nie jesteś Lierin? — Przemówił wreszcie.

Zmarszczyła brwi. Całkowicie zdezorientowana, nie chciała przecież odwoływać się do współczucia obcego mężczyzny.

— Ja... ja nie wiem, kim jestem — powiedziała z nieznacznym wzruszeniem ramion i pełna niepokoju czekała, jaką reakcję wywołają jej słowa. Bała się, że po tym wyznaniu mężczyzna uzna ją za wariatkę. Na jego twarzy odmalował się szok, reszta ze branych zdawała się nie mniej wstrząśnięta.

Ciotka Jennifer podeszła do łóżka, ujęła dłoń chorej i poklepała ją pocieszająco.

— Dobrze, dobrze, kochanie, zobaczysz, pamięć wkrótce ci wróci.

— Ależ nikt nie zapomina swojego imienia, Jenny — sarknęła Amanda. — Biedaczka po prostu potrzebuje trochę odpoczynku.

— Być może sprawa jest jednak poważniejsza, Amando — po wiedział doktor ostrożnie. — Znamy przypadki utraty pamięci. Nazywają to amnezją. Czytałem, że taka utrata może być częściowa, dotyczy wtedy jakiegoś wycinka życia czy pewnych wydarzeń. W innych, ostrzejszych przypadkach, pacjent nie przypomina sobie, jak się nazywa, gdzie mieszka, nie potrafi powiedzieć dosłownie nic o swoim przeszłym życiu, zachowuje zaledwie umiejętność czytania i pisanie. Jeszcze inni chorzy nie są w stanie uzmysłwić sobie, że wcześniej w ogóle wiedli jakąś egzystencję przed przebudzeniem. Ci są zupełnie zagubieni. — Doktor bezradnie rozłożył ręce. — Muszę powiedzieć, że sam jestem skonfundowany, gdyż nigdy wcześniej nie zetknąłem się z nikim, kto cierpiałby na podobną przypadłość.

— Jeśli ty mówisz, że jesteś skonfundowany, to co ma powiedzieć to biedne dziecko, Franklinie — zauważyła nieco wytrącona z równowagi Amanda. Była pewna, że sprawa tożsamości dziewczyny wyjaśni się z chwilą odzyskania przez nią świadomości. Teraz martwiła się, jak zareaguje Ashton.

— Cóż, Amando, nie możesz oczekiwać ode mnie odpowiedzi na wszystkie, dręczące nas pytania — odparł starszy pan.

— Nie tłumacz się, Franklinie. — Amanda poklepała doktora po plecach takim gestem, jakby miała do czynienia z niedowarżonym studentem. — Upewnij się, na czym polega problem, i znajdź nań lekarstwo.

— Obawiam się, że to nie będzie takie proste, moja droga. Wiele przyczyn mogło wpłynąć na stan naszej pacjentki. Szok. Choroba. W tym wypadku amnezję spowodował zapewne wypadek, a, o ile wiem, nie ma na to lekarstwa.

— Ale to minie, nie może być inaczej — wtrącił Ashton. Doktor Page wzruszył ramionami.

— Niestety, Ashtonie, nie potrafię powiedzieć, co będzie dalej. Być może po kilku dniach wypoczynku pamięć wróci, być może będzie to trwało znacznie dłużej... albo nie nastąpi nigdy. Czas pokaże. Musimy czekać i nie tracić nadziei.

Chora spoglądała na brodatego doktora z poczuciem, że śni jakiś koszmar, z którego nie potrafi się obudzić.

— Myśli pan, że rzeczywiście mogą być Lierin i nie wiedzieć o tym?

— Ashton twierdzi, że jesteś Lierin Wingate — oznajmił doktor Page cicho. — Reszta z nas nie może tego potwierdzić ani za przeczyć, bośmy nigdy wcześniej jej nie widzieli.

Zerknęła niepewnie na mężczyznę w białej koszuli, kierując jednocześnie pytanie do doktora.

— Czy to ma być Ashton?

— Mogę ci zaręczyć, że to jest Ashton — powiedziała Amanda.

Chora, zupełnie już skonsternowana, zwróciła się teraz do Ashtona.

— Jesteś pan pewny, że mnie rozpoznajesz?

— A czy ktoś mógłby nie rozpoznać swojej własnej żony? — zapytał łagodnie.

— Żony! — wyrwało się jej z ust jedno płochliwe słowo.

Z narastającym przerażeniem rozważała sytuację, w której się znalazła. Jeśli mężczyzna mówił prawdę, była związana małżeństwem z całkowicie obcym sobie człowiekiem. Podniosła drżące dłonie, zasłoniła twarz, zacisnęła powieki, nie chcąc widzieć rosłej postaci w białej jedwabnej koszuli.

— Nawet cię nie znam!

— Pozwolisz, zatem, że się przedstawię? — Ta wypowiedziana z lekką ironią propozycja, o dziwo, zjednała ją; podniosła wzrok. — Ashton przez chwilę wpatrywał się w jej przepastne oczy, po czym skłonił lekko głowę. — Ashton Wingate, do usług, milady. A to... — Wskazał dłonią na dwie stare damy — moja babka, Amanda Wingate, i jej siostra, Jennifer Tate. To zaś nasza ochmistrzyni, Willabelle. Ciotka Jenny i Willabelle — ciągnął po ważniejszym już tonem — chętnie poręczą, jak uczyniła to już przed chwilą babka, że ja to ja. Powiedzą ci też, że wiedziały o moim ślubie z Lierin Somerton. Pobraliśmy się trzy lata temu. Rozumiała coraz mniej. Opowieść mężczyzny wydawała się jej pełna niekonsekwencji.

— Skoro byliśmy małżeństwem przez trzy lata, a twoje krewne mieszkają w tym samym domu... dlaczego nie mogą mnie rozpoznać?

— To proste. Nigdy nie miały okazji cię poznać.

Uniosła lekko brew, czekając na dalszy ciąg relacji. Zastana wiała się, co też za grę prowadzi z nią ten człowiek. Był w końcu jedyną osobą, która utrzymywała, że potrafi ją zidentyfikować.

Ashton wyczuwał jej sceptycyzm i chciał rozproszyć wszelkie obawy. Nie rozumiał do końca, w jakim znajduje się stanie, ale wiedział z całą pewnością, że to ta sama kobieta, którą niegdyś pokochał i poślubił.

— Płynęliśmy do domu, gdy nasz parostatek został zaatakowany przez piratów. W czasie walk wypadłaś za burtę, mnie postrzelono. Moi ludzie uświadomili sobie, że zniknęłaś, dopiero, kiedy odzyskałem przytomność. Ponad tydzień przeszukiwali rzekę i brzegi, ale nie natrafili na żaden ślad. Uznaliśmy, że utonęłaś.

— I powiadasz, że przez trzy lata trwałeś w tym przekonaniu? - Zapytała.

— Tak, aż do wczorajszego wieczora.

Nie chciała się upierać, ale mogły być przecież inne wyjaśnienia.

— Być może twoja żona rzeczywiście umarła, sir, a ja tylko jestem do niej bardzo podobna. Trzy lata to długi okres, przez ten czas można zapomnieć, jak ktoś wygląda.

— Ashton, mój drogi, pokaż jej portret Lierin — podsunęła ciotka Jennifer. — Być może wtedy się przekona do twoich słów.

Ashton wziął obraz ze stołu i podsunął kobiecie tak, by przyjrzała się wizerunkowi.

— Ja tak wyglądam? — Zapytała tonem, w którym zdumienie mieszało się z rozbawieniem.

— Drogie dziecko! — Zawołała ciotka Jennifer. — Chcesz po wiedzieć, że nie znasz swoich własnych rysów? — Sięgnęła po małe lustro leżące na toalecie i podała dziewczynie. — Spójrz, proszę — rzekła z uśmiechem. — Jak widzisz, jesteś trochę posiniaczona po wypadku, ale i tak śliczna.

Chora wpatrywała się w lustro, ale zamiast swojego odbicia widziała tam twarz obcej kobiety: delikatny owal bladej twarzy, burzę kasztanowych, połyskujących złotymi refleksami potarganych włosów. Pociemniałe, błyszczące, rozszerzone zdumieniem oczy wodziły od lustra do konterfektu. Portret stanowił niezbity dowód, że znajdowała się wśród ludzi, którzy znali ją przed wypadkiem. Tu i tu widziała te same zielone oczy, wąski nos, ten sam zarys ust. Owszem, podobieństwo między twarzą w lustrze a podobizną nie było doskonałe, stanowiło jednak wystarczającą podstawę dla argumentów wysuwanych przez mężczyznę.

— To wszystko dzieje się zbyt szybko — szepnęła z nutą słabej skargi w głosie i opadła na poduszki. Ogarnęło ją ogromne znużenie.

— Odpocznij, moja droga — namawiał doktor Page. — Jesteś tu bezpieczna, będziemy się tobą opiekować.

Poczuła zimny kompres na czole i usłyszała, że doktor Page wstaje z krzesła.

— Mam nadzieję, że poczęstujesz mnie śniadaniem, Amando. — Kobiety ruszyły za nim do wyjścia. W progu zatrzymał się jeszcze i spojrzał na Ashtona. Widząc jego zafrasowaną minę, nie miał serca nakłaniać przyjaciela do wyjścia z pokoju. — Nie siedź tu zbyt długo, Ashtonie — rzucił jeszcze na odchodnym.

Drzwi się zamknęły, zapadła cisza, a dwoje pozostałych w pokoju spoglądało na siebie bez słowa. Na twarzy kobiety, tej twarzy, która od lat nawiedzała w snach Ashtona, malowała się niepewność. Tęsknił za nią tak długo, że teraz miał ochotę za mknąć ją w objęciach, przytulić mocno do siebie, okryć pocałunkami. Hamując się, podszedł do łóżka, nachylił się i ujął delikatną dłoń.

— Moja najdroższa Lierin. Będę czekał i modlił się całym sercem, żebyś wróciła do zdrowia. Wiem, że to ciebie niegdyś po kochałem. Jeśli Bóg łaskaw, ty też wkrótce to sobie przypomnisz.

Powoli, jakby bała się go zdenerwować, cofnęła dłoń i podciągnęła kołdrę pod samą brodę.

— Nazywasz mnie Lierin, ale to imię nic mi nie mówi, nie budzi żadnych wspomnień. Nic nie pamiętam, moja pamięć nie sięga poza tych kilka ostatnich chwil, kiedy wróciła mi przytomność. Muszę pomyśleć... — Zmarszczyła ładnie zarysowane brwi. — Nie wiem, o czym myśleć. Jestem zmęczona... boli mnie głowa. Doktor powiedział, że powinnam odpocząć... chciałabym odpocząć. — Dotknęła lekko dłoni mężczyzny i uśmiechnęła się blado. — Nie znam cię, Ashtonie. Być może to jest mój dom. — Rozejrzała się wokół niepewnie. — Być może mówisz prawdę. W tym stanie nie mam sił sprzeczać się z tobą. Jeśli chcesz, możesz mówić do mnie Lierin... do czasu, kiedy przypomnę sobie, kim jestem. — Przymknęła powieki, postać mężczyzny zaczęła się rozplýwać, rozróżniła jeszcze tylko jego twarz. — Chciałabym teraz odpocząć, Ashtonie.

Chwilę jeszcze patrzył na ukochaną twarz, za którą tak tęsknił przez ostatnie lata, w końcu nachylił się, złożył na ustach chorej delikatny jak muśnięcie powietrza pocałunek, po czym

ruszył ku drzwiom. Nie widział już, że zielone oczy otworzyły się i od prowadziły go do wyjścia. Stał na korytarzu, przy ścianie, wsparł czoło na przedramieniu i tak trwał przez chwilę, usiłując uspokoić walące jak młotem serce. Kiedy zaczął na powrót od dychać spokojnie, zszedł powoli do jadalni, gdzie przy stole czekała już reszta domowników.

Babka podniosła wzrok na powitanie wnuka, odczekała, aż zajmie należne panu domu miejsce u szczytu stołu, i dopiero wtedy poruszyła nurtującą ją kwestię:

— Widziałam portret na własne oczy i muszę przyznać, że masz powody, by utrzymywać, że znaleziona wczoraj dziewczyna to Lierin. Chciałabym jednak wiedzieć, czy możesz to stwierdzić z całą pewnością, bez żadnych wątpliwości?

— Nie mam najmniejszych wątpliwości — odparł z westchnieniem. — Kiedy patrzę na nią, widzę Lierin.

— Co wiesz o siostrze Lierin, mój drogi? — chciała wiedzieć ciotka Jennifer.

Ashton wziął z półmiska, który podał mu właśnie Willis, plasterek szynki i dopiero teraz odpowiedział na pytanie Jenny:

— Lenora prawdopodobnie mieszka na plantacji na Karaibach. Kiedy poznałem Lierin, zamierzała wyjść za mąż. Nie potrafię powiedzieć z całą pewnością, co się z nią dzieje. Od chwili, gdy wróciła do Anglii razem z ojcem, nie miałem od nich żadnych wiadomości.

Amanda upiła łyk kawy.

— Wiesz doskonale, że twoje nieoczekiwane małżeństwo przysporzyło nam swego czasu zgryzoty. Dla Roberta Somertona mu siał to być jeszcze większy wstrząs; równocześnie dowiedział się o ślubie ukochanej córki i jej tragicznej śmierci.

— Chcieliśmy go prosić o wybaczenie, grand mere, ale zanim cokolwiek mogliśmy zrobić, zdarzyło się nieszczęście — tłumaczył Ashton.

— Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia, Ashtonie: śmierć Lierin. Dlaczego musiało upłynąć tyle czasu? Czemu nie próbowała cię odszukać? Gdzie się podziewała przez te wszystkie lata?

— Marelda zadała mi to samo pytanie.

— Sam widzisz, że należy to wyjaśnić — odparła babka. — Czyżby już wcześniej cierpiała na amnezję? Dlatego nie odezwała się do ciebie? — Zwróciła się do doktora Page, szukając u niego odpowiedzi: — Co ty o tym myślisz, Franklinie?

— Jest wiele wątpliwości. — Starszy pan wrzucił kostkę cukru do swojej filiżanki i odchrząknął, jakby był zażenowany tym, co za chwilę miał powiedzieć.

— Jak wszyscy dobrze wiecie, spłonął zakład dla obłąkanych, ale nie dotarła do was zapewne wiadomość, że policja dotąd nie znalazła kilku zbiegłych w czasie pożaru pensjonariuszy.

Ashton podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na doktora.

— Latham wspomniał coś na ten temat wczoraj wieczorem. Co to może mieć wspólnego z Lierin?

Doktor wsparł łokcie na krawędzi stołu, złożył dłonie niby do modlitwy. Wiedział, jak bardzo Ashton opłakiwał śmierć młodziutkiej żony, miał tedy nadzieję, że potrafi wyrazić swoją myśl, nie wzbudzając gwałtownej reakcji z jego strony.

— Jeśli zastanowić się nad okolicznościami wypadku... Zważ na to, Ashtonie, że doszło do niego w pobliżu zakładu i że Lierin była w samej pelerynie i koszuli nocnej. Być może jest jedną z pacjentek...

— Chcesz powiedzieć, że moja żona jest obłąkana? — zapytał Ashton cierpko.

Wobec zaciętego uporu gospodarza Franklina ogarniała coraz większa bezradność.

— Kto wie, co się zdarzyło trzy lata temu, Ashtonie? Lierin mogła doznać ciężkiego szoku. — Doktor widział, że Ashtonowi zaczynają chodzić zuchwy, wiedział, że wkracza na niebezpieczny grunt, ale, mimo wszystko, zebrawszy całą odwagę, ciągnął: — Posłuchaj mnie, Ashtonie. Ludzie czasami trafiają do zakładu dla obłąkanych z byle powodu, niekiedy w ogóle nie powinni tam przebywać. Zamknąć kogoś w tego rodzaju miejscu to tak, jakby pogrzebać go żywcem. Można tam gnić latami i krewni nigdy się o tym nie dowiedzą.

W korytarzu dał się słyszeć stuk obcasów. Ashton podniósł dłoń, nakazując doktorowi milczenie.

— To Marelda. Nie chcę, żeby słyszała, o czym rozmawiamy.

— Nie musisz się obawiać, Ashtonie — zapewnił go doktor Page. — Byłem przy jej porodzie, odbierałem ją. Znam dobrze tę dziewczynę i wiem, że czasami trzeba być z nią ostrożnym.

— A więc się rozumiemy — podsumował Ashton.

Do pokoju z szelestem jedwabi wkroczyła ciemnowłosa dziewczyna. Zatrzymała się w progu, by zebrani przy stole mogli podziwiać jej toaletę. Kiedy już się upewniła, że jej wejście wywołało odpowiedni efekt, podeszła do stołu, cmoknęła obydwie stare damy w policzek, przywitała uśmiechem gospodarza domu i, uczyniwszy zadość ceremoniom, zajęła miejsce po jego prawej ręce.

— Jak się dziś miewasz, Ashtonie? — zagadnęła i, nie czekając na jego odpowiedź, mówiła dalej: — Wnosząc z obecności doktora Page, domyślam się, że byliście na górze u tajemniczej nieznanym. — Tu zwróciła się do starszego pana: — Jak się czuje pacjentka, doktorze? Odzyskała już przytomność?

Doktor chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Przeżyła wstrząs — odparł wreszcie ostrożnie.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — zauważyła Marelda ze starannie odmierzoną sarkazmem.

— Czas pokaże.

Nie usatysfakcjonowana tymi skąpyimi informacjami dziewczyna powiodła wzrokiem po współbiesiadnikach, zawieszając spojrzenie na twarzach obu sióstr.

Ciotka Jennifer, skonsternowana przedłużającym się milczeniem, zaczęła wyjaśniać:

— Franklin chce powiedzieć, że Lierin ma pewne kłopoty z pamięcią. Może trochę potrwać, zanim przypomni sobie, kim jest.

W oczach Mareldy pojawił się pełen bezwzględności chłód.

— Lierin? — Uśmiechnęła się z przekąsem. — Domyślam się, że starczyło jej pamięci, by podawać się za żonę Ashtona, o wszystkim innym natomiast jakoś dziwnym trafem zapomniała. — Ignorując cierpki komentarz Mareldy, Ashton skinął na Willisa. Dopiero, kiedy ten ponownie napełnił mu filiżankę aromatyczną, gorącą kawą, zwrócił się do swojej sąsiadki:

— Nie pamięta nawet tego — stwierdził krótko. — Ja musiałem jej powiedzieć, jak ma na imię.

Kąsana przez zielonego potwora zazdrości Marelda nie panowała już nad językiem.

— Chcesz powiedzieć, że nie pamięta swojego imienia? Nigdy jeszcze nie słyszałam o czymś podobnym.

Na twarzy Amandy pojawił się łagodny, wyrozumiały uśmiech.

— Nie masz się czego wstydić, Mareldo. Franklin w całej swojej praktyce nie miał pacjenta z podobnymi objawami.

— Bo też to zupełnie niebywałe, żeby człowiek mógł zapomnieć, kim jest.

— Bywałe, bywałe, droga Mareldo — wtrącił doktor Page. — W medycynie mamy nawet nazwę na taką przypadłość. Amnezja nie zdarza się zbyt często, niemniej istnieje i jest r chorobą.

— Skąd ta pewność, doktorze, że ona cierpi akurat na tę... amnezję? — Nie dawała za wygraną Marelda. — Przecież może udawać.

W odpowiedzi stary doktor wzruszył nieznacznie ramionami.

— Niczego nie jestem pewien, ale nie widzę powodów, dla których Lierin miałyby nas oszukiwać.

— I nigdy ich pan nie pozna, jeśli dziewczyna będzie dość sprytna. — Widząc nasrożoną minę Ashtona i bojąc się jego irytacji, Marelda natychmiast przyjęła odmienną taktykę. — Z drugiej strony, jej stan świadczy, że nie musi wcale udawać.

Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości — przytaknął doktor Page, położył dłonie płasko na blacie stołu i skłonił głowę przed dwoma starymi damami. — Proszę o wybaczenie, ale dopiero teraz, po sutym śniadaniu, czuję, jak jestem zmęczony. Prawie nie spałem ostatniej nocy i pewnie sen zmorzy mnie w kolasce, zanim zdążę dojechać do domu. — Podniósł się przy tych słowach. — Zajrzę później, by sprawdzić, jak się miewa Lierin. Pilnujcie, by dużo spała i jadła. To jedyna rada, jakiej mogę udzielić w tej chwili.

Ashton też wstał z krzesła.

— Zastanowię się nad sprawą, o której rozmawialiśmy. Muszę jechać do Natchez w interesach, przy okazji mogę rozpytać ludzi, ale nie widzę w tym wielkiego sensu.

— Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze — odparł doktor ciepło.

Mareldę ubodło do żywego, że Ashton nie uważał za stosowne poinformować jej o swoich planach. Nie mogła powstrzymać się od drobnej złościwości:

— Zostawisz swój bezcenny kwiatusek?

Ashton skwitował jej pytanie na wpół ironicznym uśmiechem.

— Byłem pewien, moja droga Mareldo, że będziesz się zupełnie dobrze bawiła w Belle Chante pod moją nieobecność, ale skoro nalegasz...

Marelda natychmiast zareagowała na kpinę:

— Miałam na myśli tę... osobę, która leży na górze, drogi Ashtonie — sprostowała wyniosłym tonem.

— Wybacz, Mareldo. — Ashton skłonił się przed nią sztywno i wyszedł z pokoju razem z doktorem Page'em.

— Ashton chyba stracił rozum — westchnęła Marelda, kiedy panowie zniknęli, i zwiesiła smętnie głowę nad talerzem.

— Jak to, moja droga, stracił rozum? — Zagadnęła ciotka Jennifer nieco zbity z tropu.

Marelda machnęła dłonią, wskazując na sufit.

— Sprowadza do domu jakąś włóczęgę — wyjaśniła, po czym, niezrażona oburzonymi minami starych dam, przedstawiała swój punkt widzenia napastliwym tonem: — Daje jej najlepszy pokój, traktuje jak księżniczkę. I w dodatku wmawia wszystkim, że to jego odnaleziona po latach żona — dokończyła prawie z krzykiem, tracąc panowanie nad sobą.

Ciotka Jennifer uznała, że musi się wstawić za krewniakiem.

— Wiesz doskonale, moja droga, że Ashton nie twierdziłby, że odzyskał żonę, gdyby nie był o tym całkowicie przekonany.

— A ja powiadam, że to oszustka, która tylko jest podobna do jego żony — prychnęła wściekła Marelda.

— Niech będzie, kim chce, ale miała ciężki wypadek i powinna odpocząć przez kilka dni — mitygowała rozeźloną dziewczynę Amanda.

Marelda dramatycznym gestem wzniosła ręce, jakby brała za świadka swoich nieszczęść jakąś siłę nadprzyrodzoną.

— Och, losie przewrotny, czemu mnie tak okrutnie doświadczasz, czemu prześladujesz? Czy nie dość, że raz zostałam poniżona, poniżyć mnie chcesz po dwakroć, po trzykroć? Ile jeszcze muszę ścierpieć bolesnych ciosów? — Głos się jej załamał, słowa uwięzły w gardle, zamknęła oczy, głowę zwiesiła i wsparła na dłoniach. Nie widziała ani pełnej niesmaku miny Jennifer, ani bezgłośnych oklasków Amandy.

— Mareldo, moja droga, myślałaś, kiedy o karierze aktorskiej? — Zapytała. — Masz ogromny dar ekspresji.

Urażona Marelda odęła wargi.

— Widzę, że jestem jedyną osobą, której nie omotała ta mała włóczęga.

W oczach Amandy pojawiło się zniecierpliwienie. Zacisnęła dłoń na serwetce i przytknęła ją gniewnym gestem do ust.

— Bardzo cię proszę, nie używaj takich epitetów wobec tej biednej dziewczyny. Nie pozwolę, żebyś obrażała żonę mojego wnuka. Znasz mnie i wiesz doskonale, że lojalność wobec rodziny przedkładam nad wszystko, nawet nad przyjaźń, jaką mam dla ciebie.

Marelda pojęła wreszcie, że jeśli dalej będzie próbowała naprawić niesprawiedliwość, na którą pozostali byli najwyraźniej ślepi, straci w Amandzie cenną poplecniczkę. Na to była zbyt sprytna. Wsparła czoło na dłoni i załkała cicho.

— Nie mogę pogodzić się z myślą, że ponownie stracę Ashtona. To ze strachu zaczynam mówić głupstwa.

Amanda przytaknęła jej w duchu i, w obawie przed następnym popisem scenicznym, uznała, że lepiej zmienić temat.

Kobieta, którą nazwano Lierin, uniosła dłonie i przyglądała się uważnie szczupłym palcom. Na serdecznym palcu lewej ręki tkwiła cienka złota obrączka, znak, że jest mężatką. Być może, tego nie potrafiła powiedzieć, dlaczego jednak przyjęła słowa mężczyzny za dobrą monetę, skoro nie czuła, by byli ze sobą powiązani.

Zasłony w oknach nadal były zaciągnięte, spowity w mroku, pozbawiony porannego światła pokój wydawał się zimny i nie przyjazny. Nagle zatęskniła za słońcem, chciała poczuć jego

ciepłe promienie na skórze, kąpać się w jego blasku, zmyć z siebie wszystkie lęki i niepokoje. Przesunęła się ostrożnie ku krawędzi łóżka. Całe ciało przeszył dojmujący ból, zacisnęła zęby i wykonała kolejny ruch. Powoli uniosła się, usiadła i wyczerpana odczekała chwilę, dopóki nie ustało pulsujące, tępe dudnienie w skroniach. Wreszcie, opierając się o filar baldachimu, stanęła na chwiejnych nogach. Pokój zawirował jej przed oczami. Kiedy zawroty głowy ustały, powłócząc nogami, zaczęła posuwać się wzdłuż łóżka. Raz jeszcze wsparła się o filar, kilka razy ode tchnęła głęboko, zebrała siły i, pozostawiając bezpieczne oparcie, krok po kroku, na uginających się w kolanach nogach, ruszyła ku oknu.

Dotarłszy do celu, odsunęła zasłony i zakryła oczy oślepienie wpadającymi przez kryształowe szyby promieniami. Słońce przywitało ją jak serdeczny przyjaciel. Czuła przenikające przez skórę, wnikające głęboko ciepło, rozpraszające lęki. Oparła czoło o framugę i błędziła wzrokiem po roztaczającej się za oknem rozległej połaci gładko przystrzyżonego trawnika, który otaczały ogołocone o tej porze roku z liści drzewa. Starannie utrzymane krzewy, wysprzątane ceglane ścieżki wijące się wśród zieleni, obrośnięta pnączami altana — idealne schronienie dla kochanków, zadbane klomby, wszystko to świadczyło o trosce, jaką poświęcano ogrodu.

Lierin odwróciła się po dłuższej chwili od okna i, wspierając dłoń o zagłówek krzesła, chciała ruszyć z powrotem do łóżka. Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Przestraszona, gwałtownie odwróciła głowę i syknęła z bólu. Zapomniała o swoim stanie i przyszło jej za to drogo zapłacić. Zacisnęła dłoń na oparciu krzesła, drugą zasłoniła oczy. Rozrywający czaszkę ból wreszcie ustąpił, znowu mogła myśleć w miarę trzeźwo. Otworzyła oczy i ujrzała swoje odbicie w dużym lustrze. Wiedziona ciekawością, ruszyła w stronę trena. Wyczerpana, nie była w stanie zbliżyć się za bardzo, spoglądała, więc na siebie z pewnej odległości, licząc, że może odbicie jej postaci przywróci bodaj okrucieństwa wspomnień tyczących jej osoby. Nie była zbyt zbudowana tym, co zobaczyła. Prawdę mówiąc, wyglądała równie źle, jak się czuła. Błada twarz, siniak na policzku, drugi na czole, rozczochrane włosy, oczy rozszerzone przerażeniem — istny wizerunek żalostnej przybłądy.

Spoglądała tak na siebie z niechęcią, gdy nagle zaczęły na pływać jej do głowy słowa pochodzące z obcych języków, nic jednak nie potrafiła powiedzieć o ich pochodzeniu. Uświadomiła sobie, że wie, jak nakryć do stołu, zna zastosowanie poszczególnych sztuczków, poprawne maniery, skomplikowane kroki rozmaitych tańców, ale skąd czerpała całą tę wiedzę?

— Lierin Wingate? — Szepnęła do siebie. — Naprawdę jestem tobą?

Umysł nie udzielił jej żadnej odpowiedzi na to pytanie, tym bardziej, że na korytarzu rozległy się czyjeś kroki, których odgłos położył kres męczącemu ją dylematom. Słyszając delikatne pukanie, rozejrzała się niespokojnie po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Nie miała zamiaru przyjmować wizyt, stojąc na środku sypialni w samej koszuli nocnej. Chciała odpowiedzieć na pukanie, ale ze ściśniętego gardła wydobyło się jedynie ciche chrypienie, które w żadnym razie nie mogło powstrzymać intruza. Drzwi się otworzyły, a ona się zachwiała, pokój zatańczył przed oczami, zdążyła jeszcze zobaczyć zdumioną minę Ashtona, kiedy zaczęła się osuwać w mroczną otchłań, i w tej samej chwili poczuła, że chwytają ją silne ramiona i przygarniają do szerokiej piersi. Skonfundowana taką bliskością próbowała się uwolnić z objęć, ale on trzymał ją w żelaznym uścisku. Zaczęła się go bać. Podejrzewała, że to nie ona straciła zmysły, lecz on. Czyżby chciał ją napastować pod nosem swoich krewnych?

Odepchnęła go jedną ręką, drugą zacisnęła w kulak i próbowała bezskutecznie okładać napastnika.

— Nie, proszę! Nie pozwolę!

Śmieszny był to opór. Poczula raptem, że traci grunt pod nogami i mężczyzna unosi ją niczym piórko. Jak przez mgłę, spod przymkniętych powiek dojrzała łóżko, miejsce gwałtu, który miał się za chwilę dokonać. Kiedy złożył ją w pościeli, zamknęła mocno oczy, palce zacisnęła kurczowo na kołdrze.

— Jeśli mnie posiądziesz, to wiedz, że stanie się tak tylko dlatego, żeś dziesięć razy ode mnie silniejszy. Po dobroci nigdy ci nie ulegnę, potworze!

Usłyszała, jak z oddali, cichy chichot i poczuła, że chłodna dłoń odgarnia jej włosy z czoła. Uniosła wreszcie powieki i zobaczyła nad sobą wesole brązowe oczy. Z uśmiechem przysiadł obok niej na skraju łóżka.

— Najdroższa Lierin, o niczym innym nie marzę, jak o tym, żeby pewnego dnia zakosztować pospołu z pucharu rozkoszy. Kiedy do tego dojdzie, to nie dlatego, żebym miał cię posiąść siłą. A na razie nalegam, madame, abys bardziej o siebie dbała. Siły ci jeszcze nie wróciły i jeśli będziesz robiła wycieczki po pokoju, przedłużysz tylko niepotrzebnie swoją rekonwalescencję.

Pojąwszy wreszcie, że nie ma się, czego obawiać, odetchnęła z ulgą. Ashton spoglądał na jej bledziutką twarz, sińce pod oczami i ściągnięte rysy, znak, że ciągle odczuwa ból. Zamoczył ręcznik w misce i położył na czole Lierin. Kompres przyniósł jej ulgę, przez chwilę rozkoszowała się miłym chłodem, gdy nagle błysnęła jej jakaś myśl. Otworzyła oczy i dojrzała pełne miłości i czułości spojrzenie, na które żadna kobieta nie mogłaby pozostać obojętna.

— Powiedziałaś przed chwilą, kiedy do tego dojdzie, a chciałaś chyba powiedzieć: j e s li do tego dojdzie, czy tak?

Zdjął kompres i wyraźnie zwlekając z odpowiedzią, przesunął powoli palcem po jej policzku i brodzie. Nachylił się nad nią i choć zaczął lekkim tonem, na jego twarzy malowała się powaga.

— Droga madame, ja się nie przejęzyczam. Zwykle udaje mi się powiedzieć to, co zamierzyłem.

Zaczerwieniła się gwałtownie, odwróciła wzrok, uciekając od jego spojrzenia i podjęła mężną próbę przestawienia rozmowy na inne tory.

— To ty przywiozłeś mnie tutaj?

Skinął głową.

— Złożyłem cię w tym łóżku tak samo, jak to uczyniłem przed chwilą.

Cały czas usiłowała umykać gdzieś na boki ze wzrokiem.

— Co miałam wtedy na sobie? — Niezgrabnie zatoczyła ręką wokół. — Nie widzę tu żadnych ubrań.

— Twoja szatka była porwana i zabłocona, więc kazałem ją wyprać, zreperować i odłożyć na wypadek, gdybyś jej kiedyś potrzebowała.

Zapominając o siniaku, uniosła brwi, które utworzyły cienką linię, i zaraz skrzywiła się z bólu.

— Szatka?

W odpowiedzi pociągnął delikatnie za rękaw jej flanelowej koszuli.

— Koszula nocna? — Zdumienie odebrało Lierin głos. — Jak ta, którą teraz mam na sobie? Pokręcił powoli głową i uśmiechnął się lekko.

— Bardziej... jakby to powiedzieć... kobieca..., zalotna..., frywolna..., jak na noc poślubną. Na czole Lierin pojawiła się zmarszczka.

— Jak na noc poślubną?

Ashton z wyraźną przyjemnością począł opisywać nocny strój:

— Bardzo zwiewna. Bez rękawów. Głęboko wycięta tutaj... i jeszcze tu...

W miarę jak Lierin wodziła wzrokiem za wskazującym palcem Ashtona, jej twarz pąsowiła coraz bardziej. Nie dotknął jej, co prawda, ale tego, co mówił i jak na nią patrzył, dość było, żeby zaparło jej dech w piersiach.

— Tu przybrana koronką... i jeszcze tutaj, dołem i po bokach.

Zaczęła mówić, ale musiała przerwać, by odchrząknąć.

— I... wykąpałeś mnie?

Odszedł od łóżka, przez chwilę wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w przestrzeń, po czym oznajmił z cicha pęk:

— Niestety, Willabelle kazała mi wyjść z pokoju, zanim przy stąpiła do twojej toalety.

Lierin odetchnęła z ulgą, rada, że udało się jej zachować, chociaż resztki godności.

— Wyjeżdżam na kilka godzin — rzucił przez ramię, podchodząc do kominka. — Willabelle będzie cię doglądać pod moją nieobecność. — Wyjął pogrzebacz ze stojaka i przesunął pola na w kominku. — Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do niej.

Lierin poczuła, że w piersiach rośnie jej gula nieoczekiwanego, dławiącego strachu. Przed oczami zaczęły się przesuwać koszmarne obrazy, gdzieś z mrocznych otchłani pamięci wyłoniła się czyjaś twarz, zastygła w grymasie niemego krzyku.

Słyszac stłumiony szloch, Ashton odwrócił się zaskoczony i napotkał rozszerzone przerażeniem, nieprzytomne oczy żony.

— Lierin? — Postąpił krok ku niej, ale potrzęsnęła histerycznie głową, niezdolna uwolnić się od zjawy.

— Idź stąd — zawołała. — Proszę!

— Co się stało...? Lierin. — Kompletnie zbity z tropu chciał do niej podejść, ale zatrzymał się, widząc, jak kuli się na łóżku.

— Idź stąd! Zostaw mnie samą! — Zaszlochała. — Proszę cię... idź już...

— Dobrze, uspokój się, wychodzę. — Wstawił pogrzebacz do stojaka, a wyczerpana Lierin opadła na poduszki. Nie mógł zrozumieć tych gwałtownych zmian nastrojów żony, nie umiał ich wyjaśnić. Z ciężkim westchnieniem zamknął za sobą drzwi od różowego pokoju. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że serce tłucze mu się w piersi jak oszalałe, a na czoło występują zimne krople potu.

Po południu, kiedy panie odpoczywały w swoich pokojach, a w domu zapadła senna cisza, Marelda miała wreszcie czas, by zastanowić się nad swoją sytuacją. Otwarty, oprawny w skórę tomik wierszy, który leżał porzucony na komodzie, nie podsunął jej żadnych rozwiązań. Była zdana wyłącznie na siebie, bo w tym stanie ducha, w jakim się obecnie znajdowała, lektura miłosnych wierszy była niczym traktowanie kwiatów przez rozjuszoną

myśl. Otuliwszy się szelnie szalem, krążyła niespokojnie po pokoju. Zatrzymała się obok komódki, chwyciła książkę, przerzuciła kilka kartek, prześlizgnęła się wzrokiem po pojedynczych strofach, po czym gniewnie odrzuciła nieszczęsny tomik, który z cichym plaśnięciem wylądował w odległym kącie.

— Atu, coś je w zanadru z taką pieczę chował, kładź teraz na dumną kier królową — prychnęła ze wzgardą. — Czcze banialuki plotą nam poeci. — Ponownie przemierzyła pokój. — Nazbyt wiele ufności pokładałam w zwodniczych męskich umizgach i miłosnych westchnieniach. Co brałam za kwiecie, chwastem się okazuje. — Jej twarz stężała w maskę nienawiści. — Ta mała przybłęda, ta komediantka, co tak udatnie gra niewiniątko, oma miła mojego Ashtona. Uwierzył, że odnalazł żonę! Gdybym ja potrafiła tak go omotać, gdyby we mnie widział swoją jedyną miłość!

Przystanęła i spojrzała w ogień z cichym trzaskiem trawiący dopalające się polana. Gasnące płomienie zdawały się symbolem jej własnych nadziei, niegdyś przecież niepłonnych, teraz już szczętych.

— Niech to piekło pochłonie! — Znowu zaczęła krążyć po pokoju. — Ta ladacznica gotowa dopiąć swego... chyba... chyba że dowiodę im, jak fałszywe są jej roszczenia. Że też ta mała szelma tak szybko i sprytnie zdołała omotać Ashtona! Czyżby znała Lierin i planowała to od chwili jej śmierci?

Zagryzając wargi, spojrzała na drzwi swojego pokoju. W drugim końcu korytarza znajdowała się sypialnia, w której leżała najda.

Jeśli pójdę do niej teraz... Oczy zaiskrzyły się jej na tę myśl. Nie mam nic do stracenia, być może to moja jedyna szansa.

Marelda otworzyła drzwi i nasłuchiwała przez chwilę. W do mu panowała cisza, tylko z kuchni dochodziły dalekie odgłosy krzątania. Wymknęła się ze swojej sypialni i spieszonym krokiem przemierzyła korytarz. Gdy stanęła na progu pokoju gościnnego, z krzesła pod oknem podniosła się Luella May.

— Co tu robisz? — natarła na nią Marelda.

Speszona gniewnym tonem jaśnie panienci dziewczyna zamruwała kilka razy, zanim zdobyła się na odpowiedź:

— Pan Ashton... zanim wyjechał, przykazał mi siedzieć z panią Lierin... by się czego nie wystraszyła albo co...

— Ja z nią teraz zostanę — mówiąc to, Marelda wskazała dziewczynie głową drzwi. — Idź, przygotuj coś do picia, zadzwonię po ciebie, jak będziesz potrzebna. A teraz zamknij za sobą drzwi — poleciła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Marelda rozsiadła się wygodnie na krześle, wsparła brodę na dłoni i wpiła wzrok w swoją przeciwniczkę: spała spokojnie, a wyglądała tak niewinnie, jakby i przez sen motała niecne intrygi. A gdyby tak teraz przydusić ją poduszką i przytrzymać, żeby już nigdy się nie obudziła? — pomyślała zawiedziona w swych miłosnych nadziejach dama, ale czym prędzej myśl tę, zgoła jako szaloną, od siebie odegnęła. Ale, ale... nikt by się przecież nie dowiedział. A choćby to była naprawdę Lierin, tym lepiej: pozbyłaby się zawady raz na zawsze.

— Raz na zawsze... — westchnęła rozmarzona.

Zegar na kominku zaczął wybijać godzinę, miękkie tony przedzierały się do świadomości Lierin, przypominając jej, że jest nikim i nie ma swojego miejsca na świecie. Uniósłszy dłoń do czoła, delikatnie dotknęła bolesnej opuchlizny, jakby w nie mej prośbie o kolejny

kompres. Pamiętała, że na szafce obok łóżka stoi dzban z wodą; wsparła się na łokciu, szukając wzrokiem ręcznika.

— Wreszcie się przebudziłaś, czas najwyższy — zabrzmiał po-śród ciszy ostry głos Mareldy.
— Widać, żeś nienawykła do regularnego życia.

Przestraszona Lierin uniosła się nieco i poczuła przeszywający ból w skroniach. Kiedy trochę zelżał, ostrożnie otworzyła oczy i spojrzała na obcą kobietę.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie, madame.

— Bardzo wątpię — sarknęła Marelda.

Tymczasem Lierin była rzeczywiście zakłopotana, zbita z tropu. Nie przypominała sobie siedzącej przy łóżku kobiety i nie potrafiła odgadnąć powodów okazywanej przez tamtą wrogości.

— Obawiam się, że nie rozumiem. Kim jesteś i czego chcesz ode mnie?

— Jestem Marelda Rouse i chcę, żebyś powiedziała wszystkim, kim ty jesteś i co cię tu sprowadziło.

Lierin, walcząc z bólem, ledwie chwyciła sens słów Mareldy.

— Nie wiem, madame, jakie noszę imię i choćby od tego za leżało moje życie, nie powiem ci, jak tutaj trafiłam.

Marelda zaśmiała się lodowato i przemówiła tonem, który ciął niby ostrze noża:

— Moja droga... jakkolwiek cię zwali..., twoja gra przekonała znękanego nieszczęściem człowieka, żeś jest jego żoną... kiedy naprawdę Lierin Wingate od trzech lat już nie żyje.

— Moja gra? — Szmaragdowe oczy otworzyły się szeroko w zdumieniu i zaraz zamknęły. Lierin bez sił opadła na poduszki.

— Och, madame — westchnęła. — Jeżeli to gra, niechby był to akt ostatni i oby czym prędzej zapadła kurtyna nad tą maskaradą. Takem już znużona i otumaniona, że sen jest moją jedyną ucieczką.

— Oczywiście nikt z rodziny nie próbował obudzić cię z niego trzeźwymi pytaniami? — Zagadnęła Marelda z przekąsem.

Zielone oczy otworzyły się ponownie, pociemniały nieco, a py tające i zafrasowane spojrzenie spoczęło na dziwnej nieznałej.

— Naprawdę myślisz, żeś sobie z rozmysłem nabiła siniaki i skierowała mojego wierzchowca prosto na pędzący powóz?

— Znam wiele takich, które byłyby gotowe to uczynić, żeby zyskać, co ty zyskać się starasz — stwierdziła Marelda i spojrzała na swoje starannie utrzymane paznokcie. — Niby rozum ci się pomieszał, ale jak przyprzeć cię do muru, toś aż nadto bystra.

Lierin poruszyła się niespokojnie. Coraz bardziej zgnębiona, na próżno szukała sensu tej zagadkowej rozmowy.

— Nie wiem, czemu na mnie napadasz z taką nienawiścią. Przysiąc nie mogę, ale nie pamiętam, żebym kiedyś cię spotkała i nie chowam do ciebie złości ni urazy.

Marelda, nie mogąc znieść widoku pięknej, acz posiniaczonej twarzy, wstała i podeszła do okna.

— Nie chowasz do mnie urazy, powiadasz? — zapytała z ironią w głosie. — Jeśli rzeczywiście jesteś tą, za którą się podajesz...

Lierin czuła narastające zmęczenie.

— To nie ja, lecz ów Ashton tak twierdzi. Ja nic na pewno powiedzieć nie umiem...

Marelda odwróciła się raptownie, szeroko rozkładając ręce.

— Jeśli rzeczywiście jesteś jego żoną... toś mnie po trzykroć raniła. Ja byłam mu przeznaczona na oblubienicę, a on w Nowym Orleanie znalazł sobie inną, bardziej nadobną, ją poślubił, mnie zostawił, żebym łzy rozpaczy wylewała, samotna, porzucona. Potem wdowcem wrócił i wiele miesięcy musiało minąć, nim mi znowu nadzieja zaświtała, że go kiedyś zdobędę. — Marelda chodziła tam i z powrotem koło łóżka. — Tak był zrozpaczony, że nic nie dostrzegał, krom swoich wspomnień. Byłam przy jego boku, pocieszałam, jak umiałam, ale on mnie nie widział. Mniej się u niego liczyłam niż dziewczka kuchenna. Przeeknął się w końcu, a w moje serce wstąpiła otucha. Wczoraj wieczorem zebraliśmy się tutaj dla uczczenia jego powrotu do domu. Czekałam z utęsknieniem, że porwie mnie w swoje silne ramiona i czule przywita. Przyjechał... z tobą. Ciebie, zamiast mnie, trzymał w ramionach... Jeśliś, zatem niewinna... jeśliś naprawdę Lierin, a ja powiadam, że nią nie jesteś... i tak moja krzywda.

— Przykro mi — mruknęła Lierin.

— Przykro ci? — sarknęła Marelda, wykrzywając usta w ironicznym grymasie. — Słodkie to przeprosiny, ale mnie nie zwiedzisz. Ciesz się, miła panno, póki możesz, moja w tym głowa, żeby prawda wyszła na jaw. Nie spocznę, aż swego dopnę. Rzucę ci w twarz twoje kłamstwa i będę się śmiała, śmiała z rozkoszą. Do zobaczenia, moja droga. Zażywaj spokoju... jeśli potrafisz.

Obróciła się z furkotem spódnic i zniknęła za drzwiami; w pokoju zapanował błogi spokój, niby w wiosenny dzień po przejściu burzy.

Lierin drżała jeszcze po tym nieoczekiwanym ataku nienawiści. Nie potrafiła rozeznaczyć, co jest prawdą, co fałszem, nie wiedziała, czy sprawiedliwie spadały na nią oskarżenia, ale nie mogła pojąć, że jej osoba potrafiła wywołać taką furię.

3

Powóz Wingate'a zjechał z wyboistej drogi na kolisty podjazd. Tu zardzewiała brama zamykała dostęp do dziedzińca z tłącymi się jeszcze zgliszczami zakładu dla obłąkanych. Daszek ganku zwisał nad stopniami prowadzącymi do głównego wejścia, grożąc zawaleniem. Podobnie zresztą jak resztki osmalonych ścian, gotowych runąć w każdej chwili, jak runął wcześniej dach i duża część górnej kondygnacji. Ciemne oczodoły okien z powyginanymi resztkami futryn zdawały się mówić o agonii budynku. Rosnące wokół drzewa przywodziły na myśl pochylonych nad kryptą żałobników. Nad pogorzelskiem ciągle snuł się dym, jakby nie mógł opuścić nieszczęsnego miejsca.

Na dziedzińcu rozbito namioty, tymczasowe schronienie dla wyrzutków. Na tyłach domu dwaj pielęgniarze stawiali właśnie duże brezentowe zadaszenie przy kuchni polowej. Wokół otwartego paleniska tłoczyło się kilku pensjonariuszy: nieszczęsne istoty o zmaconych umysłach wpatrywały się nieruchomo w płomienie. Od ognia odganiała otępiałych ludzi korpulentna, władcza matrona o ponurej twarzy. A z takim zacięciem wymachiwała harapem, że jego razy spadały, jak zdarzyło, na tych, którzy znaleźli miski i teraz czekali w kolejce po jedzenie.

Widok dziedzińca budził w sercu smutek. Rzut oka wystarczył Ashtonowi, by mógł stwierdzić, jak bardzo chorzy uzależnieni są od kaprysów swoich opiekunów. On sam nigdy nie potrafiłby skazać kogoś ze swoich bliskich na podobny los. Niechętnym okiem spoglądał na wywijającą pejczem matronę, gotów wejść z nią w zwadę, nim załatwi sprawę, z którą przyjechał.

Wysiadł z powozu, po czym razem z Hiramem zaczęli wyładowywać kosze pełne jedzenia, ubrań i naczyń. Jeden z pielęgniarzy, wykrzykując słowa powitania, ruszył biegiem do bramy, przybyszom naprzeciw. Za nim zbliżyło się powoli kilkoro pensjonariuszy o twarzach niewinnych dzieci. Gdy Ashton wszedł na dziedziniec, otoczyli go ciasno i zaczęli poklepywać po plecach, witać, niczym dawno niewidzianego przyjaciela. Oddał im kosze, oni zaś, uszczęśliwieni, ponieśli je pod przewodem dozorczy rażno do kuchni.

— Więcej przyślemy za kilka dni — zwrócił się Ashton do siwowłosego porządkowego i dodał, wskazując na pęcherze na jego rękach: — Powinniście zająć się sobą.

Człowiek powoli podniósł dłonie i spojrzał na nie takim wzrokiem, jakby dotąd nie zdawał sobie sprawy z doznanego szwanku i teraz po raz pierwszy widział poparzenia.

— To nie boli — odrzekł ze wzruszeniem ramion. — Ludziom pierwiej trzeba pomóc.

W jego głosie, w sposobie, w jaki wymawiał głoskę r, dał się słyszeć lekki celtycki akcent.

— Kiedy już będą mieli gdzie spać i co do ust włożyć, wtedy zajmę się sobą.

Ashton drgnął, słysząc, jak na czyjeś plecy spada kolejne uderzenie pejcza i nie mógł się powstrzymać od jadowitej uwagi:

— Tylko patrzeć, jak wasi podopieczni będą mieli takie obolałe tyłki, że im będzie wszystko jedno, gdzie mają je podziać.

Porządkowy, wyraźnie nie rozumiejąc znaczenia ostrych słów, powiódł spojrzeniem za wzrokiem Ashtona; pejcz właśnie spadał ze świstem na kolejnego nieszczęśnika.

— Miss Gunther! — Warknął głośno. — Pomiarkuj się trochę, bo jeszcze chwila, a ludzie się na ciebie odwiną, a jeśli nie oni, to ja zrobię porządek.

Zaskoczona pogroźką matrona powoli opuściła harap. Siwo włosy mężczyzna z zadowoloną miną zwrócił się ponownie do

Ashtona:

— Jestem Peter Logan. Rok będzie, jak zacząłem pracować tutaj, w domu. Kilku opiekunów uciekło, teraz ja wszystkiego pilnuję, choć to nie w smak pannie Gunther. — Tu wzruszył ramionami w bezradnym geście. — Zanim przyszło do nieszczęścia, myślałem, że ulżę trochę biedakom w ich ciężkim losie.

— Wiecie, jak to się stało?

Peter Logan wepchnął połą zbyt dużej koszuli w spodnie, wahał się chwilę, wreszcie odpowiedział:

— Nie mogę nic powiedzieć na pewno. Wszyscy spaliśmy, jeno stary Nick czuwał, nocny obchód miał akurat, ale jak się zaczęło, uciekł czym prędzej do lasu.

— Ktoś zginął? — zapytał Ashton, patrząc na snujący się nad zgliszczami dym.

— Ano jak wszystkich policzyliśmy, wyszło, że brak pół tuzina chorych, ale czy uciekli, czy zgorzeli, to się okaże dopiero, kiedy przegrzebiemy popioły.

Ashton skrzywił się na tę myśl.

— Miejmy nadzieję, że jednak udało im się uciec z pożaru — powiedział ze smutnym uśmiechem.

— Inaczej mówicie, panie, niż zwykle się słyszeć. To dobrze, że są jeszcze szlachetne dusze na tym świecie.

— A co, przyjeżdżał tu kto ze skargami? — chciał wiedzieć Ashton.

Logan zaśmiał się krótko i pokręcił głową.

— A bo to mało. Ledwie co przewąchał tutaj pan Titch. Strasznie był zmartwiony, czy który z chorych nie pokaże się w Natchez albo w innym z pobliskich miasteczek, narzekał, jakie to nieszczęście dla porządných obywateli, taki szalenciec na wolności.

— Horacy Titch potrafi tylko mącić i przyczyniać kłopotów, nigdy pomagać.

Stary rozejrzał się ukradkiem na strony, zniżył głos, nachylił się ku Ashtonowi i rzekł cicho:

— Widzę, że u was, panie, serce bije po tej, co trzeba, stronie, to wam coś rzeknę, że aż was ciarki przejdą. Szeryf też się ani chybi za głowę złapie, kiedy tu przyjedzie. — Logan postukał Ashтона w pierś owłosionym knykciem. — Mam swoje podejrzenia, a jakże, mam. Znalazłem lonty w tej części domu, co najmniej ucierpiała od pożaru. Podług mnie, ktoś rozmyślnie podłożył ogień, chciawszy tych biedaków spalić, śmierci im życząc. Wczoraj sam wyszorowałem podłogę w kuchni do czysta, a kiedy tam dziś rano przyszedł, plamy krwi znalazłem i ślady, jakby, kogo tamtędy ciągnięto. Pogrzebacz leżał w palenisku, a ze stołu zniknął duży nóż do mięsa. Coś złego się tu stało, ale nic na pewno powiedzieć nie mogę, wam się tylko zwierzam.

— Szeryf jest moim przyjacielem, zainteresuje go to, co macie do powiedzenia. Jeśli ogień podłożono z rozmysłem, sprawca musi zostać pojmany i zapłaćić za swój uczynek.

— A jakże, kimkolwiek był ten zatraceniec, głupio zrobił, że nie podłożył, jakiej wiązki chrustu i nie zatarł śladów własnej niegodziwości. Wystarczy ich dla szeryfa, żeby się przekonał.

Ashton zerknął w stronę ogniska, do którego cisnęły się wynędzniałe postacie, byle jak przyodziane.

— Widzę, że są tu i kobiety.

— Szaleństwo nie wybiera, panie — odparł lakonicznie Logan. — Dotyka kobiety i mężczyzn po równo... nie oszczędza nawet dzieci.

Ashton przyrzekł doktorowi Page'owi, że przeprowadzi prywatne dochodzenie, acz czynił to z odrazą; czuł, że rodzącymi się w głowie pytaniami okazuje brak lojalności wobec Lierin.

— Czy brakuje którejs z niewiast?

— Prawdę rzekłszy, panie, to jednej. Po mojemu uciekła z do mu, ale tego nie mogę powiedzieć na pewno, bo niby skąd miał bym wiedzieć? Może się wystraszyła, może jeszcze wróci? — Zamilkł na chwilę, przygryzając w zamyśleniu wargę. — Dziwna z niej była kobieta... Tak to jakby całkiem normalna... ale kiedy atak na nią przyszedł, to już gorszego być nie mogło, takie coś w nią wstępowało, że mogłaby zabić.

Ashton poczuł, jak mu po plecach spływają stróżki zimnego potu. Nie miał pojęcia, co wprawiło Lierin w taką panikę, kiedy zaszedł do niej przed wyjazdem. Tłumaczył sobie, że w jej stanie to zrozumiała reakcja, wolał jednak nie zadawać dalszych pytań.

— Pielęgniarsz, ten, co uciekł, trochę się nią opiekował, miał dla niej uważanie — ciągnął Logan już sam z siebie, bez żadnej zachęty. — Od czasu do czasu coś tam jej zawsze

przyniósł, a to wstążkę jaką, a to grzebyk do włosów, a to inną znów błyskotkę. Całkiem ładna była z wyglądu, kiedy miała spokojniejsze dni.

— Młoda...? — Ashton czekał na odpowiedź ze ściśniętym sercem. Nie rozumiał, dlaczego owa kobieta wzbudzała w nim taki niepokój. Przecież z całą pewnością nie mogła być to Lierin.

— Ano, dość młoda, rzekłbym, ale w takim zamknięciu czło wiek starzeje się migiem. Ile mogła mieć lat, kto wie? Tak czy inaczej, włosów jeszcze siwizna nie tknęła.

— Jakiego były koloru?

— Takie jakieś jakby rudawe, jeśli mnie pamięć nie myli.

Ashton poczuł niemły ucisk w żołądku. Z trudem się opanował, a nie chcąc wzbudzać podejrzeń Logana, szybko zmienił temat.

— Co teraz zrobicie?

— Nie umiem rzec, panie. Jest jedno miejsce w Memphis, gdzie by nas przyjęli, ale jak tam przewieźć tych nieboraków?

— Pomogę wam — oznajmił Ashton po długim namyśle, a widząc zdumioną minę starego, wyjaśnił: — Popłyniecie parostatkiem. Jeden stoi nawet w Natchez.

Peter nie posiadał się ze zdumienia na taką wspaniałomyślność.

— I uczynicie to dla — zatoczył dłonią, wskazując nieszczęsnych pogorzalców — dla tych ludzi?

— Ich los był mi obcy... aż do dzisiejszego dnia. Chciałbym zrobić coś więcej, niż darować kilka koszy jadła i trochę odzienia.

Na twarzy Logana pojawił się szeroki uśmiech.

— Jeśli naprawdę zamierzacie nam pomóc, panie, to mogę tylko powiedzieć, że z całą chęcią przyjmę, co ofiarujecie. Rzekniecie tylko kiedy, a my już będziemy gotowi do drogi.

— Przygotuję wszystko i zawiadomię was o terminie wyjazdu. Powinniście ruszyć nie dalej niż za dwa, trzy dni, tyle potrwa wyładunek i załadunek statku.

Peter rozejrzał się po zaaranżowanym rano obozowisku.

— Pożyczyłem namioty od tych, co budują kolej. Dali, ale powiedzieli, że muszą je oddać przed końcem miesiąca. Już się martwiłem, jak po tym będziemy żyć, a teraz się okazuje, że Bóg litościwy wysłuchał naszych modlitw.

Ashton na pożegnanie uściskał dłoń Logana i wrócił do po wozu. Opadł na ławkę z przeciągłym westchnieniem. Tak, po winien czym prędzej wysłać starego i jego podopiecznych do Memphis. W ten sposób zyska pewność, że stary nigdy nie na tknie się na Lierin.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, malując niebo wszystkimi odcieniami purpury, gdy Ashton pozalałtował swoje sprawy w Natchez i jego powóz wreszcie pojawił się na podjeździe Belle Chante. Po domu poniósł się wysoki głos Luelli May, obwieszczający powrót pana. Marelda poprawiła włosy w lustrze, skronie i skórę za uszami natarła ulubioną wodą kwiatową. Postanowiła nie ustępować pola, pozostać tak długo w rezydencji, jak się tylko da, i twardo walczyć o swoje. Nie mogła dopuścić, by rywalka zagarnęła Ashtona dla siebie, mieniając się jego żoną, wtedy gra przegrana. Przyjazdy do Belle Chante będą utrudnione,

Ashton zamieni się w czulego męża i nie będzie zwracał najmniejszej uwagi na inne kobiety, ani nie zechce poświęcać im swojego cennego czasu.

Marelda opuściła pokój i zeszła na dół. Tutaj, na dźwięk stłumionych odgłosów powitań dochodzących z portyku zatrzymała się na chwilę, kryjąc w cieniu galerii pierwszego piętra. Po chwili w holu pojawił się Ashton, za nim Luella May i Willis obładowani ozdobnymi pudłami. Z salonu krawieckiego, pomyślała z zazdrością Marelda, bo przecież nie ze zwykłego sklepu. Suknie zakupione u najdroższej modniarki w Natchez. Ashton najwyraźniej chciał ubrać swoją niby to żonę w najwytworniejsze toalety.

— Panienska Lierin śpi, massa Ashton — powiedziała Luella May. — Ledwie co się budziła, jakeście wyjechali. Był dochtór Page, powiada, że ona strasznie skonana.

— Nie będę jej w takim razie przeszkadzał. — Ashton polecił służącym, by położyli pudła na stole pod ścianą. — Willabelle zanieś to później na górę.

Luella May wykonała polecenie, ale nie mogła się oprzeć, by nie pogłaskać jedwabistych kokard.

— Musiał pan kupić coś naprawdę ślicznego dla panienski Lierin.

— Tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy, żeby miała co na siebie włożyć, dopóki miss Gertrude nie przyśle reszty strojów. Powinny nadejść z końcem tygodnia. — Uniósł nieco wisko jednego z pudeł i mruknął smutno: — Szkoda, że nie mogłem ich przywieźć już dzisiaj.

Służący wyszli z holu, Marelda wygładziła suknię, poprawiła włosy i już gotowała się wychynąć z ukrycia, gdy w głębi domu rozległ się czyjś dudniący bas. Ku jej rozczerowaniu, Ashton natychmiast odwrócił głowę w tamtą stronę. W sieni pojawił się potężny czarnoskóry mężczyzna; panowie uścisnęli sobie serdecznie dłonie jak starzy, dobrzy przyjaciele.

— Judd! Miło cię widzieć.

— Powitać w domu, sir.

Marelda obserwowała tę scenę z niesmakiem. Gdyby została panią Belle Chante dopilnowałyby, żeby czarnuch przestał pełnić funkcję nadzorcy, a już na pewno położyłyby kres zażyłości Ash tona z tym człowiekiem. Spoufalanie się ze służbą było dla niej oznaką towarzyskiej degradacji.

— Niepokoję się o wiosenne planty, mam kilka pomysłów, które chciałbym z tobą omówić.

— Jeśli chce pan zobaczyć się teraz z panienską Lierin, sir, to przyjdę później — zaproponował skwapliwie nadzorca.

— Luella May mówi, że Lierin śpi, nie będę więc jej budził. Chodź do mojego gabinetu, od razu omówimy nasze sprawy. Chyba słyszałeś o wypadku...

Mężczyźni odeszli, zostawiając nadąsaną, zawiedzioną i oburzoną Mareldę samą sobie. Jeśli chciała porozmawiać z panem domu w cztery oczy, nie miała wyjścia, musiała czekać.

Czekać! Ashton, zajęty przygotowaniem rejsu do Memphis, często wracał do domu po kolacji. Gdy rozładowywano statek, powiedział załodze, że parowiec odbędzie krótki rejs w górę rzeki i że w ładowniach jest dość miejsca, jeśli plantatorzy lub kupcy chcą przesłać jakiś ładunek. Szybko sporządzono kontrakty, zaczęły napływać ładunki, jeszcze zanim pozbyto się poprzednich. Wszystko wskazywało na to, że rejs zwróci się z nawiązką.

Lierin niemal cały czas spała. Tylko tak mogła uciec przed bólem, który dręczył ją na jawie. Rano, po umyciu, wdziewała świeżą koszulę, a Willabelle szczotkowała jej włosy. Chociaż

było wiadomo, że go nie użyje, zielony szlafrok zawsze leżał w nogach łóżka, wystarczyło po niego sięgnąć, przy łóżku zaś stały domowe bambosze. Niejasno zdawała sobie sprawę, że owe rzeczy są nowe i dobrane na miarę, ale nie miała chęci ani siły pytać, do kogo należą. Powoli, niemal niezauważalnie nabierała sił. Z każdym dniem coraz dłużej mogła się utrzymać na nogach, dopóki nieznośny ból nie zmusił jej do powrotu do łóżka. Gdy nieco łagodniał, leżała wsparta wysoko na poduszkach i czytała lub gawędziła z Luellą May albo jej matką.

Rzadko widywała Ashtona. Zachodził do niej po porannej toalecie, zamieniał kilka nic nieznaczących słów, ale widać było, że jest nieswój i sztywny w obejściu. Stawał przy jej łóżku, wysoki, szczupły, dobrze ubrany, pełen galanterii i spoglądał na nią orzechowymi oczami, w których mogła wyczytać hamowane uczucia. Domyślała się, że przyczyną tej powściągliwości musiał być atak paniki, jakiego był świadkiem pierwszego poranka, nie potrafiła jednak podczas ich gładkich konwersacji zapytać go, co naprawdę myśli.

Kiedy budziła się z drzemki w ciągu dnia, Ashton był albo w Natchez, albo gdzieś na plantacji. Czasami wyczuwała jego obecność w nocy, cóż, skoro nie była w stanie obudzić się i ode zwać. Podczas jednego z rzadkich i krótkich spacerów po pokoju zobaczyła przez okno, jak ujeżdża ogiera na trawniku za domem. Scena ta przykuła jej uwagę i wzbudziła zachwyty: kary koń szedł spokojnie, lekko i miarowo, wysoko unosił nogi, pochylał długą szyję. Jeździec sprawiał wrażenie, że całkowicie nad nim panuje, a czynił to, zda się, bez najmniejszego trudu, tak, że zwierzę z człowiekiem stanowili jedno.

Dni płynęły jednostajnie, a szczęście jakoś się nie uśmiechało do Mareldy. Zdesperowana, przestawała już wierzyć, że kiedykolwiek będzie miała okazję porozmawiać z Ashtonem sam na sam i stawała się coraz bardziej niespokojna; czas uciekał, a ona dotąd nic nie wskórała, ba, z każdą chwilą miała coraz mniejsze szanse rozwinąć zamierzoną kampanię i dopiąć swego. Tydzień prawie minął na próżnym wyczekiwaniu.

Powody, dla których Marelda nie mogła wprowadzić swoich planów w życie, były rozmaite. Drugiego dnia po wypadku w do mu pojawili się goście z Karoliny; bawili dwa dni, wreszcie wyjechali. Odetchnęła z ulgą, już była w ogródku... Rodzina przed kolacją zebrała się w salonie, gdy wpadł Latham z wielkim krzykiem, że ulubiona folblutka pana zaczęła się żrebić. Jakby nie dość, że pan cały dzień był poza domem! Ashton dopił swoją brandy jednym haustem, przeprosił panie, szybko poszedł zmienić ubranie i opuścił piękną Mareldę. Biedaczka, spuściwszy nos na kwintę, zasiadła do stołu z dwiema staruszkami i cały wieczór wiodła z nimi czeze pogwarki.

To było czwartego dnia po wypadku. Piątego Ashton w ogóle nie pojawił się na kolacji. Czekala na niego, nasłuchiwała jego kroków w sieni, wreszcie usnęła, nie domyślając się nawet, że dawno już wszedł cichcem do domu i zamknął się w swoich pokojach. Lierin jeszcze mniej miała okazji widywać, Ashtona, ale dla Mareldy słaba to była pociecha wobec świadomości, że uzurpatorka ma wszystko przed sobą.

Dom ucichł, zgasły ostatnie światła. Ashton położył się do łóżka; długo przewracał się z boku na bok, zanim wreszcie usnął. W środku nocy obudził się raptownie. Wpatrywał się w ciemności, nie pojmując, co też mogło wyrwać go z głębokiego snu. Odrzucił nerwowo kołdrę, szukając ochłody. Czuł dziwny niepokój, jakby przyśnił mu się jakiś koszmar. Powoli wracała pa miąć snu: ciemnozielone, rozświetlone uwodzicielskim blaskiem oczy, usta rozchylone w lubieżnym uśmiechu, sploty rudych włosów, powabna postać klęcząca na łóżku, zapraszająca do pieszczot. Wyciągnął ramiona, by przygarnąć ją do siebie, i w tej samej chwili poczuł wbijające się w skórę szpony. Z gardła kobiety dobył się syk, jej twarz wykrzywiła nienawiść. Cofnął się gwałtownie, dopiero teraz pojmując, że to nie Lierin, lecz jakaś obłąkana rudowłosa wiedźma.

A więc to go obudziło: koszmar, w którym dochodziły do głosu dręczące go wątpliwości. Widział przecież, jak Lierin porywa nurt rzeki. Znał dobrze tę zdradliwą, okrutną rzekę, która pochłoneła już tyle ofiar. Na zawsze. Powracały nękające go od kilku dni pytania. Jakim sposobem drobna dziewczyna zdołałaby w nocy, w absolutnych ciemnościach dopłynąć do brzegu?

Być może się mylił, być może prawda wyglądała inaczej, niż zakładał, niż chciał wierzyć. Tyle wątpliwości, zastrzeżeń i żadnych odpowiedzi.

Usiadł na łóżku, ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak przez chwilę, zatopiony w niewesołych rozmyślaniach, po czym zapalił lampę, od niej świecę, wstał, włożył spodnie i z lichtarzem w dłoni ruszył w głąb korytarza. Zatrzymał się pod drzwiami Lierin. Kto śpi za nimi? Jego ukochana czy też istota ludzako do niej podobna?

Ostrożnie nacisnął klamkę. W pokoju panował mrok, tylko od kominka sączył się słaby poblask dogasających polan. Podszedł bezszelestnie do łóżka, postawił świecę na szafce nocnej, jej płomień oświetlał teraz twarz śpiącej, tej, którą chciał zobaczyć. Nachylił się, a dojrawszy dobrze znajome rysy, poczuł ulgę.

Całe wieki temu w pokoju hotelowym w Nowym Orleanie stał, jak teraz, głęboką nocą obok łóżka i spoglądał na te same rysy, których piękno rozpałało zmysły i jednocześnie zatrzażało Ashtona. Tak, to jego Lierin. Utracił ją przed laty, by teraz odzyskać przedziwnym zrzędzeniem losu.

Westchnęła cicho przez sen i odrzuciła brzeg kołdry. Powiódł wzrokiem po szczupłym, okrytym teraz tylko koszulą ciele i po czuł, jak krew szybciej zaczyna tętnić mu w żyłach.

Nagle zdał sobie sprawę, że wyciąga rękę, by dotknąć odsłoniętego uda. Chwilę zmagął się z żądzą, przerażony, że jeden nieostrożny gest mógłby pogorszyć stan Lierin i na zawsze uniemożliwić jej powrót do zdrowia.

Zły na siebie zacisnął wilgotną dłoń i cofnął się o kilka kroków. Z czoła spływały mu krople potu. Tak bardzo pragnął Lierin, tak boleśnie pożądał, że drżał teraz na całym ciele, zmagając się z własnymi uczuciami. Chwilę trwało, zanim wreszcie okiełznał rozpalone zmysły, choć jemu się zdawało, że cała wieczność minęła, nim się opanował. Westchnął ciężko, pokręcił głową, niedowierzając, że tak bliski był użycia siły. Sam czuł odrazę do mężczyzn, którzy czy to nie potrafili powściągnąć swoich apetytów, czy też uciekali się do przemocy wobec kobiet. Sądził, że jest ponad to, tymczasem odkrywał w sobie nieznane dotąd i niemile cechy.

Uniósł wzrok i dojrzał odbicie ukochanej w wielkim lustrze; delikatna twarz wylaniała się z mroku, skąpana w blasku płomienia. Lierin spała spokojnie nieświadoma walki, jaką Ashton przed chwilą musiał stoczyć ze sobą. Zamknięta ramą połyskującego zimno lustro wydawała się tak odległa i niedostępna, że miał ochotę roztrzaskać tę srebrzystą tafelę, by zbliżyć się do swojej najdroższej. Ale przecież to nie lustro było przeszkodą, nie ono odgradzało go od Lierin.

Ochłonawszy już całkiem, podszedł do łóżka, nachylił się i delikatnie pocałował ją w usta. Być może przywidziało mu się, ale miał wrażenie, że odpowiedziała na tę pieszczotę.

Wyszedł z pokoju, myśląc ze smutkiem, że zapewne długo jeszcze będzie musiał zmagać się z własnym nienasyconym po żądaniu. Czas jednak był jego sprzymierzeńcem. Musiał tylko uzbroić się w cierpliwość.

Pierwsze, łagodne promienie brzasku przedarły się przez szparę w zasłonach, budząc Lierin z głębokiego snu. Wyciągnęła ramiona i przeciągnęła się rozkosznie. Przez moment czuła się szczęśliwa, ale radość zwarzył dokuczający ciągle ból i, co jeszcze gorsze, świadomość, iż

pamięć wciąż nie wraca, że nie wie, kim jest. Dzień od razu wydał się mniej piękny, ale postanowiła nie poddawać się smutkowi. Gdzieś w głębi duszy czuła ogromną energię i moc. Raz jeszcze się przeciągnęła, tym razem już świadomie, przygotowana na ból, z którym chciała się zmierzyć. Tyle przynajmniej wiedziała o sobie: nigdy nie unikała problemów, nie uciekała przed kłopotami. Powinna się zmobilizować i zacząć chodzić, odzyskiwać kontrolę nad własnym ciałem. Nie mogła przecież spędzić całego życia w łóżku. Długa, gorąca kąpiel po winna rozluźnić zeszywniałe mięśnie, ale prośba o nią mogła się wydać zbyt arogancka w tym dziwnym domu. Ashton Wingate utrzymywał jednak, że jest jego żoną, więc być może nikt nie będzie miał jej za złe, jeśli odważy się zażądać kąpieli.

Wstała z wysiłkiem i nigdzie nie widząc szlafroka, ostrożnie przeszła do kominka. Ogień ledwie się tlił, w pokoju panował chłód. W mosiężnym pojemniku leżały polana. Wrzuciła kilka do paleniska i sięgnęła po pogrzebacz. Gdy zacisnęła dłoń na jego ręczce, ujrzała nagle przed oczami wzniesiony pogrzebacz. Ten ulotny obraz przyprawił ją o dziwną słabość. Drżąc, osunęła się na fotel i zaczęła rozcierać skronie zlodowaciałymi palcami. Usiłowała zrozumieć swoją gwałtowną reakcję, ale w głowie miała kompletną pustkę.

Podniosła się, wyprostowała, po czym przyklękła przy kominku i zaczęła grzać zziębnięte dłonie nad wesoło teraz buzującym ogniem. Rozległo się delikatne pukanie i ktoś, nie czekając na zaproszenie, pchnął drzwi. Weszła Willabelle i skierowała się do łóżka, a kiedy zauważyła, że jest puste, zatrzymała się stropiona i rozejrzała wokół. Lierin podniosła się na powitanie, od chrząknęła i dopiero gospodyni ją dostrzegła.

— Wielkie nieba, to panienka już może chodzić! — wykrzyknęła radośnie.

— Tak, czuję się już znacznie lepiej.

Willabelle klasnęła w dłonie.

— To się nasz pan dopiero ucieszy, jak usłyszy, że panienka wraca do zdrowia. Toż już prawie od zmysłów odchodził, biedaczysko, widząc, żeście taka marniutka. — Tu gospodyni zaczęła poprawiać pościel. — Może by tak panienka teraz, co zjadła?

Lierin uśmiechnęła się nieśmiało.

— Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy nie mogłabyś przygotować mi kąpieli, takiej prawdziwej, żeby zanurzyć się w wannie...

— Tak, panienko, będzie kąpiel, tak jak panienka sobie życzy.

Willabelle podniosła z podłogi szlafrok, który się tam zsunął, i przytrzymała go, by chora mogła włożyć na siebie okrycie. — Panienka tu sobie poczeka, a ja zejdę na dół i wszystko przy gotuję.

Gospodyni wróciła po jakimś czasie w towarzystwie całej gromadki służących. Kilkoro niosło wytworne, przewiązane wstążkami pudła, inni wiadra z gorącą wodą, ostatni dźwigał mosiężną wannę. Kiedy kąpiel była już gotowa i służba wyszła, Willabelle zmieniła pościel, a na stoliczku koło wanny ustawiła flakoniki z wonnymi olejkami i położyła pachnące mydło.

Lierin wahała po kolei wszystkie esencje, aż znalazła taką, która najbardziej się jej spodobała: o delikatnym kwiatowym zapachu. Wlała kilka kropel do wanny i zamknęła oczy, rozkoszując się zapachem. Zwijając włosy w węzeł na karku, zerknęła przez ramię na pudła.

— A to co takiego? — Zagadnęła zaciekawiona.

— Od krawcowej, panienko. Pan kilka dni temu zamówił dla panienki suknie, dzisiaj je przysłali. Pokażę panience, jak się będzie kąpała.

Gospodyni pomogła się rozebrać dziewczynie. Dopiero teraz zobaczyła wszystkie siniaki, wyraźnie widoczne na jasnej, gładkiej skórze.

— Ojej, dziecinko, wyglądasz, jakby stratowały cię konie i przejechał powóz.

Lierin z westchnieniem zanurzyła się w gorącej kąpieli.

— Jestem pewna, że tak właśnie się stało.

Willabelle parsknęła śmiechem.

— Gdyby tak nie śmierdziało, nasmarowałabym panienkę sadłem, ale jakże sadło panience podsuwać, kiedy dostała takie śliczne suknie. Maść trzeba będzie na plecy przyłożyć. Paskudnie wyglądają.

Kiedy Lierin płała się w wannie, Willabelle zaczęła otwierać pudła. Wyjęła z nich kilka delikatnych koszulek, gorset na fiszbinach, jedwabne pończochy, halki przyozdobione koronkami, wreszcie wytworne suknie i dobrane do nich trzewiki. Czekając, aż panienka wyjdzie z kąpieli, rozłożyła na łóżku nową koszulę nocną, po czym stanęła obok wanny z ręcznikiem w ręku.

— Czy pan Wingate sam wybrał te wszystkie stroje? — Zapytała Lierin, gdy Willabelle wycierała ją do sucha.

— Tak myślę, panienko. Bardzo dobrze się sprawił, słów po prostu brakuje.

— Owszem, muszę przyznać, że to zaskakująco trafny wybór jak na mężczyznę.

Słyszac ironię w głosie Lierin, gospodyni spojrzała na nią pytająco.

— Nie podobają się panience zakupy? — zagadnęła nieco zdziwiona.

— Jakżeby miały się nie podobać? Wszystko jest śliczne. — Zaczęła wciągać koszulę nocną przez głowę, nie przerywając rozmowy: — Twój pan zdaje się dobrze wiedzieć, jak ubrać kobietę.

Willabelle uśmiechnęła się domyślnie. Kiedy mąż, zwłaszcza tak przystojny jak Ashton, okazuje niepokojącą znajomość damskich fatalaszków, żona ma prawo być odrobinę zazdrosna.

— Panienka nie powinna się frasować. Nigdy nie widziałam, żeby był, za którą tak jak za panienką. Świata poza panienką nie widzi. Od zmysłów odchodził, kiedy myślał, że panienka nie żyje i sam mało z tego smutku nie umarł.

Lierin zawiązała atlasowe troczki szlafroka.

— Uważasz, że naprawdę jestem jego żoną?

— Pan powiada, że tak. Mnie słowo pana wystarczy. A jak panienka nie wierzy, niech panienka dobrze się przyjrzy temu malunkowi, on powinien panienkę przekonać.

— Miss Rousse myśli inaczej. Domyślam się, że była na rzeczoną Ashtona, tymczasem on wyjechał do Nowego Orleanu i tam się ożenił.

— A bodaj tam! — Gospodyni wzniosła oczy do nieba. — Taka tam i narzeczona.

Wyimaginowała sobie miłość i tyle. Wbiła sobie do głowy, że zostanie żoną pana. Dzieciakiem jeszcze była, jak tu ze swoim ojcem przyjeżdżała, a już się za panem uganiała. Będzie pięć lat, jak ją rodzice odumarli, dom jej w mieście zostawili. Samiuśka na świecie została, to jej teraz okropnie pilno się wydać. Ciurkiem u nas przesiaduje i tylko za naszym panem patrzy. A taka uparta, że choć pan jej mówi, że ma żonę, ona jakby całkiem głucha była. Nie ma sposobu grzecznie jej przedłożyć, żeby się do siebie do domu zabierała.

— Może pan Wingate nie chce, żeby wyjeżdżała. To piękna kobieta.

— Bo też nasz pan za delikatny, ostrzej powinien się z nią obejść, a nie cackać — mruknęła pod nosem Willabelle.

— Chyba nie powinnam wychodzić ze swojego pokoju, jak myślisz? — zagadnęła Lierin. — Miss Rousse patrzeć na mnie nie może.

Willabelle odchrząknęła gniewnie.

— A niech się panienka niczego nie boi. Powinna panienka wychodzić, bo tamta gotowa pomyśleć, że może wyczyniać, co się jej żywnie podoba. Od tygodnia biega za panem jak kot z pęcherzem.

— Uważasz, że i ja powinnam się za nim uganiać? — zdumiała się Lierin. — Przecież ja go właściwie nie znam, to dla mnie obcy człowiek.

— No to ci powiem, skarbeczku, jeśli chcesz posłuchać rady starej gospodyni, żeś powinna. Drugiego takie nie znajdziesz na świecie. Wiem, co mówię, bo go znam. Od dziecka. Nie masz takich mężczyzn, a tyś przecie jak malowana, niczego ci nie brakuje, choć, jak powiadasz, Marelda też urodziwa.

Lierin nie chciała się sprzeczać z gospodynią, ale nie zamierzała też słuchać jej pocziwych skądinąd rad i zdobywać mężczyzn, który był dla niej obcym właściwie człowiekiem. Powinna dobrze się zastanowić nad swoją sytuacją, postępować rozważnie i wystrzegać się wszelkich błędów oraz nierozważnych kroków. Jeśli uzna, że jest żoną Ashtona, tym samym zlikwiduje dzielący ich dystans i będzie musiała iść z nim do łóżka. Oby tylko jak najszybciej odzyskała pamięć, wtedy wszystko się wyjaśni i problemy same rozwiążą.

A jednak musiała przyznać: intrygował ją ten mężczyzna, który twierdził, że jest jej mężem. Był niezwykle przystojny, zachowywał się nienagannie, kiedy, utartym już zwyczajem, zachodził rano do jej sypialni. Czekał wtedy, jak na dżentelmena przy stało, w progu, a gdy Willabelle anonsowała jego wizytę, Lierin zaczynało szybciej bić serce, policzki zaś oblewał rumieniec, który trudno było uznać za oznakę obojętności.

Tak było i tego poranka: Willabelle szeroko otworzyła drzwi, tak że Ashton mógł podziwiać postać Lierin skąpaną w promieniach wpadającego przez kryształowe szyby słońca. Długie, opadające miękko na ramiona włosy zdawały się płonąć; na ustach pojawił się niepewny uśmiech.

— Chciałam ci podziękować za prezenty — szepnęła. — Są śliczne. To naprawdę niezwykle miło, że o mnie pomyślałeś.

— Mogę wejść?

— Oczywiście — odparła zdumiona, że Ashton czeka na jej pozwolenie.

Willabelle wymknęła się tymczasem z pokoju, zapowiadając już od progu, że za chwilę przyniesie śniadanie.

Ashtona ciągnęło do żony jak człowieka przemarzniętego ciąg nie do ognia lub wygłodniałego do jadła. Była taka piękna: na jej widok krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach, ale gdzieś w głębi duszy na powrót budziła się przyprawiająca o zimne dreszcze niepewność. Jak też musiała się czuć w świecie, w którym nie odnajdywała nic znajomego, w którym każda twarz była dla niej obca? Co gorsza, nie potrafiła powiedzieć, jak powinien wyglądać jej własny świat.

— Pozwolisz sobie powiedzieć, madame, że wyglądasz dzisiaj szczególnie pięknie?

— Pomimo siniaków? — zapytała z powątpiewaniem w głosie.

— Moje oczy tak stęskniły się za twoimi widokiem, że ledwie dostrzegam siniaki. — Mówiąc to, musnęła opuszkami palców po liczek Lierin. — Poza tym są już znacznie jaśniejsze i niedługo zupełnie znikną. — Pochylił się, zamknął oczy, w nozdrza uderzył go znajomy, przywodzący wspomnienia, poruszający zmysły, oszłamiający zapach jej włosów.

Lierin każdym nerwem, każdą cząsteczką swojego jestestwa czuła bliskość Ashtona, jego ciepły oddech owiał jej policzek. Spuściła szybko powieki, wyciągnęła dłoń, chcąc powstrzymać męża, i cofnęła się o krok.

— Jeszcze raz chciałam ci podziękować za toalety, które dla mnie kupiłeś — szepnęła bez tchu. — Zadałeś sobie tyle trudu i musiałeś wydać mnóstwo pieniędzy.

— Zapewniam cię, że to drobiazg. Tych kilka sukien i koszul nie przyprawi mnie o bankructwo. Naprawdę zadbamy o twoją garderobę, kiedy poczujesz się na tyle dobrze, że będziesz mogła pojechać ze mną do miasta i sama wybrać dla siebie to, czego ci potrzeba.

— Nie boisz się, że zależy mi tylko na twoich prezentach i twoich pieniądzech? — zapytała z pewną irytacją. — Przecież nie wiesz na pewno, czy jestem twoją żoną?

Ashton zaśmiał się cicho.

— Kto tu mówi o wątpliwościach?

— Jest ktoś, kto sądzi, że cię omamiłam i zwodzę, wmawiając nieprawdę — odparła Lierin z nieznacznym wzruszeniem ramion.

— Marelda złożyła ci wizytę? — domyślił się natychmiast. — Nigdy wcześniej cię nie widziała, ale jest przekonana, że nie jesteś moją żoną.

— Chciałabym wierzyć w to równie mocno jak ty. — Lierin odwróciła się, przytknęła dłoń do skroni i pokręciła bezradnie głową. — Wiem, że wspomnienia gdzieś tkwią, ale nie mogę ich przywołać, coś mi przeszkadza, pojawia się jakaś blokada. Tyle rzeczy chciałabym wiedzieć o swoim życiu. — Westchnęła ciężko. — Sama dla siebie jestem kimś obcym.

— Mogę ci podpowiedzieć kilka faktów, ale tak krótko byliśmy razem, że chyba nie będą to zbyt ważne dla ciebie wiadomości.

Lierin spojrzała na Ashtona z oczekiwaniem w oczach.

— Powiedz mi wszystko, co możesz, proszę.

Urodziłaś się dwadzieścia trzy lata temu w Nowym Orleanie jako Lierin Edna Somerton. Twoja matka, Dierdre z domu Cassidy, była Irlandką z pochodzenia, ojciec natomiast Anglikiem. Masz siostrę, Lenore Elizabeth Somerton. Jak ty, urodziła się w Nowym Orleanie...

— Która z nas jest starsza?

Ashton milczał przez chwilę, wreszcie uśmiechnął się przeproszająco.

— Wybacz, moja kochana, ale tak byłem w tobie zakochany, że ten szczegół mi umknął.

— Mów dalej — szepnęła cichutko, z wypiekami na policzkach.

Ashton podszedł do okna, odsunął zasłony i wyjrzał na ogród.

— Kiedy wasza matka umarła, zostawiła wam dom na wybrzeżu, w Biloxi. Masz też dom w Nowym Orleanie, który odziedziczyłaś po dziadku. Spisał testament, gdy u niego mieszkałaś i mimo że staruszek umierał przekonany, że utonąłaś, nigdy nie zmienił swojej woli. — Ashton założył ręce do tyłu i spojrzał na żonę. — Masz, więc, jak widzisz, własny majątek. Twój

ojciec jest bogatym kupcem, jesteś, zatem niezależna finansowo i wcale nie potrzebujesz moich pieniędzy. — Na jego ustach pojawił się uśmiech. — Odwrotnie, to raczej ja, gdybym był łowcą majątków, powinienem zainteresować się tobą.

Rozbawiona, odpowiedziała mu tym samym, lekkim tonem:

— Rozumiem teraz, mój panie, dlaczego z takim uporem twierdzisz, że jestem twoją żoną. Widzę, że z ciebie wyrachowany nicpoń i do tego ladaco.

— Jakże to, madame? — Zapytał, unosząc nieznacznie brwi w udanym zdziwieniu.

Lierin wskazała głową rozłożone na łóżku toalety i spojrzała spod oka na Ashtona.

— Wiesz, jak ubrać kobietę. Czy jesteś równie biegły w rozbieraniu niewiast?

— Zapewniam cię, że żyję cnotliwie niczym mnich — oznajmił z powagą.

— Hm, bardzo powątpiewam. — Lierin zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Nie powątpiewaj, moja ukochana — odparł, tym razem z wesołym błyskiem w oku. — Klnę się, że nie spojrzałam na żadną kobietę, od kiedy ujrzałem ciebie i twój obraz zapadł mi w serce.

— Zapadł w serce? Ileś go tam nosił? Tydzień? Miesiąc? Rok? Ashton roześmiał się. Lierin coraz bardziej zaczynała przypominać tę, którą zapamiętał. — Gdybyś nie była taka obolała po wypadku, dowiódłbym ci, jak strasznie się za tobą stęskniłem.

Uśmiech zniknął z twarzy Lierin.

— Zapewne niejedną już uwiodłeś, niejedną sprowadziłeś z drogi cnoty. Mam nadzieję, że ja nie stanę się ofiarą twych podstępnych zalotów.

— Czego się lękasz, najdroższa?

Westchnęła ciężko, wyraźnie strapiona, i odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

— Boję się, że nie jestem twoją żoną. Jeśli pozwolę ci zbliżyć się do siebie jako prawowitemu mężowi, mogę później żałować tego błędu. Co będzie, jeśli zajdę w ciążę? A niech się okaże, że prawda wygląda inaczej, że jestem w rzeczywistości kimś innym, nie twoją Lierin? Lękam się, że mogę cię pokochać. Nie chcę cierpieć, gdyby przyszło mi cię stracić.

Ashton podszedł do niej. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale powstrzymał się.

— Kocham cię, Lierin, i nie zamierzam igrać z twoimi uczuciami. Ożeniłem się z tobą, uczyniłem swoją żoną. Nasze dzieci będą dziećmi z prawego łoża, dziedzicami mojego nazwiska i majątku. Przyrzekam ci.

Jego słowa napełniały ją otuchą, przynosiły tak potrzebne ukojenie.

— Tak mało wiem o sobie, trudno mi przywyknąć do myśli, że jestem mężatką, Ashtonie.

— To zrozumiałe, moja droga. Byliśmy ze sobą bardzo krótko, nie miałaś czasu przyzwyczać się do nowego stanu.

— A jednak noszę na palcu obrączkę — powiedziała w zamyśleniu. — Rozpoznajesz ją?

Uniósł jej dłoń i przez chwilę przyglądał się obrączce.

— Nie miałem czasu, by kupić ci coś kosztowniejszego, stąd skromny klejnocik. Jeśli dobrze pamiętam, to ja ci go kupiłem.

Zerknęła nieśmiało na twarz Ashtona.

— A więc jesteśmy pewnie mężem i żoną, Ashtonie, tylko ja lękam się uznać to za prawdę.

— Nie zadrećzaj się, moja najdroższa. Potrzeba ci spokoju. Musisz wypoczywać, a pamięć ci w końcu wróci.

— Wyczekuję tej chwili niecierpliwie.

— Ja również, moja ukochana. Ja również.

4

Rodzina Wingate'ów przed kolacją zbierała się zwykle w salonie; przy kieliszku sherry lub mocniejszego trunku wymieniano uwagi dotyczące minionego dnia, zażywano odpoczynku, panie haftowały, ktoś zasiadał przy klawesynie, czasami odzywała się też wiolonczela w duecie lub solo, jak tego wieczoru. Marelda z daleka rozpoznała grę Ashtona; nikt inny z domowników nie potrafił wydobyć z instrumentu tak ciepłego, subtelnego brzmienia. Ashton był człowiekiem obdarzonym wieloma talentami, który we wszystkim, czego się tknął, okazywał się doskonały.

Dziewczyna zatrzymała się w holu, zerknęła do lustra, by po raz ostatni upewnić się, jak wygląda. Misterna fryzura układała się w koszyczki nad uszami, suknia z ciemnoczerwonej tafty prezentowała się wyjątkowo efektownie — wszystko dla Ashtona, pomyślała z uśmiechem. Szczególnie dumna była z wyboru kreacji, której sztywny, głęboko wycięty stanik podkreślał krągłość piersi. Żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny na widok śmiałego, może nawet zbyt śmiałego dekoltu, a dobrze wiedziała, jak bardzo Ashton jest czuły na kobiece wdzięki. Starsze panie mogły być zaszokowane, gotowa była jednak narazić się damom, byle tylko zwrócić na siebie uwagę Wingate'a i wzbudzić jego pożądanie.

Mijając drzwi pokoju rywalki, przystanąła, przytknęła do nich ucho i chwilę nasłuchiwała, czy ze środka nie dojdą jej jakieś dźwięki. Usłyszała stłumiony głos Willabelle, ale nie mogła rozróżnić słów. Nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. Marelda nie spodziewała się, by obmierzła uzurpatorka czuła się już na tyle dobrze, by wstać z łóżka i zejść na kolację. Tydzień minął, a ta przybłąda ciągle niedomagala. Pieściła się ze sobą, chcąc wzbudzić współczucie Ashtona.

— Głupia — prychnęła pod nosem Marelda. Niech sobie leży omdlewająca w pościeli, tym gorzej dla niej, tym więcej sposobności dla Mareldy. Ashton wreszcie się ocknie, przekona się, że to nie jego żona.

Tak rozmyślając i nucąc wesoło, zeszała powoli na dół. Za chwilę zobaczy Ashtona, roztoczy przed nim swój czar. W końcu jest piękną kobietą, zna sztukę uwodzenia, wie, jak postępować z mężczyznami. Lubiła flirtować, miała opinię wytrawnej kokietki, pilnie jednak strzegła swojej cnoty, bo tę postanowiła zachować dla przyszłego męża.

Dla wywołania większego efektu podeszła cichutko do drzwi salonu i przez nikogo niezauważona zatrzymała się na chwilę w progu. Amanda i ciotka Jennifer siedziały w fotelach obok kominka z tamborkami w dłoniach: wyszywały i słuchały muzyki. Ashton był równie pochłonięty swoim zajęciem, co obie damy. Na jego zwróconej profilem do Mareldy twarzy malowała się tęskna zaduma, której powodów dziewczyna nie potrafiła sobie wyjaśnić. Lękała się jednak, że ów melancholijny wyraz twarzy ma coś wspólnego z przybłądą na górze. Nie, to być nie może!

— Dobry wieczór! — odezwała się głośno, zwracając na siebie natychmiast uwagę zebranych. Ashton odwrócił głowę, przestał grać, stare damy uniosły wzrok, lekko zdziwione nagłą przerwą. Ciotka Jennifer otworzyła szeroko oczy i skrzywiła się z niesmakiem. To, co zobaczyła, tak nią wstrząsnęło, że ukuła się w palec.

— Dobry Boże — mruknęła Amanda pod nosem i chwyciła się za gardło.

Tylko Ashton nie stracił kontenansu. Uśmiechnął się szeroko i podszedł do wchodzącej.

— Dobry wieczór, Mareldo — powiedział lekko rozbawionym głosem.

Dziewczyna wskazała gestem głowy na klawesyn.

— Zagramy w duecie?

— Z przyjemnością — odparł z uprzejmym ukłonem.

Odczekał, aż Marelda usiądzie, sam też usiadł. Ona tymczasem przebiegła dla rozgrzewki palcami po klawiszach i skinęła na znak, że mogą zaczynać. Popłynęły tęskne dźwięki wiolonczeli, wkrótce odezwał się klawesyn: głośno, fałszywie zabrzmiała gra na bez wycucia melodia. Ciotka Jennifer skrzywiła się i choć usiłowała skupić się na hafcie, to raz czy dwa ukłuła się ostrą igłą. Amanda siedziała z marsem na czole i nie wiedząc o tym, kiwała głową, jakby chciała narzucić Mareldzie wciąż gubiony rytm. Ashton, widząc reakcję staruszek, postanowił oszczędzić im dalszej męki i przerwał granie, niby to niezadowolony z własnego wykonania prostego skądinąd utworu. Marelda podniosła się z taboretu i podeszła do kredensowego pomocnika, gdzie na srebrnej tacy stały kryształowe karafki. Nalała sobie solidną porcję brandy i podeszła do mężczyzny, który tak pochłaniał jej myśli i o którego względy tak bardzo zabiegała.

Amanda spojrzała na nią niechętnie i oblała się rumieńcem, widząc nieprzyzwoity dekolt sukni i prawie całkiem odsłonięte piersi Mareldy. W tej samej chwili wielki zegar wybił godzinę i skonsternowana staruszka, czym prędzej zwróciła wzrok w tam tą stronę.

— Gdzie też podziewa się Willabelle? Zwykle o tej porze kręci się już w jadalni, popędza służbę, dogląda nakrywania do stołu.

— Pewnie jest w kuchni i jak zwykle beszta Bertę, że ta się spóźnia z kolacją.

— Dajesz swoim ludziom za dużo swobody, Ashtonie — sarknęła gniewnie Marelda. — Willabelle szarogęsi się po domu, jakby była tu panią.

Ashton nie odezwał się. Niby to pochłonięty strojeniem wiolonczeli brzdąkał, potrącając struny, nastawiał ucha na ich dźwięki.

— Rozpuściłeś służbę — nie dawała za wygraną rozeźlona Marelda. — Wydaje im się, że należą do rodziny, nie wiedzą, gdzie ich miejsce.

— Nikogo nie rozpuściłem. Drogo płaciłem za każdego ze swoich niewolników i nie myślę marnować wydanych pieniędzy przez złe traktowanie ludzi.

— Chodzą plotki, jakobyś obiecał wszystkim, którzy u ciebie pracują, że za dobrą służbę uczynisz ich wyzwolencami. Czy zdajesz sobie sprawę, co mówi prawo o wyzwoleniu czarnych niewolników?

Ashton powoli podniósł głowę, obojętnie prześlizgnął się wzrokiem po dekolcie Mareldy i odparł z niezmaconym spokojem:

— Niewolnik, który myśli tylko o odzyskaniu wolności, nic dla mnie nie jest wart. Taki przy pierwszej okazji ucieknie, lepiej zatem dać im pewność, że kiedy odpracują to, co za nich zapłaciłem, będą mogli odejść. Proste, prawda? Nie łamię prawa.

— Cud prawdziwy, że w ogóle komuś tutaj chce się pracować.

— Belle Chante świetnie prosperuje, wiele razy rozmawialiśmy na ten temat i nie ma potrzeby do niego wracać. — Ashton zamilkł i przeciągnął smyczkiem po strunach. Zirytowany słowami Mareldy szukał ukojenia w dźwiękach instrumentu i myślach o Lierin. Zatrzymał się pod jej drzwiami, kiedy schodził na dół, ale Willabelle powiedziała mu, że żona

źle się czuje. Chociaż bardzo chciał ją widzieć, nie przyjęła go. Zmartwiony, że Lierin go unika, zastanawiał się, czy nękana tak wieloma wątpliwościami kiedykolwiek zaakceptuje fakt, iż są małżeństwem.

Rozejrzał się i nagle zamarł, pewny, że śni. Tyle razy wyobrażał sobie podobną scenę, teraz miał wrażenie, że zwodzą go własne oczy.

— Lierin! — Wymówił to imię na głos czy tylko pomyślał?

Marelda obróciła się gwałtownie, wylewając przy tym kilka kropel brandy na rozłożyste spódnice taftowej kreacji. Przyglądała się stojącej w progu rywalce z jawną niechęcią.

Za plecami Lierin, gotowa służyć jej w każdej chwili ramieniem, stała czujna, ale uśmiechnięta od ucha do ucha Willabelle. Promieniowała dumą, że udało się jej namówić chorą, by wreszcie zeszła na dół. Dawno już rozstrzygnęła sprawę tożsamości dziewczyny, bez najmniejszych zastrzeżeń uznała ją za swoją panią i teraz chciała jej wszelkimi sposobami pomóc, by zajęła należną jej pozycję w domu Wingate'ów.

Ashton poderwał się z krzesła, olśniony wyglądem żony. Rude włosy zaczesane miała do góry i zwinięte w węzeł na czubku głowy. Jasnoróżowa suknia spowijała jej sylwetkę miękką mgielką; bufiaste, jedwabne rękawy zebrane były w nadgarstkach w atlasowe mankiety, takie samo atlasowe wykończenie lamowało wycięcie wokół szyi. Lierin, chociaż blada i niepewna jeszcze swoich sił, promieniowała kobiecym pięknem. Ashton zupełnie zapomniał o Mareldzie. Zapatrzone w zielone oczy żony, miał wrażenie, że poza nimi dwojgiem nie ma nikogo innego w salonie.

Lierin uśmiechnęła się nieśmiało, jakby chciała przeprosić za swoją obecność.

— Willabelle przekonała mnie, że powinnam zejść na dół i zjeść z wami kolację — odezwała się, adresując te słowa do wszystkich zebranych, ale nie odrywając wzroku od twarzy Ashtona. — Nie chciałabym się narzucać, jeśli przeszkadzam, zjem u siebie w pokoju.

— Nawet o tym nie myśl — obruszył się Ashton. Odstawił spieszenie wiolonczelę i podszedł do Lierin, wyciągając ku niej rękę. — Willabelle, dopilnuj, żeby przyniesiono jeszcze jedno nakrycie.

— Nie trzeba, massa Ashton — zachichotała wesoło gospodyni i ruszyła w stronę jadalni, rada, że jej podopieczna znalazła bezpieczne wsparcie na ramieniu męża. — Jużem wszystkiego dopilnowała.

— Słyszałam, jak grałeś, możesz zagrać jeszcze? Proszę cię — powiedziała Lierin ciepło.

— Pod warunkiem, że zechcesz mi akompaniować — szepnął.

— Mam ci akompaniować? — stropiła się, gdy Ashton wskazał oczami instrument i pokręciła głową. — Nie potrafię... tak przy najmniej mi się wydaje...

— Zobaczmy, może sobie przypomnisz — zachęcił, prowadząc żonę do klawesynu. Gdy usiadła, uderzył w klawisze, dobywając parę melodyjnych tonów. Lierin poprawiła się na taborecie, chwilę rozprostowywała palce, po czym powtórzyła bezbłędnie przebrzmiałe właśnie nuty, zaśmiała się zadowolona z siebie i podniosła wzrok na męża. Ashton zagrał dłuższy fragment, a ona przesunęła się, robiąc mu miejsce koło siebie; zagrali prostą melodię. Nagle, nie wiadomo skąd, na usta Lierin spłynęły słowa żartobliwej piosenki i ku własnemu zaskoczeniu zaczęła śpiewać dźwięcznym, miłym głosem. Skończyli grać, zaśmiewając się z udanej próby. Uszczęśliwiony Ashton przytulił mocno żonę, ona zaś poddała się tej pieszczocie bez najmniejszych zahamowań, tak wydała się jej naturalna.

— To było urocze, madame, dziękuję ci — oznajmił z kurtuazją.

— Cała przyjemność po mojej stronie — rzuciła swobodnie.

Marelda zgrzytała ze złości zębami, widząc, że jej plany wobec Ashtona udaremniło nieoczekiwane pojawienie się obmierzłej przybłądy. Patrząc nie mogła, jak tych dwoje umizga się do siebie, jak im wesoło i dobrze we własnym towarzystwie. Czuła się upokorzona, zapomniana, śmieszna w swojej strojnej, taftowej sukni z nieprzyzwoicie głębokim dekoltem. Z żalnością popatrywała, jak Ashton, dla którego tak się stroiła, pożera oczami rudowłosą ładacznicę. Duma jej nie pozwalała tak uczynić, ale miała nieprzepartą ochotę wstać i wyjść z pokoju.

Jej uczuć nie podzielał nikt z zebranych salonie. Amanda najwyraźniej się ucieszyła na widok Lierin, obecność dziewczyny podniosła ją na duchu niemal tak samo jak Ashtona. Kiedy spoglądała na dwoje zapatrzonych w siebie młodych, zapomniała zupełnie o niefortunnej toalecie Mareldy. Lierin była piękna i bardzo kobieca, Ashton przystojny i męski. Stanowili doprawdy idealnie dobraną parę.

Amanda wymieniła z siostrą pełne satysfakcji spojrzenia; stare damy porozumiały się bez słów, mogły tylko żałować, że Lierin dopiero teraz pojawiła się w ich domu.

Odezwał się gong obwieszczający, że podano do stołu. Ashton poprowadził żonę i wskazał jej krzesło zarezerwowane dla pani domu, sam też usiadł u szczytu stołu, po przeciwnej stronie. Marelda, targana zazdrością, sama musiała przejść do jadalni, nie miał jej, kto służyć ramieniem. Stała markotnie obok swojego miejsca i gestem podziękowawszy Willisowi za pomoc, czekała, aż Ashton odsunie jej krzesło. Gdy wreszcie podszedł, upuściła rozmyślnie chusteczkę, po czym nachyliła się po nią równocześnie z Ashtonem, ukazując mu tym sposobem swój dekolt w całej okazałości. Obie starszki właśnie wchodziły do jadalni i nie zauważyły małego przedstawienia, ale nie uszło ono uwagi Lierin, która w lot pojęła intencje Mareldy. Zrozumiała, że Willabelle miała rację, kiedy wyrażała swoją opinię na temat dziewczyny. Najwyraźniej zagięła parol na Ashtona i chwyciła się wszelkich sposobów, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Ashton z całkowitym spokojem, jakby nic nie zauważył, pod niósł chusteczkę, położył ją obok talerza Mareldy i spojrzał na Lierin, ciekaw jej reakcji. Widząc zdziwienie w jej oczach, nie znacznie wzruszył ramionami, świadom aż nadto dobrze, że musi poczekać z wyjaśnieniami, aż zostaną sami.

— Jak to dobrze, że wreszcie wstałaś, moja droga — powie działa Amanda, zatrzymując się przy krześle Lierin i klepiąc ją serdecznie po ramieniu.

— Och, tak, sprawiłaś nam wielką radość — zawtórowała siostrze Jennifer.

Lierin wzruszyło to ciepłe przyjęcie, poczuła, że oczy jej wilgotnieją, zamrugała gwałtownie powiekami i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Dziękuję.

Marelda siedziała przy stole zła, smutna i zawiedziona. Nie śmiałość i skromność Lierin tłumaczyła sobie jako sprytną grę, spoglądała na nią niczym wąż gotów w każdej chwili połknąć ofiarę, ale choć bardzo się starała, nie mogła znaleźć w rywalce najmniejszego uchybienia, błędu, niedostatku. Cóż, myślała markotnie, straciła szanse, tamta zajęła miejsce, które ona zamierzała zająć, tamta stała się centralnym obiektem zainteresowania domowników, a ona musiała się przyglądać z boku, jak wszyscy nadskakują rudowłosej przybłądzie, ze wszystkich sił zabiegają o jej łaski, uznając za żonę Ashtona.

Pod koniec kolacji Lierin wyraźnie opadła z sił, przeprosiła, więc towarzystwo, by, czym prędzej udać się na górę. Ashton wstał pospiesznie od stołu i, niepomny lodowatego

spojrzenia, Mareldy, ofiarował się odprowadzić żonę do sypialni. Szła powoli, ostrożnie, zmęczona długim siedzeniem na twardym krześle. Widząc to, zatrzymał się w holu i wziął ją na rękę. Skrzywiła się lekko.

— Czy cię uraziłem? — zapytał z niepokojem. — Przepraszam.

— Nie, nic się nie stało. To tylko siniak na plecach — uspokoiła go pospiesznie i objęła za szyję. Zaczynała powoli rozumieć, dlaczego Marelda tak walczyła o tego mężczyznę. Prawdę mówiąc, świadomość, że jest jego żoną, była całkiem przyjemna, a nawet z dnia na dzień coraz przyjemniejsza.

Ashton zmarszczył czoło. Przypomniawszy sobie, że Willabelle wspominała o rozległym sińcu, który dostrzegła na plecach Lierin.

— Wiesz, skąd ten siniak?

Lierin nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że z wypadku.

— Willabelle myśli, że ktoś mógł cię uderzyć. Nie przypominasz sobie nic takiego?

— Nie, nic nie pamiętam. Nie wiem, dlaczego ktoś miałby mnie bić.

— Pokażesz mi to miejsce? — zapytał i dojrzał w jej oczach zaniepokojenie. — Jestem po prostu ciekaw, jak to wygląda.

Lierin uśmiechnęła się, słysząc nieporadne tłumaczenie się.

— Nie mogę twierdzić na pewno, ale zdaje mi się, że słyszałam już sprytniejsze wymówki z ust różnych nicponi — przekomarzała się.

— Cóż, nie zapomniałem, jakie masz śliczne plecy, naprawdę godne podziwu, nie dziw się, przeto, że każda wymówka jest dobra, bylebym miał sposobność znowu je oglądać — odparł, szczerząc zęby w hultajskim uśmiechu.

Wniósł żonę do pokoju i mówił dalej, zmierzając w stronę łóżka:

— Prawdę mówiąc, każda część twojego ciała godna jest po dziwu. Taka jesteś delikatna i kobieca...

Zakłopotana komplementami Lierin uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat:

— Sprawiałam ci kłopot dzisiejszego wieczoru..., musiałeś zostawić babkę, ciotkę i swojego gościa samych sobie i nieść mnie tu, na górę.

— Wręcz przeciwnie, moja najdroższa, dałaś mi sposobność, bym uwolnił się od męczącego towarzystwa Mareldy.

Spojrzała na niego koso i nie mogła się powstrzymać od łagodnego przytyku.

— Myślałam, że miłe ci są jej gierki.

— Nie, już dawno ją przejrzałem... a jeszcze teraz, kiedy mam ciebie, nad wszystko przedkładam twoją osobę.

Widząc, jak Ashton na nią patrzy, jak pałają mu oczy, poczuła, że oblewa się rumieńcem.

— Może położysz mnie już... — zaproponowała zmienionym głosem.

Ashton opanował się i z ociąganiem, przybierając zwykłą jowialną manierę, ułożył żonę na pościeli. — Teraz jesteś już bezpieczna, moja pani, doniosłem cię na miejsce, nie

przysparzając dodatkowych siniaków. Widzi mi się, że strój masz niezbyt stosowny na spoczynek. Chcesz, żebym ci pomógł?

Odmówiła ze śmiechem.

— Poczekam raczej na Willabelle, ona mi pomoże się rozebrać.

— Co słyszysz? Nie skorzystasz z pomocy tych skorych rąk? Mężowi przystoi pomagać żonie w wieczornej toalecie bez narażania jej dobrego imienia. Przyrzekam, że będę się zachowywał jak na dżentelmena przystało.

Lierin uniosła brew na znak, że nie ufa jego gładkim zapewnieniom.

— Jak żonaty dżentelmen który poważnie traktuje swe małżeńskie prawa?

— Ma się rozumieć — droczył się Ashton. — A jak inaczej miał bym je traktować?

Lierin parsknęła śmiechem.

— Nie sądzę, bym była bezpieczna sam na sam z panem, choć mówisz coś innego.

— Jak możesz mi zarzucać podobne bezceństwa, widział, kto, żeby mąż nastawał na cześć żony?

— Jeśli bardzo zdesperowany, to może się zdarzyć — odparła rozbawiona.

— Bardzo zdesperowany, to prawda — przyznał — ale nie uczynię nic, co by miało zniszczyć twoje zaufanie, bo mi ono droższe od małżeńskich rozkoszy. Chcę cię przekonać, że potrafię powściągnąć żądzę i że zdrowie żony dla mnie jest najważniejsze.

— Nie mam już siły sprzeczać się z tobą — oznajmiła lekkomyślnie, okazując mniej rozwagi, niż sytuacja wymagała. Prawdę mówiąc, poczuła się niczym trzpiołka, która zapomina o własnym bezpieczeństwie. Co ten człowiek miał w sobie, że czuła się przy nim tak swobodnie? Był przystojny, to prawda, nikt nie mógł zaprzeczyć, a przy tym taki męski i to chyba najbardziej ją po ciągało.

— Pamiętaj, coś przed chwilą powiedział, mój panie. Zaufanie to podstawa każdego małżeństwa.

Ashton zachichotał i począł rozpinać jej suknię. Jednak na widok paskudnego sińca natychmiast odechciało mu się śmiać. Kiedy rozchylił mocniej suknię na plecach, Lierin wstrzymała oddech.

— Spokojnie, najdroższa — uspokoił żonę. — Chcę tylko lepiej obejrzeć to stłuczenie. — Przyniósł lampę i spojrzał na długą, krwawą wybroczynę, która biegła na ukos przez całe plecy. Przy pomniął sobie matronę z pejcem, ale obrażenie musiało być spowodowane jakimś ciężkim narzędziem. — Nie sądzę, by to było stłuczenie od upadku z konia — orzekł wreszcie.

Myśl, że ktoś mógł ją zaatakować z premedytacją, zupełnie zbiła Lierin z tropu. Nie mogła sobie wyobrazić, z jakiego powodu miałyby stać się ofiarą przemocy, ani tym bardziej przy pomnieć okoliczności, w jakich dokonano napaści. Obróciła się na łóżku twarzą do Ashtona i zobaczyła jego gorejące oczy, w których zamiast troski czytała teraz niczym nie hamowane pożądanie. Mięśnie twarzy miał napięte, nozdrza rozszerzone, oddychał ciężko. Serce zabiło jej gwałtownie. Bała się, że pod dotknięciem dłoni Ashtona ustąpią wszelkie opory. Zerwała się z łóżka i skryła za parawanem.

Ashton dopiero po dłuższej chwili zapanował nad własnymi emocjami.

— Chcesz, żebym przysłał ci Willabelle? — zapytał wreszcie.

— Nie, nie będzie mi już potrzebna.

— Może w takim razie ja ci pomogę się rozebrać?

Lierin zaśmiała się nerwowo, rozwiązała troczki halki i zrzuciła ją na podłogę razem z suknią.

— Mam wrażenie, że z pana straszny huncwot, panie Wingate.

Ashton zachichotał, wstał i począł krążyć po pokoju.

— To samo powiedziałaś trzy lata temu.

— To znaczy, że jednak zachowałam resztki zdrowych zmysłów.

87

— Nadal jesteś taka piękna jak wtedy — powiedział, kiedy wy chyliła głowę zza parawanu.

— Czy możesz podać mi koszulę nocną i szlafrok? Leżą w bielizniarce — poprosiła, nie chcąc pozwolić, by rozprawiał o jej urodzie.

Ashton sięgnął po żądane rzeczy i powiesił obydwie na parawanie. Czekając, aż żona skończy się przebierać, rozpiął surdut, kamizelkę, rozluźnił halsztuk. Kiedy wreszcie wyszła, by usiąść przy toalecie, stanął obok. Czuł się jak marcowy kocur, który ugania się za partnerką. Lierin zeszywniała, czując jego dłoń na swoim ramieniu. i ją ogarnęła fala pożądania, serce zaczęło bić szybciej. Ashton nachylił głowę, zbliżył twarz do jej twarzy i za topił wzrok w roziskrzonych szmaragdowych oczach żony. Nie broniła się przed jego pocałunkiem, przeciwnie, zamknęła powieki i oddała pieczęć, gdy tylko poczuła dotknięcie jego warg na swoich.

Nie wiadomo, do czego doprowadziłby ów zrazu delikatny, potem namiętny, żarliwy pocałunek, gdyby nie pukanie do drzwi, które sprowadziło parę kochanków na ziemię. Ashton uniósł głowę, zaklął cicho i zerknął z wściekłością ku drzwiom. Już miał ochotę odprawić z kwitkiem intruza, ale pukanie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze i bardziej natarczywe. Wstał z pomrukiem, podszedł do okna i otworzył je; musiał nieco ochłonać, wystawiając rozgorączkowane ciało na chłodny powiew wieczornego powietrza.

Lierin też potrzebowała chwili, żeby się uspokoić.

— Tak, kto tam? — zawołała wreszcie drżącym jeszcze głosem.

— Marelda Rousse, mogę wejść? — rozległ się znajomy głos.

Ashton przecesał włosy gniewnym gestem.

— Skręć kark tej kobiecie!

— Chwileczkę, Mareldo — odpowiedziała Lierin i zerknęła na Ashtona, a kiedy skinął przyzwalająco głową, podeszła do drzwi.

— Kilka dni temu zostawiłam u ciebie książkę — oznajmiła Marelda, wchodząc pospiesznie do pokoju. — Chciałabym prze czytać kilka stron przed snem, odpreżam się w ten sposób. — Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu tego, po kogo przyszła. — O, Ashton — zawołała, udając zaskoczenie i chociaż z ust nie znikał sztuczny uśmiech, w jej oczach pojawiły się lodowate błyski. — Przepraszam, widzę, że... wam przeszkodziłam.

Ashton był coraz bardziej zirytowany zachowaniem dziewczyny.

— Wezmę tylko książkę — bąknęła, czując doskonale, że nie jest mile widziana. — Zostawiłam ją gdzieś tutaj na stoliku obok fotela. — Przeszła przez pokój i sięgnęła po tomik, który zauważyła w czasie pierwszej wizyty w sypialni Lierin. Zdesperowana i wściekła, że

Ashton ciągle najpewniej siedzi z Lierin, wymyśliła to kłamstewko, by przerwać czułości młodej pary.

— Och, zapomniałabym... — rzuciła jeszcze od progu. — Słyszałam jakieś hałasy w stajni. Być może konie się czymś spłoszyły. Mam kogoś posłać, żeby sprawdził, czy sam tam pójdziesz, Ashtonie?

— Zajmę się tym — mruknął Ashton, tracąc resztki cierpliwości.

— Chcesz, żebym posiedziała chwilę z Lierin, kiedy ty pójdziesz do stajni? — zaproponowała z udaną słodyczą w głosie.

— To nie będzie konieczne, Mareldo — odpowiedziała, Lierin sztywno.

— Zatem życzę wam dobrej nocy. Miłych snów — zagruchała Marelda i z szelestem spódnicy opuściła wreszcie pokój.

Zaciskając zęby z gniewu, Ashton chwycił surdut przewieszony przez oparcie krzesła i zarzucił go sobie na ramię.

— Specjalnie tu przyszła.

Lierin była tego samego zdania, ale widząc, jak bardzo Ashton jest zirytowany, nie chciała drążyć tematu nieoczekiwanej wizyty Mareldy.

— Mam nadzieję, że nic złego nie stało się w stajniach — stwierdziła krótko.

— Marelda zapewne i to wymyśliła — burknął Ashton w odpowiedzi i dodał już łagodniej, podchodząc do żony: — Torturą będzie rozstać się teraz z tobą.

— Torturą będzie, jeśli zostaniesz — szepnęła Lierin. — Nie jestem jeszcze gotowa. Idź już — ponagliła męża do wyjścia. — Zajrzyj do koni i pozwól mi pozbierać myśli, proszę.

Na odgłos cichego pukania do drzwi Ashton podniósł głowę znad ksiąg rachunkowych. Niemal w tej samej chwili zegar na biurku zaczął wybijać jedenastą. Ashton wstał i przeciągnął się, prostując zeszywniałe mięśnie karku i pleców. Oczywiście, alarm w stajni okazał się fałszywy; teraz Wingate zastanawiał się, jaka też czeka go jeszcze niespodzianka dzisiejszego wieczoru. Tego, co ujrzał, naprawdę się nie spodziewał. Na progu stała Marelda w zwiewnej, przezroczystej koszulce i równie zwiewnym peniuarze — stroju, który więcej odsłaniał, niż ukrywał. Rozpuszczone włosy spływały swobodnie na ramiona, całą po stać otaczał gęsty obłok intensywnego zapachu perfum. Panna uśmiechnęła się uwodzicielsko, wkroczyła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie plecami, piersi wypięła do przodu, w niemym zaproszeniu. Gdy Ashton nie drgnął nawet, zrobiła kilka kroków ku niemu; on się cofnął, uciekając przed kontaktem, i uniósł brwi wyraźnie zdziwiony raptowną ofensywą.

— Chyba się pomyliłaś, droga Mareldo — stwierdził sucho.

— Nie, nie pomyliłam się. — Czerwone usta rozchyliły się w pełnym kokieterii uśmiechu, delikatny jak mgiełka peniuar zsunął się z ramion dziewczyny i opadł powoli na podłogę.

— Jestem już zmęczona polowaniem na ciebie. Przyszłam, że byś wreszcie się dowiedział, co mam ci do zaoferowania. Żadna inna kobieta nie jest w stanie spełnić twoich pragnień i potrzeb tak dobrze, jak ja to potrafię zrobić. Znam cię znacznie lepiej niż ta przybłąda, dla której straciłeś głowę. Gonisz za mrzonkami, za jakimiś złudami, która się rozwieje jak dym na wietrze, a ja będę zawsze u twojego boku, zawsze będę cię kochać, nigdy nie opuszczę.

Pokręcił głową, zirytowany natarczywością swojej adoratorki. Gdyby wcześniej czynił jej jakieś awanse, mógłby zrozumieć, dlaczego tak na niego nastaje, dlaczego nie przyjmuje rekuzy, ale on zawsze traktował ją obojętnie, nie dawał nadziei...

— Mareldo, przepraszam... ja... ja nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie, poza wszystkim nie jestem wolny..., mam żonę...

Marelda, raz powziąwszy decyzję, nie zamierzała ustępować.

— Jesteś wolny, jeśli tylko zechcesz — zagruchała przymilnie — a ja przyszedłam oddać ci się z własnej woli. Wiem, że mnie kochasz. Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać?

Ashton patrzył na nią przez chwilę, usiłując nadążyć za jej rozumowaniem. W końcu westchnął, uśmiechnął się blado i spróbował spokojnie przemówić dziewczynie do rozsądku.

— Mylisz się, Mareldo, bardzo się mylisz. Musisz wreszcie zrozumieć, że Kocham swoją żonę. — Uśmiech zgasł mu na ustach, z naciskiem wymówił następne słowa: — Kocham Lierin, Kocham ją od lat i żadna inna dla mnie nie istnieje.

Gdy do Mareldy wreszcie dotarła prawda, zaszła w niej gwałtowna metamorfoza. Przestała się uśmiechać, twarz jej wykrzywiła wściekłość, oczy najpierw rozgorzały, potem pojawił się w nich lód. Palce zakrzywiła niczym szpony; gotowa była rozorać nimi Ashtonowi twarz.

— Uspokój się, Mareldo — ostrzegł stanowczym głosem i chwycił ją za nadgarstki, powstrzymując atak. — Nic ci z tego nie przyjdzie.

Dziewczyna szarpnęła się z dzikim pomrukiem. Chwyciła peniuar, szczelnie się nim otuliła, zawiązała pasek. Z rozmazaniem różem na policzkach i tuszem na oczach wyglądała jak wzgardzona uliczna dziewczka. Energicznym gestem zwinęła włosy w węzeł na karku i piskliwym głosem zaczęła miotać ryszotkowe obelgi. Ashton z niejakim rozbawieniem słuchał, co Marelda ma do powiedzenia na temat jego pochodzenia, urodzenia i wychowania. Nie oszczędziła żadnego etapu w jego życiu, wszystko miała mu za złe, aż doszła do terażniejszości.

— Ty łajdaku! Kręcisz przede mną tyłkiem, paradujesz w wąskich bryczesach, a ja głupia patrzę na ciebie, tracę głowę, upokarzam się i przychodzę tu do ciebie, składam swoje serce w twoje ręce, a ty mnie odrzucasz niczym, jaki ogryzek jabłka, odwracasz się ode mnie ze wzgardą, obrażasz mnie, radzisz, żebym szukała pociechy w ramionach innego. — Z ręką na kłamce jeszcze się odwróciła, jeszcze wykrzykiwała inwektywy: — Ty przekłety sukinsynu! Ty łajdaku! Ba! Mężczyźni! Sobacze plemię! Wszyscy jesteście tacy sami!

Szarpnęła drzwi i z impetem zatrzaskała za sobą. Po chwili huknęły drzwi od jej pokoju.

5

Marelda opuściła Belle Chante z gwałtownością godną letniej burzy. Ledwie raczyła się pożegnać z obydwoma damami, które nie kryły zaskoczenia raptowną decyzją kapryśnicy. Wielki kufer podróżny został umieszczony z tyłu powozu, a kiedy Ashton pojawił się na podjeździe, skinęła mu chłodno głową, zignorowała jego wyciągniętą dłoń i w zamian przyjęła pomoc stangreta, dum nie sadowiąc się na ławeczce. Gdy lando ruszyło w stronę bramy, Amanda i Jennifer zerknęły pytająco na Ashtona, ale jego szeroki uśmiech nic im nie wyjaśnił, a tylko jeszcze bardziej zbił staruszki z tropu.

Marelda zżymała się przez całą drogę do Natchez, mrużąc pod nosem przekleństwa pod adresem pana na Belle Chante życzyła mu z całej duszy, by go ziemia pochłonęła razem z jego najdroższą, ukochaną żoną. Myślała z przyjemnością o zgubie tych dwojga. Przysięgała sobie, że gdyby dotarła do niej wiadomość o nagłej, a niespodziewanej śmierci Lierin Wingate, ona odtańczyłaby zwycięski taniec na grobie ladacznicy. Zbyt wiele wycierpiała

przez podstępą przybłędę. Wszystkie jej plany spełzły na niczym, kiedy tamta pojawiła się pod dachem Wingate'a. Rodzina oszalała na jej punkcie, zwiedziona udaną niewinnością intrygantki, tej wstrętnej oszustki!

Marelda nieustannie wracała w myślach do sceny, która rozegrała się poprzedniego wieczoru, piekliła się, burzyła, wyobrażała sobie, że zadaje zdradzieckiej parze najbardziej wymyślne tortury, przypieka obydwoje na rozżarzonych węglach i lamie kołem za wszystkie zniewagi, jakich musiała doświadczyć. Najchętniej wy batożyłaby tę sukę, każąc Ashtonowi przyglądać się bezradnie cierpieniom najdroższej. Dawszy wreszcie upust pierwszemu wybuchowi nienawiści, zaczęła obmyślać możliwe sposoby realnego odwetu. Cokolwiek jednak przychodziło jej do głowy, przy bliższym rozważeniu okazywało się nieskuteczne, gdyż w ostatecznym rachunku każda zemsta skrupiłaby się na niej samej, za każdą w końcu musiałaby zapłacić. Zniechęcona, zarzuciła pomysł szukania pomsty do czasu, aż znajdzie jakiś bezpieczny sposób, który nie wystawiałby jej na ryzyko i karę.

Powóz wjechał do Natchez i z głośnym turkotem przetoczył się obok gospody, przed którą stała grupka gawędzących mężczyzn. Marelda nie zwróciła na nich uwagi, ale w ostatniej chwili dostrzegła pośród rozmawiających krępa sylwetkę pana Horacego Titcha: niski człowieczek podskakiwał niczym wróbel, usiłując przepchnąć się do zbitego wianuszka zgromadzonych i włączyć do rozmowy, ale reszta wyraźnie go ignorowała. Horacy zawsze wydawał się Mareldzie komiczną postacią i często pokpiwała sobie z niego za plecami, ale zdawała też sobie doskonale sprawę, że ma w nim oddanego adoratora, który wodzi za nią maślanym, pełnym uwielbienia wzrokiem. Być może za jeden uśmiech mogłaby uczynić z niego powolne sobie narzędzie? Tak, to mogłoby się udać, pomyślała zadowolona z pomysłu.

Rzuciła polecenie stangretowi i zakryte lando stanęło koło gospody. Wychyliła się przez okno i machnęła chusteczką, chcąc zwrócić na siebie uwagę nic nieprzeczuwającego Horacego.

— Panie Titch! Halo, panie Titch!

Horacy rozejrzał się i aż pokraśniał na widok Mareldy. Prze prosił kompanów, podbiegł do powozu, kołysząc się niby kaczką na swoich krótkich nóżkach.

— Droga miss Rousse! — zawołał zasapany i rozradowany. — Jakie to szczęście cię widzieć!

Scena poniosła niepowetowaną stratę przez to, że Marelda, zamiast obrać karierę wielkiej tragiczki, wolała wieść życie bogatej dziedziczki. Najlepsza była w roli damy powściągliwej, cnotliwej oraz pełnej zasad. Nawet gdyby była mniej zdolną aktorką, zapatrzony w nią Horacy i tak nic by nie zauważył.

— Bardzoś grzeczny, panie Titch. Sprawiasz, że przy tobie kobieta czuje się kimś wyjątkowym — rzekła, spuszczając skromnie oczy.

— Bo też jesteś kimś wyjątkowym, miss Rousse. Kimś bardzo wyjątkowym — zapewnił Horacy z najgłębszym przekonaniem.

— Ależ, co też ty mówisz, Titch. To doprawdy bardzo miłe z twojej strony, muszę jednak mieć się na baczności, byś nie zawrócił mi w głowie swoimi pochlebstwami.

Horacy o mało nie pękł z nadmiernej radości.

— To w żadnym razie nie są pochlebstwa. Jesteś pani najwytworniejszą damą w całym Natchez. I najpiękniejszą, ośmielę się dodać.

Marelda znowu opuściła oczy i uśmiechnęła się niby to zaambarasowana tym, co usłyszała.

— Przyprawisz mnie pan o rumieńce, Titch, jeśli będziesz dalej prawił mi podobne dusery.

Horacy wypiął pierś, tak, że omal nie pękła na nim kamizelka w dużą pepitę. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się przyprawić o rumieniec żadnej niewiasty, chyba że którąś zezłościł. Na myśl, że piękna Marelda z powodu jego gładkich słów gotowa się spłonić, urósł znacznie we własnym mniemaniu i zapadł w nieznany dotąd błogostan. Tak był zachwycony sobą, że dopiero po dobrej chwili zauważył, iż z liczka panny Rousse zniknął uśmiech, po jawił się zaś frasunek i że strapiona dama mnie nerwowo w dłoniach chusteczkę. Wreszcie zrozumiał, że został przywołany z jakiegoś powodu i zapytał ostrożnie:

— Czy... może mógłby w czymś ci pomóc, droga miss Rousse?

— Och, panie Titch, nie chciałabym sprawiać kłopotu...

— Cała przyjemność po mojej stronie. Jestem na twoje usługi...

— Cóż, jeśli jest pan pewien, że moja prośba nie okaże się zbyt śmiała...

— Na pewno nie — oznajmił skwapliwie. — Mów, co mogę dla ciebie uczynić, a zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Marelda udała, że się waha, zastanawia, ociąga z decyzją, wreszcie uraczyła Horacego wymyślonym na poczekaniu kłamstwem.

— Nie wiem, co począć. Wuj do mnie przyjeżdża z wizytą... a ma zwyczaj pijać poncz wieczorem... lekarz mu zaordynował... rozumiesz.

— Rozumiem wyśmienicie.

Przeciągając z afektacją słowa, Marelda mówiła dalej słodkim jak miód głosem:

— Zupełnie zapomniałam polecić służbie, żeby kupili butelkę albo dwie, w piwniczce pustki, a wujaszek zjeżdża dzisiaj wieczorem. Nie nawykłam dbać o męskie potrzeby, gubię się ze szczętem. Jeśli nie dam mu nic do picia, nie poczęstuję kieliszeczką, uzna, że go niegościnnie i gotów się obrazić. Nie śmiem sama wejść do gospody, chyba rozumiesz moje opory, prawda? To terytorium zarezerwowane dla mężczyzn. Wyślę stangreta, to znowu powóz zostanie bez opieki.

— Och, chętnie wybawię cię z kłopotu, miss Rousse — zapewnił z zapalem Horacy.

— Naprawdę to uczynisz, panie Titch? — Marelda zaczęła rozwiązywać troczki sakiewki, zabrzęczały monety. — Zaraz dam ci pieniądze, poczekaj jedną chwilę.

Zachwycony, że może służyć pięknej damie, pan Titch obruszył się:

— Nawet nie chcę o tym słyszeć, miss Rousse. Proszę, pozwól mi załatwić sprawę, jak na prawdziwego dżentelmena przystało, bodaj tyle mogę uczynić.

Co rzekłszy, Horacy pobiegł spełnić polecenie, a dreptał przy tym niby kaczka po zamrzniętym stawie. Przejęty jak nigdy, uznał, że większe zyska uznanie w oczach Mareldy, jeśli zamiast jednej butelki kupi dwie albo, jeszcze lepiej, trzy.

Marelda tymczasem czekała zapatrzona w przestrzeń i rozmaite te myśli chodziły jej po głowie. Kochała pieniądze, ale to, co zostawili rodzice, nie zaspokajało apetytów panny. Oto jednak pojawiło się źródło, którego wcześniej nie brała pod uwagę. Titchowie mieli na tyle pokaźny majątek, że mógł on z powodzeniem zrównoważyć niedostatki pękatego człowieczka. W dodatku Horacy, w przeciwieństwie do tego hardzego diabła Ashtona, był powolny jej życzeniom. Tak zafrapowała ją perspektywa życia w luksusie, że miała wrażenie, iż nie czekała chwili nawet, gdy drzwi gospody się otworzyły i stanął w nich Titch z dużym workiem płóciennym w ramionach. Przyturlał się do powozu i złożył dar u stóp damy.

— Starczy na dwa tygodnie, panno Rousse. — Rozchylił worek, w którym tkwiły cztery butelki. — Twojemu... eee... wujkowi nie zabraknie napitku.

— Och, panie Titch, mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności. Nie wiem, jak ci się odpląć. Chcesz jechać ze mną, może gdzieś cię podwieźć?

— Pojadę, choćby dla samej przyjemności przejażdżki z tobą, panno Rousse, a wysiądę gdzie bądź, wedle twojego uważania. — Tu wskazał na powozik z czarnym stangretem na koźle, czekający kilkadziesiąt metrów dalej, po czym, nieco speszony świetnym towarzystwem, usadowił się na ławce naprzeciwko Mareldy. — Mój powóz pojedzie za nami.

— Mam nadzieję, że nie przerwałam ci jakiejś ważnej rozmowy z przyjaciółmi? — zapytała Marelda, myśląc o grupce mężczyzn stojących przed gospodą.

— Owszem, tak ważną, że wzbudziłaby obawę w sercu każdego mieszkańca Natchez, gdyby poznał jej temat. Radziliśmy właśnie, że trzeba zacząć działać.

— Dobry Boże, rzeczywiście musieliście rozmawiać o ważnych sprawach. Można wiedzieć, co było przedmiotem waszej narady, panie Titch?

— Szaleńcy, co zbiegli z domu dla obłąkanych.

Marelda tym razem była szczerze zdumiona.

— Ktoś uciekł z domu wariatów?

— Nic nie słyszałaś? — napaścił się Horacy, dumny, że może służyć Mareldzie informacjami. — Zakład spłonął i kilku szaleńców zbiegło w czasie pożaru. Włóczą się teraz po okolicy, a wiadomo to, jaką szkodę taki jeden z drugim może wyrządzić?

— Kiedy się to stało?

— Tego wieczoru, kiedyśmy wszyscy zjechali do, Belle Chante, oczekując powrotu Wingate'a

Marelda odchyliła się na ławce, bacznie spoglądając, na Titcha. Jej mózg zaczął powoli kojarzyć fakty. Ashton wspomniał coś, że Lierin mogła uciec z płomieni i oto okazuje się, że właśnie tamtej nocy spłonął dom wariatów. Co za zbieg okoliczności! Czyż to nie pomyślna wiadomość? Omal nie zaśmiała się na głos i nie zaczęła zacierać rąk z radości. Być może znalazła właśnie bezpieczny sposób, by wziąć odwet na mieszkańcach Belle Chante.

Zrobiła zatroskaną minę.

— Myślisz, że dziewczyna, którą Ashton przywiózł do domu, mogła uciec z zakładu?

Krzaczaste brwi Horacego uniosły się w wyrazie zaskoczenia. Dotąd nie pomyślał o takiej możliwości.

— Cóż, być może...

— Ashton powiada, że to jego dawno zaginiona żona, ale kto by w to uwierzył? — Marelda widziała, jak Titch, niby gąbka, chłonie sugestie, które mu skrzętnie podsuwała. — Jak to możliwe, żeby była jego żoną, skoro wszyscy wiedzą, że Lierin Wingate utonęła trzy lata temu.

— Dlaczego zatem miałby utrzymywać, że to jego żona, kiedy nią nie jest?

Marelda niby to się zafrasowała, po czym rzekła ostrożnie:

— Przykro mi to mówić, ale wiesz, jaki Ashton jest łasy na każdą ładną buzię. Być może wie, że dziewczyna uciekła z zakładu i chętnie daje wiarę, że straciła pamięć, bo tak mu wygodnie.

Horacy potarł w zamyśleniu brodę. To, co podsuwała Marelda, mogło być prawdą, mimo to nigdy by się nie odważył stanąć twarzą w twarz z Ashtonem i oskarżyć go o kłamstwo. — No to znalazła sobie dziewczyna bezpieczne gniazdko.

Marelda czuła się zawiedziona. Sądziła, że Titch uczepli się podejrzeń niby hiena padliny.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nikt nie śmie zadzierać z Ashtonem — odrzekł, nie owijając w bawełnę.

— Ale ona mogła uciec z zakładu! Wszyscy możemy być w niebezpieczeństwie — przypomniała mu jego własne słowa, nie kryjąc rozczarowania wobec braku zapachu ze strony Horacego.

— Bez dania racji nikt jej nie zabierze z Belle Chante. Musiałaby pierwej coś zrobić.

— Co mianowicie? — Mały człowieczek zaczynał przyprawiać Mareldę o coraz większą irytację. — Będziemy czekać aż kogoś zabije?

— Albo kogoś skrzywdzi. — Musiałaby zrobić coś naprawdę drastycznego, by zmusić Titcha do działania, a podejrzewała, że nie on jeden rozumował w ten sposób.

— Oka chyba nie zmrużę — oznajmiła Marelda, ale ci, którzy ją znali, wiedzieli doskonale, że kiedy wypila kilka szklaneczek ponczu, to choćby Missisipi wystąpiła z brzegów i porwała jej dom, ona dalej spałaby smacznie, o niczym nie mając pojęcia. — Ta kobieta gotowa zabić mnie we śnie i nie ma nikogo, kto stanąłby w mojej obronie.

— Ja chętnie będę cię bronił i chronił, panno Rousse — zaofiarował się Horacy wspaniałomyślnie. — Jeśli dzięki temu poczujesz się pewniej, mogę zachodzić do ciebie każdego dnia..., albo... każdego wieczora i sprawdzać, czy jesteś bezpieczna.

— Naprawdę, Horacy, mógłbyś? — Z pełnym wdzięczności uśmiechem położyła dłoń na jego ręce. — Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Po zachęcie ze strony Mareldy Horacy Titch zupełnie stracił dla niej głowę. Przez tydzień trzymał się z dala od jej domu, tłumacząc sobie, że nie powinien przeszkadzać podczas wizyty wuja, wreszcie uznał, że odczekał stosowny czas i pojawił się na progu rezydencji młodej dziedziczki. Pokojówka, która mu otworzyła drzwi, zmierzyla go podejrzliwym wzrokiem, ale wprowadziła do salonu, prosiła czekać, podała kawę i poszła zawiadomić panią, że ma gościa. Zegar na kominku wskazywał, co prawda już dziesiątą, ale Horacy, któremu spieszo było podjąć nowe obowiązki w obronie bezpieczeństwa damy, nie wziął jednak pod uwagę, że ta lubi wysypiać się do późna. Siedział, przeto w fotelu, bębnił niecierpliwie palcami w porcelanową filiżankę, minuty płynęły, on czekał. Sącył właśnie drugą porcję smolistego napoju, kiedy w salonie pojawiła się wreszcie Marelda. Kiedy ją zobaczył ubraną w koszulę i wdzięczny szlafroczek, który ledwie osłaniał ponętą kibić, zakręciło mu się w głowie; w jednej sekundzie przebaczył jej, że tak długo kazała na siebie czekać.

— Najuniżeniej przepraszam cię, pani — wyjąkał i zerwał się z fotela, omal nie rozlewając przy okazji zawartości filiżanki na spodnie. — Nie chciałem zakłócać ci snu.

Marelda leniwie podeszła do stolika, nalała sobie kawy, wsypała kilka łyżeczek cukru, dodała kilka kropel śmietanki i dopiero teraz dostrzegła, że czerwony jak burak Titch wybałusza oczy na jej dekolt. Ponieważ wyglądał tak, jakby za chwilę miała go trafić apopleksja, litościwie odwróciła się doń plecami.

— Nie sumituj się, Titch. Po prostu nie oczekiwałam niczyjej wizyty o tej... porze. — Zerknęła od niechcienia na zegar, pokazując Titchowi swój lewy profil, ten piękniejszy. —

Gdybym przy puszczała, że się pojawisz wiedziony troską o moje bezpieczeństwo, przygotowałabym się na twoje przyjęcie. — Nie było w tych zapewnieniach słowa prawdy, kłamała z rozmysłem, rada z efektu, jaki jej dezabil wywołał na baryłkowanym człowieczku.

— Proszę, siadajże — rzekła wdzięcznym głosikiem, wskazując fotel, z którego gość się poderwał na jej powitanie, a kiedy usiadł ponownie, zajęła miejsce vis t vis niego, ukazując przez moment zgrabną łydkę.

Horacemu pot zrosił czoło, nie mógł biedak myśleć o niczym innym jak tylko o wdziękach pięknej Mareldy: krągłościach kibici, rozmarzonych ciemnych oczach, czerwonych, lekko rozchylonych usteczkach.

— Ja... chciałem... to jest... jeśli mamy zostać przyjaciółmi, „panie” brzmi... uhm... zbyt formalnie. Może... — Nie był w stanie ubrać w słowa śmiałej propozycji, ale dama bez trudu pojęła jego intencje.

— Ma się rozumieć. — Upiła łyk kawy i zerknęła znad filiżanki. — Mów mi Marelda, a ja — tu nachyliła się do niego z uroczym uśmiechem — będę nazywała cię... Mumfordem.

Horacy z największym wysiłkiem oderwał wzrok od dekoltu gospodyni i spojrzał jej w twarz. Jak miał powiedzieć tej pięknej istocie, że nie całkiem się zgadza z jej widzimisię? Spocony i zakłopotany, przesunął palcem po szyi, chcąc poluzować kołnierzyk, jakby nagle w pokoju zapanowała nieznośna duchota.

— Na drugie... mam... Horacy i...

Marelda wydęła usteczka.

— Ależ mój drogi, mnie znacznie bardziej podoba się Mumford albo nawet...

Horacy skurczył się w sobie, wiedząc, co za chwilę usłyszy.

— Mummy!

— Eee... ja wolę Horacy — bąknął słabym głosikiem, przerażony, że sprzeciwia się pięknej damie. — Mama i Sissy zawsze nazywały mnie Mummy, a chłopcy wołali na mnie... — Ciągłe jeszcze nosił w pamięci bolesne wspomnienie kpin, na które narażało go w szkole owo nieszczęsne zdrobnienie. Siedział teraz sztywno na samym brzeжку fotela, wzrok wbił w noski swoich trzewików, bawił się filiżanką i rozpaczliwie szukał w myślach sposobu, by zmienić temat.

— Oczywiście, mój drogi, będzie, jak sobie zyczysz — oznajmiła łaskawie Marelda, odstawiła kawę i wstała z kanapy.

Horacy poderwał się natychmiast i aż zakręciło mu się w głowie od słodkiego zapachu lawendy, którym wionęła gospodyni, podchodząc bliżej.

— Jak sam widzisz, wszystko jest w najlepszym porządku i na razie nie grozi mi niebezpieczeństwo — stwierdziła rzeczowo i wygładziła fałdy szlafrocza. — Już prawie południe, powinnam się ubrać i zajrzeć do kuchni, zobaczyć, co z lunchem. — Znowu będę musiała poganiać kucharkę, pomyślała z niechęcią. Lubiła wczesne lunchy, jako że zwykle nie jadła śniadań, chyba, że bawiła właśnie z wizytą u Wingate'ów, wtedy robiła wyjątek i wstawiała rano, ale pory posiłków w Belle Chante zawsze wy dawały się jej barbarzyńskie. — Czy jeszcze z czymś przychodzisz? Masz jakieś nowe informacje o dziewczynie, którą znalazł Wingate? — Marelda ujęła gościa pod ramię i zaczęła prowadzić w kierunku drzwi. — Założę się, że jest jedną z tych, którzy uciekli. Jak inaczej wytłumaczyć, że znalazła się na trakcie późnym wieczorem tylko w koszuli nocnej i pelerynie? To naprawdę nie pojęte, że nikt nie potrafił zwrócić Ashtonowi uwagi na te najprostsze fakty. Te człowiek strasznie

ryzykuje, trzymając ją pod swoim dachem. A jeśli to ona podpaliła zakład i teraz czeka tylko sposobności, żeby puścić z dymem Belle Chante/

Mumford Horacy Titch nie wiedział, jak się pożegnał z Mareldą i kiedy znalazł na ganku przed jej domem. Przed oczami majaczył mu jedynie obraz ust rozchylonych w słodkim uśmiechu, potem drzwi się zamknęły i rozkoszna Marelda zniknęła, on został sam, dręczony lubym wspomnieniem, z rozpalonymi zmysłami. Świeże powietrze z wolna przywróciło mu poczucie rzeczywistości, nacisnął na głowę cylinder, który ciągle dzierżył w dłoni, i powoli ruszył w stronę śródmieścia. Cichy turkot uzmysłowił mu, że przyjechał powozem. Wsiadł, rozmyślając, czy nie powinien rozmówić się z Ashtonem Wingate'em w kwestii tajemniczej dziewczyny, nie był jednak pewien, czy pan na Belle Chante zniósłby spokojnie ingerencję w jego domowe sprawy.

Rozwagał rozmaite rodzaje taktyki, mniej lub bardziej dyplomatyczne, ale każdy kończył się w jego skołatanej wyobraźni fiaskiem, przed oczami nieodmiennie pojawiał się rozszierzony Ashton, który rzuca go na pastwę swoich służących i każe obatożyć albo inną, jeszcze straszliwszą szkodę cielesną uczynić. Powóz mijał akurat grupkę mężczyzn zebranych na chodniku i żywo o czymś rozprawiających. Horacego wyrwało w rozmyślań jedno pojedyncze słowo:

— Dom wariatów!

Natychmiast zastukał w dach, każąc zatrzymać się stangretowi. Wiedziony ciekawością podszedł do rozmawiających i skwapliwie nastawił ucha. Jakiś człowiek, trzymający za uzdę spoconego konia, opowiadał bez tchu:

— No i znaleźli spalonego trupa na pogorzelsku, z nożem w plecach. Szeryf powiada, że to pewnie jeden z pielęgniarzy. Ktoś go musiał zabić, a później podłożył ogień, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Ja myślę, że to któryś z wariatów zaskoczył go nic niewiedzącego, nożem potraktował, zabrał klucze, a potem dom podpalił.

Mężczyźni pomrukiwali pod nosem, wyraźnie zaniepokojeni zagrożeniem, jakie mogli stanowić uciekinierzy z zakładu. Horacemu wpadł do głowy wyborny pomysł. Wystarczy, żeby pod judził tę garstkę zatroskanych obywateli, a oni już wyręcą go i sami rozprawią się z Wingate'em i jego dziewczyną.

Wśród zebranych bez trudu rozpoznał lokalnych obiboków: hultajów i pijaków, którzy przesiadywali w knajpach i żyli z dorywczych prac, żeby tylko zarobić na kolejną flaszkę. Ci ludzie, którzy otarli się o rynsztok, mogli poczuć się miłe polechtani faktem, że zaszczyca ich rozmową bogaty dżentelmen. W dodatku Horacy, który na cześć Mareldy wystroił się w nowiutki szary surdut, sztuczkowe spodnie, jedwabną koszulę i brokatową kamizelkę w delikatny rzucik z kwiatów wiśni, wyglądał jak dandys z żurnala. Do tego nosił halsztuk w drobną pepitkę, tak, że nawet sam Ashton Wingate mógł mu pozazdrościć stroju.

Odchrząknął, by zwrócić uwagę zebranych i wyłożyć swoje podejrzenia.

— Posłuchajcie, przyjaciele. Musimy zrobić coś z tymi wariatami, co biegają teraz na wolności. Nikt z nas nie jest bezpieczny. Tak być nie może, żeby niewiasty z naszego Natchez bały się wyjść na ulicę.

Opryszkowie, pomrukując, kiwali ze zrozumieniem głowami. Wyraźnie czekali na dalszy ciąg przemowy Horacego. Zachęcony ich uwagą orator wypiął dumnie pierś, kciuki wetknął w kieszonki kamizelki. Widział przed sobą rozdziawione szeroko gęby; widać pełną autorytetu postawę i wytworny strój wywarły tak piorunujące wrażenie. Nawet, jeśli słyszał, co jeden z frantów mruknął do kompana, nie mrugnął nawet okiem:

— Jezu, widziałeś, kiedy, żeby się, kto tak wystafiował z samego rana? Pewnie gościu całą noc grzał dzin, a potem obracał dziewczuchy u Bawełnianej Mary.

— Spójrzcie na siebie, przyjaciele — ciągnął Horacy. — Nie tylko kobietom grozi niebezpieczeństwo. Lekarze powiadają, że wariat, bywa, ma siłę pięciu albo i sześciu ludzi. Taki potrafi zabić człowieka choćby i dla kilku groszy! — Horacy szukał słów, które wzbudziłyby w słuchaczach słuszny gniew. — Powiadam wam, czas, żebyśmy zjednoczyli siły i zaczęli szukać zbiegłych obłąkańców, zanim uczynią nam, jaką krzywdę.

Mężczyźni milczeli: wreszcie zrozumieli, że mówca domaga się od nich działania. Do grupki dołączyło kilku jeszcze ciekawskich, ktoś puścił w krąg dzban z piwem dla przepłukania zaschniętych gardła.

— Władze przyjmowały dotąd, że wśród zbiegłych byli wyłącznie mężczyźni, ale ja słyszałem też o jednej kobiecie. Tej samej nocy, kiedy spłonął zakład dla obłąkanych, Ashton Wingate przy wiół do domu poturbowaną dziewczynę w samej koszuli nocnej. Co na to powiecie, skoro wszystkim wiadomo, że zakład dzieli od Belle Chante ledwie kilka mil?

Wśród słuchaczy rozległ się szmer komentarzy, kiwali głowa mi, poszeptywali między sobą.

— Nie sposób przepowiedzieć, co gotowa uczynić. A niech Ashton wyjedzie w interesach i zostawi ją bez opieki, tylko z dwoma biednymi staruszkami? Kto zaręczy, że ta szalona niewiasta znowu nie podłoży ognia?

Dwie biedne staruszki nie wzbudziły szczególnej sympatii wśród gawiedzi, wszyscy, bowiem wiedzieli, że o bezpieczeństwo Belle Chante dba czarny nadzorca, wielki jak dąb i silny za kilku. Ashton nigdy nie ukrywał, że nikomu, kto ważyłby się podnieść rękę na jego bliskich, jego niewolników czy też własność, podobna śmiałość nie ujdzie płazem. W Natchez pamiętano jeszcze, jak bez wahania wezwał szeryfa, kiedy banda chłopaków z miasta wybrała się do jego majątku, by polować na „czarnuchów”. Biali wojownicy przesiedzieli wtedy za kratkami, a potem musieli zapłacić za krowę, którą zabili z braku lepszej ofiary. Krążyły opowieści o tym, że najemni robotnicy, którzy zgłaszali do Belle Chante, musieli na swoją dniówkę pracować tak samo ciężko jak niewolnicy, właściciel nie czynił żadnej różnicy między białymi a czarnymi.

Już to choćby starczyło obibokom i łazikom za powód, by dokuczyć w jakiś sposób Ashtonowi Wingate'owi, a tu mały, zapalczywy jegomość podsuwał pretekst wręcz wyśmienity, by przytrzeć nosa wielkiemu panu.

Horacy prawił dalej, unosząc się niby to słusznym gniewem:

— Nie możemy pozwolić, by ta groźna sytuacja trwała bez końca. Obłąkana niewiasta — orator bez trudu przeszedł od insynuacji do stwierdzeń — gotowa zacząć zabijać ludzi, jeśli zostanie na wolności.

Tym razem słowa Horacego przyjęte zostały głośnymi okrzykami aprobaty, a kiedy te ucichły, mały człowieczek, uwiedziony odniesionym sukcesem, zaczął wręcz piąć dyszkantem:

— Pamiętajcie, wyświadczymy im przysługę, spełniając obywatelski obowiązek. To nasza powinność wobec naszych kobiet i dzieci. Wszyscy chcemy spać spokojnie, wszyscy chcemy się czuć bezpiecznie na ulicach.

— Racja, racja — pohukiwali słuchacze. — Ale kto zna Belle Chante? Kto nas poprowadzi?

Horacy bezbłędnie wyczuł niepokojącą nutę niepewności, która mogła ostudzić entuzjazm gawiedzi. Zareagował natychmiast:

— Ja was poprowadzę — krzyknął piskliwie i poniewczasie ugryzł się w język. — Ja... narysuję wam mapę — poprawił się niezręcznie i już całkiem cicho dodał: — Pojechałbym z wami, ale... nie mam konia...

— Bierz mojego! Ktoś przecież musi wskazać nam drogę, po kierować nami!

Horacy zagapił się na cugle, które ktoś wcisnął mu w dłoń. Kiedy podniósł głowę, nie mógł w tłumie dojrzeć właściciela konia, jeździec zdążył tymczasem zniknąć. Spojrzał w oczy wychudzonej szkapy, chabeta popatrzyła na niego... Wyglądała jak worek z gniadej skóry, do którego ktoś wrzucił na chybił trafił kilkadziesiąt gnatów, a patrzyła na Titcha takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć, że weźmie odwet na każdym, kto waży się obciążyć swym ciężarem jej kościsty grzbiet. Horacy wzdrygnął się na wspomnienie bólu, o jaki przypawiła go ostatnia przejażdżka wierzchem. Po tamtym ekscesie ślubował sobie, że nigdy już nie dosiadzie wierzchowca, bo też znacznie wygodniej mu było podróżować na miękkiej ławeczce, w powozie na resorach.

— Ja... eee... nie... — bąknął niemrawo, odwrócił wzrok od wrogo spoglądającej nań szkapy, po czym zebrał się w sobie i rzekł głosem, w którym miała zabrzmieć determinacja:

— Ta kobieta może być bardzo niebezpieczna. Ktoś powinien...

— Ejże, bierz, przyjacielu! — Jakiś człowiek wcisnął mu w wolną dłoń starą, zardzewiałą flintę. — Nabita, dopiero, co czyszczona, więc dbaj o nią, jakby to była twoja rodzona córka.

Na bronii, jak na koniach, biedny Horacy też nic a nic się nie wyznawał. Ilekroć próbował strzelać, odrzut kolby trafiał go bo leśnie w rozmaite części ciała. Najpierw ojciec go łajał, że nie chce brać strzelby do ręki, potem zaczął przyuczać, jak się obchodzić z ziejącym ogniem sprzętem. W godzinę później miał zniszczony kapelusz i poszarpane poły surduta. Trzeba było we zwać lekarza, żeby usunął solidną porcję śrutu z rodzicielskiego zadka. Starszy Titch skwapliwie zgodził się z sugestią medyka, że syn może obyć się w życiu bez umiejętności polowania i w ten sposób temat bronii nie pojawił się już nigdy więcej... aż do dzisiaj.

— Dalejże, żwawo! — ktoś zakrzyknął. — Ruszamy na Belle Chante...

Ludzie poczęli dosiadać wierzchowców, które pojawiły się nie wiadomo skąd. I Horacy znalazł się nie wiedzieć, kiedy w siodle, z flintą pod pachą. Nie zrobił jeszcze kroku, a już czuł się obolały. Rozejrzał się smętnie, szukając swojego powozu, ale dojrzał tylko zastępcę szeryfa, człowieka, który oznaczał się imponującymi bokobrodami. Przedstawiciel prawa obserwował scenę wy marszu z pewnej odległości, flegmatycznie żując gumę. Nic nie wskazywało, by zamierzał powstrzymać samozwańczy oddział. Kilku mężczyzn wskoczyło na wóz, i już cała ta uliczna hałastrą gotowa było ruszać przed się pod przewodem baryłkowego, krótkonogiego dandysa. Mumford Horacy Titch, nie dojrawszy nigdzie śladu swego powozu ani stangreta, z którym przyrzekł sobie rozprawić się przy najbliższej okazji, nie miał odwrotu.

Ktoś uderzył jego konia w zad. Ruszyli pośród wrzawy i zawadiackich okrzyków.

Horacy z wykrzywioną bólem twarzą trząsł się na kościstym grzbiecie, objijając niemilosiernie zadek o siodło. Niefortunny jeździec próbował stanąć w strzemionach, ale poniechał tej pozycji w obawie, że przeleci głową do przodu przez kark chabety, prosto pod jej kopyta. Przyjąwszy inną taktykę, ścisnął mocno kolanami boki konia, na co ten odpowiedział przejściem w kłus. Horacy ściągnął, przeto cugle: skołowane zwierzę zwolniło, szło teraz stępą, na sztywnych nogach, wytrząsając z Horacego ducha. Jakąkolwiek by przyjął pozycję i tempo, czekała go piekielna przejażdżka, a droga do Belle Chante była daleka.

Klawesyn ożywał pod szczupłymi, gibkimi palcami. Lierin, uszczęśliwiona, że potrafi grać na instrumencie, przemknęła do salonu, korzystając z tego, że obydwie stare damy zażywały poobiedniej drzemki, i teraz sprawdzała własne umiejętności. Nie nacieszyła się długo samotnością, bo melodyjne dźwięki, które przywitały Ashtona po powrocie do domu, zwały go natychmiast do salonu. Właśnie skończył załatwiać ostatnie sprawy związane z wypłynięciem parowca; kapitan statku i Logan mieli już tylko dopilnować załadowania pogorzalców.

Z długim cygarem w dłoni zagłębił się w fotelu i poddała łagodnym tonom muzyki. Cóż za rozkosz! Jakie niczym niezmacone szczęście? Nie znał żadnej innej kobiety, która wyzwalałaby w nim podobne emocje, tak działała na jego zmysły. A przecież nadal pozostawała dla niego zagadką. Musiała wiele jeszcze opowiedzieć mu o sobie i o swoim życiu, o tych trzech latach przeżytych nie wiadomo jak i nie wiadomo gdzie.

Rozległo się raptowne, natarczywe pukanie do drzwi i rozkoszny nastrój prysł. Lierin przestała grać i rozejrzała się trochę nieprzytomnie, jak osoba wyrwana ze snu. Gdy Ashton odpowie dział na pukanie, w progu stanął, mnąc czapkę w dłoniach, jeden ze stajennych. Dziwne to było, bo Hickory rzadko pojawiał się na pokojach, musiało zająć coś niezwykłego, co kazało mu przybiec do domu.

— Massa — zaczął zadyszany, wskazując palcem w kierunku Natchez. — Całą chmarą wala tu ku nam na wypródki jacyś od miasta i nie wygląda mi, żeby w goście jechali. — Chłopak prze rwał dla złapania tchu, po czym raportował dalej: — Mówię, ani chybi do nas, bo blisko już są, to gdzieżby indziej?

Ashton strząsnął popiół z cygara, chwilę rozważał to, co właśnie usłyszał.

— Musimy się tedy przygotować na ich przyjęcie — powiedział w końcu. — Masz jeszcze trochę sił w nogach, synu?

— A jakże, massa. — Chłopak uśmiechnął się szeroko i skinął ochoczo głową. — Akurat siano przerzuciałem na górze w stodole, jakem te czeredę wypatrzył. Są o jaką milę ode dwora.

Ashton zaczął rzucać pospieszne polecenia.

— Judd wycina zarośla na brzegu strumienia, biegnij do niego, powiedz, niech wraca, a zbiera po drodze, kogo tylko napotka. Powiedz mu, że zanosi się na kłopoty. Ja pójdę do kuchni i wydam instrukcje Willabelle. Biegnij już, Hickory, a uwiń się szybko.

Chłopiec zniknął w mgnieniu oka. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Ashton podszedł z uśmiechem do Lierin i ujął jej dłonie.

— Nie ma się czym martwić, moja najdroższa — powiedział uspokajająco. — Bywa, że chłopcy z miasta, kiedy zaszumi im w głowie, ruszają na wycieczkę, szukając zwady. Przywykliśmy do tego i wiemy, jak ich przepłoszyć, nie czyniąc nikomu krzywdy. Graj dalej, bo twoja gra sprawia mi wielką przyjemność, chętnie jeszcze posłucham. Teraz muszę zajrzeć do kuchni, do Willabelle, potem stanę na ganku, ale będę cię słyszał. — Ucałował jej dłoń i wyszedł pospiesznie. Lierin usiadła z powrotem do klawesynu, ale z wyjściem. Ashtona nastrój chwili ulotnił się, muzyka nie brzmiała już tak jak wcześniej.

Jeźdźcy podjechali przed portyk rezydencji, gdzie już ich czekał pan na Belle Chante. Zbili się w ciasną gromadę, a każdy szukał miejsca dla siebie, gdzie by i jak konia mógł osadzić. W tej cizbie, co się miała za chwilę uładzić w szyk, najgorzej poszkodowany musiał być najmniej biegły w sztuce jeździeckiej, nic, więc dziwnego, że okazał się nim pan Mumford Horacy Titch. Mocarny wódz dzielnego zastępu tak gwałtownie cugle ściągnął, że jego

wierzchowiec w miejscu kopytami zarył, zadnimi nogami jeszcze wierzgnął, po czym znieruchomiał. Twarz Titcha wykrzywił grymas straszliwej męki: sapnął przez nos, szczęknął zębami i rąbnął zadkiem o siodło. Zaraz też uniósł się w strzemionach, żeby bólowi ulżyć, jednocześnie usiłując oswobodzić kolbę flinty zaplątaną w cugle. Lufa ósemki zatoczyła niebezpieczny luk i dopiero wtedy kamraci pana Titcha powzięli przekonanie, że ich przywódca potrzebuje więcej wolnego wokół siebie miejsca.

Horacy wyplątał wreszcie strzelbę, rozejrzał się, ale na dobrych kilkanaście kroków nie miał przy sobie nikogo. Wszyscy się cofnęli, samego zostawili w przedzie, by wyluszczył Wingate'owi, z czym też przyjeżdżają. Titch więc nie miał wyjścia, musiał pierwszy przemówić. Odchrząknął tedy, wyprostował się, uniósł w siodle, niemal stanął, a i tak głowę musiał zdrzeć, by spojrzeć w oczy Ashtonowi, zważywszy, na to że ten stał na najwyższym stopniu portyku. Kiedy ujrzał ledwie skrywane rozbawienie na twarzy gospodarza, do reszty stracił kontenans. Raz jeszcze nerwowo odchrząknął, cóż, kiedy nie przychodziło mu żadne sensowne słowo do głowy, za nic nie spływał na język początek przemowy.

Ashton wybawił skonfundowanego gościa z opresji.

— Dzień dobry, panie Titch. — Tu skłonił głowę. — Powitać, panowie. — Oparł się niedbale o kolumnę portyku, ręce włożył do kieszeni i mrużąc oczy, zerknął na słońce. — Piękną mamy pogodę, w sam raz na przejażdżkę za miasto.

Horacy nadymał się i napinał, jakby od tego miał urosnąć choćby o centymetr, a tak się wiercił, że strzelba zaczęła zsuwać mu się z ramienia; schwycił ją w ostatniej chwili.

— Bardzo wątpię, sir, czy tych panów zadowolą puste grzeczności — oznajmił.

Ashton uniósł brew.

— Mam wrażenie, że powiesz mi, gdzie błędę, panie Titch. Proponuję, byś zaczął od wyjaśnienia, co robicie na moich gruntach.

Horacy niezręcznym ruchem poprawił ciężącą mu coraz bardziej dwururkę.

— To właśnie zamierzam uczynić, sir, i dobrze radzę, byś miał się na baczności. Przybywamy tu jako reprezentanci Natchez i całego hrabstwa Davis.

— Doprawdy? — Ashton uznał, że wystarczy, jeśli wyrazi swoje wątpliwości tym jednym słowem.

— Wielkie zło zagraża dobrym ludziom, co mieszkają w naszej okolicy. — Horacemu pot spływał strużkami z czoła, ale jedną ręką przytrzymując strzelbę, w drugiej dzierżąc cugle, nie miał jak go otrzeć. — Jak ci wiadomo, sir, podczas pożaru zakładu dla obłąkanych zbiegło kilku pensjonariuszy. Z dobrze poinformowanych źródeł dochodzą mnie wieści, żeś miał swój udział w tej smutnej komedii... — Horacy dojrzał, że rysy Ashtona nieznacznie stężały, ale brnął dalej, ośmielony obecnością całej kompanii. Nawet Ashton Wingate nie odważyłby się powstać przeciw takiej sile. — Powiadają, że przetrzymujesz pod swoim dachem jednego ze zbiegów — skończył i z zapartym tchem czekał reakcji na te zuchwałe słowa.

Nic, żadnej zmiany w wyrazie twarzy gospodarza. Widać Ashton albo go nie dosłyszał, albo nie zrozumiał, co się do niego mówi.

— Chciałem rzec, że... eee... młoda kobieta, którą przywiozłeś do domu, być może zbiegła z zakładu dla obłąkanych.

Za plecami Horacego podniósł się pomruk wspierających go głosów, ale Ashton za całą odpowiedź zerknął na słońce i sprawdził godzinę na zegarku.

Widząc, że na razie nic mu nie grozi, Horacy nabrał animuszu.

— Nie rozumiem, panie Wingate, dlaczego narażasz się na ryzyko, dając we własnym domu schronienie szalonej kobiecie. Nalegamy, żebyś oddał ją do dyspozycji odpowiednich władz.
— Horacy wreszcie przyciągnął uwagę Ashtona. Przenikliwe brązowe oczy wpatrywały się w niego bacznie. — Dopóki nie zostanie stwierdzone, Idm jest owa niewiasta, ma się rozumieć — dodał pospiesznie. — I tylko ze względu na bezpieczeństwo kobiet i dzieci z naszych okolic.

Żądanie zostało wreszcie wyartykułowane i kompania jakby odetchnęła z ulgą. Zaczęto pokrzykiwać i kiwać głowami na znak poparcia dla słów Horacego.

— Tak jest!

— Dobrześ mu rzekł, Titch!

— Trza ją zabrać!

Ashton trwał wsparty o kolumnę, dziwnie obojętny wobec ca- lego zajścia.

— Przed wami długa droga powrotna, panowie, a dzień dzisiaj wyjątkowo upalny. — Podniósł głos, tak by wszyscy mogli go usłyszeć. — Czemu nie zsiądziecie z koni i nie odpoczniecie chwilę?

Ludzie zrazu nie zareagowali, dopiero po chwili zaczęli poszeptywać między sobą, naradzać się. W końcu, uznawszy, że nie taki diabeł straszny, jakim go malowano, zsiadli z koni.

Radość przepelniła serce pana M. H. Titcha na myśl, że za chwilę stanie pewnie stopami na ziemi. Tak był obolały, że rozważał nawet możliwość pieszego powrotu do Natchez, byle nie dosiadać znowu straszliwego zwierzęcia. Próbował przerwucić nogę przez siodło, co innym przychodziło z taką łatwością, ale strzelba mu przeszkodziła. Jakimś dziwnym sposobem wraził sobie lufę w lędźwie i tylko temu, że kurek trudno się odwodził, mógł zawdzięczać, że nie pozbawił się męskości, a w najlepszym razie nie postrzelił w nogę, podczas tej cudacznej woltyżerki.

Chwilę deliberował nad swym położeniem, obojętny na zdumione spojrzenia kamratów. Gdyby tak mógł unieść strzelbę, uwolnić prawą nogę, przerwucić ją przez siodło... Nie do wiary! Oto stanął w lewym strzemieniu, nic mu nie krępuje ruchów, w nic się nie zaplątał. Nie pomyślał tylko, że stopa mocno tkwi w żelaznej pułapce. Za późno zdał sobie sprawę, że nijak nie wyzuje stopy ze strzemienia, gdy drugą nogą, króciutką przecież, co nią tak zawadiacko majtnął nad siodłem, nie może sięgnąć ziemi. Zawisł tak, nieborak, i dawaj obmyślać kolejny manewr, kiedy rzecz rozwiązała się sama z siebie. Flinta, co mu wymknęła się z dłoni, pojechała w dół, orząc boleśnie ciało. Horacy, jak wcześniej ucaił się kurczowo końskiej grzywy, tak teraz ją puścił, byle strzelbę chwycić. No i stało się, co stać się musiało. W tej samej chwili chybnął się do tyłu, wywinął prawą nogą hołubca pod końskim brzuchem i zwalił się jak długi plecami na ziemię, z głośnym łomotem i jękiem. Kobyłka odwróciła głowę i przyglądała się z niesmakiem rezultatom brewerii swojego niedawnego pasażera. Flinta dyndała groźnie nad jego piersią i długa chwila minęła, zanim Horacy odzyskał zmysły. Kiedy pomyślał, że w takiej pozycji przyjdzie mu przebyć drogę po wrotną, zaraz się przecknął i począł gwałtownie wyszarpywać stopę ze strzemienia, wznecając przy tym tuman kurzu.

W końcu ulitował się nad nim któryś z kompanów. Wyswobodzony Horacy podniósł się z ziemi, używając strzelby niby kostura. Smętnie otrzepał nowe ubranie z prochu, przygotowując najbliższej stojących o napad kichania. Doprowadził, do jakiego takiego porządku zdefasonowany cylinder i nacisnął na głowę. Skończywszy tę nieskomplikowaną toaletę, spojrział na Ashtona i dojrzał w jego wzroku coś na kształt litości. Prędzej już zniósłby nienawiść, nie musiałby wtedy czuć się wtedy jak skończony fajtlapa.

— Muszę cię ostrzec, sir — zaczął i przerwał, żeby wypluć ziemię z ust. — Nie damy się tak łatwo zbyć, jak sobie wyobrażasz. Przyjechaliśmy do ciebie wiedzeni troską o bezpieczeństwo obywateli.

Kompania wsparła słowa przywódcy wojowniczymi okrzykami, zwarli się ciasno za jego plecami, w górę, na znak słusznego oburzenia i równie słuszych pretensji, poszły strzelby i pałki.

Ashton powiódł spokojnym wzrokiem po twarzach przybyłych, po czym zawołał przez ramię, by ktoś ze służby przyniósł wiadro świeżej wody ze studni i dzban rumu. Kiedy polecenie wykonano, przelał rum do wiadra, zamieszał napój długą chochłą, po czym napełnił nim kubek, wypił potężny haust i uśmiechnął się z ostentacyjnym zadowoleniem.

Intruzi w obserwowali przedstawienie w milczeniu, zazdrosnym wzrokiem śledząc każdy ruch Ashtona. Języki przesuwaly się po spierzchniętych wargach, nozdrza chwytaly miły zapach. Pewny, że osiągnął zamierzony skutek, gospodarz uniósł wysoko chochłę, pozwalając, by orzeźwiający strumyk spłynął z niej na powrót do wiadra.

— Będziecie wracać do miasta w kurzu i spiekocie, na pewno przed drogą każdy z was chętnie wypije kapkę zimnej wody.

Rozległy się westchnienia ulgi, potem ochocze okrzyki i wkrótce wszyscy już cisnęli się do wiadra, byle tylko zwilżyć usta i posmakować napitku, a nie dać się ubiec innym i odejść o suchym pysku. Ashton postąpił kilka kroków do tyłu i z nieznacznym uśmiechem przyglądał się przepychankom przy wiadrze.

— I o to właśnie chodzi, panowie. Zawsze powiadam, nie ma to jak wlać w zaschnięte gardło kilka solidnych łyków zimnego grogu.

Nawet Horacy skusił się na poczęstunek. Pierwszym łykiem przepłukał usta, drugi przełknął z wyraźną przyjemnością, ale nie zapomniał przecież, z czym przyjechał do Belle Chante

— Panie Wingate — zagadnął, podchodząc do Ashtona. — Od dasz nam niewiastę? Jeśli oddasz, zawieziemy ją do szeryfa.

Kompania ocknęła się na te słowa, a że wiadro było już puste, wszyscy zebrali się wokół swego rzecznika ciasnym kręgiem. Horacy nigdy dotąd nie występował w roli kogoś, kto przewodziłby innym, więc tym bardziej czuł się ważny. Odwrócił się do kamratów, flintę na ramieniu poprawił, ci zaś ryknęli głośno na znak jednomyślności, broń, jak wcześniej, chwacko unosząc do góry.

Gdyby Ashton był w lepszym usposobieniu, może i rozśmieszyłaby go ta błazenada, ale kiedy spoglądał na umazaną ziemią twarz pociesznie napuszonego człowieczka, nie potrafił się zdobyć na więcej niż wyrozumiały, acz chłodny uśmiech. Klawesyn zamilkł chwilę wcześniej, co mogło oznaczać, że Willabelle przezornie zabrała Lierin do jej pokoju.

Horacy odchrząknął po raz nie wiadomo, który.

— Rozumiesz pan chyba, po co przyjechaliśmy. Bądź, więc taki dobry i przyprowadź dziewczynę, a my powieziemy ją do szeryfa, niech on zdecyduje, co dalej robić, ja zaś zadbam, żebyś sam nie poniósł żadnego uszczerbku.

Ashton nie powiedział słowa ani się poruszył, tylko Horacy zrobił wielkie oczy, kiedy ujrzał, że drzwi frontowe się otwierają i w progu domu staje potężny nadzorca, Judd Barnum, z dwoma pistoletami zatkniętymi za pas i ze staroświecką, ale dobrze utrzymaną rusznicą na ramieniu. Pierś miał przepasaną szerokim skórzanym rzemieniem, na którym dyndały złowieszczo drewniane naboje. Judd stanął w rozkroku, zanurzył dłoń w kieszonce kamizelki, dobył z niej metalowe pociski i począł ładować je z całym ceremoniałem do lufy rusznicy.

Kiedy skończył, wsparł straszliwą broń na ramieniu, spojrzął w przerażone oczy małego człowieczka, powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych.

Niejednego przeszły ciarki na myśl, jakie spustoszenie może wyrządzić rusznica. Skonsternowani napastnicy poczęli pomrukiwać niepewnie, gdzieś zniknęła atmosfera beztrioskiej awantury, w głowach poczęła świtać myśl, że zajazd na Belle Chante nie był może najszcześniejszym pomysłem i że lepiej zostawić mieszkańców majątku w spokoju.

— Srodze się pomyliliście, panowie — oznajmił Ashton wręcz kurtuazyjnym tonem.

Horacy usiłował sformułować pytanie, ale nie był w stanie dobyć słowa ze ściśniętego gardła. Słyszał, co prawda, że Ashton Wingate ma obyczaj miotać salwami w nierozważnych żartownisiów, w każdego, kto by próbował mu grozić, ale nie przypuszczał, że stanie twardo przeciwko takiej chmarze ludzi i w dodatku potrafi ich okiełznać. Nagle zdawszy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakie popadła cała kompania, rozdziawił szeroko usta i zamarł bez ruchu.

Na jego oglupiałej twarzy spoczęło przenikliwe spojrzenie brązowych oczu.

— A ty już najbardziej, panie Titch.

— Dlaczego...? — pojedyncze słowo zamarło na ustach Horacego.

— Dama, którą tak lekkomyślnie spotwarzyłeś, jest moją żoną. Powinieneś znać mnie na tyle dobrze, Titch, by wiedzieć, że nikt niczego nie zwojuje ze mną siłą, a już na pewno nie wtedy, kiedy w grę wchodzi dobro najbliższych mi ludzi.

— Kiedy ona twoja, czemuśmy nigdy wcześniej jej nie widzie li? — Pytanie zadał brodaty, szczerbaty mężczyzna, który stał z tyłu, za ciżbą.

— Jeśli szeryf Dobbs będzie miał jakieś pytania do mnie, chętnie mu odpowiem, ale wam nie jestem winien żadnych wyjaśnień.

— Nie słuchajcie, ludzie. Szeryf to jego przyjaciel, już on nie ukrzywdzi wielmożnego pana. Sami musimy zająć się dziewczyną, jeśli chcemy, żeby dokonana się sprawiedliwość.

Raz jeszcze kompania wyraziła jednomyślność, kiwając zgodnie głowami.

— Tak! To ona mogła przecie zabić pielęgniarkę, a kiedy raz zabiła, będzie dalej mordować. Nie wiadomo, komu z nas śmierć pisana!

— Jak jej nie da po dobroci, weźmiemy siłą!

Napastnicy ruszyli hurmem ku portykowi, Judd postąpił kilka kroków przed siebie, wyciągnął zza pasa pistolet, lufę rusznicy skierował w sam środek grupy, sprawiając, że wszyscy się cofnęli.

— Nie słyszałem, żeby massa Ashton zapraszał kogoś was pod ten piękny, biały portyk — oznajmił łagodnym, przyjacielskim głosem i ukazał w szerokim uśmiechu garnitur olśniewająco białych zębów. — Jesteśmy tu bardzo przeczuleni na punkcie po rządku. Na waszym miejscu uważałbym, żeby nie nanieść brudu na stopnie. Massa Ashton łatwo wpada w gniew, a wtedy prze staje panować nad sobą. Co będzie, jeśli każe mi odstrzelić kilka głów? Paskudnie, wiem, ale muszę robić, co każe, bo jest moim panem. Rozumiecie?

— To ty masz zrozumieć, czarnuchu. Spróbuj tylko strzelić do białego, a zawiśniesz na szubienicy. Zastanów się dobrze!

Judd, nie przestając się uśmiechać, spojrzął na tego, który mu wygrażał.

— Zanim słońce zajdzie, możesz wachać kwiatki od spodu, przyjacielu — odparł spokojnie.

— Bezczelny czarnuch — prychnął ktoś. — Ważniak się znalazł.

— Nas więcej, nie dadzą nam rady — zachęcał mężczyzna stojący w samym środku zbitej gromady.

— Widziałem, jak w zeszłym roku dwóch z Belle Chante załatwiło kilkunastu chłopów w knajpie u starego Saula, lepiej się zastanówmy — przestrzegł jakiś zwolennik rozważnych działań.

— Dobra rada, panowie — przytaknął Ashton. — Rozważcie wszystkie za i przeciw, zanim podejmiecie decyzję.

— Nie przestraszysz nas, Wingate — rzucił z kpinią w głosie ciemnowłosy osiłek. — Przerobimy cię na miazgę razem z twoimi czarnymi chłopcami.

Ashton uniósł ramiona, skinął dłońmi na prawo, na lewo.

— Pokażcie się zatem, chłopcy, zanim ci głupcy narażą się na kłopoty.

Jeśli pojawienie się potężnego nadzorcy nadwątlilo awantur niczego ducha kompanii, to to, co stało się teraz, musiało go złamać. Zza domu, z obydwu stron poczęli się wyłaniać jeden po drugim, gęstym szeregiem czarni niewolnicy uzbrojeni w kosy, widły, siekiery, wreszcie pistolety i inne groźne narzędzia zdadne w zbrojnej potrzebie. Uśmiechy błakające się na ciemnych twarzach nie pozostawiały cienia wątpliwości, że obrońcy, na pierwszy rozkaz, z największą przyjemnością złoiliby skórę intruzom. Dla dopełnienia efektu w drzwiach frontowych pojawił się Willis z flintą w niczym nieustępującą tej, którą dźwigał Horacy, a obok Willisa stanął zbrojny w też niezgorszą strzelbę Hiram.

Ashton spacerował wolnym krokiem wzdłuż portyku, zerkając od czasu do czasu na stropione twarze napastników. Wreszcie zatrzymał się i przemówił:

— Powinniście wiedzieć, przyjaciele, że nie lubię, kiedy ktoś wdziara się na moje grunta, by kłusować, kraść i niszczyć to, co do mnie należy. Powiadają, że twardy ze mnie człowiek i że żadnej obrazy nie przepuszczam płazem. Jest jasne, że żadnego z was nie mogę posłać na szubienicę, boście jeszcze nic nie ukradli ani nikogo nie zabili. Zbyt wielka was chmara, by was szeryf miał wsadzić za kratki, a nawet gdyby, to i tak byłby to zbytek gościnności z jego strony. Przyjechaliście tu hurmem, wbrew prawu i wystarczy jedno moje słowo, a ci ludzie, których tu widzicie, spuszczą wam tęgie lanie. Że jednak mają ważniejsze rzeczy na głowie, dobrze radzę, siadajcie na koń i wracajcie spokojnie do Natchez... — Uśmiechnął się wyrozumiale, spojrzął na Judda i przechylił głowę, na co nadzorca postąpił kilka kroków do przodu, wyżej uniósł rusznicę, pistolet i oddał potężną salwę w niebo. Reszta obrońców, tych, co zbrojni byli w strzelby albo pistolety, poszła w jego ślady. Salwa była tak donośna i tak niespodziana, że konie poczęły się narowić, siejąc okrutny zamęt na dziedzińcu. Horacy w przestachu puścił cugle, jego kobyłka wierzgnęła i pomknęła przed siebie. Po chwili już cała gromada spłoszonych wierzchowców, rżąc dziko, biegała samopas po rozległym podjeździe. Jedne rzucały się tam i sam, ryjąc kopytami ziemię, to znowu dęba stając, pianę z pysków tocząc. Inne po gnały przed siebie, hen, ku bramie wjazdowej, a całe to pandemonium rozgrywało się na oczach i ku cichej uciezce mieszkańców Belle Chante

Kiedy ostatni wierzchowiec umknął, zostawiając za sobą jeno obłok kurzu, w wysadzonej drzewami alei, która wiodła do domu, pojawił się nowy oddział konnych. Na jego czele jechał szeryf Dobbs, zaraz za nim Peter Logan, opiekun pogorzalców z zakładu. Ashton na widok tego ostatniego zmarszczył czoło: niedobrze się stało, że tak zwłóczył z ekspedycją parostatku.

Haryey Dobbs podjechał pod portyk i tu osadził konia w miejscu. Omiótł wzrokiem zbrojnych niewolników, zdezorientowanych najeźdźców, wyjął z ust niedopałek cygara, obejrzał go uważnie, odrzucił precz i odezwał się w te mniej więcej słowa:

— Powiniennem był wiedzieć, że nie będziesz potrzebował po mocy. — Uśmiechnął się pod nosem i wskazał głową na swojego zastępcę. — Foss widział poruszenie w mieście, tośmy postano wili przyjechać i zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Zastępca uniósł krzaczastą brew, przestał żuć prymkę tytoniu, co ją dotąd obracał w ustach, i strzyknął brązową strużką śliny wprost pod nogi spieszonego przywódcy kompanii. Pan Titch uskoczył z miną pełną urażonej godności.

— Uważaj pan — burknął i dobył z kieszeni chustkę, by zetrzeć kilka kropel gęstej płwociny z trzewików. Kiedy się nachylił, lufa flinty pojechała do dołu. Chwycił broń, zły, że zawadza mu przy każdym ruchu, i niechcący nacisnął spust. Huknęło, błysnęło i siła wystrzału obaliła Horacego na ziemię, dokładnie w miejscu tak precyzyjnie oznakowanym przed chwilą przez zastępcę szeryfa. Wszyscy na moment zamarli, po czym zaczęli się krztusić od powstrzymanego chichotu, wreszcie po podjeździe gruchnął głośny, niepowstrzymany śmiech. Horacy poczerwieniał ni czym burak, skrzywił się z obrzydzeniem i wstał, gramoląc się na czworakach.

Szeryf Dobbs przesunął wierzchem dłoni po wargach, jakby chciał zetrzeć z nich śmiech, zeskoczył z konia i skinął na Petera Logana, by poszedł w jego ślady. Poprawiając spodnie, stanął obok Ashtona na stopniach portyku, po czym przemówił, wskazując kciukiem na opiekuna z zakładu.

— Pan Logan zgodził się przyjechać ze mną, żeby wyjaśnić sprawę przed swoim wyjazdem. Wystarczy, by spojrzął na dziewczynę i uciszył głupie pogłoski. Nikt — posłał srogie spojrzenie Horacemu — nie będzie więcej wzniecał zamieszek w mieście, judził niepotrzebnie ludzi i najeżdżał Belle Chante — Haryey omiótł wzrokiem słuchaczy i dodał dla wyjaśnienia: — Pan Logan był opiekunem w zakładzie, bez trudu więc potrafi rozpoznać każdego z pensjonariuszy.

— Moja żona jest niedysponowana, nie chciałbym jej niepokoić — zaoponował Ashton.

Haryey Dobbs uniósł brwi.

— Twoja żona?

— Tak, moja żona — odparł Ashton sztywno. — Nie będę ci teraz tego wyjaśniał, Haryeyu, ale to właśnie jest Lierin.

— Myślałem, że ona... — zaczął Haryey, zasepił się, chwilę rozważał coś w zamyśleniu, wreszcie podniósł powoli głowę. — Jesteś pewien, Ashtonie?

- Tak.

To jedno stanowcze słowo zadowoliło przedstawiciela prawa, ale pozostawali jeszcze inni, ich obawy, podejrzenia, żądania.

— Dla jej własnego bezpieczeństwa na przyszłość, będzie lepiej, jeśli pan Logan ją zobaczy, trzeba położyć kres całej sprawie. Popelniono morderstwo. Ci ludzie tutaj gotowi są wrócić do Belle Chante pod twoją nieobecność.

— Nie chcę jej narażać na konfrontację, Har zrozum.

Drzwi frontowe skrzypnęły, uchyliły powoli i w ich prześwicie, ku zdumieniu Ashtona, pojawiła się Lierin, za nią zaś nie na żarty zaniepokojona Willabelle, która czyniła próżne wysiłki, żeby odciągnąć panią z powrotem w głąb domu.

— Muszę wiedzieć — szepnęła Lierin gorączkowo, odsunęła gospodynię, szerzej otworzyła drzwi, stanęła w promieniach za chodzącego słońca piękna niczym anioł, po czym powoli podeszła do trzech mężczyzn, zastygłych bez ruchu na stopniach porty ku. Wyglądała tak zjawiskowo, była taka subtelna, nieziemską w swej urodzie, że najgorsi awanturnicy z Natchez, wstrzymawszy oddech, poczęli się zastanawiać, czy aby nie dali się wywieść w pole nadętemu gamoniowi, pod którego przewodem najechali Belle Chante jako żywo ta cudowna istota, chociaż nieco blada i trochę spłoszona, w niczym nie przypominała uciekinierki z za kładu dla obłąkanych. Nie, dziewczyna z całą pewnością nie mogła być wariatką.

Kilku chwatów spośród kompanii na jej widok ściągnęło czapki z potarganych głów, okazując tym samym, że nieobce są im zasady galanterii obowiązujące wobec dam. Nawet Horacy był porażony jej niebiańską urodą i wytwornym obejściem. Kto wie, czy nie pokwapiłby się prosić jej o wybaczenie, gdyby nie strach przed gniewem Mareldy, który kazał mu się powstrzymać.

Lierin z niepewnym uśmiechem stanęła u boku Ashtona, podniosła oczy na szeryfa.

— Chciałeś mnie pan, zdaje się, widzieć? — zapytała cicho.

Haryey Dobbs odchrząknął, zerknął z ukosa na Petera Logana: ten, wpatrzony w Lierin, trwał w bezruchu, nie bardzo wiedząc, co się wokół niego dzieje i czego po nim oczekują. Dopiero po chwili drgnął, jakby się ocknął, ściągnął czapkę z głowy, spojrział na stężoną w oczekiwaniu twarz Ashtona, potem rzucił okiem na szeryfa, wreszcie uniósł ręce w geście zaprzeczenia, uśmiechnął się do gospodarza i mrugnął.

To dziwaczne zachowanie kazało Ashtonowi wątpić, czy Logan byłby w stanie kogokolwiek rozpoznać, niemniej poczuł bezmierną ulgę. Chociaż od początku nie chciał wierzyć, że Lierin mogła być pensjonariuszką zakładu, istniała przecież możliwość, że została tam zamknięta przemocą. Od tej chwili nikt już nie miał prawa wysuwać żadnych wątpliwości, bo te rozwiął Logan. Była bezpieczna. Ashton objął ją ramieniem, mógł ją teraz przedstawić:

— Oto moja żona, Lierin — oznajmił z durną w głosie. — Kochanie, to mój przyjaciel, szeryf Haryey Dobbs, a to — wskazał na Petera — pan Logan, który dzisiejszego wieczoru odpływa do Memphis na jednym z naszych parostatków.

— Czy dobrze zrozumiałam, że byłeś pan opiekunem w tym zakładzie dla obłąkanych, który niedawno spłonął? — zapytała Lierin, wprawiając tym wszystkich trzech mężczyzn w zdumienie.

— A jakże, madame — przytaknął Logan.

— Nie mogłam nie słyszeć... Wszyscy rozprawiali tak głośno... — Zatoczyła dłonią wokół, wskazując czeredę zabijaków z Natchez. — Każde słowo dochodziło do domu. Wnet zrozumiałam, że trzeba mnie bronić przed tą tu delegacją praworządnych obywateli Natchez. — Jej wzrok spoczął na Horacym, który głowę zaraz spuścił i począł niepewnie przestępować z nogi na nogę. Biedak popadł w jeszcze większą konfuzję, kiedy Lierin zwróciła się w te słowa do szeryfa:

— Skoro zostało już ustalone, że nie jestem tą, której szukasz, sir, sprawa zakończona. Proszę tylko, byś zechciał mieć na względzie los biedaków, co zbiegli z zakładu, i nie dozwolił, żeby ich co złego spotkało od ludzi.

— Ma się rozumieć, madame — przytaknął szeryf Dobbs z całym szacunkiem. — Na pewno tak uczynię.

— Popełniono zbrodnię, prawda, trzeba jednak wziąć pod rozwagę, iż mordercą mógł być ktoś z zewnątrz. A może zakładasz pan, że winnego trzeba szukać wśród pensjonariuszy?

— Nie, madame, dopóki nie znajdę zbiegłych, dopóki ich nie przesłucham, niczego nie zakładam z góry — odparł szeryf stanowczym tonem.

— Po takim zapewnieniu mogę być spokojna, że na terenie, gdzie sprawujesz pan swój urząd, zbiegłym nie stanie się żadna krzywda i każdy z nich zostanie potraktowany sprawiedliwie.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy, madame, by tak właśnie było — zapewnił Dobbs z pełnym galanterii uśmiechem.

— Ufam ci całkowicie. Powiedz mi teraz, co zamierzasz uczynić z tymi ludźmi, tutaj? — Lierin wskazała głową na kompanię obwiesi z Natchez. — Stracili konie, nie mają jak wrócić do miasta — stwierdziła oczywisty fakt. — Czy to daleka droga?

Na myśl, w jakim znaleźli się położeniu, mężczyźni zaczęli pomrukiwać i poszeptywać między sobą, ale żaden nie śmiał się skarżyć: w końcu sami sobie byli winni i doskonale o tym wie dzieli.

— Wystarczająco daleka, by mieli czas przemyśleć, na co się wazyli, moja droga — odparł Ashton i parsknął śmiechem.

— Może moglibyśmy odwieźć ich do domu?

— Ta niewiasta to prawdziwy anioł — westchnął ktoś, głośno wyrażając powszechną nadzieję, że wielkoduszość pięknej Lierin nie pozostanie bez echa i najazd na Belle Chante pójdzie w zapomnienie. Towarzysze Titcha czekali z zapartym tchem na reakcję pana domu. Czy okaże wyrozumiałość?

Ashton odwrócił się w stronę Judda, uniósł lekko brew.

— Damy im podwoję? — zapytał. — Znajdziesz wóz, na którym wszystkich pomieścisz?

Nadzorca udał, że zastanawia się głęboko nad pytaniem, po chwili twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech; domyślał się intencji Ashtona i znalazł rozwiązanie zgodne z jego myślą.

— Ano, jest jeden, co to go chłopaki zaciągnęli za oborę, massa Ashton, ale nie wiem, czy by się nadał tym panom...

— Nada się, każdy się nada, byleśmy nie musieli do miasta na piechotę wracać — oznajmił wysoki, barczysty mężczyzna: już go krzyże bolały od długiego stania i wcale nie uśmiechała mu się perspektywa wędrówki do Natchez po zachodzie słońca.

— Hickory, biegnij, chłopcze, przygotować podwoję, a uwiń się z tym — polecił Ashton stajennemu. — Nie możemy pozwolić, żeby pan Titch zdarł sobie w drodze powrotnej nowiuteńkie trzewiki.

Kiedy Hickory, tłumiąc chichot, pobiegł w kierunku oficyn, w ciżbie dały się słyszeć nieśmiało pomruki zadowolenia, że pan Belle Chante zgodził się w swojej łaskawości zadbać o odtransportowanie nieproszonych gości do Natchez. Nie cieszyli się długo: zza domu, kolebiąc się na wysoki kołach, wyłonił się wóz zaprzężony w dwa konie pociągowe. Był rzeczywiście tak ogromny, że bez trudu mogła się na nim pomieścić cała kompania, tyle że nie miał ławek, a tylko, jak to wóz gospodarski, platformę i boki z surowych desek, cuchnął zaś tak strasznie świeżym gnojem, że gdy podjechał bliżej, Lierin przyłożyła chusteczkę do nosa. Wokół oblepionej jeszcze resztkami gnoju podwojy unosiła się chmara wielkich, zielonych much, które nie miały najmniejszego zamiaru rezygnować z uczty.

Titch spojrział na pojazd z miną pełną urazy.

— Raczysz pan chyba z nas żartować! — prychnął nadąsany.

— To jedyny duży wóz, jaki mamy w Belle Chante, a wasz mościów sporo — odparł uprzejmie Ashton. — Kiedy zaś pan jesteś taki obrzydliwy i delikatny, idź do Natchez pieszo? Kto wie, może następnym razem pomyślisz dwa razy, czy warto przyjeżdżać tam, gdzie nie zapraszają. Kiedy spodziewam się gości, jestem przygotowany na ich przyjęcie, ale dzisiaj... — Ashton rozłożył ręce w komicznie bezradnym geście. — Daję, co mogę, a wy, dobrze radzę, gotujcie się do drogi, panowie.

Szeryf Dobbs obserwował z uśmiechem, jak jeszcze przed chwilą przepelnieni wdzięcznością awanturnicy spuszczały nosy na kwintę.

— Słyszeliście, co powiedział gospodarz, chłopcy. Pora najwyższa, żebyście się stąd zabierali. Na koniec i ja dorzucę swoją radę: przyjdzie wam, kiedy ochota wyręczać mnie w obowiązkach, to takie grzywny na was nałożę, że będziecie musieli mocno karki zginać na polach Belle Chante żeby mi się wypłacić. — Zaśmiał się z własnego żartu. — No, jazda do miasta, bierzcie nogi za pas, a wybrawszy się w przyszłości na spacer, z dala omijajcie grunty pana Wingate'a.

Hickory z niewinnym uśmiechem siadł na wozie, ujął lejce w dłonie i gwizdnął przez szczyrby w zębach, zachęcając nieproszonych gości, by wskakiwali, który miał dość odwagi, na drewnianą platformę. Wobec perspektywy długiej wędrówki nikt nie zrezygnował z oferowanego środka transportu.

Z wyjątkiem pana Titcha, który uparł się iść pieszo za wozem, a na odchodnym, kiedy podwoda ruszyła już ku bramie, jeszcze głowę ku domowi odwracał, jeszcze srogie i pełne urazy spojrzenia rzucał panu domu, co go w tak nieobyczajny sposób po traktował.

Szeryf Dobbs ujął się pod boki i zaniósł serdecznym śmiechem na widok niechwalebego odwrotu dzielnych stróżów porządku.

— Przejadą kilka mil i zaden nie będzie już czuł fetoru, ale niech Bóg ma ich w opiece, kiedy wjadą do miasta sobie na pohańbienie i dobrym ludziom z Natchez na obrazę.

— Zakarbują sobie w pamięci tę wycieczkę — dodał Ashton.

Haryey ściągnął brwi.

— Oj zakarbują, jeno inaczej niż myślisz. Niektórzy z nich są bardzo pamiętliwi, Ashtonie. Musisz teraz dobrze baczyć na swoje bezpieczeństwo. Bywa, że ten, kto z pozoru nie potrafi do pięciu zliczyć, najdłużej nosi w sercu urazę.

— Możesz być spokojny, na pewno będę uważał, Haryeyu — powiedział Ashton, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. — I dzięki, że w porę przyjechałeś.

— Zawsze do twoich usług — oznajmił Dobbs z uśmiechem.

Przez chwilę szeryf i pan domu obserwowali w milczeniu oddalający się powoli wóz. Mumford Horacy Titch, jeszcze przed kilku godzinami galant dufny w swoje talenta, przebiegły mąci- ciel, przywódca samozwańczego zastępu i zatroskany o bezpieczeństwo innych obywatel, włókł się teraz jak niepyszny z tyłu za podwodą.

Nie uszedłszy daleko, zmęczony wszedł na wóz, wkrótce jednak zsiadł znowu. Nie wiedział, co gorsze, trząść się na gnoju, czy wlec się na piechotę. Na takich praktycznych deliberacjach i na rozważaniu popełnionego błędu minęła mu droga do Natchez.

6

Ucichł w oddali stukot kopyt, szeryf i jego ludzie odjechali. W domu zapanowała błoga cisza, ale Lierin nie mogła zaznać spokoju. Gdy Ashton z szeryfem zamknęli się w gabinecie, by zamienić kilka słów na osobności, zanim oddział Dobbsa ruszy w drogę powrotną, schroniła

się w salonie i przysiadła na brzegu fotela. Próbowwała się opanować, ale nadal drżała na całym ciele. Zbyt jeszcze była wstrząśnięta tym, co usłyszała wcześniej, zbyt przerażona tym, że Horacy Titch i jego banda mogli przecież mieć rację... Podejrzewając, że jest kobietą, która uciekła z za kładu dla obłąkanych. Od dnia, kiedy odzyskała świadomość, nie czuła się tak okropnie, tak bezradnie, jak właśnie teraz, jakby dopiero w tej chwili dotarła do niej cała groza sytuacji człowieka, który utracił pamięć. Miała wrażenie, że wpatruje się w zamknięte drzwi, wie, że za nimi coś jest, ale nie jest w stanie znaleźć klamki, nacisnąć ją, przejść na drugą stronę. Nic nie wiedziała o swoim życiu, a tak rozpaczliwie pragnęła przypomnieć sobie, skąd pochodzi, kim są jej rodzice, krewni, przyjaciele, jakie wydarzenia sprawiły, że owego feralnego wieczoru znalazła się sama na drodze.

Logan zaprzeczył podejrzeniom, wybronił ją przed gniewem ciżby. Sprawa zdawała się wyjaśniona, a jednak pewien ważny szczegół, który być może umknął pozostałym, nie uszedł jej uwagi: otóż Ashton, gotów bronić jej z narażeniem życia przed napastnikami, czynił wyraźne wysiłki, by nie dopuścić do konfrontacji żony z opiekunem z zakładu, tak jakby i jego nurtowały wątpliwości, jakby i on nie był do końca pewien, z kim w rzeczywistości ma do czynienia.

Rozpostarła dłonie i przez długą chwilę wpatrywała się w obrączkę tkwiącą na szczupłym palcu. Wreszcie zamknęła oczy i zaczęła pocierać skronie, by uśmierzyć narastający ból głowy. Wtedy pod powiekami pojawił się obraz: dłoń z długim, ostro zakończonym pogrzebaczem. Najpierw wznosi się do ciosu, po czym opada raz, drugi, trzeci... Wykrzywiona twarz mężczyzny, rozszerzone przerażeniem oczy.

Lierin załkała i skuliła się, jakby chciała uciec przed straszliwą wizją, uwolnić się od prześladowających ją koszmarów.

Raptem krzyknęła, czując na ramieniu dotknięcie czyjejś dłoni i w panice rzuciła się przed siebie, ale w tej samej chwili po wstrzymał ją silny chwyt.

— Lierin? — Ashton potrząsnął nią łagodnie, chcąc, żeby się ocknęła. — Co się stało, Lierin?

Spojrzała na niego rozszerzonymi ze strachu oczami, zasłoniła usta dłonią i potrząsnęła głową.

— Nie wiem, Ashtonie — wykrztusiła przez ściśnięte gardło. — Coś mi się zwiduje... czy też przypomina. — Odwróciła zalaną łzami twarz, nie mogąc znieść zatroskanego wzroku męża. — Widzę jakąś dłoń, która wznosi się do ciosu a potem uderza... — Jej ramionami wstrząsnął szloch. — Może to ja kogoś biłam, może zrobiłam komuś krzywdę! Powinieneś być pozwolić im zabrać mnie. Może to mnie szukali, a Logan skłamał!

— Absurd! Ashton spojrzał w zalane łzami szmaragdowe oczy. — Wierz mi, że to czysty absurd — powtórzył z mocą. — Straciłaś pamięć, ale poza tym jesteś zdrowa. Przeżyłaś szok po wypadku, dlatego nic nie pamiętasz. Nie możesz brać sobie do serca oskarżeń tych nicponi i wyobrażać czegoś, czego nie zrobiłaś, co nie należy do twoich wspomnień.

— Nie — jęknęła. — Nic nie rozumiesz. — Miałam już podobne wizje wcześniej, przed przyjazdem tych ludzi z Natchez.

Ashton przygarnął ją do siebie, objął mocno i ucałował delikatnie w czoło.

— Nie martw się, nie myśl o tym. To zapewne tylko zły sen, nic więcej.

— Chciałabym w to wierzyć. — Lierin oparła głowę o ramię Ashtona. W jego objęciach czuła się tak bezpiecznie, że zaczęła mówić to, co przychodziło jej na myśl, bez najmniejszych oporów opowiadała o swoich obawach i trapiących ją lękach.

— Tak bardzo chciałabym wierzyć, że to tylko senny kosz mar... i że... naprawdę jestem twoją żoną. Chciałabym należeć do twojej rodziny..., wiedzieć z całą pewnością, że tutaj właśnie jest mój dom. Muszę wreszcie poznać prawdę. Muszę.

Ashton ujął twarz żony w dłonie i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Uwierz w to, co ci mówię, zaufaj mi. Chcę twojego dobra. Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham, niczego byś się nie lękała.

Nachylił powoli głowę i zamknął jej usta pocałunkiem, który miał rozproszyć wszystkie lęki, przynieść ukojenie. Lierin pod dała się pieszczocie, powoli ogarniała ją słodka rozkosz, miała wrażenie, że znalazła się w niebie, gdzie wstęp mają tylko kochankowie. Długo trwali w objęciach, dopiero stukot końskich kopyt przywrócił obydwójgu poczucie rzeczywistości. Ashton uniósł głowę, chwilę nasłuchiwał, wpatrując się w przepastne szmaragdowe oczy, wreszcie odsunął się z ociąganiem od żony i ruszył w stronę drzwi wejściowych na spotkanie wracających do domu babki i ciotki. Rozpłomieniona pocałunkiem Lierin nie chciała pozwolić, by Ashton zostawił ją teraz samą: niewiele myśląc, uniosła spódnice i ruszyła za nim. Na odgłos jej kroków odwrócił się, zatrzymał i chciał do niej podejść. W jego oczach było tyle namiętności, że przerażona potęgą tego uczucia Lierin cofnęła się, po czym szybko ruszyła bez tchu na górę, do swojej sypialni, w obawie, że lada chwila przestanie panować nad sobą, pozbędzie się wszelkich hamulców i ulegnie pragnieniu.

Zamknęła drzwi na klucz i padła na szezlong. Po chwili usłyszała kroki w korytarzu i zaraz potem ciche pukanie. Zagryzła wargę, oczekując, że pukanie się powtórzy. Ashton istotnie za pukał powtórnie, zapukał po raz trzeci, a kiedy nie odpowiadała, nacisnął lekko klamkę. Jeszcze moment i kroki się oddaliły. Lierin westchnęła z ulgą, w głębi serca poczuła jednak rozczarowanie, mimo iż odniosła małe zwycięstwo nad samą sobą.

Z północy nadciągał chłodny wiatr. Gnał po niebie czarne chmury, które przesłoniły ostatnie promienie zachodzącego słońca. Spadły pierwsze, orzeźwiające krople deszczu, po czym rozpełtała się rześista ulewa i nad Belle Chante nadciągnęła burza. Służba pospiesznie zamykała okna, rozpalano ogień na kominkach, dowcipkując przy tym na temat losu pana Titcha i jego kohorty zabijaków. Wszyscy byli zgodni, co do tego, że Hickory miał dość rozsądku, by schronić się gdzieś przed ulewą, i jednakowo pewni, że podczas przymusowego postoju będzie musiało dojść do awantury między niefortunnymi napastnikami.

Willabelle przyszła pomóc swojej młodej pani przebrać się do kolacji i chociaż Lierin miała ochotę stchórzyć i zostać w swoim pokoju, uległa namowom gospodyni. Jako że nie odwiedziła jeszcze krawcowej w Natchez, wybór toalety nie nastroczał trudności. Oprócz różowej, pozostawała jeszcze szmaragdowa suknia wieczorowa, bardzo piękna, z głębokim dekoltem, skromniejszym co prawda niż ten, który niedawno zaprezentowała Marelda, ale i tak nazbyt może śmiałym, by wystąpić w nim przed Ash tonem, rozmyślała Lierin, pocieszając się, że mąż nie będzie przecież czynił jej awansów w obecności babki i ciotki.

Gdy zeszła na dół, usłyszała słodkie dźwięki dochodzące z salonu. Ashton grał na wiolonczeli, a tak był pochłonięty muzyką, że mogła do woli nacieszyć się jego widokiem. Siedział w fotelu, odwrócony plecami do wejścia, nieskazitelnie ubrany. Nie było w tym nic zaskakującego, gdyż miał doskonały gust, nosił wytworne, znakomicie uszyte ubrania, które świetnie na nim leżały, podkreślając piękną, męską sylwetkę. Ale równie dobrze prezentował się w starych bryczesach do konnej jazdy, wkładanych, na co dzień do zajęć gospodarskich.

Lierin cichutko stanęła w progu, sycąc oczy widokiem męża, ale też nie chcąc przerywać muzykowania. Ashton wyczuł widać jej obecność, bo zaraz przestał grać, podniósł się z fotela, odstawił wiolonczelę i zbliżył się na do niej z szerokim uśmiechem, ujął jej dłonie w

swoje i złożył na ustach gorący pocałunek. Nie spodziewała się z jego strony takiej manifestacji uczuć w obecności krewnych.

— Twoja babka gotowa się zgorszyć... — zaprotestowała bez tchu.

— Powiedz mi, pani, jakim to sposobem mogłaby się zgorszyć, skoro jej tu nie ma? Lierin zerknęła przez ramię Ashtona. Rzeczywiście, fotele oby dwu dam były puste.

— Nie ma jej? Gdzie zatem...?

— Razem z ciotką Jenny pojechały na kolację do sąsiadów. — 123

Wzruszył lekko ramionami. — My też byliśmy zaproszeni, ale się wymówiłem.

— A więc... jesteśmy sami? — zapytała niepewnym głosem i raz jeszcze rozejrzała po pustym pokoju.

— Jeśli nie liczyć służby. — Ashton uniósł lekko brew. — Czy to cię niepokoi, najdroższa? Lierin z wahaniem skinęła głową.

— Bardzo jesteś przebiegły, mój panie.

Ashton ze śmiechem poprowadził żonę do pomocnika kredensowego, gdzie stały kryształowe karafki iskrzące się refleksami świec. Nalał sherry do kieliszka, dodał odrobinę wody i podał Lierin.

— O co mnie podejrzewasz?

Lierin upiła łyk trunku i westchnęła głęboko.

— Myślę, że chcesz mnie uwieść.

— Różnica między uwiedzeniem a gwałtem zawiera się w jednym krótkim słówku: nie. Wystarczy, że je wypowiesz, moja droga — odparł, obnażając lśniąca białe zęby w łobuzerskim uśmiechu.

Lierin nie znalazła odpowiedzi na tę uwagę. Słowo „nie” straciło swoją moc, brzmiało jakoś chropawo, wiedziała, że nie po trafiłaby użyć go akurat wobec Ashtona.

Ashton utkwiał wzrok w jej dekolcie, nachylił się i pocałował jej nagie ramię.

— Wyglądasz ślicznie, madame... jesteś taka apetyczna, że miałbym ochotę cię schrupać...

Drgnęła, spłoniła się, on zaś z uśmiechem spojrzał na jej spłoszoną minę i pocałował ją jeszcze raz, muskając delikatnie za głębień między piersiami i mruczając:

— Jeden kąsek nie wystarczy, ledwie posmakowałem... a apetyt rośnie...

— Ashtonie! — Lierin podskoczyła, nie wiadomo, czy na tę śmiałą czułość, czy na odgłos targanej wiatrem gałęzi, która właśnie uderzyła w szybę, i położyła mężowi dłoń na piersi, chcąc powstrzymać jego zapędy.

— Służba! — szepnęła drżącym głosem.

Ashton zachichotał, wyprostował się i tym razem złożył znacznie bardziej obyczajny pocałunek na czole Lierin. Tym razem nie protestowała.

— Tak bardzo cię pragnę, moja miłości, że trudno mi się po wstrzymać, chociaż tyle ludzi w domu. Chciałbym cię zabrać do Nowego Orleanu, do tego samego hotelu, do tego samego pokoju, gdzie kiedyś się kochaliśmy i gdzie moglibyśmy być wreszcie zupełnie sami.

Gdzieś w głębi domu głośno trzasnęły drzwi i po chwili do jadalni wtargnęła z przyrodzonym sobie impetem Willabelle.

Jezusie, a to się burza rozpętała, na dobre rozpętała. Jeszcze chwila, a wietrzysko dom rozniesie. — Cmoknęła i pokręciła głową. — Pan Titch piękną ma drogę do Natchez, ani słowa. Ukąpał się pewnikiem tak, że teraz przez cały miesiąc nie będzie musiał wchodzić do wanny. W sam raz zda mu się prysznic po jeździe na gnoju. Chciałabym go teraz zobaczyć. Przyjeżdża tu taki i co sobie myśli? Że oddaliby my naszą panienkę, ot tak, niby pierwszą lepszą znajde? Pokazał mu pan, gdzie raki zimują, oj pokazał, że sobie na całe życie popamięta.

Gospodyni zachichotała i baczynym okiem przyjrzała się, czy służba dobrze nakryła do kolacji, po czym ustawiła talerze blisko siebie w jednym końcu stołu i pospiesznie wyszła z pokoju. Niemal w tej samej chwili pojawił się Willis i uroczyście zaanonsował, że pora siadać do posiłku. Ashton podał ramię żonie i po wiódł na miejsce przygotowane przez Willabelle.

Odsunawszy krzesło dla Lierin, musnął lekko dłonią jej biodro, a kiedy spojrzała na niego pytająco wielkimi szmaragdowymi oczami, nachylił się i, korzystając z okazji, pocałował w usta.

Podczas kolacji prawie nie spuszczał wzroku ze swojej ukochanej, nie zwracając uwagi na to, co miał przed sobą na talerzu. Jeśli chodzi o Lierin, to sherry wywarło na nią błogosławiony skutek: uspokojona, odprężona mogła teraz rozkoszować się intymną atmosferą, chętnie przyjmując uwagę Ashtona.

Kiedy wrócili do po skończonej kolacji do salonu, Ashton zamknął za sobą wielkie, dwuskrzydłowe drzwi, teraz naprawdę zostali sami, nikt już nie mógł im przeszkadzać. Lierin usiadła przy klawesynie, który zdawał się przywracać jej wiarę w możliwość odzyskania pamięci. Ashton stanął obok: od czasu do czasu podawał jej ton, gdy zmyliła nuty, ona zaś podnosiła głowę i uśmiechała do niego promiennie, rada, że ma go tak blisko siebie, że od czasu do czasu czuje jego palce na nagim karku. Posmutniała nieco, widząc, że Ashton odsuwa się. Wtem ujrzała, że podchodzi do kominka i bierze w dłoń pogrzebacz. Ogarnęła ją panika, przestała grać, zamarła, przed oczami pojawił się znowu koszmarny obraz: żelazo spadające w okrutnym ciosie na głowę jakiegoś mężczyzny.

Ashton odwrócił się, zaskoczony raptownym urwaniem się melodii. Ujrzał przerażenie malujące się na twarzy żony, odrzucił pogrzebacz i podbiegł do niej. Wiedział doskonale, co ją dręczy, co nęka. Wziął drżącą w ramiona, przytulił do piersi i począł uspokajać:

— Dobrze, już dobrze, najdroższa. Postaraj się o tym nie myśleć.

— Pogrzebacz... — Lierin nie mogła się uspokoić. — Taki sam jak ten. To ciągle wraca. Ciągle widzę rękę wzniesioną do ciosu i osłaniającego się mężczyznę. Och, Ashtonie, czy to się kiedyś skończy?

Ashton odsunął ją nieco od siebie, zajrzał w jej strapioną twarz.

— Czy rozpoznajesz tego mężczyznę? Widziałaś go już przedtem?

— Nie wiem, wszystko jawi mi się jak za mgłą. — Po jej policzkach zaczęły spływać łzy. — Tak strasznie się boję, Ashtonie. Nie mam pojęcia, dlaczego prześladowuje mnie ta wizja... chyba... chyba że to ja... Zadałam cios i teraz męczy mnie wspomnienie czegoś, co zrobiłam. Czy jesteś pewien, że pan Logan...?

— Ty nie masz z tym nic wspólnego, to nie o ciebie chodziło — powiedział Ashton z naciskiem. — Ktoś zabił w zakładzie jakiegoś człowieka nożem. To był potężny mężczyzna,

dwa razy potężniejszy od ciebie. Nawet uzbrojona w pogrzebacz nie dałabyś mu rady, obezwładniłby cię w jednej chwili, zanim zdołałabyś uczynić mu najmniejszą krzywdę.

— A ten ślad na moich plecach... mówiłeś, że wygląda tak, jakby ktoś mnie uderzył. Może...

Ashton spojrzał żonie głęboko w oczy, zaczął mówić powoli, z naciskiem:

— Peter Logan zaręczył, że nie rozpoznaje w tobie pensjonariuszki z zakładu dla obłąkanych. Nie jesteś nią! Jesteś Lierin Wingate, moją żoną!

W tonie Ashtona było tyle pewności, że jego słowa zdawały się przesądzać sprawę, tymczasem Lierin nie mogła pozbyć się, że podchodzi do kominka i bierze w dłoń pogrzebacz. Ogarnęła ją panika, przestała grać, zamarła, przed oczami pojawił się znowu koszmarny obraz: żelazo spadające w okrutnym ciosie na głowę jakiegoś mężczyzny.

— Odprowadzę cię teraz do twojej nowej sypialni, zanim się rzucę na ciebie tu i teraz.

— Zdawało mi, że mówiłeś, iż zaufanie jest najważniejszą rzeczą w małżeństwie — zauważyła, podnosząc się z kanapy.

Ashton spojrzał na nią z lekkim powątpiewaniem.

— Coś mi się wydaje, że nadużywasz tego słówka, madame. Zabiorę cię chyba do Nowego Orleanu i jeśli tam nadal będziesz mówiła o zaufaniu, to znaczy, że nie ma dla mnie żadnej nadziei.

Nie mogła się zorientować, co tak naprawdę Ashton ma na myśli.

— Mówisz poważnie? Rzeczywiście chcesz mnie zabrać do Nowego Orleanu?

— W rzeczy samej — odparł, przekonując się do własnego pomysłu.

— Ale... dopiero co wróciłeś z Nowego Orleanu.

— Byłem tam w interesach, tym razem pojedziemy wyłącznie dla przyjemności.

Lierin zmierzyła męża sceptycznym wzrokiem.

— I wszystko po to, żebyś mógł mnie wreszcie uwieść, tak?

— Tak, madame. Im szybciej, tym lepiej — oznajmił z uczuciem, po czym wziął ją na rękę, pocałował w szyję i zaniósł na górę. Przeszedł przez swoje apartamenty, zatrzymał się w pokoju kąpielowym i tu postawił ją na ziemi.

— Tutaj możesz się rozebrać, w sypialni jest jeszcze zbyt chłodno. — Wskazał głową na niewielką komódkę, na której leżały najpotrzebniejsze rzeczy. — Kiedy jedliśmy kolację, kazałem Willabelle przenieść kilka drobiazgów.

Rzeczywiście, Lierin dojrzała swój zielony szlafrok i cienką batystową koszulę nocną. Propozycja, by przeniosła się do sypialni obok pokoi Ashtona nie była więc spontanicznym pomysłem, jak w pierwszej chwili sądziła. Nie tylko zaplanował sobie wszystko wcześniej, ale kazał też gospodyni poczynić odpowiednie przygotowania, przekonany, że żona przyjmie zaproszenie. Spojrzała na niego ubawiona i jednocześnie zaskoczona.

— Chyba cię nie doceniałam.

— Wiedziałem, że się zgodzisz — odparł z chytrym uśmiechem.

— Zawsze jesteś taki pewny swego?

— To kwestia logiki. Ten pokój jest znacznie wygodniejszy i...

— I tobie będzie znacznie poręczniej.

— W istocie — przyznał bez najmniejszych oporów. Zdjął surdut, kamizelkę, rozwiązał halsztuk, wszystko to powiesił na wieszaku stojącym koło drzwi, po czym ujął dłonie Lierin i ucałował je, nie odrywając wzroku od twarzy żony.

— Rozbierz się, a ja tymczasem rozpalę ogień na kominku.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Lierin miała chwilę czasu, by się ocknąć i pomyśleć trzeźwo. Coraz bardziej była świadoma tego, że ilekroć Ashton był w pobliżu, wszelkie opory z jej strony przestawały istnieć. Był niczym magnes, który przyciągał ją do siebie z ogromną siłą, z każdą chwilą bliżej i bliżej, a ona nie potrafiła mu się oprzeć. Z przyjemnością myślała o tym, że jest jego żoną, nie wzdrygała się już, jak w pierwszych dniach, przed perspektywą małżeńskiej bliskości, przeciwnie, tęskniła za nią, chciała przestawać z Ashtonem jak przystało przestawać żonie z mężem.

Otrząsnęła się z tych rozmyślań i gniewnie pokręciła głową. Przecież to absurd. Miałaby pójść do łóżka z człowiekiem, którego prawie nie znała? Nie, powinna reagować trzeźwo, rozsądnie, zachowywać konieczny dystans.

Zawiązała pasek od szlafroka i boso weszła do sypialni. Stała na miękkim dywanie i rozejrzała się po luksusowo urządzonej wnętrze, przy którym zajmowany przez nią dotąd różowy pokój wydawał się skromną izdebką. Ashton wiedział, co robi, proponując, by się tu przeniósł.

Zbliżyła się do stojącego obok kominka męża i z uśmiechem wsunęła mu dłoń pod ramię.

— Ten pokój jest śliczny, Ashtonie. Miałaś rację, nie potrafiłabym z niego zrezygnować.

Wspięła się na palce, by cmoknąć Ashtona w policzek, ale on ubiegł ją, przysunął wargi do jej ust, przygarnął Lierin do siebie, objął mocno i począł żarliwie całować. Drżała w jego ramionach, chciała się opierać, jednocześnie pragnęła go nade wszystko, wiedziała przy tym, że jeśli nie zdobędzie się na stanowczość, lada chwila gotowa ulec.

— Potrzebuję czasu, Ashtonie — szepnęła błagalnym tonem, od suwając się nieco. — Proszę, pozwól mi najpierw odnaleźć siebie.

Ashton zmarszczył brwi, na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Nie wiedząc, jak mogłaby ulżyć jego męce, podeszła z nim do łóżka, patrząc, jak zdejmuje kapę. Kiedy odwrócił się znowu do niej, westchnął ciężko i uczynił taki gest, jakby chciał położyć jej dłonie na ramionach, powstrzymał się jednak i ruszył ku drzwiom.

— Pójdę już.

— Proszę, Ashtonie... postaraj się mnie zrozumieć — szepnęła cicho. — Zostań chwilę, porozmawiajmy.

Ashton zaśmiał się krótko.

— Albo nie doceniasz swoich wdzięków, madame, albo przeceniasz moją zdolność powściągnięcia zmysłów. Jeśli zostanę, choć by moment dłużej, zwykłe „nie” nie wystarczy. — Włożył dłonie do kieszeni spodni, rysy mu stężały, spoglądał gdzieś w przestrzeń. — Ta namiętność jest ponad moje siły, proszę więc, najdroższa... miej wzgląd na to, co się ze mną dzieje.

Lierin, pomna przestrogi, czym prędzej, nie zdejmując nawet szlafroka, wskoczyła do łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę. Ashton podszedł do kominka, dorzucił kolejne polano do ognia i stał chwilę ze spuszczoną głową, wpatrując się w złocistopomarańczowe płomienie. Obserwowała go i rozmyślała, jak bardzo, w tak krótkim czasie, zdążyła się do niego przywiązać, jak, nie wiadomo, kiedy, zaczęła go pożądać. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że

była już kiedyś z mężczyzną. Kiedy zamykała oczy, mogła zobaczyć nagą sylwetkę kochanka, który podnosi się z łóżka. Obraz był mglisty, niewyraźny, ale pojawiający się w nim mężczyzna zdawał się rosły, szeroki w ramionach, wąski w biodrach, miał krótko obcięte, kręcone włosy, mocny, ogorzały od słońca kark. Willabelle ciągle jej powtarzała, że drugiego takiego jak Ashton ze świecą szukać: Lierin była gotowa zgodzić się z nią w pełni. Na ile zdążyła go poznać, potrafił kochać i troszczyć się o drugą osobę, był człowiekiem, z którym mogłaby związać się na całe życie, na dobre i złe.

— Ashtonie — odezwała się cicho.

— Tak? — Odwrócił głowę i zbliżył się do łóżka. — O co chodzi, Lierin?

Spoglądała przez chwilę w milczeniu w przystojną twarz, oświetloną łagodnym światłem świec i blaskiem bijącym od kominka. Zdawała sobie sprawę, jak wiele ryzykuje, wiedziała, że Ashton może ją zranić, a jednak pragnęła się z nim kochać, czuć jego ciało, oddać mu się bez żadnych zastrzeżeń. Odgarnęła kódrę zapraszającym gestem.

— Nie musisz zabierać mnie do Nowego Orleanu, Ashtonie. Wszystko, czego chcesz, możesz mieć teraz i tutaj.

Ashtonowi na te słowa zabiło serce, krew poczęła szybciej krążyć w żyłach, oczy rozbłyły pożądaniem. Drżącymi palcami zaczął rozpinąć guziki koszuli, a kiedy ją zrzucił, usiadł na łóżku i zzuł buty. Lierin uniosła się, uklękła na łóżku, zdjęty właśnie szlafrok zsunął się na podłogę. Objęła męża i przytuliła się do jego pleców. Ashton po tej rozkosznej pieśszczocie poczuł ból w lędźwiach. Tak, to była jego Lierin, powabna, ciepła, czuła, zdolna rozpaścić jego zmysły do czerwoności. Jej dłonie przesuwaly się po szerokiej, owłosionej piersi. Zawahała się na moment, wyczuwając pod palcami bliznę, po czym zatopiła je w gęstych włosach.

— Pospiesz się — szepnęła mu do ucha, musnęła językiem różową małżowinę, przysiadła na piętach. Ashton wyciągnął się na łóżku, odwrócił się lekko i przyciągnął Lierin, tak, że znalazła się nad nim. Przesunął powoli dłońmi po jej ciele w górę, aż do dekoltu koszuli nocnej, po czym rozerwał ją na piersiach jednym gwałtownym ruchem, dotknął ustami nagiej piersi. Lierin, czując, jak powoli zaczyna ogarniać ją fala rozkoszy, ujęła z uśmiechem dłoń męża i pociągnęła go do pozycji klęczącej.

— Chyba się w tobie zakochałam — szepnęła. — Pragnę cię, Ashtonie... tak bardzo cię pragnę...

Ashton podniósł się, zrzucił resztę ubrania, stanął przed żoną w całym splendorze nagości, po czym zanurzył się w łożu i w tej samej chwili cały świat przestał istnieć dla dwojga zespolonych w namiętym uścisku kochanków.

W apartamencie pana domu panował chłodny półmrok, tylko przez szpary w aksamitnych zasłonach przedzierały się nieśmiało pierwsze promienie brzasku. Lierin poruszyła się w łóżku, wy ciągnęła dłoń, a natrafiwszy na pustą poduszkę, usiadła i rozejrzała po pokoju; ani śladu Ashtona. Zaczęła nasłuchiwać uważnie, ale nie mogła dosłyszeć żadnych odgłosów wskazujących na to, że mąż jest gdzieś w pobliżu. W nocy przeniósł ją do swojej sypialni, przesadzając w ten sposób sprawę oddzielnych pokoi i jasno dając do zrozumienia, gdzie jest jej miejsce. Luksusowe wnętrze prezentowało się imponująco, utrzymane w tonacji turkusowej zieleni, wyposażone w piękne meble z ciemnego drewna, skórzane fotele, kotary z brązowego aksamitu, emanowało wyjątkowym ciepłem, a fakt, że mieszkał tu ukochany, z którym właśnie spędziła noc, czyniło je Lierin jeszcze miłszym.

Odgarnęła włosy z policzka, westchnęła z rozmarzeniem i wsparła głowę na poduszkach. Zanim Ashton wróci, mogła się rozkoszować wspomnieniami ostatnich, wspólnie spędzonych godzin. Pan na Belle Chante podbił ją swym nieodpartym urokiem, a ona uległa, oddała mu serce. Pamiętała doskonale jego sylwetkę nachyloną nad kominkiem, gdy wstał w nocy, by dorzucić polan do przygasającego ognia.

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, Lierin ocknęła się z rozmyślań. Kiedy rozpoznała ciężkie kroki Willabelle, odrzuciła szybko kołdrę, a zdawszy sobie sprawę, że jest zupełnie naga, chwyciła szlafrok Ashtona, który leżał w nogach łóżka, narzuciła go i na stawiła uszu; gospodyni weszła do pokoju kąpielowego, Lierin więc ponownie wślizgnęła się do łóżka i odetchnęła z ulgą. Nie miała ochoty pokazywać się ochmistrzyni w porannym dezabilu, po miłosnej nocy. Jeszcze niedawno zarzekała się, że będzie się trzymać z dala od Ashtona, teraz była już panią na Belle Chante i wkrótce powinna potwierdzić swój status. Nie mogła zbyt długo kryć się przed Willabelle.

W pokoju kąpielowym panowało wyraźne ożywienie, służba nosiła wodę, przygotowywano kąpiel, gospodyni czuwała nad wszystkim, rzucając polecenia ściszonego głosem. Po chwili wszystko ucichło, rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Lierin przejrzała się w lustrze: zmierzwiłone włosy, zaczerwienione policzki, rozszerzone oczy, wszystko to nie pozostawiało wątpliwości, że noc spędziła na miłosnych igraszkach z panem Wingate'em. W takiej sytuacji doprawdy trudno było zachować godność. Lierin mogła liczyć tylko na dyskrecję Willabelle.

Podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę, zajrzała do środka. Gospodyni zmieniała właśnie ręczniki, nucąc wesoło pod nosem. Na widok pani odwróciła się i zaczęła gawędzić ze zwykłą sobie bezpośredniością, jakby obecność Lierin w apartamencie Ashtona była dla niej rzeczą najnaturalniejszą w świecie.

Po chwili Lierin rozkoszowała się już gorącą kąpielą. Ledwie zdążyła zanurzyć się w wannie i wyciągnąć leniwie, z holu na dole doszedł odgłos energicznych kroków. Słyszając, że Ashton

Podchodzi i kładzie ręce na jej ramionach, pochyliła nieco głowę do przodu, by ułatwić mężowi masaż. Kiedy Ashton skończył myć i masować Lierin, wyjął ją z wanny i obsypując pocałunkami zaniósł do sypialni. Żadne z nich nie zwróciło uwagi, że zamoczył sobie przy okazji ubranie; byli tak bez reszty pochłonięci sobą, że nic poza tym nie miało dla nich najmniejszego znaczenia.

Na odgłos lekkich kroków zbliżających się do podestu schodów na piętrze Ashton uniósł głowę i pełnym uznania wzrokiem otaksował sylwetkę żony; w jednej z sukien, które jej kupił, prezentowała się wprost zachwycająco. Tak, była wszystkim, czego oczekiwał po ukochanej kobiecie, była jego wyśnionym ideałem, wiedział o tym od dawna. Pamięć nie zawiodła go przez te trzy lata, ale kiedy spoglądał teraz na żywą Lierin, musiał przyznać, że jej uroda przewyższała wszystkie, nawet najbardziej wyidealizowane wspomnienia. Czyżby umysł płatał mu figle, sprawiając, że wydawała się jeszcze piękniejsza niż wizje jawiące się dotąd w wyobraźni?

Gdy zawahała się u szczytu schodów, z uśmiechem wyciągnął ku niej dłoń. Obserwował, jak schodziła, chłonąc pożądliwie każdy szczegół postaci. Suknia zdawała się niemal doskonała: mieniący się niebieskozielony stanik z tafty i biała spodem spódnica z tego samego materiału, mała kryza wokół szyi i koronkowe mankiety, bufiaste rękawy od łokcia wąskie, ciasno opinające przedramiona. Całości dopełniał mały zielononiebieski kapelusik-budka, przewiązany pod brodą dobraną pod kolor wstążką. Wszystko to dodawało Lierin nieodpartego powabu.

— Madame, wyglądasz tak pięknie, że na twój widok mityczne syreny zapłakałyby z zazdrości i zawodząc, biły głowami o skały.

Lierin zaśmiała się wesoło, objęła go za szyję, on zaś chwycił ją w tali, uniósł, okręcił wokół siebie i złożył na jej ustach gorący pocałunek. Długo trwali w objęciach, zanim Ashton z westchnieniem, ociągając się, postawił wreszcie żonę z powrotem na ziemi.

— Kiedy tak żarliwie odpowiadasz na moje pocałunki, mam ochotę ponieść cię z powrotem do łóżka.

Lierin w odpowiedzi przeciągnęła dłonią po jego piersi.

— Zawsze przecież możemy odłożyć wyjazd — oznajmiła z niewinną minką.

Ashton jęknął w udanej męce.

— Och, najdroższa, nigdy, ale to nigdy bardziej nie pragnąłem zostać w łóżku, ale pamiętaj, że obiecałem ci nową koszulę nocną. — Uśmiechnął się, zaglądając w jej roziskrzane oczy.

— Będziemy potrzebowali sporego zapasu bielizny na te wszystkie noce, które przyjdzie nam jeszcze spędzić razem.

Lierin wspięła się na palce i szepnęła mężowi do ucha:

— Rozumiem teraz, dlaczego Marelda tak bardzo mnie nienawidzi, dlaczego jest taka zazdrosna. Bardzo miło jest być z tobą w łóżku.

Ashton, uniósłszy sceptycznie brwi, poprowadził żonę do wyjścia.

Możesz mi wierzyć, że Marelda nie jest w stanie tego osądzić, bo nigdy nie wchodziłem w większe poufałości z tą nie znośną kobietą.

Lierin przycisnęła mocno jego ramię do swojego boku i podniosła oczy.

— Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa, że to słyszę — oznajmiła z uśmiechem.

Przy drzwiach powozu czekał już Hiram. Na widok Lierin i Ashtona zdjął z głowy wytworny lśniący cylinder, ukłonił się nisko i wyszczerzył radośnie garnitur białych zębów.

— Piękna z państwa para, ani słowa, obydwójce jak malowani.

— Dziękujemy, Hiramie — odparła Lierin. — Pan Wingate świetnie się prezentuje, prawda?

— Juści, jak zawsze — przytaknął ochoczo stangret, po czym dodał z chichotem, zadowolony z własnego konceptu: — Ale ani się umywa do panienki.

Lierin zaśmiała się beztrąsko i z pomocą męża wsiadła do powozu. Umościła się na obciążonej skórą ławeczce, zebrała spódnice, by zrobić miejsce Ashtonowi, a kiedy i on się usadowił, obejmując ją ramieniem, przytuliła się do niego.

— Kocham cię — szepnął Ashton.

Spojrzała na niego spod kapelusika pełnym czułości wzrokiem.

— Z wzajemnością, sir.

Lando potoczyło się szparko po podjeździe w kierunku bramy wjazdowej. Ashton prawie codziennie w rozmaitych sprawach jeździł do Natchez, ale nigdy jeszcze podróż nie sprawiła mu takiej przyjemności jak dzisiaj. Po raz pierwszy od wielu miesięcy był spokojny, odprężony. Ostatnia noc przyniosła mu zaspokojenie, za którym tak tęsknił, ale prawdziwe szczęście czerpał z obecności tej, która teraz tak chętnie, bez żadnych już obaw tuliła się do jego boku.

Podróż upłynęła im nie wiedzieć, kiedy na wzajemnych pieszczotach, pocałunkach i czułych spojrzeniach. Ocknęli się dopiero, kiedy Hiram zatrzymał powóz przed salonem modniarki.

Ashton pomógł żonie wysiąść z landa, powiedział Hiramowi, jak długo mniej więcej zabawią u krawcowej, po czym, kładąc dłoń na plecach Lierin, poprowadził ją do drzwi sklepu. Panna Gertruda, wybiegłszy z zaplecza, wychyliła ptasią główkę zza bel materiałów, które piętrzyły się na kontuarach. Kiedy zobaczyła, kto przyjechał, uniosła ręce w pełnym przejęcia geście i pospieszyła powitać zacnych klientów.

— Och, tak bardzo się cieszę, że mogę poznać pana żonę, panie Wingate — zaszcebiotała przymilnie i przez okulary tkwiące na czubku nosa obejrzała Lierin od stóp obutych w skórzane trzewiki po czubek głowy skryty pod budką kapelusza. Zadowolona z wyniku swej inspekcji skinęła głową z aprobatą, a na jej wąskich ustach pojawił się przyjazny uśmiech.

— Pańska babka była tutaj wczoraj rano, panie Wingate. Tak się zachwyciła pańską żoneczką, tak ją wychwalała, że już myślała, że za długo była na słońcu, ale teraz widzę, że w jej słowach nie było nic a nic przesady.

Panna Gertruda ujęła szczupłą dłoń Lierin i poklepała serdecznie.

— Kiedy damy z Natchez i okolicy zobaczą, że nosisz moje kreacje, złociutka, zlecą się tutaj jak stado sikorek, nie będę się mogła opędzić od obstalunków, każda będzie chciała wyglądać jak ty, sioneczko. Dużo piękności widziałam już w życiu, wiele z nich ubierałam, ale takiej ślicznej jak ty jeszcze nie spotkałam. Ledwie mogę przyjść do siebie, nie wiem, czy moje suknie godne są twojej urody i czy podołam zamówieniom, kiedy całe miasto zacznie mi się tutaj pchać.

Lierin przyjęła ten niezwykle komplement krawcowej ze śmiechem.

— Może więc powinnam zrezygnować z obstalunku u pani, skoro moja osoba ma jej tyle kłopotu przyczynić? — zagadnęła żartobliwie.

Panna Gertruda wyprostowała się gwałtownie i zamrugła oczami, jakby słowa nowej klientki ubodły ją do żywego.

— Słucham? Miałby cię ubierać kto inny? — zachnęła się

w udanym niedowierzaniu. — Toż to zupełna niedorzeczność

i niedoczekanie, moja droga. Nikt nie wystroi cię tak jak ja. — Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się pod nosem. — Będą się

do mnie damy cisnęły w kolejce, będą zazdrościć, ale co tam,

przyjmę je wszystkie i obsłużę jak się patrzy.

Tak, będą zazdrosne, co do tego panna Gertruda nie miała najmniejszych wątpliwości. Od dawna po mieście krążyły pogłoski, ile to panien zaginało parol na przystojnego Wingate'a. Wśród adoratorek prym wiodła, ma się rozumieć, Marelda Rousse, klientka Gertrudy. Ilekroć zaglądała do sklepu, opowiadała, jak to Ashton ugania się za nią. Kiedy się ożenił tak nieoczekiwanie, panna zrazu spuściła z tonu, ale wkrótce ukuła sobie własną teorię, wedle której obiekt jej westchnień został zmuszony do małżeństwa przez ojca oblubienicy. Kiedy pytano ją, czy to możliwe, by ktokolwiek zmusił człowieka tak upartego jak Wingate do ślubu, Marelda wzruszała ramionami i odpowiadała, że widać Ashton musiał w pijackim zamroczeniu pozbawić dziewczynę wianka, po czym nie pozostało mu, jako człowiekowi honoru, nic innego jak powieść czci panińskiej pozbawioną ofiarę do ołtarza. Zrodzone z zazdrości plotki mogły brzmieć prawdo podobnie dopóki ci, którzy skłonni byli dawać im wiarę, nie ujrzeli Lierin. Jeśli Marelda mówiła prawdę, to, mimo że upojony alkoholem, amant wybrał klejnot najbardziej próby.

Krawcowa skinęła ręką na klientów, dając znak, by przeszli z nią w głąb sklepu.

— Straszna pochlebczyni z tej panny Gertrudy — szepnęła Lierin, nachylając się do Ashtona.
— i o zakład, że mówi to samo każdej damie, która przychodzi do jej salonu.

Ashton parsknął śmiechem i objął żonę w talii.

— Panna Gertruda znana jest z tego, że potrafi być brutalnie szczerą. Nie widzę powodu, dlaczego miałaby akurat tobie prawić androny. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale patrzeć na ciebie to prawdziwa rozkosz. Muszę wyznać, że nic, ale to nic nie sprawia mi większej przyjemności.

Ashton zdążył już zauważyć, że Lierin wywiera wielkie wrażenie nie tylko na nim, inni mężczyźni również spoglądali na nią pożądanym okiem. Tak też było w pobliskiej gospodzie, do której weszli na lekki posiłek. Pora lunchu już minęła i w sali siedziało niewielu gości. Kilku z nich, znajomych Ashtona, podchodziło po kolei, by przedstawić ich żonie, po czym poklepywali go po plecach, życzyli szczęścia i odchodzili. Inni spoglądali na Lierin z niemym podziwem, a kilku śmielszych strzelało w jej stronę oczami. Tych ostatnich Ashton zmusił wzrokiem, by zajęli się swoimi sprawami. Poprowadził żonę do stolika w kącie sali, gdzie mogli mieć względny spokój, cóż, kiedy nawet gruby, mrukliwy karczmarz nie mógł oderwać oczu od pięknej pani. Ashton go znał i wiedział, że stary nie należy do tych, którzy oglądają się za kobietami i że jego jedyną pasją i namiętnością są pieniądze, acz wielkiego majątku nie mógł zbić za szynkwasem. Zainteresowanie gospodarza Lierin nie licowało zupełnie z jego charakterem i było prawdziwym zaskoczeniem dla Ashtona.

— Przepraszam, panienko, ale słyszałem, jak pan Wingate mówił przed chwilą, żeście jego żoną — zagadnął zaintrygowany karczmarz.

Lierin z wahaniem skinęła głową.

- Tak.

Karczmarz, czegoś wyraźnie zafrasowany, podrapał się po czuprynie.

— Ano musiałem się pomylić. Jakem was zobaczył, pomyślałem sobie żeście są tą, co to jej szuka pan Sinclair.

— Pan Sinclair? — powtórzyła Lierin ze zdziwieniem, podnosząc głowę.

— Właśnie. Pan Sinclair opowiadał, że jakiś człowiek porwał mu żonę, z domu uwięził i przywiózł ją tutaj, do Natchez, ale widać, że nie o was szło, skoro jesteście żoną pana Wingate'a.

— Nie znam żadnego pana Sinclaira — mruknęła Lierin trochę zaniepokojona. — Dlaczego pomyśleliście, gospodarzu, że miałabym być jego żoną?

— Ano, widziałem ją tutaj, ale z daleka. Piękna niewiasta, całkiem jak wy, pani. Przyszła z mężczyzną, najpierw pomyślałem sobie, że to jej stangret, bo powoził. Wzięli u mnie pokoje, jedno przy drugim, i prawie w ogóle nie wychodzili. Czegoś okropnie była zmartwiona, ale z nią nie zamieniłem słowa, z bliska też jej nie widziałem. Nie wiem, o co szło, ale dziwni mi się obydwójce wydali, tacy więcej nerwowi. Ten niby stangret to był taki niepozorny, nie jak pan Sinclair, bo z niego wielki elegant. Jak się tu pojawił, to ten drugi niewiastę ze sobą zaraz zabrał i gdzieś przepadł. Pan Sinclair szukał ich po okolicy, potem zapakował żonine kufry do jej powozu, co go tu zostawiła, najął stangreta i odjechał. Potem widziałem go wszystkiego raz jeszcze albo dwa razy, ale on nie z naszych stron i wiele o sobie nie gadał, więc nic powiedzieć nie mogę.

— Kiedy się to wydarzyło? — zapytał Ashton.

Karczmarz potarł dłonią zarost, chwilę się zastanawiał.

— Czy ja wiem? Chyba jakoś tak krótko przed pożarem w do mu wariatów. — Namyslał się jeszcze przez moment, wreszcie pokiwał stanowczo głową. — Tak, na pewno wtedy tu przyjechali.

Lierin poczuła niemiły ucisk w żołądku. Przekonywała siebie, że gospodarz omyłkowo wziął ją za kogoś innego, kogo nawet dokładnie nie widział. Powtarzała w duchu z uporem, że jest Lierin Wingate, ale w jej umyśle znowu załęgły się wątpliwości. Musiała być podobna do tamtej kobiety, skoro karczmarz zaczął ją wypytywać, kim jest. Z drugiej strony portret namalowany przed kilku laty stanowił niezbity dowód, że Ashton ma rację, twierdząc, iż jest jego żoną. Ta myśl nieco ją uspokoiła i pozwoliła uciszyć dręczące wątpliwości.

Ashton obserwował ją z troską. Widząc, że żona się odprężyła, odetchnął z ulgą. Istotnie, odzyskała dobry humor, bo kiedy wy szli z gospody, zatrzymała go w obrośniętej winoroślą pergoli, zarzuciła ręce na szyję i pocałowała w usta, na co odpowiedział skwapliwie długim, namiętym pocałunkiem.

Spłoszyło ich dopiero czyjeś głośnie sapnięcie. Oderwali się od siebie i stanęli twarzą w twarz z płowowłosym mężczyzną, który spoglądał na nich szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Nieznajomy stał bez ruchu i, najwyraźniej wstrząśnięty, spoglądał to na jedno, to na drugie z małżonków. Lierin zachichotała i wyraźnie speszona minęła szybko młodego eleganta.

Ashton mruknął kilka słów przeprosin, po czym podążył za żoną. Kiedy znalazł się na ulicy, skinął na Hiramą i po chwili obydwoje siedzieli już wygodnie w zamkniętym powozie, ze śmiechem komentując zachowanie jasnowłosego młodzieńca. Młody człowiek ciągle jeszcze stał na werandzie gospody, gdy na ścieżce pojawił się Horacy Titch z piękną Mareldą pod ramię. Marelda widziała pospieszny odwrót Wingate'ów i, ciągle jeszcze głęboko zraniona w swej durnie, nie mogła powstrzymać się od kąśliwego komentarza na ich temat.

— Nie wiem, po prostu nie wiem, jakim sposobem ta prze wrotna kobieta zdołała przekonać Ashтона, że jest jego żoną, kiedy, z drugiej strony, utrzymuje cały czas, iż straciła pamięć. Przecież sama mówiła, że nie wie, kim jest, skąd się wzięła na drodze, skąd pochodzi, jak się nazywa. Być może nigdy sobie nie przypomni. Mówię ci, podług mnie ona uciekła z domu wariatów.

— Ależ, moja droga, wszak pan Logan zaręczył, że nie była w zakładzie — ośmielił się zaoponować nieśmiało Horacy.

— Zważywszy na to, ile Ashton dla niego uczynił, pan Logan gotów był ręczyć dosłownie za wszystko, byle nie sprawić przykrości swojemu dobrodziejowi. Kiedyś tam pojechał z całą kom panią, powinienes zażądać, by ci wydano tę przybłądę. Trzeba ją było aresztować i oskarżyć o zamordowania strażnika z za kładu, ale nie, ty nic nie zrobiłeś, mało, pozwoliłeś, żeby Ashton wystrychnął cię na dudka.

Horacy mocno zacisnął tłuste dłonie.

— Nigdy mu tego nie wybaczę, nigdy mu nie zapomnę — wy cedził przez zęby. Klnę się, że któregoś dnia wezmę pomstę na Ashtonie, że tak się ze mną obszedł. Wyczekam tylko sposobnej okazji.

— Następnym razem, kiedy będziesz chciał zmierzyć się z Ash tonem, weź ze sobą całą armię ludzi — poradziła mu kwaśno. — Nie dopuść, żeby znowu zyskał nad tobą przewagę.

Marelda dostrzegła wreszcie wysokiego młodzieńca na werandzie i oczy jej rozbłysły nieskrywanym podziwem. Młodszy od Ashтона i masywniejszej niż tamten budowy, przypominał go jednak. Sądząc po tym, jak się nosił, musiał być człowiekiem całkiem zamożnym, ale i bez tego zdawał się znacznie atrakcyjniejszy niż jej obecny towarzysz, korpulentny, nadęty Horacy Titch.

Mężczyzna uchylił przed Mareldą kapelusza i posłał jej ledwie dostrzegalny uśmiech. Licząc na to, że wywrze większe wrażenie na nieznanym, poczuła niejaki rozczarowanie. Przyzwyczajona do żywszych reakcji ze strony mężczyzn, uznała, że widać młodzieńiec dźwiga na barkach ciężar znacznej za coś odpowiedzialności i nie w głowie mu umizgać się do pięknej pani.

7

Nowy Orlean!

Nowy Orlean! Brama do Missisipi. Lśniąca perła rzecznej delty. Miasto ukochane jednakowo przez świętych i grzeszników. Miasto leniwych dni i parnych nocy. Miasto będące niepowtarzalną mieszaniną rozmaitych kultur i obyczajów. Wiecznie wrzący tygiel. Raj, w którym każdy może znaleźć coś dla siebie. Miejsce nieustającej zabawy, słodkich chwil rozkoszy chwytych o najciemniejszej godzinie lub w słonecznej spiekocie, gdzie czas płynie w rozkołysanym rytmie przelewającej tu swe fale do oceanu Missisipi. Miasto pełne niezwykle obrazów, słodkich dźwięków, upojnych zapachów, miasto które uderza do głowy, drażni zmysły. Miasto białych azalii. Eden kochanków.

Ledwie Wingate'owie zeszli z pokładu statku, ulegli atmosferze porywającej przygody. Ale już wcześniej, gdy „Czarodziejka” wpłynęła do portu, mijając powoli pływające pałace cumujące po trzy w rzędzie przy nabrzeżach, podniecona Lierin czuła przy spieszone bicie serca. Gdzieś nad jej głową odezwała się syrena, poszła para z kominów. Zafascynowana dziewczyna obserwowała ożywiony ruch panujący w porcie. Muły ciągnęły wozy wyładowane belami bawełny, trzciny cukrowej i innymi towarami, po pokładach statków uwijali się nadzorcy pilnujący załadunku, kapitanowie wykrzykiwali rozkazy pod adresem marynarzy.

Kiedy „Czarodziejka” przycumowała do kei, na Wingate'ów czekała już wynajęta bryczka. Lierin usadowiła się wygodnie i zachwycona wszystkim niczym dziecko, poczęła rozglądać się ciekawie wokół. W pobliżu zauważyła kilka barwnie ubranych półkrwi Mulatek w otwartym powozie. W jedwabnych, powłóczystych szatach prezentowały się niezwykle malowniczo, a ich niezwykła uroda zapierała dech w piersiach. Widząc, jak przyglądają się Ashtonowi z zalotnymi uśmiechami na twarzach i błyskiem w oku, Lierin zaczynała rozumieć, dlaczego mogły wzbudzać uczucie zazdrości. Ashton ze śmiechem objął żonę ramieniem, kiedy przytuliła się do niego, jakby chciała zalotnicom dać do zrozumienia, do kogo należy mężczyzna, który wzbudził ich zainteresowanie.

— Podejrzewam, że dla nich to, iż jesteś żonaty, nie ma najmniejszego znaczenia — mruknęła pod nosem.

— Ale ma dla mnie — odparł Ashton, uniósł brodę żony i na oczach dziewcząt ucałował ją w usta, co zostało skwitowane przez nie chichotami i żartami.

— Jak myślisz, czy ten czar kiedyś pryśnie, Ashtonie, czy też będzie coraz wspanialej? — zapytała Lierin.

— Czasami trzeba wiele wysiłku i uporu, by pielęgnować miłość, a zniszczyć ją bardzo łatwo.

— Być może bywa tak, jak mówisz, ale ja kocham cię bez najmniejszego wysiłku, kocham tak, jak oddycham, nie muszę pielęgnować swoich uczuć.

— Chcesz, żebym pokazał ci miejsce, gdzie po raz pierwszy cię zobaczyłem?

Lierin skwapliwie skinęła głową.

— Tak, chcę wiedzieć o nas wszystko, chcę jeszcze raz przeżyć z tobą te chwile.

Ashton nachylił się do stangreta i kazał mu jechać do Vieux Carre, a gdy fiakier ruszył, turkocząc wesoło po bruku nabrzeża, rozparł się wygodnie na ławeczce. Początkowo bał się, jak Lierin znieśnie podróż parostatkiem, nie był pewien, czy rejs w dół rzeki nie przywoła koszmarnych wspomnień i dręczących wizji. Ob serwował ją cały czas uważnie, w każdej chwili gotów wydać rozkaz zatrzymania statku i zejść z pokładu, by kontynuować podróż lądem, ale żona nie okazywała zaniepokojenia. Przeciwnie, była ożywiona, podniecona, jak każdy człowiek, który wybiera się w nieznaną. Z nadzieją, że znajome miejsca pomogą Lierin przypomnieć coś z przeszłości, zarezerwował ten sam apartament w hotelu „St. Louis”, gdzie przed kilku laty spędzali pierwsze dni i noce jako młoda para. Okna wychodziły na tę samą ulicę, te same odgłosy miasta wypełniały wnętrza. Postanowił zabrać ją do tych samych restauracji, w których jadaliby posiłki, do tych samych sklepów, gdzie robili zakupy, do parków, gdzie niegdyś spacerowali, do teatrów, gdzie spędzali wieczory. Wszędzie tam, gdzie bywali przed trzema laty, ciesząc się sobą nawzajem. Wierzył, miał nadzieję, że te eskapady pomogą Lierin odzyskać pamięć.

Teraz, opierając głowę na ramieniu Ashtona, chłonęła widoki przesuwane się po obu stronach. Nie miała pojęcia, dokąd zmierzają, ale czuła się szczęśliwa u boku męża. Fiakier przejechał ulicą, na której znajdowały się liczne hotele, restauracje i kawiarnie, po czym skręcił w wąski zaułek pełen eleganckich sklepów. Ashton wskazał na jeden z butików.

— Widzisz? Tam zobaczyłem cię po raz pierwszy, ale ty nie wiedziałaś jeszcze o moim istnieniu.

Lierin roześmiała się.

— Prawdopodobnie wiedziałam, ale udawałam, że cię nie dostrzegam. Nie mogę sobie wyobrazić, by znalazła się kobieta, która nie zwróciłaby na ciebie uwagi.

— Tak czy inaczej, moja droga, wystraszyłaś mnie nie na żarty. Kiedy wsiadłaś do powozu i odjechałaś w towarzystwie przywoitki, miałem wrażenie, że moje życie dobiegło kresu.

— Kiedy i jak mnie poznałeś?

— Ach... opatrność widać czuwała nade mną. — Ashton z uśmiechem podał stangretowi kolejny adres, pod który chciał zawieźć żonę. — Ktoś pomógł załogę mojego statku niezasłużenie o przewiny, najwyraźniej po to, by samemu ująć kary. Prze kupiony człowiek oskarżył moich marynarzy, że dopuścili się rozboju. Zanim policja rozpoznała sprawę i doszła prawdy, złościny uciekli wolno, ale ja postanowiłem dochodzić sprawiedliwości, wybrałem się przeto na rozmowę do sędziego, który miał wydać ostateczne orzeczenie.

— Poszedłeś do mojego dziadka, sędziego Cassidy'ego, czy tak?

— Tak, najdroższa. Ten mądry człowiek pozwolił mi właśnie przedstawić własny punkt widzenia, gdy przemowę przerwała młoda kobieta. Będę dozgonnie wdzięczny losowi, że weszła do pokoju w czasie mojej wizyty.

Fiakier wjechał w wąską przecznicę z murami po obydwu stronach. Za kutymi bramami z żelaza można było dojrzeć wspaniałe, pełne kwiatów ogrody. Po chwili znaleźli się na szerokiej ulicy z wielkomięjskimi kamienicami, które stopniowo ustępowały miejsca wolno stojącym rezydencjom pyszniącym się na gładko przystrzyżonych trawnikach, zbudowanym w stylu kolonialnym bądź nawiązującym do architektury Indii Zachodnich. Przed jedną z nich fiakier się wreszcie zatrzymał.

Jej wygląd zmienił się, chociażby, dlatego, że wszystkie okiennice były zamknięte na głucho. Wnętrze też prezentowało się dość odstręczająco: mroczne, ponure. Ashton otworzył kilka okien, pchnął okiennice, wpuszczając do pokoi światło słoneczne. Osłonięte białymi

pokrowcami meble wyglądały niby zjawy czy posepni strażnicy przeszłości. Ich obecność nie odstraszyła jednak tajemniczego gościa, który musiał niedawno bawić w domu i który zostawił wyraźne odciski stóp w kurzu pokrywającym grubą warstwą podłogi. Ślady sprawiały wrażenie, że intruz krążył po domu bez celu, dopiero w gabinecie sędziego nabierały innego charakteru, wiodły prosto do biurka i z powrotem do drzwi, nigdzie nie zbaczając. W ścianie nad biurkiem tkwiły jeszcze dwa haki, na których kiedyś musiały wisieć obrazy. Ashton domyślał się nawet, jakie.

— Otrzymałem twój portret wraz z listem, z którego się do wiedziałem, że to jedno z dwóch malowideł ofiarowanych sędziemu Cassidy przez twojego ojca. Drugie przedstawiało twoją siostrę, Lenorę. Obydwa znajdowały się w posiadaniu dziadka aż do jego śmierci. Być może ten drugi został wysłany do, Lenory, ale widzisz, że ślady stóp są całkiem świeże. Mężczyzna wszedł do gabinetu, kierując się prosto do biurka.

— Kogo mógłby interesować portret... — Lierin zatoczyła dłonią wokół — skoro jest tu tyle znacznie cenniejszych rzeczy?

Ashton parsknął śmiechem.

— Nie widziałem nigdy tego drugiego portretu, ale jeśli Lenora jest, chociaż odrobinę podobna do ciebie, wcale nie dziwiłbym się złodziejowi, że koniecznie chciał go mieć dla siebie.

— Nie strój sobie żartów, Ashtonie. Ktoś musiał mieć inne powody, wążąc się na kradzież.

Ashton wzruszył ramionami.

— Nie wiem, po co komu malowidło. Nikt nie miał tu prawa wstępu bez naszej wiedzy i zgody. Sędzia Cassidy zapisał ci dom z całym wyposażeniem i nie zmienił testamentu nawet wtedy, kiedy dotarła do niego wiadomość o twoim utonięciu.

— Dlaczego tak postąpił?

— Lenora i twój ojciec wyjechali stąd zwaśnieni z dziadkiem; widocznie uznał, że nie ma już nikogo bliskiego poza tobą. Coś takiego powiedział, gdy go odwiedziłem po wypadku na „Czarodziejce”. Był już umierający, mrucał coś, że ja powinienem odziedziczyć wszystko, co zapisał tobie. Sądzę, że dobrze prze myślał swoją decyzję. — Ashton rozejrzał się uważnie po pokoju, jakby znalazł się tutaj po raz pierwszy. — Nie byłem w stanie przyjechać tutaj, dopóki byłem przekonany, że utonął. Zbyt wiele wspomnień wiązało się z tym domem.

— Nie pamiętam, żebym tu kiedy była, a jednak... — Lierin wzdrygnęła się, jakby po plecach przebiegły jej zimne ciarki, na jej pogodnej dotąd twarzy odmalowało się zaniepokojenie. — Wy czuwam coś dziwnego... — Opuściła głowę, czując na sobie baczne spojrzenie Ashtona i mówiła dalej szeptem: — Tak jakby ten dom zawodził żałobnie albo chciał wykrzyknąć jakieś ostrzeżenie.

— Chodźmy stąd, najdroższa — ponaglił żonę Ashton, ujmując jej dłoń i kierując się w stronę drzwi. — Pojedziemy teraz do hotelu. Nie ma sensu zostawać tutaj, jeśli to miejsce źle na ciebie działa.

Wyszli niezwłocznie z domu. Lierin zatrzymała się przy bramie i raz jeszcze spojrziała na dom o spadzistym dachu, otoczony cienistymi galeriami. Martwe oczodoły okien zdawały się spoglądać na nią smutno, jakby ją namawiały, by została i przywróciła je do życia. Zakurzone okiennice wymagały natychmiastowej naprawy, ogród zarósł chwastami, tylko winorośl rozrosła się bujnie, pokrywając dużą część fasady. Lierin powiodła wzrokiem ku górze za pnączem, które okalało jedno z okien pierwszego piętra. Przez moment miała wrażenie, ba, była niemal pewna, że za poszarzałą szybą dostrzegła jakiś ruch. Spojrzała na inne, równie

ślepe okna. Może jednak wyobraźnia splatała jej figła? A może dostrzegła w szybie odbicie przelatującego ptaka?

— O czym myślisz?

Lierin odwróciła się ze śmiechem do męża, który swoim pytaniem wyrwał ją nagle z zamyślenia.

— Och, chyba zobaczyłam ducha! Każdy opuszczony dom wygląda tak, jakby był nawiedzony. — Wsunęła rękę pod ramię Ash tona. — Dziadek musiał bardzo kochać to miejsce. Jeszcze teraz widać, ile dołożył starań w jego utrzymanie.

Ashton uściskał dłoń żony.

— Myślę, że oddałby wszystko, byle tylko mieć ciebie blisko siebie.

— Nie powinniśmy pozwolić, żeby jego dom popadł w ruinę — powiedziała Lierin z westchnieniem.

— Jeśli chcesz, możemy go otworzyć, zatrudnimy kilku służących, którzy będą dbali o wszystko. Przyjeżdżając do Nowego Orleanu, moglibyśmy się zatrzymać tutaj zamiast w hotelu.

— Tak, to dobry pomysł.

— Kto wie, może w przyszłości któreś z naszych dzieci zechce tutaj zamieszkać?

Lierin uśmiechnęła się, spojrzała mężowi głęboko w oczy.

— Najpierw musimy sprawić sobie choćby jednego dzidziusia.

— Jestem do twojej dyspozycji, madame — oznajmił z galanterią.

— Porozmawiamy o tym później... najlepiej w łóżku, w hotelu.

We wzroku Ashtona igrały wesołe zielone iskierki.

— Chciałem właśnie wyjść z identyczną propozycją.

— Ruszamy zatem? — zapytała, uśmiechając się zalotnie. — Tyle opowiadałeś o dniach, które spędziliśmy razem w hotelu „St. Louis”, że chciałabym wreszcie zobaczyć to miejsce naszych małżeńskich uciech.

Nie czekając dłużej, wsiedli do fiakra. Stangret cmoknął, konie ruszyły z kopyta. Lierin oparła się wygodnie o wyściełany zapleczek siedzenia, przymknęła powieki, chroniąc oczy przed słońcem. Raptem napłynęło niewyraźne wspomnienie: oto siedzi w podobnym powoziku obok wysokiego, ciemno odzianego mężczyzny, który poklepuje jej dłoń... w geście pocieszenia? Prze chyliła głowę, usiłując sobie przypomnieć coś więcej, nastrój tamtej chwili. Owa jazda łączyła się jakoś z czyjąś śmiercią, ale Lierin nie była niczego pewna, tak jak nie miała pojęcia, kim mógł być jej towarzysz. Zdawał się kimś dobrze znajomym, bliskim, wiedziała jednak podświadomie, że na pewno nie był to Ashton. Tamten był potężniejszy, tęższy i... czyżby miał wąsy?

Usiłowała odegnąć dręczące obrazy, nie chciała, żeby zakłócały jej szczęście, ale one nie znikwały, jakby sobie z niej kpiły, igrały z jej pamięcią, nawiedzały ją niby nieuchwytnie, złośliwe duchy przeszłości. Przemykały przez głowę, pozostawiając nie wyraźne zarysy zdarzeń, niezrozumiałe odgłosy rozmów, ale nie dawały się wydobyć na światło dzienne.

Westchnęła bezradnie, a kiedy Ashton spojrzał na nią pytająco, położyła mu dłoń na udzie.

— Tak strasznie żałuję, że nie mogę sobie przypomnieć dni, które spędziliśmy razem w Nowym Orleanie. Czuję, że straciłam mnóstwo pięknych wspomnień.

— Tak, straciłaś, ale nadrobimy to, teraz postaramy się o nowe wspomnienia, które będziesz mogła zabrać ze sobą do domu.

Nad miastem zapadła głęboka noc. W powietrzu czuło się chłód, lekki wiatr pędził po niebie kłębiaste chmury. Ashton wysunął się z łóżka, zostawił śpiącą spokojnie Lierin, włożył szlafrok na nagie ciało i wyszedł na balkon. Oświetlone żółtym światłem latarni ulice były o tej porze wyludnione, tylko gdzieś z oddali napływały ledwie słyszalne dźwięki muzyki, odgłosy zabawy, jedyne świadectwo, że nie wszyscy spali, że byli ludzie, którzy, upojeni czarem chwili, nie zwracali uwagi na upływający czas. Ashton pomyślał z zazdrością, że sam z rozkoszą uległby tej samej magii. Rozkoszował się tym, co właśnie przeżywał, a jednocześnie czuł lęk, że czar zaraz pryśnie, że straci Lierin i znowu, jak kiedyś, zostanie sam, skazany na smutną rzeczywistość.

Wiedziony odruchem wrócił do pokoju, stanął obok łóżka i spoglądał na swoją ukochaną. Leżała na boku, skulona, pogrążona w głębokim śnie. Znajome miejsca nie obudziły w niej dotąd żadnych wspomnień. Bolało go, że żona nie potrafiła przy pomnieć sobie cudownych chwil, które spędzili razem w Nowym Orleanie, w tym samym pokoju. On sam przez ostatnie trzy lata pielęgnował w pamięci każdy szczegół, acz o kilku zdarzeniach wołał zapomnieć. I tak, nigdy nie wracał myślami do tamtej fatalnej nocy na rzece. Bywało, że całymi dniami leżał w łóżku, niezdolny podnieść się, zająć najprostszymi sprawami dnia, co dziennego, dręczony rozpaczliwą tęsknotą za Lierin. Kiedy wreszcie, do cna wyczerpany, zapadał w niespokojny sen, nieodmiennie budził się z jej imieniem na ustach. Zawsze słyszał tę samą odpowiedź: Nic. Nie znaleźliśmy jej, nie natrafiliśmy na żaden ślad. Rzeka ją pochłonęła. Minęły długie tygodnie rekonwalescencji, zanim nieco doszedł do siebie. Gdy mógł już chodzić, całymi dniami krążył po domu, nie mogąc zaznać spokoju, znaleźć sobie miejsca. Sypiał po dwie, trzy godziny na dobę, noce wlokły się w nieskończoność, a on krzyczał w męce, błagał Boga, by wreszcie nadszedł świt. Zaczynał się nowy dzień... jeszcze gorszy niż noc. Wstawał z łóżka, którego z nikim nie dzielił, schodził do jadalni i widział puste krzesło przy stole. Żadna kobieta nie mogła wypełnić pustki u jego boku, w jego sercu... Musiał pogodzić się ze straszliwą myślą, że jego ukochana odeszła na zawsze.

Kiedy już rana się zagoiła, postanowił odwiedzić dziadka Lierin. Stary sędzia, złożony niemocą, dożywał swoich dni. Wiadomość, że ukochana wnuczka utonęła i jej wesoły głos nigdy już nie będzie rozbrzmiewał w domu Cassidych, załamała ostatecznie starca. Ashton z największym trudem wypowiedział okrutne słowa:

— Lierin nie żyje.

Obydwaj serdecznie ją opłakiwali. Wkrótce po tej wizycie do Belle Chante dotarła wiadomość, że sędzia przeniósł się na łono Abrahama.

Szukając ukojenia w rozpacz, Ashton wyjechał na wschodnie wybrzeże, potem do Europy. Ominął Anglię, nie chciał spotkać się z chowającym nienawiść w sercu Robertem Somertonem. Nie żeby się bał teścia, ale chciał za wszelką cenę zapomnieć o Lierin... gdyby to tylko było możliwe. Podróż na Stary Kontynent nie złagodziła rozpacz, przeto po powrocie zagłębił się w pracy, interesy rozwijały się pomyślnie. Plantacja prosperowała wręcz znakomicie, a Ashton wkrótce kupił kilka nowych parostatków i założył firmę spedycyjną operującą na tej samej rzece, która pochłonęła jego najdroższą. Kiedy rany powoli zaczęły się goić, kiedy wreszcie pogodził się, przynajmniej częściowo, z okrutnym losem, w jego życiu nieoczekiwanie znowu pojawiła się Lierin. Oto spała teraz spokojnie, on zaś mógł sycić wzrok jej widokiem. Ciągle jednak nie mógł zaznać spokoju, dręczyły go pytania, na które nie znajdował odpowiedzi, nie potrafił wyjaśnić sobie, dla czego tak długo nie dawała znaku życia, dlaczego zniknęła na trzy długie lata, dlaczego nie próbowała go odszukać, wrócić do niego, do Belle Chante?

— Słodka miłości, dokąd mnie zawiedziesz? — Szept Ashtona był niemal niesłyszalny w nocnej ciszy. — Skończyło się moje cierpienie, ale jeśli ktoś mi ciebie zabierze, jeśli raz jeszcze cię stracę, najdroższa, co pocznę bez ciebie?

Nie wyobrażał już sobie życia bez Lierin. Gdyby znowu zniknęła, szukałby jej po całym świecie, do końca swoich dni, nigdy nie zaznałby spokoju.

— Ulituj się nade mną, moja ukochana, i pozostań ze mną na zawsze. Nie odchodź, nie znikaj, bo bez ciebie nie ma dla mnie życia.

Nie wiedział, jak długo stał obok łóżka. W końcu zrzucił szlafrok, położył się obok Lierin, objął ją. Czując go obok siebie, otworzyła oczy, odrzuciła kołdrę i przytuliła się do męża. On nakrył ją swoim ciałem, przywarł wargami do jej ust, raz jeszcze dając się zawładnąć takiemu samemu uniesieniu, jakie przeżywał pierwszej nocy po ślubie.

Na tacy ze śniadaniem, które Ashton podał żonie do łóżka, znalazło się niepozorne pudełeczko z drewna różanego. Było schowane za flakonikiem z kwiatami i Lierin odkryła je dopiero wtedy, gdy uniosła bukiet, żeby go powąchać. Spojrzała pytająco na męża, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wzięła pudełko w dłonie, uchyliła wieczko i zdumiona szeroko otworzyła oczy: na aksamitnej wyściółce leżała wyjątkowej urody obrączka wy sadzana szmaragdami i brylantami.

— Och, Ashtonie... — Łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu. — Jest prześliczna.

— Pierwszą kupowałem w pośpiechu. Mam nadzieję, że ta będzie wystarczającym zadośćuczynieniem.

— Nie ma potrzeby żadnych zadośćuczynień, wystarczy, że jestem twoją żoną, niczego więcej nie chcę, niczego poza tym nie potrzebuję.

Ashton uniósł jej dłoń, spojrzał w oczy i wsunął obrączkę na palec.

— Tą obrączką cię poślubiam... — Nachylił głowę, ona zaś rozchyliła usta, oczekując pocałunku. — A co Bóg złączył, niech człowiek nigdy nie rozłączy... nigdy — szepnął.

Mieszkali w komforcie, jedli wytwornie, cieszyli się pobytem w Nowym Orleanie, ale Lierin nie była w stanie przypomnieć sobie niczego, co dotyczyłoby jej przeszłości. Rozkwitała jednak pod czułą opieką Ashtona, otoczona jego miłością, piękniejsza niż kwiaty azalii i kamelii. Jak wszystkim ludziom zaznajającym szczęścia, czas umykał zakochanym nie wiadomo kiedy. Ani się obejrzeni, jak minął miesiąc od ich przyjazdu do miasta. Przyszła pora wracać do domu i „Czarodziejka” ruszyła w górę rzeki.

Ashton planował wielkie przyjęcie w Belle Chante, podczas którego chciał przedstawić żonę krewnym, przyjacielom oraz wszystkim sąsiadom. Na trawnikach ustawiono namioty, zamówiono orkiestrę, która miała grać gościom do tańca, zaproszenia przekazywano ustnie, wydrukowano też afisze, rozlepione później na słupach ogłoszeniowych w całym hrabstwie, wszyscy gotowali się na bal, jakiego od dawna nie było w okolicy. Szwaczki pracowały dniami i nocami, szykując nowe toalety dla dam albo przerabiając stare, w zależności od tego, na co kogo było stać.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień, podniecenie osiągnęło szczyt, a w Belle Chante wrzało od samego rana. Przygotowywano najrozmaitsze przekąski i słodkości, w piwnic wytaczano beczki wina, napełniano dzbany cydrem, połcie wołowiny i wieprzowiny obracały się powoli na rożnach, pieczono gęsi i indyki, na stołach ustawiano patery z owocami.

Zaczęły najeżdżać pierwsze powozy, wkrótce ogrody Belle Chante zaroily się od wytwornego towarzystwa. Wsparta na ramieniu męża Lierin wyszła na spotkanie gościom. Obawiała się tego wieczoru, czuła się onieśmielona, ale już po chwili ode tchnęła, a widząc,

że ludzie witają ją serdecznie i najwyraźniej akceptują, z uśmiechem przyjmowała ich życzenia. Początkowo Wingate'owie krążyli wśród gości, ale wkrótce w ogrodzie zrobił się taki tłok, że pozostali w jednym miejscu, nowo przybyli zaś próbowali się do nich przecisnąć, jeśli im się udało. Ashton rozejrzał się w pewnym momencie, miał wrażenie, że do Belle Chante zjechali wszyscy znajomi z okolicy. Nie wszystkich widział chętnie, miał nadzieję, że kilka osób, które szczególnie go irytowały, nie przyjmie zaproszenia. Nie zdziwił się jednak ani trochę, widząc Mareldę. Wsparta na ramieniu Mumforda Horacego Titcha czekała w kolejce do powitania. Biedny Horacy minę miał nietęgą, widać było, że boi się stanąć w oko w oko z Wingate'em. Przywitał się pospiesznie, po czym wycofał niezgrabnie, potykając się przy tym. Marelda pociągnęła go za ramię, zła, że jej towarzysz nie dał jej czasu na wygłoszenie kilku zawołanych złośliwości pod adresem gospodarzy i zaczęła sztorcować na cały głos nieszczęsnego Titcha.

— Doprawdy, nie rozumiem cię, Horacy. Zachowujesz się tak, jakbyś nie miał prawa tu przebywać. W końcu Ashton zaprosił całą okolicę na to przyjęcie. Czemu jesteś takim okropnym tchórzem?

Mumford Horacy Titch skrzywił się i z głupawą miną rozejrzał się wokół, czy nikt nie słyszał, jak bezlitośnie łaja go piękna pani. Marelda potrafiła być niekiedy wyjątkowo niemiła, ale on, zapatrzony w nią jak w obrazek, znosił wszystko z pokorą, spełniał wszystkie zachcianki swojej damy, nawet kosztem upokorzeń.

W czasie przyjęcia Lierin zauważyła, że obserwuje ją bacznie jakiś mężczyzna, który nie raczył się ani przywitać, ani przedstawić. Wydawał się jej znajomy, wreszcie uświadomiła sobie, że to ten sam młodzieniec, którego razem z Ashtonem widzieli przed wejściem do gospody w Nowym Orleanie. Próbowwała nie zwracać na niego uwagi, a jednak cały czas czuła na sobie jego wzrok.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, służba zapaliła lampy i lampiony. Goście ucichli jak na komendę, wszystkie oczy zwróciły się w stronę portyku rezydencji, gdzie stali oby dwoje gospodarze; przebrani w wieczorowe stroje, prezentowali się naprawdę zachwycająco. Amanda i Jennifer spoglądały z dumą na młodą parę, Willabelle na ich widok głośno pociągnęła nosem i otarła łzy napływające do oczu, a Luella May zniemu homiała trwożliwie ze złożonymi dłońmi, jakby się modliła, by nic nie zakłóciło uroczystego momentu. Ashton spojrział z uśmiechem na Lierin, po czym podał jej ramię i zaczął schodzić po stopniach na tyle powoli, by wszyscy mogli nasycić oczy urodą i wdziękiem nowej pani na Belle Chante. Goście rozstępowali się, czyniąc młodemu przejście do pawilonu ogrodowego. W tej samej chwili rozległy się pierwsze dźwięki walca. Ashton ujął żonę w tali i obydwój, skąpani w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, zapatrzeni w siebie, zaczęli wirować w takt muzyki, budząc powszechny zachwyt otaczających ich ciasnym kręgiem gości. Kiedy przebrzmiały ostatnie tony modnego tańca, w ogrodzie rozległy się głośne, pełne entuzjazmu oklaski. Z dłonią w dłoni Ashtonowi Lierin złożyła głęboki, pełen gracji ukłon.

— Panie, panowie, przyjaciele, chciałem przedstawić wam moją żonę, Lierin... — zaczął Ashton z dumą.

— Sir... — przerwał mu jakiś męski głos. — Zaszła straszliwa pomyłka.

Zdumieni Wingate'owie obserwowali, jak wysoki jasnowłosy nieznajomy przeciska się do przodu przez tłum gości i staje na stopniach pawilonu. Młodzieniec spojrział na zaszępioną twarz Ashtonowi, odwrócił się, powiódł wzrokiem po zebranych, którzy w milczeniu obserwowali niezwykłą scenę, po czym zwrócił się ponownie do gospodarza:

— Obawiam się, sir, że zaszła pomyłka — powtórzył. — Niewiasta, którą przedstawiłeś właśnie jako swoją żonę, nie jest Lierin...

Słuchacze wstrzymali dech, Lierin kurczowo ścisnęła ramię Ashtona, czując, że nogi się pod nią uginają.

— Masz przed sobą Lenorę Sinclair, bliźniaczą siostrę twojej nieżyjącej żony...

— Nie! To być nie może! — wybuchnął Ashton. — To jest Lierin!

— Przykro mi, sir, ale się mylisz — oznajmił nieznajomy cierpko.

— A pan skąd wiesz? — zapytał Ashton. — Kim jesteś? Zechcesz się przedstawić?

— Malcolm Sinclair — oznajmił mężczyzna z butą. — Jestem mężem tej kobiety.

Lierin zabrakło nagle powietrza, poczuła się tak, jakby ktoś zadał jej nieoczekiwany cios, światła ogrodowe zawirowały przed oczami. Nie wiedziała nawet, kiedy Ashton chwycił ją w ramiona. Jak przez mgłę docierał do niej gwar wzburzonych głosów. Gdzieś w tłumie rozległ się triumfalny, zwycięski śmiech kobiety. Domyśliła, że to Marelda... Ashton posadził ją na krześle, zaraz też pojawił się obok niej doktor Franklin Page z buteleczką soli trzeźwiących w dłoni. Lierin odwróciła głowę i natrafiła na utkwione w nią oczy Malcolma Sinclaira; młody człowiek stał o krok za Ashtonem.

— Dobrze się czujesz? — szepnął Ashton zatroskanym głosem i przyłożył jej do czoła zwilżoną zimną wodą chusteczkę.

— To prawda? — szepnęła niemal niesłyszalnie. — Jestem jego żoną?

Ashton ścisnął jej dłoń, chcąc dodać otuchy, po czym spojrzał na sprawcę zamieszania.

— Wiem, że to Lierin — oznajmił stanowczo. — Poślubiłem ją trzy lata temu w Nowym Orleanie...

— To niemożliwe. — Sinclair był równie nieustępliwy. — Twoja żona, panie, utonęła zaraz po ślubie. Powiadam ci, że to Lenora, moja żona. Została uprowadzona z domu. Po długich poszukiwaniach natrafiłem na ślady prowadzące do Natchez. Nie mogłem jednak odnaleźć Lenory, myślałem już, że straciłem ją na zawsze, gdy natknąłem się na was dwoje przed gospodą. Byłem tak wstrząśnięty, widząc moją żonę całującą innego, że stałem tam, przyglądałem się wam i nie mogłem dobyć z siebie jednego słowa. — Tu skłonił się przed Lierin, zdjął kapelusz i przemówił tonem pokornej suplikacji:

— Lenoro, najdroższa, powiedz im, że jesteś moją żoną, wyjaśnij nieporozumienie.

— Ja... ja nie mogę... — wyjąkała Lierin zupełnie oszołomiona. — Ja wiem... to znaczy... myślę... naprawdę myślę, że... jestem Lierin.

— Twoja siostra nie żyje — powiedział Sinclair z naciskiem. — Nie pamiętasz?

— Nie — szepnęła żalosnym głosikiem. — Ja... ja nic nie pamiętam.

— Co on z tobą zrobił? — zawołał Malcolm i odwrócił się porywczo do Ashtona. — Nie wiem, jak ci się to udało, mój panie...

— Ashton nic tu nie zawinił — oznajmił doktor Page, siląc się na spokój. — Lierin mówi prawdę, rzeczywiście straciła pamięć. Być może nigdy już nie przypomni sobie swojego wcześniejszego życia, nigdy nie będzie wiedziała, co działo się przed wypadkiem.

— Przed wypadkiem? — Malcolm zmarszczył czoło. — Przed jakim wypadkiem?

— Wpadła pod mój powóz — odparł Ashton z pewnym ociąganiem.

— Nic nie rozumiem — mruknął Malcolm, spoglądając na Lierin zatroskanym wzrokiem. — Ale jak tu stoję, klnę się, że to jest Lenora Sinclair, moja żona.

Wyłamując palce i nie mogąc znieść spojrzenia Malcolma, Lierin odwróciła głowę, łzy napłynęły jej do oczu. Walczyła ze sobą, by nie rozsłochać się w głos i nie uciec do domu.

— Czy możesz pan udowodnić swoje twierdzenia? — natarł na Sinclaira Ashton. — Najwyraźniej słyszałeś o rodzinie Somertonów, ale jakie możesz przedstawić dowody, że mówisz prawdę? Ja powiadam, że to jest Lierin, ty utrzymujesz, że Lenora. Mam ci uwierzyć na słowo? — Tu zaśmiał się sucho. — Wybacz, sir, ale twoje zapewnienia mi nie wystarczą.

— Nie mam nic przy sobie...

Na twarzy Ashtona pojawił się ironiczny grymas.

— Nie trudno się domyślić dlaczego.

— Mogę przedstawić dowody! — nie dawał za wygraną Malcolm. — Jeśli pozwolisz mi raz jeszcze przyjechać do Belle Chante, przywiozę dokumenty, które na pewno cię przekonają.

— Chętnie zobaczę, czym dysponujesz — oznajmił Ashton. — Przyjeżdżaj do Belle Chante kiedy taka twoja wola, ale uprzedzam, nie będzie ci łatwo przekonać mnie, że to twoja żona.

Malcolm nacisnął cylinder na głowę, odwrócił się na pięcie i ruszył pośród rozstępujących się przed nim gości w stronę, gdzie czekały powozy. Ashton z dłonią na drżącym ramieniu Lierin spoglądał za odchodzącym. Nie zauważył nawet, że goście zebrani dotąd wokół pawilonu zaczęli się rozchodzić w milczeniu. Amanda i Jennifer próbowały pocieszyć młodych, ale uspokajające słowa wydawały się puste, pozbawione znaczenia. Pryśł radosny nastrój zabawy, tylko Marelda z triumfalnym uśmiechem śledziła idących w stronę domu Wingate'ów.

— Mówiłam ci, ostrzegałam — odezwała się wyzywająco do Ashtona i hardo uniosła głowę.

— Co z tobą, mój drogi, słów ci zabrakło? — kpiła. — Czyżbyś nie miał nic do powiedzenia?

Na widok ściągniętej gniewem twarzy gospodarza Horacy Titch pociągnął swoją towarzyszkę za rękaw i szepnął niespokojnie:

— Powinniśmy już jechać, Mareldo.

Dama rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

— Czy ty w ogóle nie masz charakteru, Horacy?

Titch skurczył się zawstydzony, że Ashton słyszy te słowa, i nie wiedząc, co ze sobą począć, zaczął nerwowo wygładzać surdut. Marelda westchnęła ciężko, wzięła go pod ramię i po ciągnęła w stronę powozu. Gardziła Horacym, ale zdawała sobie sprawę, że jeszcze nieraz się jej przyda i że nie może zniechęcać go do siebie.

Lierin, po powrocie do sypialni, kiedy Ashton zamknął już drzwi pokoju, rozebrała się machinalnie, niczym człowiek pogrążony w głębokiej hipnozie. Ashton z ciężkim sercem opadł na fotel i przyglądał się żonie. Żadne z nich nie odezwało się słowem, jakby obydwójce uznali, że wszystko już zostało powiedziane.

Pierwszy odezwał się Ashton, kiedy Lierin, piękniejsza niż zwykle, wyszła z łazienki z lekkim peniuarze, pachnąca, z rozpuszczonymi włosami. Nie zdawała sobie sprawy, jak ponętnie wygląda i ile bólu jej wygląd sprawia Ashtonowi, właśnie teraz, po tym, co powiedział Sinclair.

— Uważasz, że cię oszukałem? — wykrztusił wreszcie, gdy podeszła do okna i zapatrzyła się w przestrzeń za nim.

Odwróciła się powoli, pokręciła głową.

— Malcolm Sinclair musi nam dowieść, że mówił prawdę. Na razie nie mamy żadnych podstaw, by dawać mu wiarę.

Zbliżyła się do męża i spojrzała mu głęboko w oczy, a on przygarnął ją do siebie, pocałował w zagłębienie między piersiami, potem podniósł głowę, szukając wargami słodczy jej ust i powoli rozwiązał pasek peniuaru. Drząc na całym ciele, pod dawała się pieszczotom, czuła narastające podniecenie, wracała do życia. Krew znowu zaczęła krążyć przyspieszonym rytmem w żyłach kochanków, wznosili się na wyżyny rozkoszy, jakiej dotąd nie doświadczyli.

Minęły dwa dni. Domownicy zebrali się właśnie w salonie na popołudniową herbatę, gdy w progu stanął wyraźnie zdenerwowany Willis. Wszyscy podnieśli głowy, oczekując z napięciem, kogo zaanonsuje.

— Massa Ashton... — Kamerdyner spojrzał z zaambarasowaną miną na Wingate'a. — Przy drzwiach czeka dwóch ludzi, powiadają, że mają słowo do pana i panienki. Jeden to ten Sinclair, co już był u nas. Drugi niby ma być tatą panienki Lierin... ale mówi, że panienka ma na imię Lenora.

— Wprowadź ich, Willis — polecił Ashton z ponurym wyrazem twarzy. — Niech powiedzą, co mają do powiedzenia, w przytomności całej rodziny.

— Tak jest, massa Ashton — odparł kamerdyner i ze zwieszoną głową wyszedł z salonu.

Ciotka Jennifer zmyliła ścieg w hafcie, Amanda obserwowała uważnie wnuka, który podniósł się i stanął za fotelem Lierin.

Dziewczyna wpatrywała się nieruchomo w drzwi prowadzące do holu. Kiedy poczuła dłoń Ashтона na ramieniu, ocknęła się z odrętwienia, przytuliła policzek do jego ręki, po czym uniosła głowę i spojrzała na niego łzawym wzrokiem. W pełnej napięcia ciszy zbliżające się kroki brzmiały niczym werble zwiastujące egzekucję.

Pierwszy wkroczył do salonu Malcolm Sinclair. W lewej dłoni trzymał plik papierów, w prawej sporych rozmiarów obraz owinięty płótnem. Dwa kroki za nim szedł siwy, wytwornie ubrany dżentelmen. Starszy pan rozejrzał się ciekawie po pokoju, a dostrzegłszy Lierin, podszedł do niej spiesznie i ujął jej dłoń w oby dwie ręce. Usta mu drżały, zdawało się, że lada chwila zacznie szlochać, ale opanowawszy się po chwili wewnętrznej walki, przywołał na twarz dzielny uśmiech.

— Zamartwiałem się o ciebie, nie miałem pojęcia, co się z tobą dzieje, nie wiedziałem, czyś żywa, czy już nas opuściłaś. Malcolm potrafił powiedzieć mi tyle tylko, że zostałaś porwana. Straciliśmy już nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczymy.

Lierin cofnęła dłoń i spojrzała w szare, pełne troski oczy. Stary dżentelmen musiał płakać, bo powieki miał zaczerwienione, podobnie jak nos. Bielutkie włosy i sumiaste, podwinięte do góry wąsy silnie kontrastowały z ciemną, ogorzałą twarzą. Nieznajomy był prawie o głowę niższy od Sinclaira, który właśnie położył mu rękę na ramieniu w geście pocieszenia.

— Lenoro — zaczął Malcolm ostrożnie, jakby bał się wytrącić ją z równowagi — to jest twój ojciec, Robert Somerton.

Lierin odwróciła głowę, oczekując na wpół świadomie, że Ashton zaprzeczy tej informacji.

— To mój ojciec? — zapytała męża.

Ashton, czując na sobie spojrzenia obydwu mężczyzn, pokręcił bezradnie głową.

— Wybacz moja droga, ale choćbym chciał, nie potrafię od powiedzieć na to pytanie. Nie miałem okazji poznać twojego ojca.

— Być może to cię przekona, że racja jest po mojej stronie. — Malcolm wyciągnął dłoń z papierami w stronę Ashtona. — Oto dokumenty poświadczające, że dwa lata temu zawarłem małżeństwo z Lenorą Somerton.

Ashton wziął papiery, przejrzał je pobieżnie; rzeczywiście dokumenty potwierdzały słowa Sinclaira. Oddał je właścicielowi z suchym komentarzem:

— Mam taki sam certyfikat, który zaświadcza, iż poślubiłem Lierin Somerton, ale ani twoje, ani moje dokumenty nie wyjaśniają, niestety, która z sióstr siedzi teraz przed nami.

W oczach Malcolma zapłonął gniew, porywczym gestem wskazał na siwowłosego towarzysza.

— Ale to jest przecież jej ojciec!

— Być może — odparł Ashton, wzruszając obojętnie ramiona mi. — Nie wiem jednak, czy tak jest w istocie, gdyż nigdy nie widziałem mojego teścia.

— Na Boga! Czego trzeba, żebyś wreszcie uwierzył? — Malcolm był coraz bardziej poirytowany nieustępliwą postawą Ashtona. — Po co miałbym przyjeżdżać tutaj i upierać się, że to moja żona, gdyby naprawdę nią nie była? Przecież to nie miałoby najmniejszego sensu.

Nie wiem — odparł Ashton lakonicznie. — Ja jednak wiem, co czuję, a serce mi mówi, że to jest Lierin.

— Pokaż mu portret, Malcolmie — wtrącił stary Somerton. — Być może pan Wingate zrozumie wtedy, jak bardzo się myli.

Sinclair oparł zasłonięty obraz o stół i, przytrzymując go jedną ręką, zwrócił się do Ashtona:

— Po śmierci sędziego otrzymałeś chyba portret swojej żony, prawda?

Ashton skinął powoli głową.

- Tak.

— Miałeś jakieś wątpliwości, co do tego, że malowidło przed stawia Lierin?

— Nie. — Ashton, widząc pełen satysfakcji uśmiech na twarzy Sinclaira, poczuł jak ciarki przebiegają mu po plecach.

— Proszę, zatem, żebyś zechciał przyjrzeć się uważnie temu obrazowi i powiedział, co o nim myślisz. — Tu Sinclair odsłonił portret i wszyscy w salonie wstrzymali z wrażenia oddech. Istotnie, malowidło było uderzające podobne do tego, które znajdowało się w posiadaniu Ashtona, tyle że przedstawiona na nim kobieta miała subtelniejsze rysy. Nie ulegało najmniejszej kwestii, że przywieziony przez Malcolma obraz był podobizną Lierin.

— Obraz, który ty masz, przedstawia Lierin, twoją żonę, na tym natomiast widzisz Lenorę, moją żonę. Nadal będziesz utrzymywał, waszmość, że to ty masz rację, a ja się mylę?

Amanda i ciotka Jennifer z niepokojem spoglądały na milczącego Ashtona.

— Może więc pozwolisz mi teraz zabrać żonę do domu, tam gdzie jest jej prawowite miejsce...

— Proszę — szepnęła Lierin, zwracając się po pomoc do męża. — Proszę cię, ja nie pamiętam tych ludzi...

Ashton ścisnął jej ramię uspokajającym gestem.

— Nie lękaj się, najdroższa. Nie pozwolę, żeby cię zabrali.

— Tak powiadasz? — warknął Malcolm z wściekłością w gło sie. — Nie masz prawa przetrzymywać mojej żony w swoim domu!

— Rozstrzygniemy to w sądzie — stwierdził Ashton. — Nie ustą pię, dopóki sprawa nie zostanie dokładnie zbadana i rozpatrzona. Kiedy Lierin wypadła trzy lata temu za burtę statku, wszelki ślad po niej zaginął, zwłok nigdy nie znaleziono...

Malcolm prychnął na te słowa.

— Nie po raz pierwszy Missisipi pochłonęła na zawsze swoją ofiarę. To jeszcze żaden dowód — stwierdził z przekąsem.

— Wiem, ale będę się domagał wnikliwego dochodzenia i nie spocznę, dopóki sprawa tożsamości Lierin nie zostanie rozpatrzona w każdym szczególe.

— Tożsamości Lenory — poprawił go Robert Somerton.

— Poślę agentów do Anglii, do rodzinnego domu obydwóch sióstr, a także do Biloxi i Nowego Orleanu. Zobaczymy, co znajdą.

— Ależ takie dochodzenie może trwać miesiącami — obruszył się Malcolm.

— Nie dbam, jak długo będzie trwało — odparował Ashton porywczo. — Chodzi mi o dobro Lierin i o rzetelny wynik do chodzenia. Jeśli okaże się, że nie mam racji, ustąpię, nie będę dłużej walczył, ale muszę mieć przekonujące dowody w ręku.

—Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas moja żona będzie mieszkała w Belle Chante niemal wykrzyczał Malcolm.

Ashton uśmiechnął się uprzejmie.

— Nie zatrzymuję jej siłą. Widzisz przecież, że nie chce jechać z tobą.

— Niedoczekanie! — ryknął Malcolm, ciskając z oczu pioruny.

— Niech tedy sprawę rozstrzygnie sąd.

— Słyszałem o tobie w Natchez — prychnął Malcolm. — Ludzie powiadają, że jesteś uparty jak muł, ale wiedz, że i ja nie ustąpię tak łatwo. Przyrzekam ci, jeszcze o mnie usłyszysz. Skoro tak sprawę stawiasz, pojedynek powinien rozwiązać nasz spór...

Przerażone kobiety wstrzymały oddech, oczekując, że Ashton okaże się roztropniejszy od przeciwnika i nie podejmie rękawicy.

— Jestem do twoich usług, sir — odparł ze spokojem. — Kiedy chcesz się bić? Dzisiaj?

Malcolm zmrużył oczy.

— Zawiadomię cię w stosownym czasie.

— Oczekuję zatem sekundantów. Być może w ten sposób uniknę zmuszonego dochodzenia i oszczędzę sobie wielu kłopotów.

Malcolm ponownie prychnął ze wzgardą, jakby uznał to za najbardziej stosowny środek ekspresji.

— Jak na kogoś, kto właśnie usłyszał, że popełnił błąd, bardzo jesteś pewny siebie.

— Widać mam po temu swoje powody.

— Oszustwo nigdy nie wygrywa — powiedział z pogrózką w głosie Malcolm, mierząc Ashтона lodowatym wzrokiem.

Ashton wzruszył na to ramionami.

— Powtarzam, chętnie stanę przeciwko tobie na ubitej ziemi, by wykazać, kto w tym sporze jest oszustem. Wierzę w sprawiedliwość losu.

— Miej wzgląd na Lenorę — upomniał zięcia Robert Somerton, kładąc mu dłoń na ramieniu.
— Ta gadanina o pojedynku na pewno wytrąciła ją z równowagi.

— Masz rację — zgodził się Malcolm bez oporów, po czym podszedł do stołu i zaczął zawijać obraz. Powstrzymał się, kiedy podszedł do niego Ashton.

— Ten obraz jeszcze do niedawna znajdował się w domu sędziego Cassidy. Skąd wiedziałeś, że tam właśnie należy go szukać?

— Czy to ma znaczenie? — burknął Malcolm.

— Wszystko, co zostawił sędzia, należy do Lierin. Włamałeś się do rezydencji, by zdobyć portret.

— Jeśli próbujesz mnie oskarżać o kradzież, to wiedz, że poza malowidłem niczego stamtąd nie wzięłem. Wiedziałem, gdzie ono jest, bo Lenora mówiła mi, że jej ojciec ofiarował obydwu portrety sędziemu. Kiedy zobaczyłem, że drugiego brakuje, domyśliłem się, że widać ty musisz go posiadać. — Z tymi słowami wziął obraz pod pachę i podszedł do fotela, na którym siedziała Lierin.

— Nie rozumiem, jak mogłaś utracić pamięć, Lenoro, ale wiedz, najdroższa, że nigdy nie przestanę cię kochać.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia, Robert Somerton pospieszył za nim.

Stukot obcasów o marmurową posadzkę holu niósł się głośnym echem w martwej ciszy. Zdecydowane kroki Malcolma zdawały się zapowiadać, że ten mieniący się mężem Lierin człowiek przed niczym się nie cofnie.

8

Słońce chyliło się ku zachodowi, niknąc za ciemnymi chmurami. Gdy noc okryła ziemię czarną opończę, w oddali zaczęło błyskać, po okolicy przetaczać się odgłos gromów. Burza rozpełtała się na dobre na ranem. Ashton nie zmrużył oka, ale nie pogoda była przyczyną jego bezsenności. Kręcił się niespokojnie na wąskim łóżku w pokoju gościnnym, dokąd się przeniósł, ulegając życzeniu sędziego, i gdzie miał sypiać do czasu, aż sprawa tożsamości Lierin zostanie rozstrzygnięta. Ani on, ani żona nie mieli najmniejszej ochoty na separację, przystali jednak na nią ze względu na obyczajność i spokój Amandy oraz Jennifer. Ash ton od tygodnia nie mógł zaznać spokoju, dręczony straszliwą myślą, że znowu przyjdzie mu stracić Lierin. Nienawistne mu były samotne noce, tęsknił za ciepłem żony, pragnął czuć jej ciało blisko, tuż obok siebie, chciał ją tulić w ramionach, kochać się z nią, dotykać jej zaraz po przebudzeniu.

Szalejąca burza odzwierciedlała stan ducha Ashtona. Oślepiająca błyskawica rozdarła ciemności nocy, rozświetlając sieczone deszczem okno, zaraz potem rozległ się grzmot. Ashton, klnąc, na czym świat stoi, poderwał się z łóżka. Czuł, że jeszcze chwila, a wybuchnie. Szybkim krokiem przemierzył pokój kąpielowy i wszedł do swojej sypialni, którą teraz zajmowała Lierin. W świetle błyskawic dojrzał jej szczupłą sylwetkę: siedziała skulona na środku łóżka, z brodą wspartą na kolanach. Patrzyła spokojnie, jak nagi Ashton podchodzi do łóżka i kładzie się w pościeli. Kiedy wyciągnął ręce, by zdjąć jej koszulę, podniosła ramiona, ułatwiając mu zadanie, po czym z westchnieniem opadła na poduszki. Ashton obrócił się, ujął jej twarz w dłonie: poczuł, że włosy żony są wilgotne.

— Gdzie byłaś? — zapytał zdziwiony.

— Nie mogłam usnąć — szepnęła. — Wyszłam na balkon zaczerpnąć powietrza.

— W taki deszcz?

Skinęła głową.

— Czułam się taka samotna, iż nawet nie zauważyłam, że pada,

— Powinnaś była przyjść do mnie — powiedział, całując ją w policzek.

— Nie wiedziałam, czy tego chcesz.

— Na Boga, madame — zawołał zdumiony. — Czyż nie powtarzam codziennie, jak bardzo cię kocham... jak bardzo pragnę? Jakże mam cię przekonać, co do ciebie czuję i co dzieje się w moim sercu?

— Pokaż mi, zatem, co czujesz — szepnęła.

Ashton nachylił się, uniósł lekko jej uda, a kiedy złączyli się w miłosnym uścisku, poczuła się tak, jakby unosił ją ze sobą do innego świata, gdzie odnajdywała tysięczne obrazy pieśczęt i kiedyś zaznanych rozkoszy. Przewijała się w tych obrazach sylwetka nagiego mężczyzny. Kim był? Nie wiedziała. Im bardziej usiłowała przypomnieć go sobie, tym bardziej stawał się nie uchwytny.

Ocknęła się, zjawy znikły, słyszała tylko głośnie, przyspieszone bicie serca Ashtona.

— Miałam nadzieję, że przyjdiesz do mnie. — Westchnęła. — Czułam się taka nieszczęśliwa przez ostatni tydzień, sama w tym ogromnym, pustym łóżu.

Ashton uniósł się na łokciu i spojrzał w jej roziskrzony oczy.

— Nie mogłem wytrzymać bez ciebie już ani chwili dłużej.

— Co masz zamiar teraz zrobić? — zapytała cicho. — Jak mam zapomnieć o tym, że jestem twoją żoną i pogodzić się z tym, że należę do Malcolma?

— Sam nie mogę się z tym pogodzić — powiedział, muskając wargami jej ucho. — Nie chcę, żebyś ode mnie odeszła.

— Będziesz musiał się zgodzić... jeśli jestem żoną Malcolma.

— Nigdy w to nie uwierzę — jęknął, przewracając się na plecy, potarł dłonią czoło. — Już sama myśl o tym, że mogę cię stracić, przejmuję mnie bólem. Moje życie niemal się skończyło, kiedy tamtej strasznej nocy zniknęłaś za burtą. Teraz, kiedy cię odzyskałem, jak mam pozwolić, by zabrał mi cię inny mężczyzna?

Lierin uniosła się i przesunęła delikatnie palcem po bliźnie na piersi Ashtona.

— Czuję się z tobą bezpieczna, mam wrażenie, że tu jest moje miejsce.

Ashton zanurzył dłoń we włosach żony, dotknął jej karku.

— Możemy wyjechać do Europy...

Pokręciła głową.

— Nie należysz do ludzi, którzy uciekają przed prawdą, Ash tonie.

Zsunął dłoń na pierś żony, rozkoszując się ciepłem i gładkością jej skóry. Nie myślał już o tym, że może stracić Lierin, liczyła się tylko miłość. Lierin nachyliła głowę, rozchyliła wargi do pocałunku. I wtedy w nocnej ciszy poniosło się głośnym echem po uśpionym domu stukanie do drzwi wejściowych.

Ashton zerknął na zegar kominkowy, ale w ciemnościach nie był w stanie dojrzeć, która godzina.

— Kogo to diabli niosą...? Jest druga albo trzecia nad ranem. Łomotanie rozległo się ponownie, tym razem jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywe. Jakiś stłumiony, acz wyraźnie słyszalny głos zawołał:

— Massa, obudźcie się! Płoną wasze magazyny w Natchez!

— Cholera! — Ashton, klnąc, wyskoczył z łóżka, przebiegł na go przez sypialnię i łazienkę do pokoju gościnnego, narzucił szlafrok i szeroko otworzył drzwi. W korytarzu stał przerażony Willis w przekrzywionej szlafmocy, ze świecą w dłoni.

— Massa Ashton, przy drzwiach wejściowych jest jakiś człowiek, Mówi, że jeden z waszych magazynów w porcie zapalił się od pioruna i że tylko patrzeć, jak zajmą się następne.

— Poślij kogoś po Judda, niech zbierze ludzi do gaszenia po żaru. Ja zaraz schodzę na dół, tylko włożę coś na siebie.

Kamerdyner zawahał się.

— Chciałbym też pojechać, jeśli się pan zgodzi. Mogę nosić wiadra z wodą.

— Pospiesz się zatem. Nie mamy ani chwili do stracenia.

— Tak jest! — Willis pobiegł, nie czekając, do swojego pokoju.

W tymczasowej sypialni Ashtona pojawiła się Lierin.

— Co się stało? — zapytała, zawiązując pasek od szlafroka.

— Muszę jechać natychmiast do Natchez. — Ashton zaczął się ubierać w wielkim pośpiechu.

— Palą się moje magazyny.

— Bardzo pada, może ogień się nie rozprzestrzeni — zauważyła Lierin, wyjmując koszulę z szafy i podając ją mężowi.

— Oby!

— W każdym razie uważaj na siebie, bardzo cię proszę! — Lierin trzymała już w ręku surdut.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Zapomnij od dzisiaj o oddzielnych sypialniach. Nie oddam cię nikomu. Malcolm Sinclair pierwiej będzie musiał mnie zabić, nim pozwolę mu cię zabrać.

Lierin poczuła przeszywające ukłucie strachu.

— Nawet o tym nie myśl, Ashtonie!

— Mówię poważnie.

Ashton pożegnał żonę i zbiegł do holu. Koło stajni czekał już Judd: zdążył zwołać ludzi, przygotował wóz osłonięty przed deszczem brezentową budą. Ashton nasunął głębiej czapkę na czoło, podniósł kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego i zerknął ku wschodowi. Niebo nadal było czarne, zaciągnięte ciężkimi chmurami. Wskoczył szybko na ławkę obok Judda, który trzymał już w dłoniach lejce. Konie ruszyły szparko, kierując się w stronę Natchez.

Kiedy zajechali na miejsce, sprawdziły się nadzieje Ashtona, Ulewny deszcz, który przemoczył ich w drodze do suchej nitki, stłumił płomienie. Ucierpiał tylko środkowy magazyn, dwa pozostałe były nietknięte. Schroniwszy się pod wiatą, Ashton, Judd i zarządca magazynów oglądali dymiące jeszcze ruiny.

— Duże straty ponieśliśmy? — zapytał Ashton.

Owszem, ale mogło być gorzej — odparł zarządca, — Akurat wczoraj załadowaliśmy prawie całą bawełnę na statek. W magazynie zostało może trzydzieści bel, z tuzin bel lnu, kilka baryłek melasy, w sumie nic wielkiego. Miał pan szczęście, gdyby nie deszcz, wszystkie budynki poszłyby z dymem.

— Za pozwoleniem... — rozległ się nieoczekiwanie jakiś ponury głos za plecami rozmawiających. — Który z panów jest pan Wingate?

Do wiaty podszedł jakiś żebrak o skołtunionych włosach, w zniszczonym, przemoczonym ubraniu i dziurawych butach.

— Ja jestem Wingate — odparł Ashton.

Włóczęga pociągnął nosem, otarł go rękawem, po czym wskazał na pogorzeliśko.

— Jak pan mają jakiś zbędny grosz, to powiem, com widział względem pożaru.

Ashton przeszukał kieszenie, ale nic nie znalazł, podobnie zarządca magazynu.

— Będę twoim dłużnikiem, wynagrodzę cię przy najbliższej okazji — obiecał Ashton żebrakowi.

— Ano to trzymam was za słowo, panie Wingate, bo pieniądz nigdy nie zawadzi, ale powiem i bez tego, tylem chyba wam winien.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Żebrak wzruszył ramionami i zachichotał.

— Ano czas jakiś kimam sobie w waszym magazynie. Z tyłu jest wybite okienko, to się przez nie do środka, co wieczór wemsknę. Człowiek głowę przyłoży na bawełnie, mięciuszko, sucho, w sam raz przytulisko w takie noce, jak dzisiejsza...

— Powiedziałeś, że wiesz, jak powstał pożar — ponaglił Ashton dzikiego lokatora.

— Juści, właśnie mówię. Jużem się zdrzemnął, kiedy mi się zdało, że słyszę jakieś głosy, w sam raz pod tym wybitym okienkiem. Trochem się wystraszył, nie powiem, ale przycupnąłem blisko, posłuchać chciałem, kto jest i o czym mówi. Tak i usłyszałem. Zmawiali się, co by ogień podłożyć, budę podpalić. Tera to żem już się spietrał na dobre, że i mnie puszcza z dymem. Dusza mi do pięt uciekła, ale nijak nie mogłem się wydostać, kiedy oni pod okienkiem stali. Zara by mnie ucapili.

— Ilu ich było? — chciał wiedzieć Ashton.

— Ze trzech pewnie albo czterech. Tak mi się wydaje, że jednego z nich to widziałem kiedyś w knajpie „Pod Brzytwą”, ale głowy nie dam. Ciemno było. Dopiero jak się błyskać zaczęło, tom coś zobaczył. Wielkie chłopisko, bez dwóch palców u lewej ręki, jak ten, com go kiedyś „Pod Brzytwą” widział.

— A pozostali? — dopytywał się Ashton.

Żebrak potarł szczeniastą brodę.

— Ano, był jeszcze jeden mały, taki więcej w sobie..., po pańsku przyodziany, elegant... ino jakiś nerwuśny okropnie.

Ashton zerknął na Judda.

— Opis naszego przyjaciela dziwnie pasuje do Horacego Titcha.

Zarządca zamyślił się.

— Myśli pan, że ten safandula mógł się ważyć na coś takiego?

— Jeśli Marelda go podjudziła... namówiła, Wszystko możliwe zauważył Ashton.

— Że niby w odwecie?

— Nie wiem, dlaczego podłożyli ogień, ale wkrótce się do wiem. — Ashton uniósł pytająco brew. — Pomożesz mi, druhu?

Judd wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— A było kiedy tak, żeby nie pomógł, kiedy potrzeba?

Willabelle weszła do pokoju niepewnym krokiem, stanęła i zaczęła nerwowo wygładzać fartuch. Lierin nigdy jeszcze nie widziała jej tak stropionej i czuła, że nie może to zwiastować ni czego dobrego.

— O co chodzi, Willabelle?

Gospodyni wahała się jeszcze chwilę, zbierając odwagę. Była nie tylko stropiona, ale też wyraźnie zmartwiona.

— Panienko... ten jegomość, co to mówił, że niby jest ojcem panienki, czeka w holu na dole, chce się zobaczyć z panienką.

Lierin poczuła chłód w sercu. Szary ponury poranek nie zdołał zatrzeć radosnych wspomnień nocy spędzonej z Ashtonem, dopiero teraz na wieść o nieoczekiwanej wizycie przysł czar minionych godzin.

— Może mu powiem, żeby pofatygował się później, kiedy massa Ashton wróci do domu? — zapytała z nadzieją w głosie Willabelle.

Lierin wstała od biureczka. Ręce jej drżały, czuła bolesny ucisk w gardle, udało się jej jednak zachować pozorny spokój.

— Nie, Willabelle, wysłucham, co ma do powiedzenia. Tyle mogę uczynić.

Gospodyni wzniosła dłonie w bezradnym geście i westchnęła ciężko.

— Ledwie otworzyłam rano oczy, wiedziałam, że dzisiaj nic nie będzie się darzyć — mruknęła. — Najpierw ten pożar magazynu, a teraz znowu ten tu przychodzi, kiedy pana nie ma w domu.

— Nie martw się, Willabelle, nie desperuj — uspokajała ją Lierin. — Powiedz temu panu, żeby zaczekał. Zaraz zejdem na dół.

— Tak jest, psze pani — odparła gospodyni ponurym głosem i majestatycznie opuściła pokój Lierin. Gość tymczasem rozpanoszył się w salonie; zastała go ze szklaneczką brandy w jednej dłoni i cygarem z zapasów Ashtona w drugiej. Rozjątrzona do żywego, że nieznajomy tak się szarogęsi w obcym domu, oznajmiła chłodno:

— Pana nie ma, ale panienka kazała powiedzieć, że zaraz zejdzie.

— Kiedy pan Wingate wróci?

— A tego to ja już nie wiem — mruknęła Willabelle. — Ale im wcześniej, tym lepiej.

Robert Somerton zmierzył gospodynię uważnym spojrzeniem.

— Macie coś przeciwko temu, kobieto, że chcę się zobaczyć z własną córką?

— Całe to zamieszanie, że niby nasza panienka Lierin jest żoną innego, dość już jej krwi napsuło.

— Ona ma imię Lenora. — Gość lekceważącym gestem strząsnął popiół z cygara obok popielniczki. — Zakarbujcie to sobie w pamięci, jeśli zdołacie.

W oczach Willabelle zapaliły się gniewne błyski. Rozjątrzona zachowaniem intruza podeszła do stołu, zgarnęła ostentacyjnie popiół na dłoń i oznajmiła wyniośle:

— Pan powiada, że to panienka Lierin. Mnie pana słowo wy starczy.

Robert odpowiedział zjadliwym śmiechem.

— No to ja wam mówię, żeście ślepa i głupia, tak jak i wasz pan. Żądał dowodów, dostał od nas dowody, ale nie chciał słuchać rozsądnych argumentów. Zapamiętajcie sobie moje słowa, kobieto, wasz pan nie będzie wykorzystywał choroby mojej córki do swoich niecznych celów. Już moja w tym głowa! Dość, że przez niego zginęła Lierin. Trzeba położyć temu kres!

— Muszę iść do swoich zajęć — ucięła Willabelle oficjalnym tonem.

Robert skinął od niechcenia dłonią, dając gospodyni znak do odejścia. Nie miał pojęcia, dlaczego wdał się w dyskusję ze służącą, w dodatku upartą i bezczelną.

— A jakże, uwijaj się, żeby pan batów ci nie dał, kiedy wróci do domu.

Dotknięta do żywego Willabelle stanęła w rozkroku, podparła się pod boki.

— Mój pan nigdy ręki nie podniósł! Na żadne z nas! — wykrzyknęła gniewnie i zadarłszy głowę, wyszła majestatycznie z pokoju. Teraz rozumiała, dlaczego jej pan odniósł się z taką rezerwą do teścia. Niczego dobrego nie dało się powiedzieć o tym człowieku.

W chwilę później do salonu zeszła Lierin. Spłoszona, wystraszona pozwoliła pocałować się w policzek i poprowadzić do fotela, po czym, niby posłuszna córka, wysłuchiwała opowieści Somertona o swoim życiu w Anglii. Kiedy pokazał jej miniaturę przedstawiającą obydwie siostry, musiała przyznać, że rzeczywiście były do siebie uderzająco podobne, ale dopiero widok nie wielkiego szkicu, na którym widniał stary dwór w stylu Tudorów, stojący na wzgórzu nad jeziorem, obudził w niej jakieś odległe, mgliste wspomnienia.

— Sama to narysowałaś — powiedział, wskazując na szkic. — To nasz dom w Anglii.

Lierin uważnie wpatrywała się w rysunek: niemal mogła sobie wyobrazić, jak biega po przestronnych korytarzach i galeriach starego domostwa. Oczami wyobraźni widziała pociemniałe pod wpływem czasu meble, ściany zawieszzone portretami przodków i białą bronią, ogromne marmurowe kominki.

— Mam wrażenie, że znam to miejsce — powiedziała cicho. — Wydaje mi się takie swojskie.

— No widzisz, poznałaś! — zakrzyknął Somerton triumfalnie. — Może w końcu uwierysz, że jestem twoim ojcem...

Lierin wzruszyła nieznacznie ramionami. Gdyby przyznała, że Somerton rzeczywiście jest jej ojcem, dałaby mu argument do ręki, a tego nie chciała uczynić przez wzgląd na lojalność wobec Ashtona.

— Nie wiem, czy jesteś pan moim ojcem. Skąd miałabym wiedzieć, skoro nic nie pamiętam?

Robert zastanawiał się przez moment, po czym przemówił, starannie dobierając słowa.

— Uważam, że potrzebujesz czasu i spokoju. Nie powinien rozpraszać cię ani Malcolm, ani Ashton. Pozwól mi zabrać cię do Biloxi. Mamy tam dom nad morzem, są tam twoje ubrania i różne drobiazgi, których możesz potrzebować.

Zaniepokoiła ją perspektywa opuszczenia Belle Chante i Ashtona.

— Jestem tutaj szczęśliwa...

— Nie będziesz szczęśliwa, kiedy przypomnisz sobie wreszcie, co Ashton Wingate uczynił twojej siostrze. Kiedy Lierin zginęła, ślubowałaś sobie, że pewnego dnia pomścisz jej śmierć. Nie rozumiem, jak możesz nazywać mężem człowieka, którego tak bardzo nienawidziłaś.

— Nie czuję do niego nienawiści — zaprotestowała z mocą. — Ja...

Somerton przyglądał się jej uważnie, czekając na dalsze słowa, ale Lierin zamilkła.

— Wiesz oczywiście, że Malcolm chce go wyzwać na pojedynek, a strzela bardzo dobrze. Wątpię, czy Wingate ujdzie z życiem.

— Musisz ich pan powstrzymać! — zawołała z przerażeniem w głosie.

— Niby jak mam ich powstrzymać? Tylko ty jesteś w stanie to uczynić.

Lierin jęknęła, czując, że została pochwycona w pułapkę.

— Jeśli zostanę z Ashtonem, Malcolm będzie nastawał na po jedynek. Odejdę z Malcolmem, Ashton wyzwie go niechybnie. Znam go. Powiedział, że nikomu mnie nie odda, że nie ustąpi. Nie chcę, żeby przeze mnie ktoś zginął.

— Dlatego powiadam, że jedynym bezpiecznym rozwiązaniem jest to, co ci przed chwilą zaproponowałem. Jedź ze mną do Biloxi. Mało prawdopodobne, by któryś z nich mnie wyzwał na pojedynek.

Lierin oparła się ciężko o poręcz fotela. Wzdragała się przed wyjazdem do Biloxi, aczkolwiek musiała przyznać, że propozycja brzmi rozsądnie. Otwierała przed nią jedyną możliwość wybrnięcia z zawikłanej sytuacji.

— Muszę to przemyśleć.

— Nie masz zbyt wiele czasu, moja droga — przestrzegł ją Somerton. — Malcolm zamierza już wkrótce przysłać sekundantów do Ashtona. Zwłoka może oznaczać jego śmierć. — Wzruszył ramionami. — Ma się rozumieć, że nie będę po nim płakał, zważywszy na to, że to on zabrał nam Lierin.

— Czy ojciec mógłby nie rozpoznać własnej córki? — zapytała słabo i podniosła smutne oczy na Somertona. — Jesteś pewien, że jestem Lenorą?

Gość uniósł ręce w pełnym zniecierpliwienia geście.

— Co ma czynić ojciec, kiedy rodzona córka nie daje wiary jego słowom? Jak mam cię przekonać? To Ashton się myli, nie ja. A właściwie nie myli się, tylko kłamie z rozmysłem. Chce nas wszystkich wywieść w pole. Doskonale wie, że Lierin utonęła.

Lierin wstała z fotela i przesunęła po czole drżącą dłonią.

— Ciotka Jennifer i Amanda odpoczywają w swoich pokojach. Może lepiej, żebym wyjechała teraz, nie mówiąc im o niczym. Zaczekaj na mnie w powozie, ja tymczasem pójdę na chwilę na górę. Muszę napisać list do Ashtona.

— Wingate nie może wiedzieć, gdzie jesteś...

— Rzeczywiście — przyznała z westchnieniem. — Gdybym zostawiła mu wiadomość, byłoby to równoznaczne z zaproszeniem. Przyjechałby natychmiast po mnie. Napiszę w takim razie, żeby nie próbował mnie szukać. — Wyszła z pokoju z takim uczuciem, jakby cały jej kruchy świat zawalił się w jednej chwili. Ze łzami w oczach nakreśliła krótki list, podpisała go „Lenora”, po czym zdjęła obrączkę, ucałowała ją i położyła na kopercie. Nie zabrawszy niczego z pokoju, wróciła na dół, wymknęła się przez frontowe drzwi; szczęśliwie nie

natknęła się ani na Willisa, ani na Willabelle. Obejrzała się jeszcze, po raz ostatni spojrzała na dom, niepewna, czy kiedykolwiek tu powróci.

Ashton pchnął wahadłowe drzwi knajpy „Pod Brzytwą” i zna laż się w zadymionej, zatłoczonej sali. Wcześniej zjadł nie spieszenie lunch w gospodzie, później zajrzał na „Czarodziejkę”, gdzie się wykapał i zmienił ubranie. Kiedy był już gotów do dalszych działań, uradzili z Juddem, że warto pofatygować się do podejrzonej spelunki, o której wspominał żebrak spotkany przy magazynach, i tam poszukać śladów podpalaczy.

Nie chcąc kłuć w oczy swoim strojem, „Pod Brzytwą” pojawił się odziany z wyzywającą elegancją szulera: w czarnym surducie, srebrnoszarej kamizelce z brokatu i białej, mocno wykrochmalonej koszuli.

Przeszedł przez salę i usiadł przy stoliku w mrocznym kącie, twarzą do wejścia. Nie zdążył rozejrzeć się dobrze po wnętrzu, gdy jak na zawołanie pojawiła się dziewczyna o mocno wymalowanych różem policzkach, ubrana w suknię z głębokim de koltem.

— Chcesz się ze mną zabawić, przystojniaczku? — zagadnęła zalotnie, opierając dłonie o blat i nachylając się tak, że Ashton bez trudu mógł podziwiać jej niemal obnażone piersi.

— Dzisiaj wystarczy mi partyjka pokera i kieliszek czegoś mocniejszego — odparł Ashton, wyciągając talię kart z kieszonki kamizelki.

Dziewka wzruszyła ramionami.

— Skoro przyszedłeś tylko po to, przyślę ci Sarę, u niej za mówisz drinka. Nie masz na mnie ochoty, nie będę dla ciebie tracić czasu, mimo żeś urodziwy. Gdybyś się namyślił, mam na imię Fern...

Ashton zaczął od niechcienia tasować karty, spoglądając przy tym po twarzach obserwujących go mężczyzn. Pod jego wzrokiem szybko opuszczali głowy. Mimo że wystroił się jak elegant z pół światka, rozpoznali go bez trudu. Wieść o pożarze magazynu i umyślnym podpaleniu rozniosła się po spelunkach Natchez lotem błyskawicy. Wiedzieli, do kogo należał magazyn; obecność Ashtona „Pod Brzytwą” mogła oznaczać wyłącznie kłopoty. Ktokolwiek ważył się wejść mu w drogę, musiał liczyć się z tym, że spotka go zasłużona kara, przeto nikt w Natchez nie miał ochoty zadzierać z panem na Belle Chante

Przy stoliku Ashtona pojawiła się chuda, wyniszczona kobieta, która usługiwała gościom. Miała bezbarwne oczy, a równie bezbarwne, od dawna chyba nieczesane włosy nosiła związane w niedbały węzeł na karku. Jej znoszone, zbyt duże trzewiki owinięte były szmatami, żeby nie spadły z nóg, natomiast nędzna niebieska sukienka musiała być szyta na kogoś znacznie cięższego. Wyglądała na osobę mniej więcej w tym samym wieku co Ashton, ale musiała być znacznie młodsza od niego.

— Fern, co tu przed chwilą była, powiedziała mi, że podobno chciałby się czegoś napić — zagadnęła wypranym z emocji, bezbarwnym, jak cała jej postać, głosem, zwracając się do Ashtona per on.

— Co byś mi poleciła?

— Piwo — odparła natychmiast. — To chyba jedyny nie chrzczony wodą napitek w tej knajpie.

— Podaj mi zatem piwo, Saro. Tak masz, zdaje się, na imię? — Kobieta skinęła głową potakująco. — A poszukaj czystego kufła, jeśli to możliwe.

— Czysty kufel to może sobie znaleźć w Belle Chante a i był by tam bezpieczniejszy niż tutaj.

Zaskoczony Ashton uniósł brew.

— Znasz mnie?

Sara wskazała grupkę podejrzanie wyglądających mężczyzn, którzy stali przy barze.

— Słyszałam, jak gadali o pożarze i o tym, że wziął sobie wariatkę do domu, mówiąc wszystkim, że to jego żona. Byli w Belle Chante z całą kompanią, co to ją pan Titch zwołał. Mówią, że stracili wtedy dobre konie i że to jego wina.

Ashton zaśmiał się.

— Dlaczego zatem nie przyjdą do mnie ze swoimi skargami?

— Pewnie się go boją, ale czemu, to ja już tego nie wiem — odpowiedziała po chwili rzetelnego namysłu. — Prawdę powiedziawszy, nie oni jedni.

— Niech sobie poszukają tedy jakiejś kryjówki, gdzie mogliby nabrać odwagi — zasugerował Ashton.

— Jeśli ma trochę oleju w głowie, to sam powinien usłuchać własnej rady. Nie pracuję tu długo, ale widziałam już niejedno, wiem, do czego te łajdaki są zdolne. Byłoby dla niego lepiej, żeby sobie stąd poszedł. Im szybciej, tym lepiej.

— Szukam pewnego człowieka, jak dotąd bez skutku. Brakuje mu dwóch palców u lewej ręki...

— Nie ma tu takiego — oznajmiła krótko i odeszła od stolika, człapiąc głośno w zbyt dużych butach po wysypanej trocinami podłodze. Jej nędzny wygląd dobrze licował z lichotą spelunki „Pod Brzytwą”, a jednak Ashton zastanawiał się, czy nie zaznała kiedyś lepszego i godniejszego życia. Poruszała się z wdziękiem, o którym knajpiane dziewczki nie miały pojęcia; prostackie w zachowaniu, zaczepiały gości, szukając zarobku, ona tymczasem miała obejście, co prawda upadłej, niemniej królowej. Mimo iż zwracała się do Ashtona w trzeciej osobie, jej akcent wskazywał, że odebrała jakieś wykształcenie.

Wróciła po chwili do stolika z czystym kuflem i cynowym dzbanem, w którym było ciepłe, spienione piwo. Ustawiła wszystko na blacie, po czym, założywszy ręce, cofnęła się o krok i czekała cierpliwie na zapłatę. Kiedy Ashton podał jej złotą monetę, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— To o wiele za dużo, sir. Nie wiem, czy barman mi to rozmieni. Ani chybi będzie próbował go oszukać.

Ashton ponownie sięgnął do kieszeni, wyjął drobne i położył obok złota.

— To dla barmana, złota moneta jest dla ciebie... za to, że znalazłaś mi czysty kufel.

Wahała się przez moment, po czym ze łzami w oczach wzięła monety.

— Dziękuję, panie Wingate, nie zapomnę panu tego — powie działa, tym razem zwracając się już do Ashtona normalnie.

Ashton spróbował piwa i skrzywił się; było kwaśne, lurowate. Jeśli miał to być najlepszy napitek dostępny „Pod Brzytwą”, nikt, za żadną cenę nie zmusiłby go, żeby posmakował innego.

Wbrew dobrym manierom nacisnął niespiesznie cylinder na głowę i ponownie zaczął bawić się kartami, niby człowiek śmiertelnie znudzony. Trwało to kilka minut i miał już zamiar

zrezygnować, kiedy drzwi się otworzyły i do sali weszło czterech ludzi. Przodem kroczył tęgi mężczyzna o małych, głęboko osadzonych oczkach, wielkim, przekrwionym nochalą i wydatnych wargach. Zatrzymał się przy wejściu, położył lewą dłoń na filarze i omiół wzrokiem biesiadujący tłum. Ashton natychmiast dostrzegł, że brakuje mu dwóch palców. Kiedy świńskie oczka spoczęły na nim, poczuł, że ciarki przebiegają mu po plecach.

Grubas wyprostował się, wypiął pierś do przodu, poprawił spodnie na wydatnym brzuchu, nasunął wełnianą czapkę na czoło i ruszył przed siebie kołyszącym się krokiem, pewnie stawiając stopy. Ashton zeszywniał, odstręczający typ zdawał się bowiem zmierzać wprost do niego. Ale nie, odetchnął z ulgą, gdy grupka pod przewodem grubasa usiadła przy sąsiednim stoliku.

— Widzicie eleganta, mamy tu dzisiaj lepsze towarzystwo, wielkie państwo nas odwiedziło — zachichotał gburowaty jego mość, wskazując kciukiem kalekiej dłoni Ashtona.

Ashton czuł, że jeszcze chwila, a czterech wpatrujących się w niego opryszków zaatakuje go pod pierwszym lepszym pozorem, a jednak swego rodzaju masochizm kazał mu cierpliwie czekać na zaczepkę: oparłszy nogę niby to nonszalancko na poprzeczce krzesła, układał pasjansa, ale mimo niedbałej pozy gotów był do odparcia spodziewanej napaści.

Grubas walnął pięścią w stół i ryknął ogłuszającym głosem:

— Ejże tam! Gdzie dziewczucha, co usługuje? Chcemy piwa! — Tu zniżył nieco głos i rzekł do swoich towarzyszy: — Takie tu teraz nastają obyczaje, że człowiek musi się napraszać o napitek.

W trosce o własne zdrowie dziewczęta krążące po knajpie wołały przezornie trzymać się z daleka od nowo przybyłych, pozostawiając Sarze niewdzięczne zadanie ich obsłużenia. Kiedy przyniosła tacę z piwem, ochoczo chwycili za kufle.

Sara odchrząknęła, zebrała się na odwagę, po czym oznajmiła suchym tonem:

— Barman mówi, że mają najpierw zapłacić, potem mogą pić.

Grubas zmierzył ją wściekłym wzrokiem, ale że dziewczyna stała nad nim nieporuszona, sięgnął w końcu do kieszeni, wyciągnął garść drobniaków, odliczył skrupulatnie jakąś sumę i położył pieniądze na stole.

— Tyle to się należy za trzy kufle, a ja przyniosłam cztery — oznajmiła Sara.

Oprych dorzucił brakujące grosze, dodał nawet symboliczny napiwek.

— To dla ciebie, słoneczko — oznajmił pompatycznie, przejęty własną wspaniałością, i wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu.

Sara nachyliła się, by zgarnąć pieniądze na dłoń. W tej samej chwili grubas zacisnął potężną jak bochen chleba łapę na jej ramieniu. Dziewczyna krzyknęła z bólu, szarpnęła się do tyłu, wyrwała z uścisku i poczęła rozcierać bolące miejsce.

— A niech trzyma ręce przy sobie, burak jeden! — parsknęła gniewnie.

— Patrzcie no — ucieszył się grubas. — Lubię takie charakterne niewiasty. Niczego z ciebie kobita, tylko powinnaś przyodziać się eleganciej, od razu lepiej byś wyglądała. Popatrz tylko na swoje siostrzyce.

— Znalazł się doradca. Sam niech się ubierze — odparowała Sara, uskakując przed prostackimi zalotami, ale rozochocony grubas, na w pół uniósłszy się z krzesła, złapał ją za kraj sukni, okręcił, chwycił w objęcia i posadził sobie na kolanach. Biedna, przerażona

gwałtowną napaścią kobieta zaczęła się szarpać, darmo usiłując wyrwać się oblesnemu adoratorowi.

Ashtona od najmłodszych lat chowano w szacunku do niewiast, uznał, przeto, że musi stanąć w obronie napastowanej kelnerki. Wstał, obciągnął kamizelkę i podszedł do sąsiedniego stolika.

— Przepraszam, sir, ale zechcesz z łaski swojej puścić tę damę, skoro niemiłe jej twoje zaloty. Proszę grzecznie, byś to uczynił, a zaoszczędzisz nam obu zbędnych kłopotów.

Zaskoczony grubas zwolnił uścisk tak gwałtownie, że Sara osunęła się na ziemię. Żaden z gości knajpy „Pod Brzytwą” nigdy dotąd nie miał odwagi z nim zadzierać. Ashton pomógł wstać dziewczynie, po czym pchnął ją delikatnie w stronę baru. Tym czasem czerwony jak burak hultaj uniósł się z krzesła, ale nie zdążył się jeszcze wyprostować, gdy na jego brodzie wylądowała pięść Ashtona. Cios był tak potężny, że osilek zatoczył się na stół, przewracając krzesła towarzyszy. Po chwili również pozo stała trójka leżała na podłodze. Kiedy Ashton zobaczył, że gramolą się z ziemi, dobywając noży, kopnął stół, który obalił się z hukiem. Poleciały z blatu kufle, ich zawartość oblała głowy gotujących się do ataku obwiesi. Jakby tego było mało, Ashton przewrócił jeszcze swój stolik, który walnął w plecy grubasa tak, że ten rozpląszczył się na podłodze. Wietrząc powód do bójki, kilkunastu mężczyzn zerwało się z miejsc. Na widok ich złowrogich min Ashton chwycił złamaną nogę od stołu i począł się cofać.

— Pst! Panie Wingate, tutaj!

Ashton obejrzał się za siebie i zobaczył Sarę stojącą w uchylonych drzwiach. Niewiele myśląc, skoczył w tamtą stronę, za trzasnął pospiesznie drzwi i zamknął na zasuwę. Obydwoje przebiegli przez mroczne zaplecze do tylnego wyjścia z knajpy i po chwili znaleźli się w wąskim zaułku. Ashton zdążył jeszcze zabarykadować drzwi i ruszył za Sarą, która wskazywała mu w mroku drogę odwrotu. Ledwie skręcili za róg, doszedł ich odgłos wyważanych drzwi i gniewne krzyki ścigających. Już na ulicy Ashton chwycił Sarę za rękę. Biegli obydwójce, co sił w nogach Silyer Street, ale że Sara, co kilka kroków potykała się w swoich zbyt wielkich butach, czereda rozwścieczonych bandytów z każdą chwilą była coraz bliżej, następowała im na pięty. Wtem z cienia wyłoniły się cienie kilkunastu mężczyzn gotowych stawić czoło pogoni i otoczyło zwartym kołem uciekającą parę.

— Wszystko w porządku, to moi przyjaciele — powiedział Ashton uspokajająco, widząc przerażenie malujące się na twarzy Sary.

— Oni cały czas tu czekali? — zapytała dziewczyna z niedowierzaniem.

— Zawsze staram się być przewidujący — odparł ze śmiechem, ale zaraz spoważniał, bo oto doskoczył do niego jakiś brodac i chwycił za poję surduta. Ashton odwinął się, zdzielił napastnika w brzuch, poprawił w szczękę. Ledwie się z nim uporał, miał na karku następnego. Teraz do walki włączył się Judd; atakując z impetem, z siłą kilkunastu ludzi młócił wokół potężnymi pięściami. Sara też nie stała bezczynnie, rzuciła się jednemu z napastników na plecy, wbiła mu paznokcie w twarz i ugryzła w ucho tak mocno, że mężczyzna ryknął, usiłując strząsnąć ją z siebie jak rozjuszoną kocicę.

Wkrótce bijatyka rozgorzała na dobre, obydwie związane w walce grupy tarzały się w błocie ulicy i już nie sposób było rozpoznać, kto wróg, a kto przyjaciel.

Ludzie z Belle Chante pierwiej upewniając się, na kogo spadają ich ciosy, powoli zaczęli zdobywać przewagę i już zdawali się być bliscy zwycięstwa, już pobici zaczęli pierzchać w popłochu, gdy na Ashtona natarło czterech zbirów. Dotąd trzymali się z daleka, teraz ruszyli pod przewodem grubasa bez dwóch palców.

— Mamy cię, Wingate — zachichotał osilek, zaciskając potężne pięści. — Gotuj się na spotkanie ze swoim Stwórcą, już niedługo go zobaczysz.

— Czterech przeciwko jednemu? — dobiegł zza pleców Ashtona niski głos Judda. — Tak się nie godzi. Spróbujcie zmierzyć się z nami dwoma.

Grubas puścił mimo uszu tę pogrózkę i rzucił się na Ashtona. Poniżony przed chwilą na oczach wszystkich, biesiadujących „Pod Brzytwą” gości chciał teraz wziąć pomstę. Ashton uskoczył przed ciosem, zdzielił przeciwnika w głowę, poprawił w prawe ramię. Siła uderzenia wytrąciła napastnikowi kij, który dzierżył w dłoni. Rozjuszony niczym wściekły byk grubas zwarł się z Ashtonem w morderczym uścisku. Czując, że mu kości trzeszczą, Ashton wraził grubasowi knykcie pod żebra, a naparł tak mocno, że tamten rozłożył ręce i zatoczył się do tyłu z rykiem bólu. Ashton skwapliwie wykorzystał przewagę, bezlitośnie okładając grubasa pięściami. Zbir próbował się jeszcze bronić, dopiero potężny cios w szczękę przesądził o wyniku walki. Widząc, że ich towarzysz siania się na nogach, gotów za chwilę upaść, kompani odciągnęli go od Ashtona i cała czwórka zaczęła zmykać w dół ulicy. Jeszcze oszołomiony po gwałtownym starciu Ashton odwrócił się i ujrzał szeroki uśmiech na twarzy Judda. Nadzorca stał w zwycięskiej pozie, nogi rozstawił szeroko, ręce skrzyżował na piersi.

— Co się stało? — zapytał Ashton, nie mogąc jeszcze rozeznąć się w sytuacji.

Judd wzruszył ramionami.

— Ano, widać uznali, że z nami nie wygrają i czmychnęli jak niepyszni.

— A ty jak zwykle biłeś za dwóch, co? — zagadnął Ashton.

Nadzorca zachichotał.

— Ja tam nie wiem, za ilu. Łąłem, co się nawinęło pod rękę.

Ashton zawtórował mu śmiechem i poklepał serdecznym gestem po plecach.

— Dobrze się sprawiłeś.

— Myśli pan, że powinniśmy ich gonić? — zapytał nadzorca, wskazując umykających napastników. — Naszego eleganta nie ma między nimi, ale zauważyłem tego bez dwóch palców u ręki.

— Każę Harveyowi odnaleźć ich. Nie mam już sił do walki.

Podszedł do wozu, na którym siedziała Sara z solidną pałką w dłoni. Sądząc po kilku drabach, którzy leżeli opodal w błocie bez przytomności, musiała uczynić dobry użytek ze zdobyczej broni.

— Bywało, że miałam wielką ochotę coś podobnego zrobić w przeszłych latach, za męża miałam takiego okrutnego zbira, że bez kija nie przystępuj — mruknęła na swoje usprawiedliwienie.

Ashton spojrzał na nią z rozbawieniem.

— Serdecznie współczuję temu nieszczęsnemu człowiekowi, jeśli tak go traktowałaś, jak potraktowałaś tych tutaj, madame.

— Ja tam nie miałam i nie mam dla niego żadnego współczucia, na kawałki bym drania rozszarpała, kiedy sobie pomyślę, ile krzywdy wyrządził, nawet nie tyle mnie, ile mojej rodzinie. — Zamrugnęła, czując napływające łzy, i speszona tym objawem słabości sięgnęła do kieszeni ubłoconej sukienki. Otarła oczy, wy siąkała nos i powiedziała spokojniejszym już głosem:

— Przepraszam, panie Wingate, nie chciałam go zanudzać swoimi problemami.

— Wcale mnie nie zanudzasz, Saro — zapewnił dziewczynę, po czym zapytał z troską w głosie: — Co teraz poczniesz ze sobą? Nie możesz przecież po tym, co się stało, wrócić „Pod Brzytwę”, nie będziesz bezpieczna wśród tych łotrów.

— Nie wiem jeszcze, co zrobię — odparła cicho. — Mam brata, ale on kilka lat temu wyjechał na Daleki Wschód. Nie pisze do mnie, nie zawiadamia, kiedy wróci. Zawsze był czarną owcą w rodzinie. Kiedy ojciec umarł, nie chciał przejąć jego interesów. — Zaśmiała się smutno. — Może pan wierzyć albo nie, panie Wingate, ale urodziłam się w zamożnym domu. Ojciec miał sieć sklepów, kilka statków handlowych, sam kupował i zwoził to wary. Ja prowadziłam księgi rachunkowe, stąd wiem, jakie miał dochody. Robił naprawdę duże pieniądze, niczego nam nie brakowało. Teraz wszystko przepadło. Ojciec nie żyje, po majątku śladu nie zostało, brat włóczy się gdzieś po świecie, nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę. — Zapatrzyła się niewidzącymi oczami w przestrzeń, popadła w zamyślenie, westchnęła ciężko. — Tak sobie czasami myślę, że żyję tylko po to, aby któregoś dnia odplacić mężowi za wszystkie zło, które mi wy rzucił.

Ashton mimochodem strzepnął grudkę błota z rękawa surduta.

— Jeśli masz doświadczenie w prowadzeniu ksiąg, mogę ci dać pracę w mojej firmie armatorskiej.

Sara spojrzała na niego zdumiona.

— Nie jest mi pan nic winien, panie Wingate. To, co dla niego zrobiłam tam, „Pod Brzytwą”, zrobiłam z czystej wdzięczności. Całe zamieszanie zaczęło się przede mną. Stał pan w mojej obronie. Nie, nic nie jest mi pan winien.

— Potrzebuję w biurze kogoś biegłego w rachunkach — odparł Ashton z szerokim uśmiechem. — Jeśli uważasz, że nie dasz sobie rady, znajdę innego pracownika obeznanego z buchalterią.

Szczupła, wychudzona twarz Sary rozjaśniła się nagle, oczy zabłyśły.

— Dam sobie radę, panie Wingate, na pewno dam sobie radę.

— Dobrze, zatem rzecz postanowiona — powiedział Ashton. — Pojedziesz z nami jeszcze dzisiaj do Belle Chante. Tam będziesz bezpieczna. Rano żona znajdzie jakieś suknie dla ciebie. Mam nadzieję, że nie uwierzyłaś plotkom i nie myślisz, jak ludzie „Pod Brzytwą”, że wzięłam ją z domu wariatów — dodał z uśmiechem.

— Wiem, że nie, panie Wingate — przytaknęła Sara ze smutkiem w głosie.

Do Belle Chante przyjechali o późnej godzinie. Ashton wszedł przez tylne drzwi, zatrzymał się w korytarzu, by wytrzeć buty, rzucić zabłocony surdut i oczyścić, na ile mógł, resztę ubrania, gdy usłyszał stłumiony szloch dochodzący z kuchni. Zdjęty złym przeczuciem pobiegł tam natychmiast. Willabelle krzyknęła na jego widok, zasłaniając usta krajem fartucha. Z oczu spływały jej strużki łez. Zapuchnięte od płaczu twarze Luelli May i Berty świadczyły o tym, że wszystkie trzy rozpaczaly z jakiegoś powodu. Widząc ubłoconego, sponiewieranego Ashtona, Willabelle załkała jeszcze głośniejsze.

— Czemu beczycie? — zapytał. — Można wiedzieć, co się tu stało?

— To z powodu paniienki Lierin, massa — jęknęła Willabelle przy akompaniamencie żalonych pochlipywań córki oraz kucharki.

— Co z nią? Czy ranna? — krzyknął Ashton, czując ogarniające go przerażenie.

— Panienska pojechała, massa — wykrztusiła Willabelle przez łzy.

Ashton osłupiał.

— Jak to, pojechała? Dokąd?

Gospodyni głośno pociągnęła nosem, wytarła twarz fartuchem, wciągnęła głęboko powietrze, próbując się opanować.

— Nie wiem, massa. Ten pan Somerton przyjechał do nas. Długo gadali o czymś w salonie, a potem panienska zabrała się z nim, nic nie mówiąc nikomu. Cichcem wyjechała. Pana babcia i panna Jennifer... poszły do łóżek z okropną migreną.

— Dlaczego? Dlaczego pojechała? — dopytywał się Ashton, nic nie rozumiejąc.

Zapłakana Willabelle wzruszyła ramionami w bezradnym geście.

— Nie wiem, massa. Może ten niby Somerton wmówił jakimś sposobem paniencie, że jest Lenorą, a nie Lierin?

Ashton poczuł się tak, jakby nagle spadł mu barki ogromny ciężar. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony i obolały po otrzymanych ciosach. Miał wrażenie, że sytuacja go przerasta, mózg pracował z trudem. Odwrócił się ze łzami w oczach i ruszył na oślep w stronę drzwi.

— Znajdę ją — wykrztusił przez zaciśnięte gardło. — Z samego rana zacznę jej szukać. — Zatrzymał się jeszcze w progu i słabym ruchem dłoni wskazał na tylne wejście do domu, przypomniawszy sobie, że zostawił Sarę gdzieś na zewnątrz. — Przywiozłem ze sobą pewną kobietę. Zajmijcie się nią, dajcie jej coś do ubrania.

Willabelle uderzyła na nowo w płacz.

— Co tam znowu?

— Nic, massa, jeno że panienska pojechała, jak stała, nic ze sobą nie wzięwszy — łkała gospodyni. — Wszystkie te piękne suknie, co pan kupował, wszyściutkie zostawiła. Jak jaki duch z domu umknęła.

9

Lenora czy Lierin? Którą z nich była? Pytanie to nie dawało jej spokoju od chwili opuszczenia Belle Chante. Za sprawą okrutnego losu znalazła się w niezwykle trudnym położeniu. Po tym, co powiedział jej ojciec, jakie dowody przedstawił, nie mogła zaakceptować imienia Lierin. Gdyby uznała, że jest Lenorą, mu siałaby na zawsze zapomnieć o Ashtonie. W jej duszy toczyła się walka między uczuciami a rzeczywistością. Chociaż było to bolesne, fakty przechylały szalę na rzecz Malcolm—a Sinclaira, ale tak właśnie bywa w życiu, że brutalna prawda nie pokrywa się z tęsknotami serca. Ashton był przekonany, że jego żona utonęła, podobnie sądzili inni ludzie. Nigdy jej nie odnalazł, nikt o niej nie słyszał, nikt jej nie widział przez trzy długie lata, jakie minęły od wypadku. Gdyby Lierin go kochała, gdyby żyła, wróciłaby do niego z końca świata. Tak w każdym razie postąpiłaby ona, kobieta nosząca o jedno imię za dużo.

Malcolm Sinclair. Jeszcze zanim go poznali, słyszeli, że po szuka je żony. Karczmarz myślał, że chodzi właśnie o nią, zobaczył w niej zaginioną. Portrety wskazywały na jej podobieństwo raczej do Lenory niż do Lierin. Ojciec też uważał, że racja jest po stronie Malcolm'a. Czyż trzeba więcej dowodów?

Podróż z Natchez do Biloxi pozwoliła jej wszystko dokładnie przemyśleć, co nie przeszkodziło jej wcale żałować, że nie wzięła ze sobą ubrań na zmianę. Gdyby popłynęli z

Natchez do Nowego Orleanu parostatkiem, a potem przesiedli się na prom do Biloxi, zaoszczędziliby mnóstwo czasu, ale Robert Somerton wynajął w mieście powóz i nim też musieli wracać. Po drodze dwa razy zatrzymali się na nocleg; za pierwszym razem popasali w pierwszym napotkanym obejściu, niewiele się troszcząc o wygodę, drugą noc spędzili w jakimś podrzędnym zajeździe, gdzie warunki wcale nie były lepsze.

Podróżowali w upale i kurzu, ale Somerton zdawał się odporny na wszelkie niewygody. Pod koniec dnia policzki i nos starszego pana przybierały podejrzanie czerwoną barwę, nie miało to jednak wiele wspólnego z gorącem, ile z zawartością srebrnej piersiówki, którą nader często dobywał z kieszeni, co jakiś czas skwapliwie uzupełniając zapas napitku. Na Pean River usiłował wyłudzić darmową przeprawę, namawiając promowego do alkoholowej libacji, która zapewne skończyłaby się tym, że obaj nieprzytomni leżeliby wkrótce pod stołem. Odstąpił od swoich zamiarów dopiero po stanowczych protestach córki, dobył nie chętnie kilka monet i zapłacił za przejazd.

Lierin zdążyła już poznać jego obyczaje: po południu Somerton był zwykle w znakomitym nastroju, język mu się rozwiązywał i zaczynał recytować z pamięci całe poematy, a kiedy już się nasycił poezją, przechodził do kwiecistych anegdot z przeszłości, które dziwnie jakoś nie licowały z życiem zanego kupca. Sam widać zdawał sobie z tego sprawę, bo w jakimś momencie ucinął ze śmiechem barwną opowieść, machał lekceważąco ręką, wzruszał ramionami, jakby chciał uznać za niebyłe to, co właśnie powiedział, i dodawał na swoje usprawiedliwienie:

— To się działo zanim spotkałem twoją matkę, moja droga.

Nagadawszy się, zapadał w drzemkę, chrapał przy tym tak głośno, że córka musiała go budzić. Sama najchętniej zapadłaby w głęboki sen, ale ilekroć zamykała oczy, pod powiekami natychmiast pojawiał się obraz Ashtona. Prześladował ją na jawie, prześladował we śnie, myśl o nim nie odstępowała jej ani na moment. Być może, dlatego, że nie miała żadnych wspomnień dotyczących wcześniejszego życia, te związane z Ashtonem były jej tak drogie. W każdym razie, żeby nie wiem jak próbowała, jak nie usiłowała zająć umysłu czymś innym, nie mogła się od nich uwolnić.

Trzeciego dnia napięcie, w którym żyła od wyjazdu z Belle Chante sięgnęło szczytu. Była wyczerpana, nerwy miała w strzępach, nie potrafiła uporać się z wewnętrznym konfliktem. Powtarzała sobie, że towarzysz podróży jest jej ojcem, odrzucała wszystkie wątpliwości, uznawała wyłuszczone przez niego wcześniej racje, godziła się z myślą, iż jest Lenorą. W końcu, kto miał lepiej wiedzieć, kim ona jest, jeśli nie, rodzony ojciec? Z drugiej strony, czy mogła dawać wiarę jego słowom, zważywszy na to, iż ten, który mienił się Somertonem, znajdował się w stanie permanentnego zamroczenia alkoholowego?

Tak czy inaczej, usiłowała myśleć o sobie jako o Lenorze, mimo iż wymagało to nie lada wysiłku woli i nadal nie rozwiązywało problemu tożsamości. Wszystko to mocno nadszarpnęło jej siły i kiedy dotarli wreszcie do dużego domu nad brzegiem morza, była zupełnie wyczerpana zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

Robert Somerton wyskoczył z powozu, by pomóc jej wsiąść, w tej samej chwili na ganku pojawiła się pokojówka. Lenora przyjęła wyciągniętą dłoń Somertona, po czym, nie patrząc na niego, ruszyła w stronę eleganckiej, piętrowej rezydencji: francuskie okna symetrycznej, osiowej fasady opatrzone były zielonymi okiennicami, do głównego wejścia osłoniętego kolumnowym portykiem prowadziły szerokie, wygodne stopnie z drewnianymi balustradami, takie same balustrady otaczały werandę. Chociaż nie tak piękna jak Belle Chante rezydencja nie była pozbawiona uroku. Spodobała się Lenorze od pierwszego wejrzenia, zdawała się obiecywać wygodę i bezpieczeństwo.

Pokojówka o pogodnej buzi dygnęła głęboko, kiedy Lenora zbliżyła się do drzwi. Musiała być starsza o jakieś dziesięć lat od niej samej, ale promieniowała dziewczęcą energią, jakby po siadła sekret wiecznej młodości. W niebieskich oczach skrzyły się wesołe, pełne sympatii dla całego świata iskierki.

— Mam na imię Megan, psze pani — oznajmiła na wstępie. — Pan Sinclair wynajął mnie, żeby poprowadziła dom, za pani pozwoleniem.

— Pan Sinclair? — Delikatne brwi Lenory uniosły się pytająco. — Nie miałam pojęcia, że pan Sinclair ma tu coś do powiedzenia.

Dziewczyna spieszyła się na te słowa, ale szybko odzyskała rezon.

— Toż to pani dom, madame. Czy to takie niezwykle, że mąż pod pani nieobecność zajmował się wszystkim, doglądał, zarządzał?

Lenora spojrzała podejrzliwie na ojca. Zapewniał ją przecież, że będą mieszkali tylko we dwoje, pod opieką służby.

Robert odchrząknął i ściszym głosem począł wyjaśniać wątpliwości:

— Malcolm obiecał, że się wyprowadzi, Lenoro. Nie ma powodów do zdenerwowania.

— Mam nadzieję — odparła nieco opryskliwie, ale zgniewało ją, że jest stawiana w sytuacji, której nie zamierzała akceptować. — Próbowałam ci już tłumaczyć, że potrzebuję czasu, by pogodzić się ze wszystkim, co na mnie spadło. — Rzeczywiście, powtarzała te słowa dziesiątki razy w czasie podróży: nie mogła już słuchać ustawicznych zachwytów i pochwał, Somertona pod adresem Malcolma, tak jakby starszy pan uparł się, by czym prędzej pchnąć ją w ramiona tamtego i niecierpliwie ponaglał, by zaakceptowała go jako męża. Tymczasem ona nie miała najmniejszej ochoty na bliższe poznanie Sinclaira, sercem była cały czas z Ashtonem, przekonana, że ten stan nie ulegnie szybko zmianie.

— Zechce pani wejść do domu, madame — zapraszała Megan. — Wyobrażam sobie, jaka musi być pani zmęczona po długiej podróży. Otworzyła usłużnie drzwi, Lenora weszła do holu, rozejrzała się, a kiedy jej oczy przyzwyczaiły się już do panującego we wnętrzu półmroku, poczuła przejmujący chłód w sercu. Była pewna, że zna ten dom, że była tu już wcześniej. Nie miała pojęcia kiedy, nie umiała określić czasu, wskazać dnia ani roku, ale wiedziała, że bywała tu wielokrotnie. Obszerna sień biegła przez cały dom, prowadziły z niej schody na piętro, utrzymana w spokojnych, jasnych kolorach, pozbawiona przesadnej dekoracji dawała wrażenie przestronności. Parkiety w holu i pokojach na parterze wyłożono bogatymi dywanami, największy pysznił się w obszernym salonie, który znajdował się po prawej od wejścia; po lewej, przez drzwi wiodące do jadalni, mogła dojrzeć wspaniałego Persa.

— W studni chłodzi się lemoniada, madame — powiedziała Megan. — Ma pani ochotę się napić? Może przyniosę też trochę kruchych ciasteczek?

Lenora uśmiechnęła się.

— To brzmi bardzo kusząco.

— Proszę odpocząć w salonie — zachęciła Megan. — Zaraz wrócę.

Kiedy Megan zniknęła, Robert Somerton spoglądał przez chwilę w milczeniu na córkę, po czym zbliżył się do niej z wahaniem.

— I cóż, dziecko, poznajesz ten dom?

Lenora zbyła jego pytanie milczeniem, weszła do salonu i stanęła przed francuskim oknem, z którego rozciągał się widok na ocean. Czując na sobie baczne spojrzenie ojca, który zatrzymał się w progu, otworzyła okno. Do pokoju wtargnął orzeźwiający powiew słonej morskiej bryzy.

— Służba jest tutaj od niedawna, czy tak? — zapytała rzeczowym tonem.

Uniósłszy krzaczaste brwi, Robert spojrział na córkę pytającym wzrokiem.

— Możesz mi powiedzieć, jakim sposobem doszłaś do tego wniosku, moja droga?

Lenora wzruszyła ramionami.

— Megan mi się przedstawiła. Gdyby służyła tu dłużej, znałaby mnie.

— Stara służba odeszła, kiedy cię porwano, a Malcolm w ich miejsce najął nowych.

— Nie znalazł się nikt, kto chciałby wrócić, podjąć tu na nowo pracę?

— Ano nie... Pewnie wszyscy znaleźli tymczasem miejsca w innych domach. — Robert drżącą dłonią otarł spierzchnięte usta, rozejrzał się po pokoju. Wypatrzył wreszcie komplet kryształowych karafek na stoliku pod ścianą. Przez chwilę walczył ze sobą, oblizując wargi, po czym poprawił nerwowym ruchem surdut i ulegając przemożnej chęci, przeszedł przez pokój, by nalać sobie solidną porcję whisky.

— Nie znam szczegółów. Sam przyjechałem tutaj niedawno. — Pokręcił szklaneczką z trunkiem i podniósł oczy na córkę. — Po tym jak ty... i Lierin... Opuściłyście rodzinne gniazdo, żeby założyć własne domy, trochę podróżowałem po świecie. W jakimś momencie postanowiłem złożyć wam wizytę, zobaczyć, jak wam się żyje z Malcolmem. Teraz myślę, że dobrze zrobiłem.

— Dobrze zrobiłeś? — powtórzyła Lenora szeptem i uśmiechnęła się blado. — To się dopiero pokaże, nie sądzisz?

Robert popatrzył na nią uważnie.

— Co masz na myśli?

Lenora powolnym ruchem zdjęła kapelusz, ściągnęła rękawiczki, odłożyła je na bok i poczęła przechadzać się niespiesznym krokiem po pokoju. Zatrzymywała się, co chwila z nadzieją, że któryś ze znajdujących się tutaj przedmiotów obudzi jakieś wspomnienie w jej pamięci. Podobnie spoglądała na ojca, chcąc znaleźć w jego twarzy, sylwetce niezbite potwierdzenie łączących ich więzów krwi.

— Trudno mi będzie pogodzić się z nową sytuacją, przywyknąć do Malcolma. Zaczęłam już wierzyć, że jestem żoną Ashtona. Dla mnie to nie lada wstrząs, że może być inaczej.

Ojciec miał wyraźnie skonsternowaną minę.

— Chcesz powiedzieć, młoda damo, że... ty... dzieliłaś z tym człowiekiem łóżę?

Lenora poczuła, że jej policzki oblewa zdradziecki rumieniec. Jak miała opowiedzieć Somertonowi o nocach, które spędziła w ramionach Ashtona? Jak miała dopuścić, by te chwile, tak drogie jej sercu, tak przy tym intymne, stały się publiczną tajemnicą. Oddała się Ashtonowi, wierząc, że jest jego żoną, i nie miała zamiaru dzielić się z Somertonem czy Sinclairem tą wiadomością po to, by zaspokoić ich ciekawość.

— Byłam tu już wcześniej rzekła, puszczając mimo uszu ostatnie pytanie. — Wiem o tym z całą pewnością. Wszystko wy daje mi się takie swojskie. — Przechyliwszy głowę, spoglądała przez moment na igrające przy brzegu fale. — Czułam kiedyś fale obmywające moje gołe

stopy, spacerowałam już po tej plaży. — Zatoczyła dłonią wokół siebie. Bardzo możliwe, że to mój dom, godzę się z tą myślą... ale... — Odwróciła się, podeszła do Somertona i spojrzała mu prosto w twarz. — Ale... ciebie nie mogę sobie przypomnieć.

Pod baczny spojrzeniem szmaragdowych oczu Robert Somerton poczuł przebiegające mu po plecach zimne ciarki, przenikające gdzieś w głąb duszy. Otrząsnął się, jakby chciał się uwolnić od złego uroku. Wychylił jednym haustem swoją whisky, wyprostował się i cofnął o kilka kroków z urażoną miną.

— To straszna rzecz, kiedy rodzona córka nie pamięta swojego ojca. — Przesunął wierzchem dłoni po włosach i pociągnął głośno nosem, jakby walczył z napływającymi łzami. — Muszę ci po wiedzieć, Lenoro, że głęboko ubolewam nad tym, iż wyrzuciłaś mnie ze swojej pamięci.

— Malcolm Sinclair też nie mogę sobie przypomnieć — szepnęła zdeprymowana. Nie brała pod uwagę obrazu mężczyzny, który pojawił się w Nowym Orleanie, kiedy po pierwszym spotkaniu pod gospodą wsiadła do powozu; tamta wizja była zbyt ulotna, zbyt mglista, nie pojawiły się w niej żadne szczegóły, pozwalające upewnić się, o kogo chodziło.

— Ano właśnie. Zapomniałaś nawet własnego męża. — Somerton nalał sobie kolejną porcję whisky, upił łyk i pokiwał żałośnie głową, jakby nie dowierzał usłyszanym przed chwilą słowom. — Nie wiem, co cię napadło, dziewczyno. Nie pojmuję, jak mogłaś wyrzucić z pamięci człowieka, który kocha cię ponad wszystko w świecie. Ot... i już nie ma po nim śladu, jakby pękła bańka mydlana, jakby nigdy nic dla ciebie nie znaczył. — Znowu łyknął whisky, wciągnął głęboko powietrze, czując w ustach palący smak trunku. — Jakby tego było mało, pozwoliłaś zawrócić sobie w głowie nędznikowi, który zwiódł twoją siostrę na manowce, a potem się jej pozbył, kiedy miał jej dosyć, kiedy już się nią nacieszył. Być może Ashton Wingate nie zamordował Lierin, ale jest bez wątpienia odpowiedzialny za jej śmierć. Gdyby nie on, byłaby tu dzisiaj z nami. — Zajrzał Lenorze głęboko w oczy, jakby miał nadzieję znaleźć w nich bodaj ślad solidarności. — Nie pamiętasz już, jak opłakiwaliśmy tę bolesną stratę? Nie przypominasz sobie, jak ślubowałaś pomścić siostrę?

Lenora pokręciła z uporem głową, nie dopuszczając do siebie argumentów ojca.

— Ashton kochał Lierin. Wiem o tym! Nie uwierzę, że ją zabił albo, że miałby być, jak powiadasz, odpowiedzialny za jej śmierć!

Robert Somerton podszedł do córki i wyciągnął dłoń uspokajającym, pojednawczym gestem, ale Lenora uskokczyła z cichym okrzykiem, wzbraniając się przed jego dotknięciem. Robert westchnął ciężko, po czym podszedł do stolika z karafkami, napelnił ponownie szklaneczkę i wachając trunek, zaczął krążyć w zamyśleniu po pokoju.

— Moja droga Lenoro — zaczął pouczającym tonem zatroskanego ojca. Mówił powoli, starannie dobierając słowa, jakby chciał nadać każdemu z nich stosowną wagę i znaczenie: — Nie chcę cię denerwować bez powodu. Szczególnie teraz, kiedy twój stan daleki jest od równowagi. Pragnę jedynie wskazać na kilka faktów, które powinnaś wziąć pod uwagę i starannie rozważyć. Ten człowiek to znany powszechnie uwodziciel. Jest wymowny, uroczy w obejściu, potrafię zrozumieć, że bez najmniejszego trudu potrafił omamić bezradną, zagubioną dziewczynę. — Zachichotał cicho. — Nie wmówisz mi jednak, drogie dziecko, że on wierzy w duchy. Skłaniałbym się raczej ku przekonaniu, iż od początku doskonale wiedział, kim jesteś. — Upił łyk trunku i uśmiechnął się bardzo zadowolony z własnego wyводу. — Czy nie dostrzegasz, jak bardzo się mylisz?

Lenora poczuła się śmiertelnie znużona. Chociaż argumenty ojca zdawały się tak logiczne, tak rozsądne, nie wątpiła ani przez chwilę w namiętą miłość Ashtona do Lierin, ale nie

potrafiła, nie mogła i nie chciała wyjaśnić ojcu swojego stanowiska. Tak mocno zacisnęła złożone na podolku dłonie, że pobielewały knykcie. Powoli, z uporem pokręciła głową.

— Nie chcę więcej o tym słuchać — powiedziała tonem, w którym pobrzmiwał gniew. — Proszę, żebyś więcej nie śmiał oczerniać Ashtona Wingate'a w mojej obecności. To człowiek honoru i wbrew wszystkiemu, co mówisz, prawdziwy dżentelmen!

— Co też moje uszy słyszą? Czy to możliwe, żebyś się w nim zakochała?

Lenora miała ochotę krzyknąć na cały głos: Tak, tak, kocham go! Chciała obwieścić to całemu światu, ale na myśl, jak miażdżącą reakcją, ile wzdargy wywołałaby jej żarliwa deklaracja, poczuła lży napływające do oczu.

Ojciec obserwował jej napiętą twarz z leniwym uśmiechem na ustach.

— Lepiej, żeby Malcolm nie dowiedział się, jak bardzo ci ten Wingate zawrócił w głowie. Domyślasz się chyba, co by to mogło oznaczać? — Pokiwał głową, wiedząc, że Lenora zna odpowiedź. — Tak jest, moja droga. Pojedynek. Niechybny pojedynek.

Nie wiedząc kiedy, Lenora wybiegła z pokoju. Dość już usłyszała!

— Lenoro!

Wołanie ojca podziało na nią jak ostroga. Łzy paliły policzki, pierś rozrywało powstrzymywane łkanie. Przebiegła przez hol, omal nie zderzyła się po drodze z Megan, która niosła właśnie do salonu tacę z napojami i ciastkami, minęła o włos dziewczynę i pomknęła po schodach na górę, nie pamiętając nawet, że od rana nic nie miała w ustach.

Podróż ją wyczerpała, a rozmowa z ojcem dopełniła miary. Kiedy wbiegła na piętro, wybuchła gwałtownym płaczem. Nie zwracając uwagi, dokąd biegnie, skręciła na oślep w prawo i wpadła do pokoju znajdującego się na samym końcu korytarza. Rozejrzała się na wpół przytomnie po wnętrzu: ogromne łóże z baldachimem i inne meble wskazywały na to, że znalazła się w sypialni. Przez otwarte okna wpadał powiew chłodnego powietrza idący od oceanu i różowy blask zmierzchu. Oświetlone ostatnimi promieniami słońca tapety w delikatny wzór kwiatowy zdawały się witać Lenorę... Przypominały jej coś. Otarła drżącą dłonią łzy, chwiejnym, krokiem podeszła do francuskiego okna, oparła głowę o framugę i zapatrzyła się w fale przyboju. Czowała nieznośny ciężar na sercu i rozdzierającą tęsknotę. Ile by dała, by zamiast na bezkresny ocean móc teraz spoglądać na zielone trawniki Belle Chante by zaznać wreszcie spokoju, zyskać pewność, że jest ukochaną Ashtona, niezależnie od tego, jakie imię nosi.

Uniosła głowę, serce zabiło jej mocniej, w oddali dostrzegła jeźdźca, który pędził galopem w stronę domu. Wstrzymała na moment oddech pełna nadziei, że to Ashton, chociaż doskonale wiedziała, iż na próżno się ludzi, bo to nie może być on.

Ostatecznie zwątpiła, gdy jeździec minął kutą bramę i znalazł się na podjeździe. Był znacznie tęższy od Ashtona, trzymał się też na koniu znacznie gorzej niż on. Rozpoznawszy w przybyłym Malcolmą Sinclaira, przyglądała się z drżącym sercem, jak zsiada z wierzchowca i wchodzi do domu. Zdawało się jej, że minęły całe wieki, zanim doszedł ją odgłos jego kroków na schodach. Z narastającą paniką nasłuchiwała, jak idzie korytarzem i zatrzymuje przy każdym drzwiach w jej poszukiwaniu. Rozejrzała się nerwowo, szukając jakiegoś zakątka, w którym mogłaby się ukryć, ale pozostała na miejscu; musiała stawić czoło rzeczywistości, wiedziała, że prędzej czy później przyjdzie jej rozmówić się z tym, który twierdził, że jest jej mężem.

Malcolm stanął w progu sypialni, dostrzegł ją i z głupawym uśmiechem wszedł do środka.

— Myślałem, że zapomniałaś, gdzie jest nasza sypialnia. — Wy ciągnął ręce. — Czekałem tutaj, ufając, iż ojcu uda się jednak sprowadzić cię do domu, ale też lękałem się cały czas, że Ashton nie pozwoli ci wyjechać z Belle Chante.

Lenora spoglądała na niego z rezerwą. Był tego samego wzrostu co Ashton, nieco od niego tęższy i młodszy o jakieś pięć lat. Ze swoją jasną czupryną i brązowymi oczami mógł uchodzić za przystojnego. Starannie przystrzyżone włosy przydawały mu uwodzicielskiego wyglądu, a ubrany był podług ostatniej mody. Chociaż na pierwszy rzut oka widać było, że musiał słono zapłacić za swój strój do konnej jazdy, nosił go z mniejszym wdziękiem niż Ashton swoje stare, codzienne odzienie. Malcolmowi brakowało prezencji, dumnej postawy, stanowczości Wingate'a. Idąc, kołysał się niezgrabnie, zarzucając przy tym ramionami i wymachując rękami.

— Wiem, że to mój pokój, ale nie mogę sobie przypomnieć, żebym go dzieliła z kimkolwiek — odparła, zbierając odwagę i spoglądając Sinclairowi prosto w oczy z wątlym uśmiechem. — Przykro mi, Malcolmie, ale nie zachowałam w pamięci żadnych wspomnień, które wiązałyby się z twoją osobą.

— To łatwo wyjaśnić, najdroższa. — Zaśmiał się cicho, położył dłoń na jej talii i próbował przyciągnąć ku sobie, ale Lenora cofnęła się, zrobiła kilka kroków i na wszelki wypadek stanęła za krzesłem.

— Potrzebuję czasu, Malcolmie. Muszę się przyzwyczaić do nowej sytuacji — oznajmiła ze znacznie większą stanowczością w głosie niż wtedy, kiedy kierowała podobne słowa do Ashtona. — Chociaż zapewniana, że jesteś moim mężem, nie potrafię na razie zaakceptować tej myśli. Jeszcze nie.

Malcolm patrzył na nią takim wzrokiem, jakby sens słów Lenory nie docierał do jego świadomości. Powoli opuścił ręce, zwieszając je bezradnie.

— Chcesz powiedzieć, że powinienem poszukać sobie innej sypialni?

— Nie tylko sypialni, Malcolmie, ale i domu — oznajmiła hardo. — Zgodziłam się przyjechać tutaj tylko przez wzgląd na zapewnienia ojca; twierdził, że nie będziesz z nami mieszkał, że zgodziłeś się wyprowadzić do czasu, kiedy oswoję się z sytuacją.

Malcolm zasępił się.

— To będzie trudne, Lenoro.

Coś w tonie głosu Sinclaira potwierdziło jej wcześniejsze przeżycia. Od wyjazdu, z Belle Chante podejrzewała w głębi duszy, że została oszukana, wywieziona z majątku Ashtona podstępem. Nigdy nie uległaby namowom ojca, nie opuściłaby bezpiecznej przystani i ukochanego, gdyby wiedziała, że będzie zmuszana do zamieszkania z Malcolmem.

— Dlaczego miałoby to być takie trudne? — zapytała lodowa tym tonem.

Malcolm wzruszył ramionami i zaczął się przechadzać po pokoju, przystając w końcu przy krześle, za którym stała.

— Nie mam dokąd się przenieść.

— Możesz przecież zamieszkać w zajeździe, na pewno znajdziesz tam pokój dla siebie.

Słyszając to, Sinclair zapomniał o dobrych manierach, a w jego uprzejmym dotąd głosie słychać było narastającą wściekłość.

— Czy też się tak upierałaś, by nie mieszkać razem z Wingate'em? Sprawialiście wrażenie bardzo spoufalonych ze sobą. Jak wytłumaczysz to, że całowaliście się na ulicy, na oczach ludzi? — natarł ostro na Lenorę.

Tak bardzo był zazdrosny, tak głęboko nienawidził Ashtona, że Lenora, w obawie, że gotów go wyzwać na pojedynek, wolała zachować dla siebie informacje o tym, co działo się w Belle Chante:

— Po wypadku umieszczono mnie w pokoju gościnnym, a Ashton przez cały czas zachowywał się wobec mnie jak przy stało na dżentelmena. Nigdy nie zmuszał mnie do niczego, nie nastawał, żebym traktowała go jako swojego męża.

Malcolm przez chwilę rozważał słowa Lenory, ale że odwrócił się do niej plecami, nie potrafiła wyczuć, co myśli. Opadł ciężko na kanapkę, nogi wyciągnął przed siebie.

— Powiadasz, Lenoro, że nie pamiętasz nic, co wiązałoby się ze mną. Próbuję to zrozumieć, ale przychodzi mi to z największym trudem, kiedy przypomnę, jak bliscy sobie niegdyś byliśmy. — Nachylił się i poklepał miejsce obok siebie na kanapie. — Usiądź, moja droga, porozmawiajmy chwilę o twoich kłopotach. Jestem pewien, że razem uda nam się wyjaśnić wiele wątpliwości, musimy tylko mówić ze sobą otwarcie.

Lenora nie miała ochoty ani siadać, ani wdawać się w rozmowę, ale nie potrafiła wymówić się w grzeczny, acz zdecydowany sposób. Z ociąganiem podeszła do kanapy i usiadła sztywno na jego brzeżku.

— Odpręż się, najdroższa — zagadnął przymilnie. — Nie jestem potworem, nie rozerwę cię na strzępy. — Podniósł się i poprawił poduszkę za plecami Lenory. — Oprzyj się wygodnie — poprosił, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Lenora strząsnęła gwałtownym ruchem jego rękę, przesunęła się w sam róg kanapy, byle dalej od Malcolma. Zerknęła na niego, niezdolna wyjaśnić swojej panicznej reakcji nawet samej sobie, a na widok jego zdumionej miny uśmiechnęła się niepewnie.

— Pozwolisz, że będę siedziała tak, jak mi wygodnie, kiedy się opieram, kręci mi się w głowie. To chyba na skutek zmęczenia po długiej podróży. Jechaliśmy trzy dni w strasznym upale...

Malcolm wpatrywał się w nią bez słowa, nic nie rozumiejąc.

— Czy ty się mnie boisz, Lenoro? — Zapytał wreszcie z westchnieniem.

— A twoim zdaniem mam powody do lęku? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Malcolm przecesał palcami zwichrzone po jeździe konnej włosy.

— Nie, podług mnie żadnych, ale wydajesz się taka..., taka... niedostępna.

Wyniośle uniosła głowę, nie racząc odpowiedzieć na tę uwagę.

— Zawsze mnie intrygowałaś, Lenoro — mruknął Malcolm, szukając słów, które przekonałyby ją do niego, wydobyły ze skorupy, w której się zamknęła. — Mogę uważać się za człowieka prawdziwie szczęśliwego, mając taką piękną żonę. Pamiętam, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, byłaś w zielonej sukni... w takim samym kolorze jak twoje oczy. Stałem wtedy bez ruchu, nie mogłem oderwać od ciebie wzroku, ale byłaś z innym mężczyzną, nie chciałem się narzucać...

— Kim był ten mężczyzna?

— Jakiś starszy pan. — Malcolm wzruszył bezwiednie ramionami. — Zapewne jakiś twój krewny. Nie umiem ci powiedzieć. Byłem tak pochłonięty twoim widokiem, że nie

zwracałem uwagi, kto ci towarzyszy. — Zamknął oczy, oparł głowę, o zapleczek kanapy i uśmiechnął się do własnych wspomnień. — Pamiętam jeszcze, jak twoja skóra wspaniale połyskiwała w blasku lamp, jak ponętnie wyglądały twoje piersi...

Lenora sięgnęła po wachlarz leżący na stoliku obok i niby to d niechcienia poczęła wachlować spłonięte policzki, na co Malcolm otworzył jedno oko i posłał jej porozumiewawczy uśmiech. Odwróciła głowę, poirytowana, że jej konsternacja wprawiła go w rozbawienie.

— Jeśli był to rzeczywiście mój krewny, musieliśmy się spotkać y Anglii. Tutaj, w Stanach, nie mam już żadnej rodziny. — Wypowiedziała to stwierdzenie takim głosem, jakby czytała nudny apart, po czym zerknęła ciekawie na Malcolma z nadzieją, że przyłapie go jakiejś nieścisłości albo zmyśleniu. — Mógłbyś opisać wnętrze naszego domu w Anglii?

Malcolm złączył palce obydwu dłoni, przytknął je do ust, chwilę się zastanawiał.

— Bawiłem tam krótko, jako gość, nie widziałem wszystkich pokoi, ale pamiętam jeden ogromny... który twój ojciec nazywał wielką salą, jakby mówił o średniowiecznym zamku. Tuż obok znajdował się pokój z wielkim kominkiem i kamiennymi stopniami.

— A pamiętasz, może co wisiało na ścianach?

I tym razem odpowiedź padła dopiero po dłuższym namyśle.

— Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że były tam portrety twoich przodków, tarcze, herby rodowe. — Przechylił głowę, usiłując przypomnieć sobie więcej szczegółów. — Aha, i dwa malowidła, jedno przedstawiające ciebie, drugie twoją siostrę... repliki tych, które twój ojciec podarował sędziemu Cassidy.

Lenora wzdygnęła się. Chociaż skąpe, opisy Malcolma przywoływały mgliste wspomnienia z przeszłości. Niemal widziała obydwa portrety wiszące obok siebie nad kominkiem.

— Gdzie, powiadasz, że je widziałeś?

— Bodaj nad kominkiem. — Przez moment szukał w pamięci, po czym skinął głową. — Tak, na pewno nad kominkiem.

Ostatnie nadzieje Lenory rozwiały się wraz z tym stwierdzeniem. Kontynuowała swoje prywatne dochodzenie obojętnie, trochę siłą rozpędu, trochę z poczucia obowiązku wobec samej siebie.

— Zastanawia mnie, jak się dowiedziałaś, że oryginał mojego portretu znajduje się w domu dziadka. Byłeś tam kiedyś?

— Byliśmy tam razem, moja najdroższa. Tego też nie pamiętasz?

Lenora zasępiła się: nie mogła przypomnieć sobie wspólnych wizyt u sędziego Cassidy.

— Nie — odparła krótko.

— Naprawdę nie pamiętasz, jak bardzo byłaś przygnębiona, kiedy dowiedziałaś się o śmierci twojego dziadka? Wyrzucałaś sobie, że nie byłaś przy nim w ostatnich dniach. Dom został potem zamknięty.

— Jak się tam dostaliśmy? — zapytała Lenora, podnosząc czuj nie głowę. — To znaczy... poszliśmy tam pieszo czy też...?

— Wzięliśmy dorożkę. Płakałaś tak strasznie przez całą drogę, że zacząłem już się zastanawiać, czy nie powinniśmy poszukać jakiegoś lekarza, który zaaplikowałby ci laudanum.

Tak, informacja pasowała do łamigłówki, ale fakt, że to właśnie Malcolm towarzyszył jej do domu dziadka, raczej ją zmartwił, niż uradował. Próbowwała pogodzić się jakoś z tą wiedzą, ale na usta cisnęło się już następne istotne pytanie.

— Powiadasz, że gdzie wzięliśmy ślub?

— Tutaj, w Biloxi — odparł natychmiast. — Wkrótce po tym, jak tu zamieszkałem, ty przyjechałaś z Anglii i postanowiłaś osiąść w okolicy. Przyznam, czasami myślałem, że przeniosłaś się ze względu na mnie — oznajmił z uśmiechem, ale na widok jej zdziwionej miny spochmurniał, podniósł oczy i westchnął — Znamy się od dłuższego czasu..., od ponad trzech lat. Tak sobie myślę, że te lata... przepadły. Stracony czas...

— Przykro mi, że mój stan przyczynia ci takiej zgryzoty, Malcolmie — powiedziała bezbarwnym, wypranym z emocji tonem. — Ale zapewniam cię, że mnie jest trudniej niż tobie.

— Bez wątplenia, moja najdroższa, co nie znaczy, że nie mielibyśmy odświeżyć w pamięci wspólnych chwil — szepnęła, pochylając głowę i spoglądając jej w oczy.

Lenorze nie spodobał się zachęcający uśmiech Malcolma. Oczy mu pociemniały, pojawiły się w nich błyski zwiastujące, że za chwilę może nastąpić to, co z góry napawało ją lękiem.

— Bywają chwile, kiedy mężczyzna szuka upewnienia, potrzebuje go... a my dawno już się nie kochaliśmy...

Lenora, nie dając poznać po sobie, jak zatrwożyły ją te słowa, udawszy, że nie zrozumiała ich sensu, zapytała obojętnym z pozoru tonem:

— Jakiego upewnienia potrzebujesz, Malcolmie? Jeśli niepokoi cię osoba Ashtona, to już ci mówiłam, że w niczym mi nie uchybił przez cały czas, kiedy mieszkałam w Belle Chante. — Wzruszyła nieznacznie ramionami i ciągnęła dalej, wysuwając przypuszczenia, które miały złagodzić kategoryczną odmowę. — Nie wiem, być może doktor Page wspomniał mi coś o nie najlepszym stanie mojego zdrowia i przekonał, że powinien obchodzić się ze mną nadzwyczaj delikatnie. Trudno przewidzieć, jak mogłabym zareagować, gdyby siłą próbował egzekwować swe męzowskie prawa. Zapewne ogromny wstrząs pozostawiłby trwały ślad na psychice. Nawet teraz, kiedy coś wytrąci mnie z równowagi, nawiedzają mnie dziwne koszmary. Zwiduje mi się jakiś człowiek, którego ktoś bije, a potem morduje...

— Morduje? — wpadł jej w słowo zaskoczony Sinclair.

— Och, wiem, że to musi brzmieć bardzo dziwnie, Malcolmie, ale w chwilach stresu miewam halucynacje. Nie wiem, czy w tych wizjach powracam do wydarzeń, które naprawdę miały miejsce, czy też moja wyobraźnia powołuje do życia przerażające zjawy. Tak czy inaczej, jest to bardzo męczące. — Miała nadzieję, że odziedziczyła po ojcu chociaż trochę talentu aktorskiego i że udało się jej przekonać Malcolma o tym, że jej poczytalność została nadwerężona skutkiem wypadku. Wolałaby nie żyć w ciągłym strachu przed napastowaniem. — Czy zdajesz sobie sprawę, jak mogłabym ucierpieć, gdyby ktoś użył wobec mnie przemocy?

— Tak, tak, oczywiście — przytaknęła Malcolm aż nazbyt skwapliwie. — Nie chciałbym, żeby cokolwiek miało zburzyć twój spokój, moja droga. Pragnę, byś możliwie jak najszybciej wróciła do zdrowia.

W korytarzu rozległy się spieszne kroki i po chwili na progu sypialni stanęła służąca z niepewną minką. Widać było, że waha się, czy taktownie zniknąć państwu z oczu, czy też zaryzykować i wejść do pokoju.

— Słucham, z czym przychodzisz? — Zagadnęła Lenora, rada, że ktoś przerwał jej rozmowę z Malcolmem.

Dziewczyna weszła z wahaniem, rzucając spłoszone spojrzenia to na Lenorę, to na Malcolma. Czarne włosy, niebieskie oczy, jasna, delikatna cera i zaróżowione policzki, wszystko to składało się na miły dla oka obraz, ale młode stworzenie w swej naiwności najwyraźniej nie było świadome własnej urody. Spod białego czepeczka wysknęło się na czoło kilka pasemek włosów, a krzywo zawiązany na niebieskiej sukience, choć wykrochmalony i czysty fartuszek świadczył o niedbalstwie.

— Przepraszam, psze pani — zaczęła dygając. — Jestem Mary, pokojówka. Megan przysłała mnie, żebym spytała, czy pani ma życzenie się wykąpać.

Lenora zerknęła na Malcolma, ale on zdawał się nieobecny: pocierał w zamyśleniu brodę i wpatrywał się nieobecnym wzrokiem w dziewczynę, jakby ciągle jeszcze rozważał to, co przed chwilą usłyszał. Być może wyznania Lenory sprawiły, że zaczął powątpiewać, czy aby jego żona jest przy zdrowych zmysłach. Jeśli tak, to osiągnęła zamierzony cel i miała nadzieję, że da jej spokój.

Malcolm wreszcie zorientował się, że jest obserwowany, po czuł na sobie wyczekujące spojrzenie zielonych oczu, pojął, że jego dalsza obecność w sypialni jest niepożądana i wstał z fotela z dobrodusznym uśmiechem na ustach.

— Wybacz mi, moja droga, ale mam do załatwienia kilka spraw w miasteczku. — Skłonił się i ucałował dłoń Lenory. — Do zobaczenia wieczorem.

Lenora skinęła łaskawie głową, szczęśliwa, że się go wreszcie pozbyła. Miała nadzieję, że Malcolm rozważy ponownie sytuację i zdecyduje się jednak zamieszkać gdzie indziej.

Od czasu pierwszej po wypadku kąpieli w Belle Chante nie czuła tak przemożnej ochoty, by zanurzyć się w gorącej kąpieli i rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Podróż z Natchez okazała się wyjątkowo uciążliwa, powóz tak strasznie trząsł, telepał się i kołysał na wertepach, że do Biloxi dojechała posiniaczona i obolała na całym ciele. Z westchnieniem ulgi zanurzyła się w gorącej wodzie, zamknęła oczy i pozwoliła swobodnie wędrować myślom. Tylko z pozoru, gdyż już po chwili wróciła wspomnieniami do tamtego wieczoru, kiedy to Ashton asystował jej przy kąpieli, kiedy ją namiętnie całował i obsypywał pieszczotami. Wiedziała, że nie powinna przywoływać tamtych czułych godzin, ale były zbyt drogie jej sercu, by miała je odrzucić. Gdyby nie one, pograżyłaby się w rozpacz.

Ale zaraz, niczym zjawa, napłynęło też wspomnienie innej toalety: jest późny wieczór, wróciła właśnie z długiej podróży i zamierza położyć się do łóżka...

Widzi siebie, jest ubrana w koszulę nocną, na którą narzuciła pelerynę. Wędruje w ciemnościach, które nagle rozświetla pomarańczowa luna.

Lenora drgnęła: znowu ten sam koszmar, znowu pojawia się wzniesiony do ciosu pogrzebacz, tyle że teraz ona obserwuje całą scenę z daleka. Widzi sylwetkę ciemno odzianego mężczyzny, który przemyka się wąskim przejściem i z całych sił uderza kogoś w głowę żelaznym narzędziem.

Tłumiąc wrywający się z gardła krzyk, usiadła prosto w wannie. W miarę jak przerażenie ustępowało, myśli poczęły się rozjaśniać. Nagle pojęła, co właśnie widziała oczyma wyobraźni.

— To nie byłem ja! — szepnęła do siebie, czując, jak spływa na nią ogromna ulga. — Nie ja to zrobiłam. — Rozejrzała się wokół, wreszcie spokojna, wolna od samooskarżeń. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła się jak człowiek, który uniknął szubienicy. Miała ochotę

krzyżeć, płakać z radości, gdyby rzecz nie dotyczyła czyjejś tragedii. Wreszcie pojęła, że podsuwane przez pamięć obrazy nie były zwiadami, ale dotyczyły prawdziwego morderstwa. Kto zginął, kim był zabójca, tego nie wiedziała.

Pokręciła bezradnie głową. Jeśli Malcolm mówił prawdę, została porwana z tego samego domu, w którym się teraz znajdowała, i uwięziona do Natchez. Być może chodziło o majątek ojca...

Zaczęły napływać kolejne obrazy, mgliste, niedookreślone. Położyła się wygodnie w wannie, zamknęła oczy, usiłując skupić się na tym, co widzi. Zrazu nie potrafiła rozróżnić nic, poza migotliwymi wizjami, które powoli zaczęły nabierać wyraźniejszych kształtów, przeistoczyły się w postaci kilku mężczyzn o prostackich, obleśnych twarzach; wulgarnych w mowie i obejściu. Jeden z nich zbliżył się do Lenory, zajął jej w oczy z bezczelną miną.

— Przyniesiesz nam nabitą sakiewkę, prawda, panienko? — zagadnął ze śmiechem. — Tak sobie kalkuluję, czy byśmy się najpierw z tobą nie zabawili? Niczego z ciebie niewiasta, prawdziwa dama. Jeszcze nigdy nie miał w łóżku takiej jak ty, to i mnie ciągnie okrutnie, żeby popробować. I to jeszcze ci powiem, że nie ja jeden napaliłem się niby jeleń na rykowisku, kiedy łanię zwęszy. Moi kamraci też chcieliby posmakować.

Ciche pukanie spłoszyło wizję. Lenora wyszła z wanny, owinęła się ręcznikiem, podeszła do drzwi. Kiedy usłyszała głos Megan, odetchnęła z ulgą, przekręciła klucz i wpuściła dziewczynę.

— Znalazłam to w pani skrzyniach, chyba się nada — powie działa Megan, rozkładając na łóżku suknię z delikatniej niebieskiej organdy, po czym cofnęła się, by samej ocenić lepiej znalezisko. — Wszystkie pani suknie popakowane, trzeba będzie wyjąć je z kufrów, wyprasować każdą, bo okrutnie pogniecione. Ktoś strasznie się spieszył, kiedy je chował.

Słyszac to, Lenora natychmiast przypomniała sobie słowa karczmarza z Natchez, kiedy opowiadał o wyjeździe Malcolma: załadował do powozu, co to go tu żona zostawiła, jej kufry, najął stangreta i pojechał.

Megan westchnęła.

— Taki ładny kufer. Całkiem nowusienki, a taki duży, że po mieściłby suknie pięknie ułożone, bez jednego zgniecenia. Teraz to ja już rozumiem, czemu pan zwolnił całą służbę, co tu była wcześniej, i nowych najął, kiedy tamte tak się sprawiły. Wstyd prawdziwy, taka robota!

— To bez znaczenia, Megan. Doprowadziłaś tę suknię do takiego stanu, że wygląda jak nowa.

Rzeczywiście, wytworna błękitna toaleta z wyszywanym perła mi, które lśniły niby krople rosy, stanikiem, z atłasowymi aplikacjami przy dekolcie i na mankietach, prezentowała się pięknie.

Dziewczyna pokraśniała z zadowolenia.

— Bo też tak śliczna, że aż chciało się człowiekowi nad nią mozolić. Będzie w niej pani wyglądała, jakby szła do ślubu.

Lenorze znowu przemknęło przez pamięć jakieś ulotne wspomnienie. Miała wrażenie, że widzi uśmiechnięte, otaczające ją gęstym szpalerem twarze, a obok niej stoi. Czyżby Malcolm Sinclair w stroju pana młodego? I on się uśmiecha, przyjmuje gratulacje...

Na myśli o tym, że jednak rzeczywiście może być żoną Sinclaira, Lenora opadła bez sił na fotel. Czy w tej wizji, która ją przed chwilą nawiedziła, odgrywała rolę oblubienicy? Czy Malcolm naprawdę był oblubieńcem?

Tyle pytań cisnęło się jej do głowy i na żadne nie znajdowała odpowiedzi. A jednak od chwili, gdy przybyła do tego domu, zaczęła sobie przypominać wydarzenia z przeszłości: jedne jawiły się wyraźnie, z innych potrafiła pochwycić tylko odpryski, nie mniej pamięć zdawała się ożywać. Niestety, podsuwała obrazy, które Lenora najchętniej by odrzuciła; pojawiał się w nich Malcolm, dla Ashtona tymczasem nie było w nich miejsca.

Wytracona z równowagi opuściła głowę, zamknęła oczy. Gdy by tak na powrót mogła zapomnieć to, co jawiło się jej przed oczami! Tęskniła całym sercem za Ashtonem, ale wspomnienia nasuwały jej inną prawdę; nie odnajdywała w nich postaci Ash tona, co przekreślało nadzieje na wspólną przyszłość, na życie u jego boku. Im mniej miała nadziei, tym słodsze zdawały się jej spędzone z nim chwile.

— Psze pani? — Megan położyła jej dłoń na ramieniu. — Dobrze się pani czuje?

Lenora z ciężkim westchnieniem oparła się o zapleczek fotela.

— Nie wiem, jestem osłabiona, zmęczona...

— Niech się pani położy — zachęcała dziewczyna. — Przyniosę zaraz wilgotny ręcznik, zwilży sobie pani trochę twarz.

— Powinnam chyba przebrać się i zejść na kolację? — zapytała słabo Lenora. Nie czuła się na siłach uczestniczyć w wieczornym posiłku.

— Do kolacji jeszcze daleko. Niech pani sobie tymczasem odpocznie, prześpi się trochę, bo pewnie zdorożona okrutnie, wiadomo, podróż z Natchez długa i męcząca, taki świat drogi.

Lenora posłusznie zastosowała się do rady pokojówki, wyciągnęła wygodnie na łóżku i po chwili już spała. Rzeczywistość zniknęła za gęstą zasłoną, zaczęły napływać marzenia senne. Pojawiła się w nich postać barczystego mężczyzny. Zrazu mroczne, niewyraźne rysy okazały się rysami Ashtona. Nachylał się, chciał ją pocałować, gdy wtem jego opalona, wyrazista twarz przeistoczyła się: mężczyzna miał wąsy, uśmiechał się chytrze. Malcolm Sinclair! I strzelające wysoko w górę płomienie! Ogniste języki otaczały Lenorę, lizały jej ciało. Po chwili z płomieni wychynęli jacyś ludzie, zbliżyli się, stanęli wokół Lenory tak ciasnym kręgiem, że zabrakło jej powietrza w płucach i zaczęła się dusić. Gdziekolwiek się odwróciła, widziała uśmiechnięte złowrogo twarze. Jej wrogowie unosili kielichy, jakby świętowali jej zstąpienie do piekieł... tylko jeden mężczyzna nie brał udziału w celebracji. Zachowywał się jak spłoszona fretka, zdawał się szukać kryjówki, a przy tym zbliżał się cały czas do Lenory. Kiedy jego wykrzywiona cierpieniem twarz wypełniła już całe pole widzenia, otworzył szeroko usta w bezgłośnym krzyku.

Lenora obudziła się, łapiąc gwałtownie powietrze, rozejrzała gorączkowo po pokoju. Ciągłe jeszcze nie mogła się uwolnić od sennej mary, miała wrażenie, że przerażona, umęczona twarz lada chwila wychynie z jakiegoś ciemnego kąta sypialni. W pobliżu łóżka rzeczywiście majaczył jakiś złowrogi cień. Dopiero ocknąwszy się na dobre, rozpoznała Megan. Dziewczyna stała bez ruchu i spoglądała na swoją nową panią zatroskanym wzrokiem.

— Madame rzucała się tak niespokojnie i coś wykrzykiwała, jakby miała zły sen. To ani chybi z gorączki — powiedziała dziewczyna, odgarniając wymykające się spod czepka kosmyki włosów.

Lenora raz jeszcze rozejrzała się niespokojnie po tonącym w półmroku pokoju.

— Ktoś jest z tobą?

— Nie, proszę pani, tylko pani i ja, poza tym nikogo. Sama przy szłam.

— Tak, masz rację, coś mi się przyśniło. — Lenora z westchnieniem opadła na poduszki i zwilżyła językiem spierzchnięte wargi.

— Widać tak, madame — przytaknęła Megan, kładąc na czole Lenory zimny kompres. — Niech pani spróbuje jeszcze pospać, ja przyjdę obudzić, jak będzie czas ubierać się do kolacji, a gdyby i wtedy źle się pani czuła, powiem panu Somertonowi i panu Malcolmowi, żeby nie czekali i sami siadali do stołu.

— Taka jestem zmęczona — poskarżyła się Lenora słabym głosem.

— I nic dziwnego. Rozumie się, że musi być pani zmęczona.

Lenora ponownie zapadła w sen. Tym razem nic jej się nie śniło, jeśli nie liczyć przelotnej wizji, w której wędrowała przez mroczny labirynt. Nie było żadnych widziadeł, słyszała natomiast dochodzące gdzieś z oddali, stłumione głosy, przekleństwa, cichy kobiecy płacz i bełkotliwe recytacje pijanego poety.

Obudziła się zmęczona, nie bardzo wiedząc, gdzie jest, leżała przez chwilę bez ruchu, wreszcie wstała z łóżka, wdziała suknię, którą przygotowała dla niej Megan, uczesała włosy w prosty węzeł na karku, wyszła z sypialni i bezszelestnie przemknęła na dół.

Gdy zbliżyła się do drzwi salonu, jej uszu dobiegł lekko bełkotliwy głos ojca. Zatrzymała się, nasłuchując rozmowy.

— I po co te złości, łajania, wyrzuty? Czym nie zrobił wszystkiego, jak chciałeś? Dobrze mówi poeta: Mądry ten ojciec, co zna swoje dziecko.

— Szczęśliwe dziecko, któremu uda się posłać takiego ojca do diabła — odparował ostro Malcolm.

— Aj, aj. Mógłbyś mieć trochę szacunku dla moich siwych włosów, młodzieńcze — napomniał zięcia Somerton. Zamilkł na chwilę, westchnął z satysfakcją, widać ponownie łyknął swojego ulubionego trunku, i zachichotał. — Uważaj, bo zostawię majątek, komu innemu i będziesz musiał pukać do innych drzwi.

— Jesteś pijany.

— Czyżby? — syknął Robert.

Coś jeszcze chciał powiedzieć, ale w holu pojawiła się Mary z tacą zastawioną szklankami i głośno pozdrowiła Lenorę, której nie pozostawało w tej sytuacji nic innego, jak wejść do salonu.

Na jej widok Malcolm poderwał się z fotela, podszedł do niej z dziwnym uśmiechem na ustach i poufałym gestem objął ją w talii.

— Przyłącz się nas, Lenoro, stęskniliśmy się okrutnie za twoją śliczną twarzą, pozwól nam więc teraz nacieszyć się jej urodą do woli, bo takie piękno, powiadam, powoli trzeba smakować.

Robert dźwignął się chwiejnie ze swojego miejsca, podniósł szklanicę w powitalnym geście.

— Co prawda, to prawda, piękniejszej córki trudno by sobie życzyć. — Pociągnął solidny haust whisky, otarł wąsy, podwinął je lekko ku górze, po czym zerknął markotnie na pustą szklankę i skinął na Mary.

— Bądź taka dobra, moja droga i nalej mi jeszcze kapkę.

— Nie mógłbyś poczekać i napić się dopiero po kolacji? — zapytał Malcolm z przyganą w głosie, podając równocześnie ramię Lenorze, by poprowadzić ją z galanterią do kanapy.

Robert za całą odpowiedź machnął tylko lekceważąco ręką i zwrócił się bezpośrednio do Mary:

— Odrobina dobrego trunku nie zaszkodzi, prawda, moja gołąbeczko?

Mary niepewnie zerknęła na Malcolma, czekając jego przyzwolenia, i dopiero, kiedy ten z ociąganiem skinął głową, napełniła ponownie szklaneczkę. Na ten widok Robert z zadowoleniem zatarł ręce, a że perspektywa kolejnych kilku łyków whisky wprawiła go w dobry humor, wyrecytował fragment wiersza:

— Ani wiedząc, co noc w zanadru dla niej chowa, wieczór cztery Marie miała jeszcze królowa. A były to Mary Beaton, Mary Seaton, Mary Carmichel i... — Mrugnął do dziewczyny i zmienił wiersz podług własnego uznania. — I ty, słodka Mary Murphy.

Mary zachichotała, zasłoniła dłonią usta i wybiegła pospiesznie z pokoju. Malcolm z wyraźnym niesmakiem pokręcił głową na te swawole i westchnąwszy, usiadł obok Lenory.

— Dziwna rzecz, że akurat tę suknię postanowiłaś włożyć dziś wieczorem — szepnęła, dotykając delikatnej falbany.

— Dlaczego uważasz, że to dziwne? — Lenora nie mogła po zbyć się wrażenia, że miała na sobie tę suknię podczas jakiejś ważnej uroczystości. — C wiążą się z nią szczególnie wspomnienia?

— Można tak powiedzieć — odparł Malcolm z pełnym czułości uśmiechem. — Miałas ją na sobie w dniu naszego ślubu.

Słowa te spadły na Lenorę niby bezlitosny cios, odbierały jej resztki nadziei na wspólną przyszłość z Ashtonem.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że ta suknia ma już tyle lat — szepnęła słabo. — Może źle obliczam czas. Powiadasz, że kiedy się pobraliśmy?

— Wkrótce po tym, jakśmy się poznali. Lubiłaś tę suknię i zawsze bardzo o nią dbałaś, dlatego wygląda jak nowa.

— Megan mówiła mi, że znalazła ją w kufrze, wrzuconą byle jak, bardzo pogniecioną — odparła, usiłując jednocześnie przypomnieć sobie, jak dawno, wedle Malcolma, nastąpiło ich pierwsze spotkanie.

Malcolm ścisnął delikatnie jej dłoń, uśmiechnął się czule.

— Tak bardzo martwiłem się, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje, czyś bezpieczna, że nie zwracałem uwagi na drobiazgi. Rzeczywiście, pakowałem twoje rzeczy dość beładnie.

Słuchała tych zapewnień bez przekonania, rozglądając się równocześnie po salonie. W pewnej chwili jej wzrok padł na wiszący nad wielkim kominkiem obraz. Był to bardzo lichy pejzaż, dziwnie niepasujący do eleganckiego wnętrza... Podobnie jak oby dwaj towarzysze Lenory. Mimo iż ustawicznie powtarzali, jak jest im obu droga i bliska, nie czuła z tymi ludźmi żadnej więzi, nie żywiła do nich żadnych cieplejszych uczuć. Dałaby wszystko, by znowu być z Ashtonem!

10

Pierwsze promienie wschodzącego słońca kładły się różowymi refleksami na srebrzystych falach oceanu. Zachwycona tym widokiem Lenora wyszła na balkon, by w pełni nacieszyć się pięknem poranka. Służba krzątała się w kuchni, zajęta przygotowywaniem śniadania. W

domu panowała absolutna cisza, tylko z pokoju Roberta dochodziły stłumione odgłosy chrapania. Myślała o nim coraz częściej: Robert albo pan Somerton, zamiast ojciec czy tato. Nie potrafiła odnosić się do niego inaczej, nie pamiętała go, nic dla niej nie znaczył, był po prostu Robertem Somertonem.

Z różnych uwag czynionych przez Ashtona wnosila, że jej ojciec był bardzo trudnym w obejściu człowiekiem, nie przypuszczała jednak, że tatuś czuje taki pociąg do butelki. Rozpoczął dzień od kawy zaprawianej brandy i potem popijał już cały dzień, co mu się nawinęło pod rękę, nie wzgardził żadnym trunkiem.

Poły szlafroka Lenory zafurkotały, rozwiewane idącą od oceanu bryzą. Wciągnęła głęboko powietrze, upojona jego zapachem. Od chwili kiedy przybyła cło tej nadmorskiej rezydencji, upłynęły dwa tygodnie, ona miała jednak wrażenie, że opuściła Belle Chante całe wieki temu. Kilka dni spędziła w łóżku, w stanie dziwnego zawieszenia między rzeczywistością a maligną. Kiedy gorączka ostatecznie ustąpiła, zaczęła krążyć po domu, próbując się zapoznać z nowym otoczeniem, z ludźmi, którzy tu mieszkali, wreszcie z okolicą. Szybko wyczuła, że musiała kochać kiedyś ten dom i że dobrze się w nim czuła. Znała tu każdy zakątek, każdy splot materii w kotarach, każdy drobiazg, każde drzewo; teraz spoglądała na ich letnią, zieloną szatę, ale wiedziała też, jak wyglądają w przepychu jesiennych barw, jakie są, kiedy zima ogołoci je z liści. Wsłuchiwała się z rozkoszą w łagodny szum fal, obserwowała mewy krążące po niebie i maleńkie punkciki na horyzoncie, które w miarę zbliżania się do brzegów zamieniały się w majestatyczne statki o oślepiająco białych w promieniach słońca żaglach. Kiedy tak im się przyglądała, czuła niemal kołysanie pokładu pod stopami, wiatr igrający we włosach, ale też uścisk mocnych, ogorzałych ramion stojącego za nią mężczyzny.

Westchnęła smętnie i wróciła do pokoju. Ostatnio obraz Ashtona towarzyszył każdej jej myśli, każdemu wypowiedzianemu słowu, co pogarszało jeszcze i tak trudną sytuację.

Po raz nie wiadomo, który usiadła przy sekreterze, ujęła w dłoń gęsie pióro i próbowała ułożyć list, w którym chciała wyjaśnić Ashtonowi swoje położenie. Mozoliła się, natężyła umysł i nie była w stanie znaleźć jasnych, przekonujących słów, których nie odparta logika położyłaby kres dręczącym ją dylematom, zanim te osiągną punkt krytyczny, wiodąc prostą drogą do katastrofy.

Zniechęcona próżnymi wysiłkami Lenora pokręciła głową i odchyliwszy się na krześle usiłowała skupić się na bieżących sprawach, ale niesforne myśli biegły w różnych kierunkach, tylko nie tam, gdzie pragnęła je skierować. Bezwiednie obracała pióro w palcach, przyglądając się grze światłocienia na strzałce, a przed oczami jawiła się jej ukochana twarz. Ashton z uśmiechem nachylał głowę, za chwilę miał dotknąć ustami jej warg...

— Ashtonie! — szepnęła z westchnieniem.

Odrzuciła pióro, wstała i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju. Policzki ją paliły, rozedrgane serce nie chciało się uspokoić. Wystarczył moment słabości, a umysł zaczynał płatać figle. Zastanawiała się nieraz, czy silniejsza od niej Lierin nie kryje się gdzieś w jej pamięci, czekając tylko sprzyjającej okazji, by się ujawnić, a potem zawładnąć duszą i ciałem.

Spojrzała w swoje odbicie w lustrze: łagodne, zamglone tęsknotą oczy, sprężyste, oczekujące pieszczoty piersi. Potarła czoło i znowu zaczęła krążyć po pokoju. Dopóki będzie myślała o Ash tonie, nigdy nie pogodzi się z rolą żony Malcolma. Martwiło ją to, że nie wyniósł się z domu, nie poszukał sobie innego mieszkania. Jego sypialnia znajdowała się w drugim końcu korytarza i ta świadomość kazała jej co wieczór zamykać na klucz drzwi sypialni i prowadzące na balkon francuskie okno. W nocy w pokoju robiło się duszno nie do zniesienia, ale wołała się męczyć, niż wystawiać się na ryzyko nieproszonych wizyt.

Nigdy nie była pewna, gdzie Malcolm się właściwie podziewa; przemykał po domu niczym duch, pojawiał i znikał nieoczekiwanie, zanim zdążyła zauważyć jego obecność. Bywało, że ni czego nie przeczuwając, odwracała głowę i napotykała jego nie ruchome, wlepione w nią spojrzenie: czuła się wtedy jak mysz hipnotyzowana przez wygłodzonego kota-chytrusa. Rozbierał ją wzrokiem, uśmiechał się sprośnie, prężył się i puszył, jakby chciał ją tym sposobem zawieść do łóżka. Na wszelki wypadek barykadowała drzwi sypialni krzesłami, w obawie, że Malcolm zechce pewnej nocy urzeczywistnić czynione jej awanse. Wiedziała, że w końcu będzie musiała ulec, na razie, dopóki nie była w stanie wyrzucić z serca tęsknoty za Ashtonem, udawało się jej trzymać Sinclaira na dystans.

Coraz wyraźniej dostrzegała różnice między tymi mężczyznami, aczkolwiek nie potrafiła powiedzieć, czy dotyczą one cech fizycznych, sposobu bycia, czy charakterów. Ashton był zmysłowy i porywczy, ale znacznie subtelniejszy niż Malcolm, być może, dlatego, że starszy: wystarczył jeden uśmiech, jedno spojrzenie, a nikt nie potrafił mu się oprzeć. Ze swoim wdziękiem, arystokratycznymi rysami i królewskim obejściem zdawał się znacznie bardziej pociągający.

Malcolm wszak też nie był pozbawiony wdzięku. Dobrze się prezentował, niekiedy przypominał nawet Lenorze Ashtona, chociaż miał szerzej rozstawione kości policzkowe, wydatniejsze wargi. Tak czy inaczej, przypuszczała, że mógł wzbudzać zainteresowanie kobiet. Potrafił być też stanowczy; szczególnie, kiedy Somerton wypił za dużo i stawał się zaczepny albo zaczynał recytować fragmenty Szekspira, jego rysy tężały, wzrok stawał się twardy, ale też trudno było mu się dziwić, bo Robert potrafiłby wyprowadzić z równowagi świętego i nawet Lenora miała go czasami dość. Ilekroć oczerniał przed nią Wingate'a, miała ochotę zapomnieć o należnym ojcu szacunku i wygarnąć mu kilka słów prawdy. Jeśli ważył się psy wieszać na Ashtonie, niechby pierwiej przyjrzał się własnym niedoskonałością.

Donośny stukot końskich kopyt wyrwał Lenorę z rozmyślań. Podbiegła do okna akurat w chwili, gdy dobrze znany jej powóz zatrzymał się na podjeździe. To, że Malcolm wracał do domu o świtaniu, nie napawało jej specjalnym smutkiem, była jednak ciekawa, czy znalazł sobie w końcu mieszkanie, a jeśli nie, to, z kim i na jakich zajęciach spędził noc. Wyjechał wieczorem, wkrótce po tym, jak ojciec wyprawił się gdzieś powozem. Robert wrócił w nocy, słyszała, jak po pijanemu szukał drogi do swojego pokoju, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób udało mu się dotrzeć do domu, bo oto Malcolm wracał powozem, jego koń zaś szedł z tyłu.

Usłyszała pospieszne kroki Sinclaira na stopniach wejściowych, słyszała, jak wbiega do domu, trzaskając drzwiami frontowymi z taką wściekłością, że szyby w oknach zadzwoniły. Już się zaczęła zastanawiać, czym też wprawiła go w taką wściekłość, gdy zamiast wpaść do jej pokoju, wtargnął jak burza gradowa do sypialni Somertona, znajdującej się po drugiej stronie kory tarza. Do uszu Lenory doszedł najpierw ryk, który obudziłby umarłego, potem odgłosy stłumionej wymiany zdań, od czasu do czasu podniesiony w gniewie głos Malcolm. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że jej ojciec nigdy nie zniósłby potulnie podobnego najścia. Irytowało ją, że pozwala robić sobie awanturę i wysłuchuje połajają, położywszy uszy po sobie. Jeszcze bardziej zirytowały ją koszarowe maniere Malcolma wobec Roberta. Ojciec w swojej słabości mógł je tolerować, ona nie zamierzała.

Otuliła się szczelniej szlafrokiem i ruszyła do sypialni Somertona. Ledwie zapukała, gdy drzwi otworzyły się z impetem i w progu stanął rozszereżony, ciskający iskry z oczu Malcolm. Na widok Lenory jego twarz natychmiast złagodniała, cofnął się, dając jej przejście, uczynił zapraszający gest dłonią.

— Wejdz, moja droga — powiedział z uśmiechem. — Dyskutuję właśnie z twoim ojczulkiem.

— Owszem, słyszałam — odparła z przekąsem, wchodząc do środka.

Malcolma uniósł pytająco brew, najwyraźniej ubodła go kąśliwa uwaga.

— Muszę ci wyjaśnić, co zaszło. Twój ojciec zrobił sobie wczoraj wieczorem rundę po okolicznych karczmach. W końcu zapomniał, gdzie kazał czekać stangretowi. Zmarnowałam całą noc, szukając powozu, a na dodatek usłyszałam mnóstwo plotek na nasz temat.

Zawstydzony Somerton słuchał tych oskarżeń, siedząc na skraju łóżka. Potulnie spuścił głowę, zwiesił ramiona. Lenorze wydał się żaloszny, a przy tym godzien współczucia. Byłoby jej lżej na sercu, gdyby nie pozwalał tak sobą pomiatać, a huknął na Malcolma i kazał mu zabierać się precz ze swojego pokoju. Chociaż wzdragała się tak o nim myśleć, chociaż często ją irytował, był przecież jej ojcem i powinna go bronić.

— Byłabym ci wdzięczna, Malcolmie, gdybyś zechciał wziąć pod uwagę, że krzyczysz na mojego ojca. To mój dom, a ty jesteś tu gościem. Nie obchodzi mnie, jakie plotki na jego temat krążą po okolicy, żądam jednak, żebyś odnosił się do niego z szacunkiem, a przynajmniej przestał obrażać. Jeśli nie.., to wynoś się stąd.

Malcolm otworzył usta, chciał ostro odpowiedzieć, ale widać rozmyślił się w porę, bo tylko rzekł ze sztywnym uśmiechem:

— Wybacz mi, moja droga, rzeczywiście powinienem okazywać twojemu ojcu więcej szacunku. Uniosłem się, bo nie chcę, żeby ludzie brali nas na języki z powodu jego wybryków.

Zaskoczony tą gwałtowną obroną Somerton wpatrywał się w Lenorę łzawym wzrokiem. Przedstawiał sobą opłakany widok: czerwone obwódki wokół oczu, worki pod oczami, wymięta twarz, obwisłe niczym psie fale policzki, dwudniowy zarost, rozchełstana, poplamiona koszula. Widząc, że córka go obserwuje, poruszył się niespokojnie, obciągnął kamizelkę i rozejrzał się w poszukiwaniu szklaneczki złocistego napitku. Tylko whisky mogła przywrócić mu animusz i uspić wyrzuty sumienia.

— Ja... tego... — Zwilżył językiem wyschnięte wargi i od chrząknął. — Nie chciałem robić zamieszania. Rozumiem, że Malcolm mógł się zdenerwować. Nie besztaj go, dziewczyno, bo to moja wina. Zapomniałem się.

Na widok pełnego satysfakcji, aroganckiego uśmiechu Malcolma Lenora poczuła nieprzeparłą ochotę, by powiedzieć mu kilka ostrych słów, które startłyby ten obmierzły uśmiech z jego twarzy, ale w tej samej chwili w jego oczach pojawił się lubieżny błysk, który uświadomił jej, że jest prawie naga, odwróciła się przeto na pięcie i wróciła do swojego pokoju.

Ledwie zamknęła drzwi, w sypialni pojawił się Sinclair w towarzystwie Somertona, z niewielką walizką w ręku. Robert zachwiał się, potknął, wreszcie wsparł o biurko, przy którym siedziała, i przystąpił do wyjaśniania powodu wizyty:

— Ja... tego... Malcolm ma... kilka spraw, które chciałby omówić z tobą, moja droga. — Przełknął z wysiłkiem ślinę, rozglądając się na próżno za miłą oczom, karafką pełną whisky.

Lenora wskazała piórem w kierunku umywalni.

— W dzbanie jest zimna woda, weź sobie, jeśli chce ci się pić.

Malcolm z politowaniem na twarzy obserwował, jak Somerton drżącą ręką nalewa wodę do szklanki, po czym wychyla pozbawiony procentów płyn, otrząsając się z obrzydzenia. Kiedy już nasycił wzrok kolejnym upokorzeniem starego, podszedł do biurka, nachylił się, chciał pocałować Lenorę, ale ta się odsunęła, poderwała z fotela i stanęła w bezpiecznej odległości.

— Podobno masz do mnie jakąś sprawę — przypomniała mu oschle.

Malcolm położył walizeczkę na stole, otworzył ją i wyjął plik urzędowych dokumentów.

— Dzisiaj rano spotkałem się z naszym adwokatem, prosił, żebyś podpisała te papiery.

— Połóż je tam, przejrzę i jeszcze dzisiaj podpiszę. — powiedziała Lenora, wskazując od niechcenia miejsce na biurku. Za miast uczynić, jak prosiła, Malcolm zaczął nerwowo przekładać kartki. — Coś nie tak? — Zapytała zaintrygowana jego zachowaniem.

— Nie, tyle, że po południu powinienem odwiedzić dokumenty do kancelarii. Twój ojciec już je przejrzał i zaakceptował. To nic ważnego, ot, drobne sprawy, które wymagają uporządkowania.

— Skoro tak ci pilno, od razu przejrzę te papiery i będziesz mógł je zabrać. Nie powinno to długo potrwać. — Wyciągnęła dłoń.

— Prawdę mówiąc, wróciłem do domu, żeby zabrać twojego ojca do kancelarii. Nie chcieliśmy jechać obydwaj do miasta i zostawiać cię samej, tylko ze służbą, więc pomyślałem, że twój podpis zaoszczędzi nam dodatkowej podróży. — Malcolm zatrzasnął walizeczkę zdecydowanym ruchem.

Robert tymczasem wyszedł na balkon. Oślepiiony ostrym słońcem zmrużył oczy, cofnął się, schronił w cieniu markizy, oparł o ścianę i zaraz wyprostował, poruszony tym, co dostrzegł.

— Cholera jasna!

Malcolm zlekceważył jego okrzyk, nie bardzo wierząc, że stary w obecnym stanie mógł zobaczyć coś godnego uwagi. Wziął walizeczkę pod pachę i podszedł do drzwi, żeby ponaglić teścia.

— Chodź już, Robercie. Musisz się szybko przebrać, jeśli mamy zdążyć... — Idąc za wzrokiem Roberta, spojrzał w kierunku morza. Wtem odrzucił cygaro i podbiegł do balustrady.

— O, do diabła!

Zaciekawiona, co tak wzburzyło obydwu mężczyzn, Lenora wyszła za nimi na balkon. Najpierw dojrzała unoszący się z dwóch wysokich kominów gęsty, czarny dym, dopiero potem majestatyczny czarno-biały kształt parostatku, który właśnie zmniejszył szybkość, zatrzymał maszyny i po chwili znieruchomiał zaledwie kilkaset metrów od nadmorskiej rezydencji. Do wody poszła jedna kotwica, zaraz potem druga.

— „Czarodziejka” — powiedziała bezgłośnie. Nawet nie widząc nazwy wymalowanej na dziobie, rozpoznała znajomy parowiec, który kołysał się łagodnie na falach. Po chwili ze sterówki wyszedł jakiś mężczyzna, z rękoma wpartymi na biodrach stanął na mostku i zapatrzył się w dom przy plaży. Lenora poczuła, że uginają się pod nią kolana. Jego też rozpoznała bez trudu. Serce zaczęło walić w piersi jak oszalałe, oddychała z trudem, tak ogromna ogarnęła ją radość.

— To on! — warknął Malcolm, obnażając zęby. — Ten sukinsyn Wingate! — Posłał Robertowi oskarżycielskie spojrzenie, ale kiedy ten wzruszył tylko bezradnie ramionami, spiorunował wściekłym, pełnym zazdrości wzrokiem Lenorę.

— Wiedziałaś, że przyplynie? Posłałaś po niego? — Zerknął przez otwarte drzwi w stronę biurka, gdzie stał kałamarz, leżała papeteria i gęsie pióra. — Napisałaś do niego list! Zawiadomiłaś go, gdzie jesteś!

— Nie! — Lenora pokręciła głową, nie mając odwagi okazać ogarniających ją uczuć. Była szczęśliwa, podniecona, rozradowana. Ashton jest blisko, pojawił się wreszcie, odnalazł ją,

powtarzała w myślach bez końca. Przyplłynął, by pokazać całemu światu, że jej pragnie, że nie podda się tak łatwo, nie zrezygnuje...

— Jakim sposobem...? — Malcolm przerwał w pół słowa i za sępił się. — Czy wiedział, że masz dom w Biloxi? — zapytał po chwili.

Lenora wzruszyła ramionami i rozłożyła bezradnie ręce, na znak swojej niewinności.

— Owszem, wiedział, sam mi o tym powiedział, ja nie musiałam mu nic mówić.

— Powiniennem był przewidzieć, że nas odnajdzie — mruknął Malcolm. — I odnalazł sukinsyn, niczym pies węszący za suką. Przyplłynął, żeby cię stąd wykraść, zabrać mi. — Pogroził palcem w kierunku parostatku. — Nie uda mu się! Nie dopuszczę do tego.

Wezwę szeryfa, żeby go stąd przegnał.

— Nie sędzę, żebyś z nim wygrał, Malcolmie — zauważył Robert, siadając na krześle ogrodowym. — Kotwiczy na otwartym morzu, a ono należy do każdego, kto ma dość odwagi, by po nim żeglować. Dopóki Wingate nie wtargnie na teren rezydencji, nic mu nie możesz zrobić.

Rozwścieczony Malcolm przemierzył wielkimi krokami balkon i zniknął bez słowa, by po chwili pojawić się z powrotem z myśliwską dwururką pod pachą. — Niech tylko spróbuje zejść na ląd. Zastrzelę go, zanim zdąży wysiąść z szalupy.

Wobec pogroźek Malcolma uniesienie Lenory prysło jak bańka mydlana. Powodowany nienawiścią mógł być gotów na wszystko, a nic nie wskazywało, że ochłonie z gniewu. Powinna ostrzec jakoś Ashtona, by nie ważył się ruszać się ze statku. Ale jak to zrobić?

— Cały dowcip z bronią palną na tym polega, że człowiek nigdy nie wie, co potrafi przeciwnik. Ludzie powiadają, że Wingate jest strzelcem wyborowym i że lepiej się wystrzegać starcia z nim — mruknął Robert. — Jeśli rzeczywiście jest tak dobry, jak mówią, radziłbym ci uważać.

Lenora spojrzała ze zdziwieniem na ojca. Pamiętała, jak pod czas swojej pierwszej wizyty, w Belle Chante wychwalał talenty strzeleckie Malcolma, teraz zaś ostrzegał go przed rywalem. Jaką też grę prowadził, do czego zmierzał?

— Może rzeczywiście jest dobry, ale niewiele mu to pomoże — parsknął Malcolm, przesuując dłońią po kolbie strzelby. — Jeśli chce ujść z życiem, powinien, czym prędzej podnieść kotwicę i popłynąć z powrotem do Nowego Orleanu.

— Masz zamiar cały czas trzymać go pod lufą? — zdumiał się Robert.

Malcolm odwrócił się w jego stronę z ironicznym wyrazem twarzy.

— Nie, papo, ty mi pomożesz.

Somerton szczerze się zdziwił, potem zasępił i zmarszczył czoło.

— Owszem, mogę pilnować dostępu do domu, skoro chcesz, ale strzelby do ręki nie wezmę za nic w świecie. Nie mam pojęcia o broni.

— Nie wymagam tego od ciebie — powiedział Malcolm z uśmiechem. — Przyjemność ustrzelenia tego łotra rezerwuję dla siebie.

Lenora poczuła, jak ogarnia ją lodowata fala strachu. Coś było zdecydowanie nie tak, nie wiedziała jednak, w czym rzecz. Śmiertelnie bała się o Ashtona.

— Chyba go nie zabijesz? — zapytała ostrożnie.

— To nie będzie zabójstwo, moja droga. Mam prawo bronić tego, co do mnie należy, a wszyscy doskonale wiemy, jakie intencje kierują Wingate'em. — Malcolma przemawiał tonem właściciela Lenory, mówił o niej jako o swojej własności, obojętny na to, że nie jest przedmiotem, lecz żywym, czującym, kierującym się własną wolą człowiekiem. — Przyjechał, żeby mi ukraść ciebie — dokończył z emfazą.

— Być może powinnam z nim porozmawiać? Jestem pewna, że odpłynie, jeśli mu wyjaśnię, że jestem tu z własnej, nieprzymuszonej woli.

Malcolm odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął kpiącym śmiechem.

— Znam twojego Wingate'a, niejedno o nim słyszałem. Kiedy raz coś sobie postanowi, nic nie odwiedzie go od zamierzonego celu. — Zaczął się przechadzać tam i z powrotem wzdłuż balustrady. — Pomyśleć, ile to trzeba czelności, żeby tak kotwiczyć na wprost domu i zaglądać nam do okien. — Wyciągnął z oburzeniem rękę w stronę parostatku. — Patrzcie go, ma nawet lunetę.

Somerton zerknął we wskazywanym kierunku, jakby chciał się upewnić, czy zięć mówi prawdę. Rzeczywiście, w promieniach słońca błysnęła mosiężna tuleja lunety okrętowej.

— Na Jowisza, a to huncwot!

Lenora nie mogła oderwać oczu od wysokiej sylwetki na most ku „Czarodziejki”. Czują niemal spojrzenie Ashtona na sobie i oblał ją żar, który nie miał nic wspólnego z tym, że stała w palących promieniach słońca.

— Chciałbym mieć teraz kilka armat na podorędziu — wycedził Malcolm przez zaciśnięte zęby. — Taką bym wyprawiał temu draniowi kanonadę, że po jego parostatku ślad by nie został.

Zdesperowana Lenora postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę pertraktacji.

— Może pozwoliłbyś mi, chociaż napisać list do niego?

— Nie! — warknął Malcolm. — Niech sobie tam tkwi, dopóki nie znajdę sposobu, żeby go wykurzyć. Pozbędę się go raz na zawsze i nigdy już nie odważy się zakłócać nam spokoju. Pokażę mu, kto jest silniejszy.

Kiedy obydwaj mężczyźni wyszli z sypialni, zostawiając Lenorę sam na sam z własnymi myślami, poczuła, że ogarnia ją fala nieprzeparłej radości. Świadomość, że Ashtonowi na niej zależy, że przypląnął po to, by o nią walczyć, przyprawiała ją niemal o zawrót głowy. Zapomniała na chwilę o lęku, jaki wzbudziły w niej pogroźki Malcolma, i cieszyła się myślą o bliskości Ashtona. Zaslaniając usta dłońmi, zanosiła się szalonym, szczęśliwym, acz hamowanym śmiechem. Po pokoju krzątała się Megan, przygotowywała właśnie kąpiel: Lenora nie chciała wzbudzać jej podejrzeń zbyt gwałtownymi objawami uczuć, ale też okazało się, że darmo próbuje je ukryć, bo zaintrygowana nagłą zmianą w nastroju pani dziewczyna w końcu nie wytrzymała i, zebrawszy się na odwagę, zapytała wprost:

— Madame dobrze się czuje?

Lenora skinęła głową i ukrywszy uśmiech, złożyła dłonie na podołku.

— Tak. — Odchrząknęła i przybrała stateczny ton. — Dlaczego pytasz?

Megan spoglądała uważnie na panią. Obserwowała ją przez ostatnie tygodnie, widziała, jak z rezygnacją poddaje się losowi, jak w obecności Sinclaira czy Somertona usiłuje zachowywać pogodną twarz, a potem zamyka się w swoim pokoju i godzinami siedzi bez ruchu zapatrzona w morze, jakby tam czegoś wypatrywała, na coś czekała. Teraz w zielonych oczach obudziło

się życie, pani po raz pierwszy od przyjazdu do Biloxi otrząsnęła się z przygnębienia. Poranna wymiana zdań na balkonie niosła się po całym domu, Megan nie mogła jej nie słyszeć. Stąd wie działa, że na pokładzie parowca kotwiczącego w pobliżu domu przybył mężczyzna, który chce zabrać ze sobą madame, z jej miny zaś wnosiła, że ów tajemniczy przybysz nie musiałby jej wcale namawiać do opuszczenia rezydencji.

— Nie musi się pani mnie bać — zapewniła dziewczyna. — Ja tam nie ślubowałam wierności panu Sinclairowi, jeśli o to się rozchodzi.

Lenora, zdumiona przenikliwością pokojówki, tym bardziej lękała się wyjawic jej tajemnice swego serca. Uznała, że przezorniej będzie udawać niewiniątko.

— O czym mówisz, Megan?

Dziewczyna złożyła dłonie na fartuszku, głową wskazała w stronę parowca.

— Wiem, że tam jest ktoś, kto przyplłynął zabrać panią, a po minie widzę, że mu pani rada.

Z oczami rozszerzonymi przerażeniem Lenora zerwała się z łóżka, podbiegła do pokojówki, chwyciła ją za rękę.

— Nie mów nikomu, że się ucieszyłam. Pamiętaj, nikomu. A już przede wszystkim panu Sinclairowi albo mojemu ojcu. Oni nienawidzą pana Wingate'a i boję się, że zrobią mu coś złego.

— Nie trzeba się frasować, psze pani — zapewniła Megan serdecznym tonem. — Ja też kiedyś kochałam, rozumiem, co pani czuje.

Lenora nadal była czujna.

— Co o mnie wiesz?

— Słyszałam, jak panowie między sobą rozmawiali o tym, jak to pani straciła pamięć i potem myślała, że jest kogoś innego żoną. — Przerwała, gdyż zrozumiała, co się stało tego poranka.

— To on, psze pani, prawda? To znaczy, pan Wingate, ten, co wzięła go pani za swojego męża?

Lenora spuściła oczy pod dociekliwym spojrzeniem Megan. Nie widziała powodu, by kłamać, kiedy dziewczyna tak łąco się wszystkiego domyśliła.

— Tak, kocham go, chociaż się przed tym z całych sił bronię...

— To sobie pani podjęła trud ponad siły, tyle mogę powiedzieć.

Lenora powoli skinęła głową. Trud był istotnie ponad jej siły.

Mały zegar na biurku wybił drugą, równocześnie poniosło się echem po uśpionym domu bicie zegara stojącego w holu. Lenora skończyła układać poduszki pod kołdrą, odstąpiła na krok od łóżka, by przyjrzeć się swemu dziełu. Gdyby ktoś wszedł nocą do sypialni, ujrzałby w srebrnej poświacie księżycy kształt na pozór śpiącej postaci. Tak ubezpieczona, mogła wymknąć się z domu, by zawiadomić Ashtona, że pod żadnym pozorem nie powinien schodzić na brzeg. Malcolm srodze się odgrażał podczas kolacji i nie sposób było przewidzieć, co jest gotów uczynić, tym bardziej więc postanowiła przestrzec ukochanego. Poprzedniego dnia pachołek z rezydencji wypłynął łowić ryby i zostawił potem na brzegu małą łódkę, którą Lenora zamierzała dostać się na „Czarodziejkę”. Megan na jej prośbę pożyczyła od chłopca ubranie, nie pytając na wszelki wypadek, po co ono pani i jak zostanie wykorzystane.

Kiedy Lenora już się przedzierzgnęła w rybaka, kiedy schowała długie rude włosy pod czapkę, aż się skrzywiła na widok własnego odbicia w lustrze. W niczym nie przypominała

damy, bo też żadna dama nie wystroiłaby się w zgrzebną koszulę bez guzików, którą można było jedynie zawiązać w pasie na węzeł, i znoszone, poprzecierane portki, trzymające się na swoim miejscu tylko dzięki troczkom. Wyglądała w tym stroju dość swawolnie i prowokująco; przyłapana, mogłaby zostać posądzona o nieczne zamiary. Na wszelki wypadek wdziała jeszcze płócienny kaftan.

Po wyjściu na korytarz zatrzymała się, nasłuchując przez chwilę. Głośnie chrapanie dochodzące z sypialni ojca świadczyło dowodnie, że wziął sobie do serca nauki Malcolma i postanowił noc spędzić po bożemu, w domu. Ale też nie ojciec był groźny, lecz właśnie Malcolm. Przed nim nie wykręci się byle wymówką. Gdyby ją przyłapał, od razu wiedziałby, dokąd się wybiera.

Wzięta leżące na skrzyni łapcie ze sznurka, wymknęła się na werandę i rozejrzała, czy droga wolna. Zeszła powoli ze stopni, wzięła obuwie i teraz już pędem przemierzyła drogę, która dzieliła ją od plaży. Łódka leżała na piasku. Lenora umieściła wiosła w dulkach i, napiąwszy mięśnie, zepchnęła łódź na fale.

Na pokładzie parostatku paliły się latarnie, z bulajów kabiny Ashtona biło słabe światło. Lenora zaczęła powoli płynąć ku „Czarodziejce”, od czasu do czasu zerkając przez ramię w jej stronę i upewniając się, czy nie zbacza z obranego kursu. Wkrótce okazało się, że źle obliczyła siły: do statku było dalej, niż sądziła, nienawykłe do wysiłku ręce zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Gdy dotarła wreszcie do burty parowca, pochyliła się nad wiosłami, by chwilę odpocząć, po czym opasała się linką cumowniczą łódki, wspięła przez reling na najniższy pokład, przywiązała linkę do polera i znowu chwilę odpoczywała.

W mroku spowijającym pokład Lenora nie od razu dostrzegła człowieka, który zbliżył się do niej. Nie zdążyła zareagować, gdy nieznajomy chwycił ją mocno za kołnierz. Zaczęła się wyrwać, nie myśląc nawet o tym, by wyjaśniać swoją obecność na statku. Wyślizgnęła się jak węgorz z kaftana, pozostawiając go w ręku napastnika, i próbowała odskoczyć, ale tamten ucałował ją z tyłu za koszulę tak mocno, że pospiesznie zasupłany węzeł puścił, a na dodatek koszula się rozerwała. Lenora krzyknęła, zasłaniając nagie piersi dłońmi. Mężczyzna zaklął pod nosem, chwycił ją w pasie za spodnie i potrząsnął nią z całych sił.

— Kto cię przysłał, chłopcze? — warknął.

— Ashton! — Lenorę ogarnęła bezmierna ulga, gdy rozpoznała znajomy, niski głos. Nigdy, jak sięgała pamięcią, nie słyszała piękniejszego dźwięku.

— Co jest, u diaska... — Uścisk natychmiast zelżał. — Lierin...?

Ashton nie miał pojęcia, co za cud zrządził, że jego marzenia stały się rzeczywistością. Uszczęśliwiony widokiem Lierin, miał jednak dość rozsądku, by pamiętać, że powinien działać szybko.

— Nie wiem, jak się tu znalazłaś, ale jestem wdzięczny losowi, że mi cię zesłał, najdroższa — szepnął ochrypłym ze wzruszenia głosem. — Chodźmy do mojej kabiny, lada chwila może się tu pojawić wachtowy.

Na myśl, że ktoś może ją ujrzeć w tak niekompletnym stroju, Lierin szepnęła tylko:

— Daj mi mój kaftan... — i obydwójce, już bez dalszej zwłoki, ruszyli po schodach na górny pokład.

Ledwie weszli do kabiny, porwał ją na ręce i zaczął obsypywać gorącymi pocałunkami.

— Nie powinniśmy — broniła się słabo. — Proszę cię, nie teraz.

— Owszem, powinniśmy — szepnął jej w ucho. Wytęskniona, umiłowana, była wreszcie przy nim, mógł ją tulić do siebie, cieszyć się nią, zachwycać. — Bezwzględnie powinniśmy...

Z tymi słowy poniósł Lierin na koję, tę samą, na której przed trzema laty zaznali tyłu uniesień. Nie odrywając od niej oczu, złożył ją na pościeli i wziął w ramiona, ale ona położyła mu dłoń na nagiej piersi, odepchnęła lekko i odwróciła głowę, broniąc się przed pocałunkami, które jeszcze chwila, a i jej zawróciłyby w głowie.

— Jestem tutaj tylko po to, żeby cię ostrzec, Ashtonie — oznajmiła z desperacją. — Malcolm gotów cię zabić, jeśli tylko spróbujesz zejść na brzeg. — Musisz koniecznie odpłynąć.

Ashton uniósł się na łokciu i spojrzął w przepastne, szmaragdowe oczy. Czasami miłość przychodzi i odchodzi jak powiew wiatru, nie zostawiając po sobie śladu. Kiedy indziej nie pokonają jej czas, odległość, przeszkody. W sercu Ashtona pojawiła się trzy lata temu i miała tam pozostać na zawsze, stanowiła istotę jego życia. Pozostawiony w Belle Chante list miał go przekonać, że los postawił na jego drodze Lenorę i że najlepszym dla nich obydwójga wyjściem jest najrychlejszy jej wyjazd. Jakże miał na to przystać, skoro uwiozła ze sobą jego serce?

— Zapomnij o Malcolmie, nie zważaj na to, co ci mówi. Zostań ze mną, Lierin, a zaraz odpłynę. Jeśli będzie trzeba, zabiorę cię na koniec świata.

Łzy zaczęły spływać po jej policzkach.

— Och, Ashtonie, czy nie rozumiesz? To jej pragniesz, nie mnie.

— Pragnę ciebie.

— Nie jestem tą, za którą mnie bierzesz, Ashtonie. Masz przed sobą Lenorę, nie Lierin.

— Twoja pamięć... — zaczął z wahaniem, z lękiem niemal. — Czy wróciła?

— Nie, wiem jednak, że jestem Lenorą. Mój rodzony ojciec powiedział mi to.

— Zważ na to, że twój ojciec szczerze mnie nienawidzi. Ma powody, by nas rozdzielić.

— Nie posunąłby się do tego — próbowała oponować.

Ashton westchnął.

— Skoro nalegasz, będę nazywał cię Lenorą, ale to niczego nie zmienia. Dla mnie nadal pozostaniesz moją żoną... częścią mnie samego.

— Musisz odpłynąć — nalegała. — Musisz opuścić to miejsce i ratować własne życie.

— Popłyniesz ze mną?

— Nie, nie mogę, Ashtonie — odparła cichutko. — Powinnam wracać. Muszę poznać prawdę.

— Zatem i ja zostanę... Będę walczył o ciebie, nie ustąpię, póki rzecz się nie wyjaśni.

— Och... proszę... proszę, Ashtonie — próbowała go przekonać z sercem pełnym trwogi. — Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

— Nie mogę odpłynąć, muszę zostać z tobą.

Pokręciła bezradnie głową.

— Jesteś tak uparty, jak powiadają. Dlaczego nie chcesz się pogodzić z tym, czego człowiek nie może odmienić?

— Nie może odmienić? — Zaśmiał się, odwrócił na plecy, a wzrok wbił w sufit nad koją. — Przez trzy lata szukałem i nie natrafiłem na żadną kobietę, która potrafiłaby zastąpić mi ciebie. Przez trzy lata cierpiałem, tęskniłem, nie znajdowałem ukojenia. Możesz to nazwać obsesją, chorobą. Możesz powiedzieć, że straciłem rozum. Możesz myśleć, że goniłem za marzeniem, które ty jedna jesteś w stanie spełnić. — Odwrócił głowę i spojrzał na nią. — Nie chcę już żyć bez ciebie. Przybyłem tu, by walczyć o ciebie, najdroższa, i nie zamierzam ustąpić. Przytuliwszy się do nagiej pierś Ashtona, Lenora spojrzała na niego pełnym czułości wzrokiem i uśmiechnęła się smutno.

— Mój Boże, los jest dla nas okrutny, obydwójce pragniemy tego, co niemożliwe. Ja muszę wracać, ty nie chcesz odpłynąć. Gdybym tylko mogła cię przekonać, byś wrócił do Belle Chante — Wahala się chwilę, niepewna jeszcze słów, które miała za chwilę wypowiedzieć, wreszcie zdobyła się na odwagę:

— Jeśli teraz ci się oddam, wierząc przez chwilę, że jestem twoją żoną, czy potem odpłyniesz, zanim stanie się coś złego?

Ashton powoli pokręcił głową.

— Nie mogę przystać na taki pakt, najdroższa, mimo że bardzo cię pragnę. Za bardzo cię kocham, by przyjąć taki gest, bo oznaczałby on zgodę na rozstanie. Chcę mieć cię na zawsze, całą. Nie zgodzę się na nic innego, nie przyjmę twojej ofiary.

— Zatem muszę wracać — odparła z ciężkim westchnieniem.

— Nie musisz jeszcze odchodzić, zostań ze mną, kochajmy się.

— Nie, Ashtonie, to byłoby nie w porządku. Teraz należę do Malcolma.

Twarz Ashtona wykrzywił grymas bólu zmieszanego z zazdrością. Walczył ze sobą, był bliski opowiedzenia Lenorze, jak udało mu się odnaleźć dom nad plażą, pomyślał jednak, że oszczędzi jej smutnej wiedzy, którą przy okazji zdobył. W spelunkach Biloxi wszyscy znali pijaka Roberta i rozpustnika Sinclaira, który niejedną noc przepędził z tutejszymi dziewczkami.

— Wcale mi się nie podoba to, że wracasz do niego, najdroższa.

— Muszę — szepnęła, musnęła wargami jego usta, podniosła się z łóżka, włożyła rozerwaną koszulę, kaftan, włosy wsunęła pod czapkę.

— Odwiozę cię — zaproponował Ashton z rezygnacją w głosie. Mając jeszcze w pamięci, ile wysiłku kosztowało ją dopłynięcie do statku, Lenora nie próbowała nawet sprzeczać się z Ashtonem.

— Jak wrócisz?

— Przywiążę naszą szalupę do twojej łódki i wrócę nią na „Czarodziejkę”.

Kiedy wdziewał koszulę, a Lenora przesunęła delikatnie dłonią po jego piersi, zadrżał z długo hamowanego pożądania. Miał ochotę porwać ją w ramiona, wiedział jednak, że ta pieszczota wiodłaby do następnych, coraz bardziej namiętnych, gorętszych.

— Kocham cię — powiedział stłumionym, pełnym napięcia głosem.

— Wiem — odparła. — Ja też cię kocham.

— Gdyby nie to, że znienawidziłabyś mnie serdecznie, zatrzymałbym cię tutaj siłą, ale to ty musisz dokonać wyboru. Wracaj, skoro uważasz, że tak trzeba, ja zaś zostanę w pobliżu, będę czuwał, gotów w każdej chwili, na każdy twój znak przyjść ci z pomocą. — Wsunął jej w dłoń mały pistolet. — Pokazywałem ci, jak się nim posługiwać. Kiedy usłyszysz wystrzał, to

będzie sygnał, że mnie potrzebujesz, a wtedy zjawię się natychmiast. Bądź dziel na, nie pozwól, żeby ci dwaj wyrządzili ci jakąś krzywdę.

Odwiózł ją na brzeg, pocałował na pożegnanie i Lenora ruszyła pospiesznie do domu. Odwróciła się jeszcze na stopniach, patrząc, jak Ashton odpływa, po czym poszła do swojego pokoju. Zamknąwszy drzwi, westchnęła żałośnie, była teraz zupełnie sama.

Z głębokiego snu wyrwało ją stłumione łkanie i bezlitosne promienie porannego słońca. Po powrocie z „Czarodziejki” usnęła natychmiast, śniąc o spotkaniu z Ashtonem. Teraz nie miała ochoty otwierać oczu, wracać do dręczących problemów rzeczywistości, ale raz przerwany sen nie chciał powrócić. Kiedy wreszcie, ocknąwszy się na dobre, uświadomiła sobie, że szloch do chodzi z dołu, od strony wejścia do domu, zerwała się z łóżka, narzuciła szlafrok i wyszła na balkon. Na tarasie parteru do strzegła Megan, która lejąc łzy, wpatrywała się w jakiś punkt na plaży. Lenora powiodła za jej spojrzeniem. Na brzegu stali Robert, Malcolm i jeszcze dwóch ludzi. Pochyleni nad łódką, zaglądali pod płótno, którego nie było tam jeszcze w nocy, gdy Lenora wracała z „Czarodziejki”. Zaintrygowana obecnością mężczyzn przy łódce i zaniepokojona rozpaczą pokojówki zesza pospiesznie na dół.

— Co się stało, Megan? — zapytała, obejmując dziewczynę ra mieniem w geście pocieszenia.

Rozszlochana Megan przez dobrą chwilę nie mogła dobyć głosu. Po jej policzkach spływały nieprzerwanym strumieniem łzy.

— To Mary, psze pani — wykrztusiła wreszcie pośród łkań. — Chłopak miał dzisiaj z samego rana wypłynąć w morze, żeby nałapać ryb na kolację. Poszedł po łódkę i znalazł biedną Mary nagą i nieżywą. Szeryf powiada, że ktoś ją zamordował.

— Zamordowana? — Lenora wpatrywała się w dziewczynę, jak by nie rozumiała znaczenia wypowiedzianych przez nią słów. Mary, słodka, uczynna Mary. Kto mógł ją zamordować? Poczula, że łzy napływają jej do oczu. — Ja wzięłam w nocy łódkę, popłynęłam na „Czarodziejkę”, pan Wingate odwiózł mnie do domu około czwartej nad ranem — wyznała, zwracając się do Megan.

— Och, madame, niech pani pod żadnym pozorem nie mówi o tym szeryfowi. Pan Sinclair nic tylko cały czas powtarza, że Mary musiał zabić ktoś ze statku. Gdyby się dowiedział, że pan Wingate był tutaj dzisiaj w nocy, jak nic oskarżyłby go o zbrodnię.

— Sinclair opowiada wierutne bzdury! Na własne oczy widziałam, jak Ashton odpływał z powrotem na statek w swojej szalupie. Prędzej ja miałabym okazję zamordować biedną Mary niż on.

Megan żałośnie pokiwała głową.

— Ten ktoś ją zgwałcił, psze pani.

— Zgwałcił? — zatrwożyła się Lenora. — Któż mógł to uczynić?

— Ja nic nie wiem, psze pani. Spałam jak zabita, obudziłam się dopiero wtedy, kiedy chłopak wpadł do domu z wielkim krzykiem. Od razu sobie pomyślałam, że coś złego musiało się przy trafić tej biedaczce. A pani? Widziała pani może kogoś na plaży, po tym jak pan Wingate odpłynął?

— Nie, nikogo — odparła Lenora. Nie słyszała też żadnych podejrzanych odgłosów, jedynie chrapanie dochodzące z sypialni ojca. Ledwie się położyła, zapadła w słodki, niosący zapomnienie, niczym nie zakłócony sen. — Co zamierza szeryf?

— Mówi, że najpierw chce przesłuchać wszystkich nas, tutaj w domu, a potem popłynie na statek, żeby rozmówić się z panem Wingate’em i jego marynarzami. Mary i nasz stangret

mieli się bardzo ku sobie, to i Henry najbardziej podpada szeryfowi, chociaż to taki miły chłopiec.

Lenora poczuła, że uginają się pod nią nogi w kolanach. Znowu powrócił przed oczy znajomy acz przerażający obraz człowieka, na którego spada cios pogrzebacza. Tym razem ujrzała też sylwetkę mordercy: w czarnej pelerynie z żelaznym prętem w dłoni. Kiedy majak zniknął, krople zimnego potu wystąpiły jej na czoło. Dopiero po długiej chwili zdołała opanować przejmujący lęk i powrócić myślami do rzeczywistości. Wzięła kilka głębokich oddechów i powiedziała:

— Mordercą może być ktoś z zewnątrz, Megan. Jeśli Mary pracowała w Biloxi, zanim zaczęła służbę u nas, być może przy szedł tu za nią ktoś z miasteczka.

Dziewczyna otarła mokre od łez policzki.

— Mary знаła niewielu ludzi z naszej okolicy. Nawet jeśli mieszkała w Biloxi, nim pan Sinclair ją najał, to niedługo. Nie wiem na pewno, ale coś mi się widzi, że pochodziła albo z samego Natchez albo z któregoś miasteczka w pobliżu.

— Z Natchez? — Lenora gwałtownie uniosła głowę. — Tam mieszka pan Wingate. Być może znał ją.

— Szeryf o wszystko go wypyta. Nic, tylko trzeba czekać, czego się dowie. — Megan wskazała na zbliżających się mężczyzn. — O, Widzi pani, już wracają, zaraz zaczną rozpytywać domowników.

Przypomniawszy sobie, że stoi na stopniach domu w porannym dezabilu, Lenora ściągnęła dłonią kołnierz szlafroka.

— Powinam się ogarnąć.

— Zaraz przyniosę pani ciepłej wody do mycia — powiedziała Megan z ciężkim westchnieniem. — Muszę się czymś zająć. Jak się wezmę do roboty, może przestanę wreszcie myśleć o biednej Mary.

Pół godziny później Lenora była gotowa: w błękitnej sukni, z włosami zebranymi w prosty węzeł na karku oczekiwała, że lada moment pojawi się Malcolm, by zawiadomić ją o śmierci dziewczyny. Nie zdziwiła się przeto, słysząc lekkie pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Sinclair, przemierzył odległość dzielącą go od Lenory i, zapatrzony w jej piękną twarz, stanął obok toaletki, przy której siedziała, z pozoru spokojna, zimna i wyniosła niby Królowa Śniegu, jak coraz częściej nazywał ją w myślach. Bywały momenty, kiedy miał wielką ochotę skruszyć tę lodową skorupę i wziąć Lenorę siłą, ale, niepewny jej reakcji, mówił sobie, że roztropniej będzie, jeśli powściągnie żądze. Już wkrótce, przy odrobinie cierpliwości, miał nadzieję zebrać owoce swej wstrzemięźliwej rozwagi.

— Megan powiedziała ci już zapewne o Mary? — bardziej stwierdził, niż zapytał, czekając na potwierdzające skinienie głowy. — Dla nas wszystkich był to ogromny wstrząs. Najpierw przeżyliśmy twoje porwanie, teraz spadła na nas ta tragiczna śmierć. Nie przypuszczam, by między tymi wydarzeniami istniał jakiś związek, ale dla twojego bezpieczeństwa byłoby najlepiej, gdybyś nie wychodziła nigdzie sama. Szczególnie teraz, gdy w pobliżu domu kotwicz parowiec Wingate'a.

— Malcolmie... — Lenora zacisnęła dłonie na krawędzi toaletki, gotowa wyznać prawdę. — Wiem, że będziesz zły na mnie, ale byłam w nocy na „Czarodziejce”...

— Co? — huknął Malcolm tak wściekłym głosem, że wystraszona Megan wypuściła szczotkę z ręki. — Wybrałaś się tam, nic mi nie mówiąc? Popłynęłaś do tego łajdaka, który zamordował twoją siostrę? Oddałaś się człowiekowi, który być może zabił Mary?

Lenora poderwała się z taboretu, w jej oczach zapaliły się gniewne, zielone błyski. Nie chcąc robić sceny w obecności pokojówki, skinęła w jej stronę głową, by wyszła z pokoju. — Zostaw nas samych, Megan. Chcę porozmawiać w cztery oczy z... — zawahała się, jakby wymówienie tego słowa przychodziło jej z najwyższym trudem — ... z moim mężem.

Megan, lękając się o swoją panią, zwlekała chwilę, dopóki Lenora nie dała jej znaku dłonią, wtedy wyszła z sypialni i chociaż nie należała do wścibskich, stanęła w pobliżu drzwi, na wypadek gdyby jej interwencja miała się okazać konieczna. Nigdy nie była mężatką, wiedziała jednak z doświadczenia, że mężowie potrafią być okrutnie zazdrośni, szczególnie gdy żona jest piękną, jak Lenora, kobietą. Krótko mówiąc, pełna złych przeczuć gotowa była bronić madame.

— Jak śmiesz mówić podobne rzeczy w obecności służby! — wybuchła Lenora, ledwie drzwi się zamknęły. — Wiedz, mój drogi, że nie oddałam się Ashtonowi. Popłynęłam do niego, bo chciałam go namówić, żeby wracał do Nowego Orleanu. — Zaczęła krążyć nerwowo po pokoju, dając upust wzbierającej irytacji. — Od kiedy zamieszkałam w tym domu, słyszę najgorsze rzeczy na jego temat, mimo że ani ty ani mój ojciec nie macie pojęcia, jakim naprawdę jest człowiekiem.

— No tak, ty za to znasz go wybornie — odparował równie rozjątrzony Malcolm. Nie miał pojęcia, co pociągało Lenorę w tamtym, ale ki e d y ś kochała przecież j e g o, Sinclaira, inaczej przecież nie wyszłaby za niego za mąż. — Masz do nas pretensje, bo cały czas o nim myślisz. Powiedz, że tak nie jest!

Lenora wiedziała, że nie wolno jej przyznać się, jak bardzo kocha Ashtona, potwierdziłaby tylko w ten sposób oskarżenia rzucane przez Malcolma. — Poznałam go dobrze, kiedy dał mi schronienie w Belle Chante i wzbudził we mnie szacunek...

Malcolm uderzył pięścią w blat toaletki.

— Nie mów mi tutaj o szacunku! — ryknął. — Wiem, że to coś więcej!

— Nie wkładaj mi, z łaski swojej, w usta słów, których nie wypowiedziałam i nie zamierzałam wypowiedzieć — odparła Lenora, dumnie podnosząc głowę. — Od chwili wypadku moja pa mięć jest niczym zamknięta, mroczna skrytka, nie jestem w stanie jej otworzyć. Nie mam żadnych wspomnień, które wiązałyby się z tobą, Ashton zaś okazał mi wiele dobroci. Mieszkając w Belle Chante naprawdę wierzyłam, że jestem jego żoną. Wydawało mi się to takie oczywiste i naturalne...

— Ale myśl o tym, że to ja jestem twoim mężem, już nie wydaje ci się taka naturalna — rzucił oskarżycielskim tonem. — To chcesz powiedzieć, prawda, moja droga?

— Wyciągasz z moich słów własne wnioski, zanim zdążę do końca zdania — obruszyła się Lenora. Nie to zamierzałam powiedzieć.

— Wcześniej już to powiedziałaś. Może nie dosłownie, ale sens był właśnie taki.

Lenora zamknęła oczy i potarła skronie. Kłótnia z Malcolmem przyprawiła ją o ból głowy, przed oczami znowu zaczęły pojawiać się mroczne widziadła: oto Ashton oparty o reling swojego parowca, jakieś dłonie, które wyciągają się w jej stronę i chwytają za włosy. Pochylone nad nią roześmiane twarze, grube palce rozrywające na niej ubranie. Czowała niemal przedsmak gwałtu, słyszała rozdzierający krzyk. Wtem ujrzała Malcolma: odpycha cisnących się wokół niej mężczyzn, podnosi ją, bierze na ręce...

Spojrzała na niego, marszcząc czoło. Nie potrafiła powiedzieć, czy to, co przed chwilą widziała, było wytworem jej wyobraźni, czy wspomnieniem realnych wydarzeń. Nigdy nie napomknęła, że uratował ją z rąk bandytów.

— Posłuchaj mnie uważnie, Lenoro. Pamiętasz mnie czy nie, jestem twoim mężem i nie zamierzam tolerować takiego zachowania jak ostatniej nocy. Nie życzę sobie, żebyś widywała tego człowieka, wymykając się w dodatku ukradkiem z domu w środku nocy.

— Co miałam zrobić, słysząc, jak się odgrażasz, że go zabijesz? — Zawołała z desperacją. — Siedzieć w swoim pokoju i czekać, aż zrealizujesz swoje pogroźki? O nie, przenigdy!

— Mów o ton ciszej, z łaski swojej — fuknął Malcolm. — Szeryf jest jeszcze w domu. Nie chciałybyś chyba, żeby usłyszał twoje krzyki.

— Świetnie, niech usłyszy! — Lenora nie panowała już nad sobą. — Być może, kiedy się dowie, że groziłeś Ashtonowi śmiercią, da mu ochronę.

— Ciszej, kobieto. Później o tym porozmawiamy. — Malcolm ciął powietrze dłonią na znak, że nie zamierza dłużej prowadzić tej dyskusji.

Na dźwięk zbliżających się kroków Megan szybko odskoczyła od drzwi. Po raz pierwszy tego dnia na jej twarzy pojawił się uśmiech. Dotąd bała się, że Lenora nie da sobie rady z porywczym niekiedy Sinclairem, teraz mogła wreszcie odetchnąć z ulgą, pełna podziwu dla temperamentu i stanowczości swojej pani.

Po burzliwej rozmowie z Malcolmem przesłuchanie przez szeryfa wydało się Lenorze spacerem po wiosennym parku. Urzędnik był uprzejmy, acz bez przesady. Przedstawił się jako James Coty, po czym zapytał, co łączy Lenorę z właścicielem „Czarodziejki” i czy sądzi, że któryś z marynarzy byłby zdolny do popełnienia zbrodni.

— Pan Sinclair na pewno powiedział już panu, że straciłam pamięć. — Kiedy szeryf skinął głową potakująco, mówiła dalej: — Ashton Wingate był przekonany, że odnalazł Lierin, moją bliźniaczą siostrę, którą poślubił trzy lata temu. Przez pewien czas i ja wierzyłam, że jestem jego żoną. Jeśli chodzi o marynarzy z „Czarodziejki”, odbyłam z nimi rejs, traktowali mnie wtedy z najwyższym szacunkiem, nie wierzę, by któryś z nich był zdolny do popełnienia zbrodni. Nawet gdyby, to miał niewiele czasu, bo w nocy zabrałam łódkę, popłynęłam nią na statek i wróciłam dopiero o czwartej nad ranem. — Na zdziwione spojrzenie szeryfa odpowiedziała wzrokiem, w którym nie było wstydu ani zmieszania. — Zdecydowałam się na tę nocną wycieczkę w nadziei, że namówię pana Wingate’a, by wrócił do Nowego Orleanu, zanim dojdzie do starcia między nim a moim mężem. Jeśli moje słowo panu nie wystarczy, proszę zapytać marynarza, który trzymał wachtę na pokładzie „Czarodziejki”. Być może widział, jak ktoś opuszcza statek po naszym odpłynięciu.

— Powiada pani, że wróciła do domu około czwartej nad ranem? — zapytał, pocierając w zamyśleniu brodę. Zastanawiam się, o której popełniono zbrodnię. Wszystko wskazuje na to, że morderca najpierw zabił Mary, dopiero później przeniósł ją do łodzi.

— Może mi pan powiedzieć, w jaki sposób Mary zginęła? — Lenora zadała to pytanie po chwili wahania, przełamując wewnętrzne opory.

— Została uduszona — odparł szeryf krótko. — Morderca dusił ją z taką siłą, że skrzył jej kark.

Lenora osunęła się na najbliższy fotel, drżąc na całym ciele, czuła, że za chwilę może zemdleć. Jak przez mgłę słyszała zapewnienia szeryfa, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie zbrodniarza. Kiedy wyszedł, wróciła co siłą do swojej sypialni i resztę dnia spędziła w łóżku.

Mały cmentarzyk nawet w promieniach letniego słońca wy dawał się szary i opuszczony. Ubrana w czerń Lenora, z pobladła twarzą i sińcami pod oczami miała wrażenie, że wygląda równie żałośnie jak całe otoczenie. Chroniąc się przed żarem, czekała razem z ojcem w powozie na przybycie duchownego, a kiedy ten się pojawił wsparta na ramieniu Somertona,

ruszyła w stronę grobu, gdzie czekał już Malcolm i spore grono żałobników, wśród których poza szeryfem i jego zastępcą nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Większość przyszła zapewne na pogrzeb wiedziona zwykłą ciekawością. Prawda, była jeszcze Megan i stangret Henry. Dziewczyna tak bardzo rozpacziała, że Lenora spojrzała z niepokojem w jej stronę i w tej samej chwili drgnęła na widok stojącego zaraz za jej plecami korpulentnego człowieczka.

— Pan Titch! — szepnęła niemal bezgłośnie, zwracając jednak uwagę Malcolma.

— Mówiłaś coś, moja droga? — zapytał, nachyliwszy głowę.

Lenora wskazała głową na małego grubasa.

— Zaskoczył mnie widok tego człowieka, to wszystko — odparła cicho.

— Ach, to pan Titch.

— Znasz go? — zdziwiła się. Nie pamiętała, by opowiadała Malcolmowi o tym nadętym błaźnie ani o kłopotach, których przyczynił.

— W Biloxi, jak w Natchez, plotki rozchodzą się lotem błyskawicy, madame. Słyszałem o tym człowieku. Jeśli Horacy odwiedził bodaj jedną gospodę z wielu, do których lubi zaglądać twój ojciec, to jestem pewien, że wie o nas równie dużo, co reszta ludzi z okolicy. Jesteśmy na ustach wszystkich, zwłaszcza teraz, kiedy ten fanfaron Wingate zakotwiczył swój parostatek na wprost naszego domu... — Przerwał, spoglądając z ponurą miną gdzieś ponad głową Lenory. — No proszę, o wilku mowa...

Lenora powiodła za wzrokiem Malcolma, ciekawa, czyj widok wprawił go w taki zły nastrój. Serce zabiło jej mocniej, duszę ogarnęła radość, poczuła się silniejsza. Ashton!

Z nieznacznym uśmiechem lekko uchylił kapelusza, w jego oczach pojawił się błysk serdecznego porozumienia, niewypowiedziane słowa miłości.

Teraz, kiedy Lenora i Malcolm już go zauważyli, przesunął się do przodu i stanął w pobliżu grobu, skąd mógł lepiej widzieć Lierin... czy też, jak sama teraz o sobie mówiła, Lenorę. On sam nie chciał jej tak nazywać, gdyż oznaczałoby to, że godzi się z sytuacją, na którą nie mógł przystać, wierzył całym sercem, że tajemnica tożsamości jego ukochanej wkrótce się wyjaśni i że będzie mógł odzyskać żonę. Dla niego pozostawała cały czas najdroższą Lierin. Gdyby jednak okazało się, że popełnił błąd, wiedział, że wycofa się z godnością, acz nigdy nie przestanie kochać tej kobiety, tym bardziej teraz, gdy wspomnienia z przeszłości wzbogaciły się o chwile spędzone razem w Belle Chante

Lenora obserwowała go niepostrzeżenie: ogorzała od słońca twarz, zawsze te same, ocienione długimi rzęsami brązowe oczy, smukła sylwetka, stalowoszary surdut, wąskie sztuczkowe spodnie, czarny błyszczący cylinder, śnieżnobiała koszula...

Grupka żałobników wysłuchiwała krótkiej modlitwy kapłana. Po chwili rozległo się głucho uderzenie pierwszych grudek ziemi o wieko trumny.

— Z prochu powstałaś...

Lenora otarła łzy spływające po policzkach. Megan, sama zapłakana, słysząc szloch stangreta, usiłowała go pocieszać i uspokajać. Robert Somerton dobył z kieszeni płaską flaszeczkę i po ciągnął solidny haust trunku. Malcolm nie widział tego wszystkiego, gdyż wpatrywał się uparcie w Ashtona, dopóki ten nie zmienił miejsca, stając za plecami Sinclairów, obok Horacego.

— Dzień dobry, panie Titch — pozdrowił grubasa lekkim skinieniem głowy, po czym zerknął na zaciągnięte chmurami niebo i zagadnął od niechcienia. — Jeszcze przed chwilą świeciło słońce, pogoda zmieniła się tak gwałtownie, jakby dostosowała się do tej smutnej ceremonii.

— Zapewne — mruknął Horacy, spoglądając na Wingate'a spode łba. — Dla mnie za gorąco. Mógłby wreszcie spaść deszcz, przydałoby się ochłodzenie.

— Nie wiadomo, albo się ochłodzi, albo w powietrzu będzie jeszcze większa wilgoć — odparł Ashton uprzejmie. Obserwując strużki potu spływające po pulchnym obliczu Titcha, zastanawiał się, czy Horacy poci się tak z racji upału, czy też są inne ku temu powody. — Bardzo się zdziwiłem, widząc cię tutaj, Titch. Czyżbyś przyjechał w odwiedziny do krewnych?

— Tak... — Horacy przygryzł wargę, zły, że niepotrzebnie skłamał i że to nierozważne kłamstwo, dotarłszy do szeryfa, uruchomił lawinę kłopotliwych pytań. Strzepnął pyłek z rękawa, usiłując wzorem Ashtona przybrać nonszalancką pozę, ale jak zwykle skończyło się to na żalonych wysiłkach. — Prawdę rzekłszy, to Marelda miała ochotę przyjechać do Biloxi... zobaczyć ocean... i w ogóle... — bąkał nieporadnie. Ashton wspomniał kiedyś Mareldzie, że Lierin posiada dom w Biloxi. Znał dobrze wścibską pannę i wiedział, że jej wizyta w nadmorskiej miejscowości nie może być dziełem przypadku. Marelda potrafiła niekiedy działać niezwykle zdecydowanie, za pewne tym razem też coś knuła.

— Znałeś może tę dziewczynę, którą zamordowano? — zapytał Ashton, przyglądając się bacznie Horacemu.

Horacy zrobił nadętą minę.

— Przejąłeś obowiązki szeryfa, żeby mnie wypytywać, Ashtonie?

— Ależ skąd. — Ashton dostrzegł w oczach Titcha ledwie tłumiony gniew. — Szeryf Coty pokazał mi ciało dziewczyny. Po wiedziałem mu, że jej twarz wydaje mi się znajoma, ale wtedy nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją widziałem. Dopiero, kiedy dostrzegłem cię dzisiaj na pogrzebie, coś zaczęło świtać mi w głowie. — Widział, jak Horacemu zadrgała nerwowo powieka, jak otarł pulchną dłońią pot z czoła. — Mary przez pewien czas służyła u twojej siostry, czy nie tak?

Horacy przymknął powieki, przeklinając się w duchu, że też coś go podkusiło przyjechać do Biloxi. Tyle czasu minęło od tamtej pory. Przypuszczał, ba, był niemal pewien, że nikt nie będzie pamiętał takiej drobnostki. Zebrałszy się w sobie, butnie spojrzął na Ashtona.

— A nawet gdyby służyła? Cóż z tego? Chyba nie masz zamiaru oskarżyć mnie z tego powodu o morderstwo?

— Niepotrzebnie się unosisz, mój dobry Horacy. Anim o tym pomyślał. Być może nie dotarła do ciebie wiadomość, że dziewczyna została zgwałcona. W głowie by mi nie powstało, żeś zdolny do czegoś takiego.

Uwaga Ashtona ubodła Titcha do żywego.

— Czyżbyś sugerował, że nie jestem mężczyzną? — prawie zapał piskliwym głosikiem. — Powinieneś wiedzieć, że...

Tu Titch uświadomił sobie, że żalobnicy zaczynają ciekawie popatrywać w jego stronę, i zamknął usta. Pod ostrzałem spojrzeń wyciągnął szyję, wspiał się na palce, po czym opadł na pięty, niczym kogut, który za chwilę zapieje... albo rzuci się na przeciwnika. Znalazł się w trudnej sytuacji: gdyby zaczął przekonywać Ashtona o swoim temperamencie, wzbudziłby podejrzenia szeryfa. Tak źle i tak niedobrze. Nie mógł przecież po wiedzieć pokpiwającemu zeń Wingate'owi, że Corissa zwolniła Mary po tym, jak zaciągnął dziewczynę do drewnitni. Do tej pory pamiętał awanturę, którą zrobiła mu wówczas siostra, krzycząc, że powinien odnosić się do służących i niewolnic bodaj z odrobiną szacunku. Nie rozumiał jej pretensji. W końcu nie on jeden tak traktował poddane jego władzy kobiety, większość plantatorów

czyniła podobnie, dlaczego więc miał postępować inaczej niż inni mężczyźni? Tym bardziej że stawiał sobie za punkt honoru, by otoczenie widziało w nim mężczyznę, co się zowie. Marelda go lekceważyła, pozostawały, więc młode, niedoświadczone służące, za którymi mógł się uganiać. A Mary była bardzo młoda... i bardzo niedoświadczona.

— Przepraszam, jeśli cię uraziłem, Horacy — powiedział Ashton z ironicznym uśmiechem.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie uraziłeś. — Grubas za machał gwałtownie rękoma. — Ciągłe mnie niepokoisz, jak nie ty, to któryś z twoich przyjaciół. Weźmy ostatnio: przychodzi do mnie Harvey Dobbs i pyta, czy nie wiem czegoś o pożarze w twoim magazynie.

Ashton zachował kamienny wyraz twarzy.

— Sam chciałem cię o to zapytać, ale ostatnio ciągle brakowało mi czasu i nie mogłem zająć się sprawą, jak na to zasługiwała.

— Owszem, widzę, czym jesteś taki zajęty — prychnął Horacy, wskazując brodą Lenorę. — Mnie to niewiele obchodzi, ale któregoś dnia ktoś w końcu skręci ci kark, jak się będziesz uganiał za cudzą żoną. A może ciągle wmawiasz wszystkim, naokoło, że to twoja cudem odnaleziona Lierin? — Horacy wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu, widząc, że jego sarkastyczna uwaga wywołała pożądaną efekt. Nie przypuszczał, że jest w stanie ugodzić zawsze opanowanego Ashtona, a o to, proszę, okazało się, że trafił w czuły punkt.

Twarz Wingate'a stężała, zacisnął szczęki. Miał szczerą ochotę chwycić małego grubasa za kołnierz i mocno nim potrząsnąć, aż ten zacząłby kwiczeć niby zarzynane prosię. Opanował się jednak i odparł sucho:

— Poczekamy... zobaczymy, mój Horacy, jak się rzecz cała skończy, tak dla mnie, jak i dla ciebie.

Z tymi słowy Ashton odwrócił się na pięcie i ruszył za resztą żałobników, którzy zaczęli powoli wychodzić z cmentarza. Koło grobu stał jeszcze Malcolm, rozmawiał z szeryfem, próbując najpewniej przekonać stróża sprawiedliwości, by podjął jakieś zdecydowane działanie przeciwko intruzowi z „Czarodziejki”. Ash ton uśmiechnął się lekko na ten widok. Sinclair zrobiłby lepiej, gdyby zatroszczył się o własne alibi na feralną noc. O niewinności Ashtona mogła zaświadczyć Lierin, która była z nim do czwartej nad ranem, oraz wachtowy, który widział, jak właściciel „Czarodziejki” wraca na statek, by go już później nie opuścić.

Pograżony w myślach Ashton zbliżył się do powozu, skinął na stangreta. Hickory, zgodnie z instrukcjami wydanymi przez pana, przyjechał do Biloxi małym, zaprzężonym w dwa konie landem, przyprowadził też ulubionego wierzchowca Ashtona, znalazł miejsce w zajeździe, stajnię i cierpliwie czekał na kolejne posunięcia w grze. Tak, posunięcie w grze, gdyż pan Wingate po równał kiedyś mimochodem swoje działania do partii szachów, w której chodzi o to, by zdobyć królową. Hickory występował jako goniec, w czasie starcia Ashtona z przeciwnikiem miał osłaniać najważniejszą w rozgrywce figurę. Dzisiaj rano, na znak dany z „Czarodziejki”, stawiał się na nabrzeżu, skąd zabrał swojego pana na cmentarz.

— Panienska strasznie czegoś mizerna — powiedział, gdy Ashton stanął obok kozła.

— Też to zauważyłem — odparł Ashton, patrząc, jak Lenora wsparta na ramieniu ojca idzie z trudem do powozu i zatrzymuje się, co chwila wyraźnie osłabiona.

— Myśli pan, że pan Sinclair jej nie ukrzywdzi, massa?

— Nie ukrzywdzi, jeśli mu życie miłe — mruknął Ashton.

— Muszę odpocząć — szepnęła słabo Lenora do Somertona, czując, że ogarnia ją fala nudności. — Złe się czuję.

W przypląwie troski, o jaką go nawet nie podejrzewała, Robert poklepał ją czule po dłoni, a w jego przekrwionych od alkoholu, łzawych oczach pojawiła się iskierka współczucia.

— Poczekaj, zaraz sprowadzę ci Megan, już ona coś zaradzi — rzucił na odchodnym i odszedł, rozglądając się za pokojówką.

Lenora tymczasem oparła głowę o drzwiczki powozu i zamknęła oczy. Pragnęła tylko jednego, by jak najszybciej znaleźć się w domu.

— Mogę ci w czymś pomóc?

Na dźwięk znajomego, niskiego głosu otworzyła ocienione długimi rzęsami oczy. Obok niej stał Ashton, jak zawsze czujny, gotów służyć wsparciem. Na jego szlachetnej, jakby rzeźbionej twarzy, malował się wyraz zatroskania, oczy spoglądały z czułością.

— Niedobrze ci?

Lenora w tej samej chwili dojrzała zbliżającego się Malcolma.

— Odejdź, proszę — szepnęła niespokojnie. — Sinclair tu idzie.

Puściwszy mimo uszu ostrzeżenie, nie zważając na zaciekawione spojrzenia żalobników, Ashton otworzył drzwiczki powozu, przytrzymał je ramieniem, wziął Lenorę na ręce i posadził wewnątrz pojazdu.

— A to co ma znaczyć? — natarł nań Malcolm, stając obok w wojowniczej pozie i szarpiąc Ashtona gwałtownie za rękaw.

— Wybacz, Malcolmie, madame zasłała, a ciebie jakoś nie było w pobliżu — odparł Ashton z sardonicznym uśmiechem.

Malcolm poczerwieniał ze złości, oczy mu się zwęziły niczym u drapieznika, który dojrzał zdobycz, tyle, że nie była to zdobycz łatwa. Sinclair dobrze wiedział, że nie zastraszy przeciwnika groźnymi pohukiwaniami i że zamiast myśliwym, sam może stać się ofiarą.

Ashton, ani trochę nie zbity z tropu, cofnął się o krok, uchylił kapelusza przed Lenorą.

— Żegnam, madame, i ufam, że wkrótce poczujesz się lepiej.

— Dziękuję, Ashtonie — odparła słabo, zerkając przy tym z nie pokojem na zaciętą, pełną nienawiści twarz Malcolma.

Lenora zbiegła po schodach w takim pośpiechu, że rozwiane poły szlafroka furkotały niczym skrzydła jakiegoś ogromnego, dziwnego ptaka. Miała właśnie przystąpić do porannej toalety, gdy usłyszała wściekły wrzask Malcolma, który niósł się echem po całym domu. Domyślała, że to Ashton musiał wprawić Sinclaira w tak dziką furję i chciała wiedzieć, o co tym razem poszło.

Już na dole, przez szeroko otwarte drzwi frontowe dojrzała Malcolma, jak stoi na stopniach portyku z gotową do strzału dwururką w dłoniach. Jego nagie ramiona okrywał ręcznik, mu siał widać akurat się golić, bo na jednym policzku miał jeszcze ślady mydła. Z rozwianym włosom, bosy, wpatrywał się tak intensywnie w jakiś punkt poza zasięgiem wzroku Lenory, że nie zauważył jej obecności. Pełna niepokoju uczyniła kilka kroków ku drzwiom, gdy Malcolm z głośnym przekleństwem zbiegł na podjazd.

Pewna, że będzie strzelał, wybiegła przed dom. Do zatoczki wpłynęły właśnie dwie szalupy z „Czarodziejki”, z których zeszło na ląd kilku marynarzy pod przewodem Ashtona. To na ich spotkanie rzucił się Malcolm z bronią gotową do strzału. Na widok szaleńca marynarze się rozpięchli, tylko Ashton stał nieporuszony, jakby czekał, czy Sinclair odważy się wypalić do niego ze swojej strzelby. Lenora krzyknęła, Ashton uskoczył, w tej samej chwili rozległ się

ogłuszający huk wystrzału, pocisk zarył w piasek obok miejsca, w którym jeszcze przed sekundą stał Ashton.

Malcolm raz jeszcze wypalił, sytuacja się powtórzyła. Ogarnięty morderczą pasją nie zauważył biegnącej ku niemu Lenory. Zanim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, podbiła lufę dwururki w górę, ponownie rozległ się huk, tym razem strzał poszedł wysoko w powietrze. Rozwścieczony Malcolm odepchnął Lenorę z taką siłą, że upadła na piasek, a pod jej powiekami znowu mignął obraz złoczyńcy w Czarnej pelerynie, z pogrzebaczem wzniesionym do ciosu.

— Ty suko! — ryknął Malcolm, odrzucając strzelbę i nachylając się nad leżącą. — Nauczę cię rozumu!

Chwycił ją za ramię, szarpnął mocno, postawił na nogi i już się odwinął, by wymierzyć policzek, gdy natarł na niego Ashton. Malcolm odwrócił się, gotów odeprzeć przeciwnika, ale było za późno, powalony potężnym ciosem, runął jak długi na piasek. Ashton chwycił końce ręcznika zwisające ciągle z szyi Malcolma, podciągnął do góry, a kiedy Sinclair stał znowu, co prawda chwiejnie, zdzielił go w szczękę i poprawił w brzuch, waląc ni czym w worek i napotyając niemrawy tylko opór.

Wreszcie skrzyżował ręcznik na szyi Malcolma, ścisnął i skręcił końce.

— Spróbuj dotknąć jej raz jeszcze, a zabiję — warknął dziko, potrząsając Malcolmem. — Rozumiesz?

Malcolmowi oczy wyszły na wierzch, z trudem łapał powie trze, wpił palce z zaciskający się na szyi materiał. Ashton potrząsnął nim raz jeszcze, czekając odpowiedzi, a kiedy usłyszał ochryple, spolegliwe mruknięcie, odepchnął go ze wzdrganiem, tak że Malcolm ponownie wyłożył się na piasku. Po chwili, z trudem łapiąc powietrze, podniósł się niezgrabnie na łokciu i począł ostrożnie rozcierać obolałe gardło.

— Weź sobie do serca moje słowa — rzucił Ashton na koniec, po czym podszedł do Lenory.

— Czy teraz zgodzisz się wyjechać stąd razem ze mną? — Szepnął, spoglądając w jej przepełnione wdzięcznością oczy. Lenora niespokojnie zerknęła w stronę Malcolma, a kiedy upewniła się, że nie słyszał propozycji Ashtona, pokręciła głową.

— Nie, Ashtonie. Muszę tu zostać, chcę poznać prawdę, dopiero wtedy postanowię, co robić.

Tymczasem do leżącego Malcolma podszedł Robert i pomógł wstać zięciowi.

— Dlaczego wtargnąłeś na nasz teren? — zwrócił się hardo do Ashtona.

Na twarzy Wingate'a pojawił się uśmiech, jakby pytanie Somertona serdecznie go ubawiło. Wzruszył od niechcienia ramionami.

— Wydaje mi się, że jednak nie wtargnąłem. Skoro obydwaj twierdzicie z uporem, że Lierin nie żyje, ta rezydencja, która przeszła na siostry jako spadek po matce, w części należy do mnie. Poślubiłem Lierin i w obliczu prawa jestem jej spadkobiercą. Jeśli chcecie, możecie zatrzymać sobie dom, ja wezmę otaczającą go ziemię. To chyba sprawiedliwy podział?

— Prędzej zobaczę cię w piekle, Wingate! — Zaskrzeczał Malcolm.

Ashton posłał mu wyrozumiały uśmiech.

— Skoro tak ci pilno tam się dostać, chętnie ci pomogę. Myślę, że pojedynek powinien ostatecznie przesądzić sprawę.

— Nie! — załkała rozpaczliwie Lenora, chwytając Ashtona za ramię.

Malcolm uśmiechnął się kwaśno.

— Moja pani bardzo się troszczy o moje bezpieczeństwo.

— Widać wie, żeś taki sam niedojda z bronią jak w walce wręcz.

Malcolm szarpnął się gwałtownie na tę zniewagę.

— Ja ci pokażę!

— Co mi pokażesz? — W oczach Ashtona zapaliły się wesole ogniki. — Jak strzelać z pistoletu na odległość dwudziestu kroków?

Malcolm nie odpowiadał. Pamiętał, co mówiono o Ashtonie w Natchez: miał do czynienia z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, świetnym myśliwym i wyborowym strzelcem.

— No, mówże — ponaglił Ashton szyderczym tonem. — Co takiego zamierzasz mi pokazać?

— Później się z tobą rozmówię — warknął Malcolm, czując, że przewaga jest po stronie tamtego. — Nie chcę niepotrzebnie denerwować Lenory — dodał, rad, że znalazł wygodną wymówkę.

Ashton spoglądał na Malcolma z pogardą, myśląc jednocześnie, że chętnie przelałby nieco jego krwi i dał w ten sposób Ujście swemu gniewowi.

— Zgadzasz się zatem, żebym wziął sobie ziemię, czy dobrze rozumiem?

— Nie!... To jest... — Malcolm znał prawo i wiedział, że stoi na przegranej pozycji. — Powiedziałem, że później się z tobą rozmówię.

— Przykro mi, ale musimy omówić sprawę teraz — naciskał Ashton. — Albo biorę ziemię, albo wyprowadzasz się z domu. Czyżbyś zamierzał kwestionować moje prawa do spadku?

Malcolm otworzył usta, by dalej się kłócić, ale po chwili je zamknął z braku sensownych argumentów. — Musimy zachować drogę, żeby móc swobodnie wjeżdżać i wyjeżdżać z domu, chyba, że chcesz uczynić z nas swoich więźniów.

— Owszem, dam wam skrawek ziemi. Moi ludzie oznaczają palikami teren, który do mnie należy, i ostrzegam, pod żadnym pozorem nie próbuj naruszać mojej własności. Madame ma oczywiście pełne prawo poruszać się swobodnie po mojej części... ale tylko ona, nikt więcej.

— A jej ojciec? — zainteresował się Malcolm. — Jemu nie dasz tego samego prawa?

— Z ojcem madame nie łączą mnie żadne więzi, nie mam wobec niego zobowiązań. Po śmierci żony zrzekł się wszelkich praw do majątku na korzyść córek. Ja przejmuję część Lierin. Jeśli będzie chciał się poruszać po tej części włości, musi prosić mnie o zgodę.

— Nie darmo ludzie powiadają, że jesteś trudnym w obejściu i nieprzystępnym człowiekiem — zauważył z przekąsem Malcolm.

— Robię to, co muszę robić.

— Przebiegły wąż — prychnął Malcolm.

Na Ashtonie ten epitet nie zrobił specjalnego wrażenia.

— Gorzej mnie już nazywali.

— I ja miałbym ochotę, jeno się hamuję przez wzgląd na obecność damy.

Za całą odpowiedź Ashton wzruszył tylko ramionami i zwrócił się do Lenory:

— Będę blisko, w razie gdybyś mnie potrzebowała — powie dział, odgarniając czułym gestem kosmyk włosów z jej policzka, po czym odszedł w kierunku swoich ludzi.

— Wyładujcie wszystko z szalup, czeka nas długi dzień pracy — zawołał do marynarzy.

Malcolm patrzył za nim pełnym nienawiści wzrokiem, w końcu zerknął na Lenorę, która, nie chcąc dłużej narażać się na jego humory, odwróciła się i ruszyła pospiesznie do domu. Serce przepęniała jej bezbrzeżna radość. Miała ochotę tańczyć i skakać, ale wiedziała, że takim zachowaniem jeszcze bardziej rozwścieczyłaby Malcolma. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi sypialni, dała upust swym uczuciom.

12

Marynarze z „Czarodziejki” zabrali się do karczowania krzewów w pobliżu zatoczki. Wbili w ziemię pale, na których umieścili dużą platformę, na niej zaś rozpięli okazały namiot z płótna, godny szejka i jego haremu. Skojarzenie w pełni usprawiedliwione, gdyż namiot należał kiedyś do człowieka, który handlował z Beduinami. Ów kupiec, znalazłszy się w potrzebie, zaznał wiele dobrego od Ashtona i chcąc się odwdzińczyć za okazaną pomoc, podarował mu piękny arabski namiot. Ashton chował prezent przez lata, nie bardzo wiedząc, jaki mógłby uczynić z niego użytek. Teraz kłopotliwy podarunek ze swoim drażniącym oczy przepychem znalazł doskonale zastosowanie.

Malcolm przyglądał się postępowi robót ze stopni wejściowych domu, popijając mocną whisky. Gdy przyłączyli się do niego Lenora i Somerton, posłał im ostrzegawcze spojrzenie, z którego wywnioskowali, że winni powstrzymać się od jakichkolwiek komentarzy, jeśli nie chcą wywołać kolejnego wybuchu wściekłości.

Po kilku godzinach teren koło zatoczki był prawie zagospodarowany. Zmieniła się ekipa robotników, ze statku i z miasta nieprzerwanie napływały kolejne elementy wyposażenia: były tam wschodnie kobierce, piękne meble, ogromne tremo, rzeczy osobiste Ashtona, nawet wanna! Na widok tej ostatniej twarz Malcolma poczerwieniała ze złości, co tak ubawiło Lenorę, że przygryzła knykcie, by nie parsknąć głośnym śmiechem. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a Sinclair pęknie niczym przekłuty balon.

W pobliżu głównego namiotu wzniesiono nieco mniejszy, przeznaczony dla Hickory’ego i koni znajdujących się pod jego opieką. Stangret pojawił się około południa. Sprowadził powóz oraz dwa wozy desek przeznaczonych na budowę tymczasowych boksów dla zwierząt. Kiedy, szczerząc zęby od ucha do ucha, przejechał koło domu, z gardła Malcolma dobył się wściekły pomruk.

— Niedoczekanie, żeby ten czarnuch tu zamieszkał, przecież okradnie nas ze szczętem — syknął przez zaciśnięte zęby.

— Hickory to na wskroś uczciwy człowiek — odparła Lenora lodowato. — Nie musisz niczego się obawiać z jego strony.

— Aha odparł Malcolm zgryźliwie. — Taki sam bandyta, jak i reszta ludzi Wingate’a. Róg wie, do czego są zdolni. Szeryf Coty powinien coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. Musimy wystawić strażę i strzec cię jak oka w głowie, dopóki te zbiry się tu kręcą i dopóki Wingate zamierza obozować koło domu. — Wskazał brodą namiot.

Lenora bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak też będzie strzeżona. Na samą myśl o zapowiada środkach ostrożności miała ochotę parsknąć śmiechem.

— Nie chcę, żebyś zadawał sobie zbyt trud z mojego powodu, Malcolmie.

— Żaden trud nie jest zbyt wielki, gdy idzie o twoją osobę — odparł, puszczając mimo Uszu sarkazm w głosie Lenory. — Jesteś zbyt cennym klejnotem, bym śmiał wystawiać twoje bezpieczeństwo na ryzyko.

Rzeczywiście, Lenora wyglądała świeżo i uroczo w kremowej, wykończonej delikatną koronką sukni, z zaróżowionymi policzkami. Gdyby nie to, że zawsze dbała o siebie i ubierała się z nie zwykłym staraniem oraz smakiem, Malcolm gotów byłby przy pisać jej wygląd obecności Ashtona. A jednak niepokoił go blask w oczach Lenory, ożywienie malujące się na twarzy i te lekko zaróżowione policzki.

— Wygląda na to, że dzisiaj wyjątkowo dobrze się czujesz — zauważył zjadliwie.

Lenora miała ochotę powiedzieć, że nie wyglądałaby tak dobrze, gdyby nie poranna interwencja Ashtona, ale uśmiechnęła się tylko promiennie i odparła dwuznacznie:

— Rzeczywiście, od dawna nie czułam się równie dobrze, dziękuję, Malcolmie.

Zmrużył oczy, wykrzywił usta, już miał coś powiedzieć, gdy Somerton wyciągnął dłoń, w której dzierżył nieodłączną szklaneczkę whisky, w stronę namiotu.

— Coś mi się widzi, że Wingate zamierza rozłożyć się tutaj obozem na dłużej.

Lenora powiodła wzrokiem w tamtą stronę. Ashton wydawał właśnie swoim ludziom polecenia, gdzie mają rozstawić wielkie donice z krzewami i kwiatami. Inne, wcześniej wykarczowane, plantowano teraz na powrót w ziemi lub w przepiłowanych na pół beczkach. Wreszcie przed namiotem, pośród kwitnących kwiatów, pojawił się stolik ogrodowy z giętego żelaza i krzesła. Prace powoli dobiegały końca.

Gdy zapadł zmierzch, Lenora dołączyła do panów siedzących w salonie. Malcolm, ponury jak chmura gradowa, co chwila dolewał sobie whisky, Somerton dzielnie mu sekundował, ale też nie potrzebował szczególnej zachęty, by wysuszyć kolejny kieliszek. Obydwaj, co jakiś czas wychodzili na taras, by spojrzeć na światła obozu Ashtona.

— Tyle mojej satysfakcji, że ten przybędą sam dzisiaj wieczór siądzie do kolacji — zachichotał Malcolm, gdy trunek wreszcie poprawił mu nieco humor.

— Aha, a niech tylko zerwie się sztorm, statek Wingate'a jak nic siądzie na mieliźnie, pod samym jego namiotem — zawtórował zięciowi Somerton na tyle jeszcze trzeźwy, by zdobyć się na komentarz.

— Patrzcie, cóż to się od korabia odrywa, mknąc ku brzegowi, gdzie niegodziwiec poprawy losu czeka. — Informacja zawarta w niby-szekspirowskich, niezdarnie składanych przez Roberta wersach, na tyle zaintrygowała Lenorę, że wyszła za mężczyznami na taras.

Rzeczywiście, coś się działo w zatoczce. W stronę obozowiska płynęła oświetlona jedną lampą szalupa. Gdy osiadła na piasku, wyskoczyło z niej dwóch służących w białej liberii i obaj ruszyli z wielką tacą przykrytą srebrną pokrywą w stronę ogrodowego stolika, przy którym siedział Ashton. Chłopcy zapalili pochodnie i zatknęli wokół platformy, która zajaśniała w mroku niczym teatralna scena. Na stole pojawił się śnieżnobiały obrus, wykwintne utensylia stołowe, srebrnego świecznika nie wyłączając, oraz nakrycia dla dwóch osób.

W nocnej ciszy zabrzmiały pierwsze dźwięki wiolonczeli, domownicy zebrani na tarasie znieruchomieli na moment, zasłuchani w słodką, ulubioną melodię Ashtona i Lierin. Lenora zamknęła oczy, poddawała się łagodnej, trafiającej prosto do serca muzyce, z którą napływały wspomnienia radosnych dni spędzonych w Belle Chante. Czar prysł, gdy Malcolm zaczął niespokojnie krążyć po tarasie, po czym zatrzymał się obok Roberta i prychnął gniewnie.

— Możesz tego słuchać? Toż to jakieś kocie piski! — prychnął z agresją w głosie.

Robert nie od razu odpowiedział, pierwiej zajrzał do swojej szklaneczki, szukając w niej poetyckiego natchnienia.

— Nie, synu, już prędeż to rzewny płacz tryka. Tak brzmią struny skrzypek, kiedy dotknie ich smyczek.

— To nie skrzypki ani nawet skrzypce, tylko wiolonczela — wtrąciła Lenora cierpko, oburzona podobnym prostactwem.

Ojciec spojrział na nią z powątpiewaniem.

— Cóż to, dziewczyno, całkiem poczucie humoru cię odeszło? A uśmiechnijże się.

— To te kocie zawrodożenia wprawiły ją w taki kwaśny nastrój. Pewnie chciałyby przyłączyć się do tego tam błazna — kpił sobie Malcolm.

A czemuż by nie, pomyślała, zachowując ten komentarz dla siebie. To oczywiste, że z największą ochotą oddałaby towarzystwo dwóch podpitych, nieokrzesanych mężczyzn za kilka chwil spędzonych w obecności Ashtona.

Jeden ze służących podszedł do namiotu, coś powiedział i po chwili na zewnątrz pojawił się Ashton, zatrzymał się na moment, zerwał kwiat z krzewu jaśminu, położył gałązkę na jednym z dwóch nakryć, sam usiadł naprzeciwko, dał znak dłonią, by nalano mu wina do kieliszka. Upił łyk, skinął głową i przystąpił do celebrowania uroczystej, acz samotnej kolacji. Lenora dopiero teraz zrozumiała znaczenie leżącej na talerzu gałązki jaśminu. To zaproszenie dla niej! Czekał na nią — czy była Lenorą, czy Lierin — czekał, nawet, jeśli miała nie przyjść.

Malcolm też widać pojął sens gestu Ashtona, bo zmierzył Lenorę wzrokiem obrażonego pana i władcy, na co odpowiedziała niewinnym, pełnym łagodności uśmiechem. Odetchnęła jednak z ulgą, gdy w drzwiach prowadzących na taras stanęła Megan i zaanonsowała, że podano do stołu. W czasie kolacji towarzyszyło jej tak silne uczucie spowijającej magią cały świat miłości, że nie zwracała uwagi na kose spojrzenia Malcolma ani pełne dezaprobaty miny Roberta.

Następnego ranka Lenora za pośrednictwem Megan przeprosiła, że nie zejdzie do jadalni, i zjadła lekkie śniadanie w swojej sypialni. Musiało to zirytować Malcolma, bo słyszała, jak nieco później opuścił z hukiem dom, krzycząc do Roberta, by dobrze pilnował córki, nie dopuszczając do jej spotkania z Ashtonem. Mimo że oddzieleni, myślami byli razem; kiedy wyszła na balkon, by nacieszyć się pięknem poranka, wiedziony tym samym odruchem Ashton pojawił się przed swoim namiotem.

Stał tam, spoglądając w stronę domu, piękny niczym odlany w brązie posąg Apolla, szczupły, wysoki, długonogi, barczysty. Na jego widok krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Lenory, lekki rumieniec oblał jej policzki. Tak bardzo za nim tęskniła, tak bardzo pragnęła znowu znaleźć się w jego ramionach, uwolnić od Malcolma i jego roszczeń.

Potarła czoło. Gdyby tylko mogła przedrzeć się przez mur, który więził jej pamięć, odnaleźć wspomnienia dotyczące przeszłości, potwierdzające, że to Ashton, a nie Sinclair jest jej mężem...

Spoglądała na igrające na falach refleksy promieni słonecznych, a przed jej oczami powoli formował się odległy, tajemniczy obraz.

Na słonecznej plaży dziewczynka o kasztanowych włosach buduje zamki z piasku i bawi się lalką. To ona. A może Lierin? Bawią się teraz we dwie, biegają po brzegu, ścigając się i rozpryskując fale przyboju. Nagle gdzieś z oddali odzywa się kobiecy głos:

— Lenoro?

Ta druga dziewczynka odwraca się i przysłania oczy dłonią.

— Lierin?

Kobieta to Niania. Lenora pamięta, że tak właśnie ją nazywała. Stoi na trawiastym pagórku, za jej plecami widać wielką rezydencję.

— Wracajcie, moje panny — woła kobieta. — Już prawie południe. Powinniście coś zjeść i przespać się, zanim wróci wasz ojciec.

Wizja rozplynęła się, Lenora ocknęła się, zamrugła gwałtownie. Bała się tych nieoczekiwanych wizji, ale musiała poznać prawdę, rozwikłać dręczącą zagadkę własnej tożsamości. Czy rzeczywiście udało się jej dotrzeć do wspomnień, czy też wyobraźnia podsuwała jej obrazy utkane z tęsknot i nadziei? Jeśli reakcja tej drugiej dziewczynki była prawdą...

Zaczęła chodzić po balkonie, usiłując przypomnieć sobie coś więcej. Musiała zdobyć jakąś wskazówkę. Klucz, coś, co pomogłoby jej ustalić prawdę.

— Lenoro!

Rozejrzała się trochę nieprzytomnie. Na stopniach wejściowych stał czerwony na twarzy Somerton.

— Nie powinnaś paradować po balkonie w koszuli nocnej, moja panno — fuknął ze złością.

— Każdy cię tu widzi. Idź, ubierz się, szybko, zanim napytasz sobie, jakiej biedy.

Lenora chciała już zaprotestować, ale idąc za wzrokiem Roberta, zrozumiała, co wywołało jego niepokój. Z morza, po porannej kąpeli wychodził właśnie Ashton. Jego gładka, wilgotna skóra połyskiwała w słońcu, strój kąpielowy ciasno opinał lędźwie. To tak zirytowało Somertonona.

— Ten człowiek postradał chyba zmysły, nie ma za grosz przyzwoitości — denerwował się całkiem niepotrzebnie. — Pokazywać ci się prawie nago. Co on sobie myśli, że kim jesteś? Traktuje cię jak dziewczkę uliczną? To nie jest widok dla oczu damy!

Lenora powściągnęła uśmiech rozbawienia, zeszła z balkonu, raz jeszcze spoglądając na drogą sercu sylwetkę na brzegu, i za mknęła francuskie okno.

Nie posiadając się z oburzenia, Somerton zbiegł ze stopni ze szczerym zamiarem zrobienia awantury bezczelnemu nagusowi. Co innego kiedy podejrzanej konduity kobieta pokazuje się w negliżu panom odwiedzającym przybytki pod czerwoną latarnią, ale żeby mężczyzna obnażał się przed damą... I to na dodatek tak subtelną damą! Tego doprawdy za wiele!

Somerton ze swadą podkręcił wąsa i ruszył na spotkanie Ash tona, zmierzającego właśnie niespiesznym krokiem w stronę na miotu.

— Ejże, mój panie, mam do ciebie słówko — zawołał Robert, z trudem łapiąc oddech.

Nieco zdziwiony Ashton zatrzymał się, uniósł brew i czekał cierpliwie, aż się Robert z nim zrówna.

— Nie waż się nigdy pokazywać w takim stroju. — Somerton pogroził zbereźnikowi palcem.

— Obrażasz moją córkę, a wiesz, że jest damą.

— Owszem, wiem, że jest damą — zgodził się Ashton uprzejmie.

Rozjątrzonemu Robertowi najwyraźniej nie wystarczyło to zapewnienie.

— Powiem ci w twarz, mój panie, że nie jesteś dżentelmenem. Popatrz tylko na siebie. Prawie nagi. I tak paradujesz przed moją córką!

— Jest mężatką — powiedział Ashton z wyrozumiętym uśmiechem.

— Nie dla ciebie! — krzyknął Robert, chwytając aluzję. — Trze ba ci jeszcze jakichś dowodów, żebyś wreszcie uwierzył?

— Z twojej i Malcolma strony żadnych — odparł Ashton, i wycierając włosy, ruszył dalej. Robert dreptał za swoim rozmówcą, a że nie mógł dotrzymać mu kroku, tak się zasapał, że kiedy dotarli do namiotu, z ochotą przyjął chłodny poczęstunek. Zdjął surdut, poluzował halsztuk i, opadłszy bez sił na krzesło, chwycił szklanę z napitkiem. Ashton zniknął na moment w namiocie, Somerton miał, więc okazję, by swobodnie rozejrzeć się po obozowisku, którego budowniczy był na tyle przewidujący, by wykorzystać cień rozłożystego drzewa. Kiedy Wingate wyłonił się na powrót z namiotu, już przywoicie odziany, Robert zdążył prawie opróżnić swoją szklanę.

— Nie ma, co, wygodnie się tu urządziłeś — stwierdził, zataczając dłonią wokół. — Wygiada na to, że pomyślałeś o wszystkim.

Ashton spojrzał na gościa ze zdziwieniem, nie oczekiwał komplementów, ale Robert zapomniał już o gniewie: rozsiadł się wygodnie i, oczekując na następną kolejkę likieru miętowego z zimną wodą, nie zamierzał odchodzić ani kontynuować swarów. Ashton skwapliwie napełnił ponownie szklaneczkę starego.

— Też kiedyś byłem młody — westchnął Somerton, popijając z wyraźną przyjemnością. — Niejednej damie zawróciłem w głowie, chociaż może nie aż tak, jak tobie się udało. Wskazał głową dom. — Dziewczyna patrzy tylko za tobą, a Malcolm nie wie, jak ją zmusić, żeby znowu go pokochała.

— A kochała kiedykolwiek? — zapytał Ashton z nutą sarkazmu w głosie.

— Malcolm wierzy, że tak.. zanim straciła pamięć — odparł Robert, nie dostrzegając ironii zawartej w pytaniu, i podrapał się po brodzie. — Czasami sobie myślę, jak to się skończy. Lenora to dobre dziecko, czasami tylko nerwy ją ździebko ponoszą. Stała w mojej obronie, kiedy Malcolm łajał mnie, że za dużo piję.

Ashton uśmiechnął się na wspomnienie porywczoci Lierin.

— Tak, to bardzo do niej podobne.

— Malcolm miał rację, kiedy tak mnie beształ, ale ona rzuciła się na niego prawie z pazurami. — Zamilkł na chwilę, zatopiony w myślach. — Zasługuje na lepszego ojca niż ja — powiedział wreszcie, kiwając głową jakby na potwierdzenie własnych słów. — A może też na lepszego męża niż Malcolm. Ashton uniósł wysoko brwi.

— Zgadzam się z tym całkowicie, ale nadal nie wierzę, że Lierin jest jego żoną.

— Uparty z ciebie człowiek, Wingate. Najlepiej świadczy o tym fakt, żeś się tutaj pojawił.

Nie zaprzeczam — odparł Ashton skwapliwie. — Malcolm zabrał mi najdroższą memu sercu istotę. Nadal uważam, że po winien dowieść swoich praw.

— Przecież dowiodł — nie dawał za wygraną Robert. — Czy uważasz, że nie potrafię rozpoznać, z którą z moich córek mam do czynienia?

Ashton wzruszył ramionami, patrząc, jak Somerton opróżnia kolejną szklaneczkę.

— Ojciec powinien rozpoznać.

— Ma się rozumieć! Toż mówię ci, że rozpoznałem Lenorę. — Robert odchylił się w fotelu, wzrok utkwił w pustej szklance.

Narastający upał i alkohol zaczęły wywierać skutek. — Wiem, o czym myślisz. — Spojrzenie wodnistych, zaczerwienionych oczu spoczęło na twarzy Ashtona. — Uważasz, że za dużo piję

i że mogłem się pomylić, prawda? Zdradzę ci pewien sekret, przyjacielu. Naprawdę dużo trzeba, żebym stracił głowę. Wiem, jaką rolę mam do odegrania w życiu. Malcolm to już zrozumiał, ty dopiero musisz zrozumieć... — Dla podkreślenia swoich słów Robert huknął w metalowy stolik szklanką z taką mocą, że ta rozprysła się na drobiny. Kilka odłamków utkwiło w dłoni, z ranek zaczęła sączyć się krew. Robert wykrzywił twarz, jakby nagle ujrzał diabła: — Precz, przekłeta plamo! — jęknął. — Precz! mówię. Piekło ciemne. Cóż stąd, chociażby się wydało. Nikt nas przecież nie pociągnie do tłumaczenia. Kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu.

Ashton spojrzał pytająco na gościa, ujął jego dłoń w swoją, wyjął odłamki szkła i przyłożył na skaleczone miejsce czystą serwetką.

— Zaciśnij teraz pięść, słyszysz waść? — nakazał głośno i wyraźnie, widząc, że stary popada powoli w pijacki stupor. — Mocno zaciśnij. — Kiedy polecenie wreszcie dotarło do Roberta, ujął go pod ramię i pomógł wstać z krzesła. — Chodź, zaprowadzę cię do domu. Lierin przemyje ranę i zabandażuje.

— Lenora to dobra dziewczyna — wybełkotał Somerton i za toczył się lekko, gdy Ashton zwolnił uścisk. — Ona zasługuje na lepszego...

Widząc, że stary tak sobie dogodził, iż sam nie dojdzie do domu, Ashton nie miał wyjścia, jak osobiście przekazać go córce. Na stopniach wejściowych Somerton zupełnie opadł z sił i osunąłby się na ziemię, gdyby Ashton nie chwycił go w porę i za targał pijanego do holu. Tu rozejrzał się, a nie widząc nikogo, zaczął nawoływać:

— Lierin? Lierin, gdzie jesteś?

— Ashton? — Lenora na jego widok bez tchu zbiegła z pierwszego piętra. Na jej pięknej twarzy najpierw odmalowało się zdziwienie, a kiedy zobaczyła plamy krwi na białej koszuli ojca, także przerażenie.

— Co się stało? — krzyknęła i nie czekając na odpowiedź, do dała z troską w głosie: — Och, Ashtonie, chyba nie zrobiłeś mu nic złego?

— Ręczę honorem, madame, że nic mu nie zrobiłem — zapewnił z uśmiechem, a widząc, że zaczyna szukać rany na piersi ojca, chwycił ją za nadgarstek. — Twój ojciec skaleczył się w dłoń, to nic groźnego, możesz mi wierzyć, moja droga.

— W dłoń? — Lenora wyprostowała się, ujęła rękę Somertona i poczęła oglądać skaleczenia, krzywiąc się przy tym z niesmakiem.

— Powinnaś chyba przemyć ranę — zasugerował Ashton, szczęśliwy, że ma okazję być tak blisko ukochanej, że może wdychać jej zapach, muskać wzrokiem delikatne zagłębienie na szyi, które tak lubił całować.

— Zaprowadź go do salonu — poleciła. — Każę Megan przynieść miednicę z wodą, sama tymczasem przygotuję bandażę i za raz będę z powrotem.

Ashton, jak mu kazano, zaprowadził Somertona do salonu i posadził go na fotelu. Stary otworzył jedno oko, przycisnął dłoń owiniętą serwetką do piersi.

— Ona się mną zajmie — zagadał płaczliwie, tonem skrzywdzonego dziecka. — To anioł prawdziwy, a ze mnie łajdak i opój... — Otarł łzę spływającą po policzku, pociągnął głośno nosem i wyprostował się z pijacką godnością. — Dobrze z niej dziecko, bardzo dobre dziecko, nie sądzisz?

— Z całą pewnością więcej niż dziecko — mruknął Ashton, spoglądając na wdzięczną, kobiecą sylwetkę Lenory. Dziewczyna pojawiła się właśnie na progu pokoju, szybko podeszła do ojca, przyklękła obok niego i zaczęła opatrywać skaleczenie.

W tej samej chwili rozległ się głośny stukot końskich kopyt. To Malcolm swoim zwyczajem podjechał pod same drzwi wejściowe. Dał się słyszeć odgłos spieszych kroków na stopniach.

— Bieży ktoś, spieszy ktoś, spuście most, tam czeka gość — wybełkotał Robert.

Malcolm z hukiem otworzył drzwi i znieruchomiał na widok żywego obrazu skomponowanego z trzech postaci. Zerknął na speszoną twarz Lenory, spojrzął w zamglone oczy Somertona, po czym wzrok jego spoczął na uśmiechniętym obliczu Ashtona, na którym malowała się bezczelna pewność siebie.

— A ty, waść, co do diaska robisz w moim domu! — wybuchnął, ciskając wściekłym ruchem cylinder na podłogę. Rzuciłby się najchętniej na intruza, ale wspomnienie niedawnej porażki kazało mu się pomiarkować przed nierozważnym atakiem.

— Ojciec Lierin rozciął sobie rękę, potrzebował pomocy, toteż mu jej udzieliłem — wyjaśnił Ashton.

— Skoro już jej udzieliłeś, to teraz precz z mojego domu. — Malcolm wskazał drzwi nie znoszącym sprzeciwu gestem. — Wy noś się, natychmiast!

Ashton ruszył powoli do wyjścia, w progu zatrzymał się jeszcze i odwrócił.

— Ponieważ nikt mnie tu nie zapraszał, nie wyładowuj, z łaski swojej, gniewu na Lierin czy też na jej ojcu...

— Ona ma na imię Lenora! — ryknął Malcolm tak donośnie, że szyby w oknach zadźwięczały. — I jest moją żoną, nie twoją!

Ashton uśmiechnął się tylko i wyszedł. Zmierzając do swojego namiotu, zauważył dwóch jeźdźców, którzy zbliżali się właśnie do domu. Jeden z nich zdawał mu się znajomy, ale gdzie i kiedy go widział, tego już nie potrafił sobie uprzytomnić, miał jednak mgliste wrażenie, że musiało to być na jednym z jego statków i że ów człowiek należał do załogi. Cóż, nie był w stanie pamiętać wszystkich twarzy, zbyt wiele się ich przewinęło przez lata.

— Ledwie przełożyłem nogę za próg, a wy już ściągacie do domu tego łajdaka — grzmiał Malcolm, a jego głos niósł się po całym ogrodzie. — Zabraniam, słyszycie? Wynająłem właśnie ludzi, którzy będą strzegli dostępu do rezydencji i wszystkiego, co się w niej znajduje!

Lenora miała już dość czekania w powozie. Było jej gorąco, duszno, w dodatku nie miała pojęcia, kiedy Malcolm wróci. Czuła, że delikatna muslinowa suknia lepi się jej do ciała, nad górną wargą pojawiły się drobne kropelki potu. Lando stało przy krawężniku, dokładnie w miejscu, gdzie Malcolm kazał na siebie czekać, na zalanej słońcem ulicy, bez skrawka cienia. Zmęczone lejącym się z nieba żarem konie przestępowały z nogi na nogę, opędzając się ogonami od natrętnych much.

Zniecierpliwiona Lenora wysiadła, powiedziała stangretowi, gdzie Malcolm ma jej szukać, kiedy wróci, i ruszyła ociężałym krokiem w stronę pobliskiego sklepu, wachlując się chusteczką.

— Dzień dobry, pani Sinclair — powitał ją z szerokim uśmiechem właściciel sklepu, gdy stanęła w progu. — Co słychać? Jak zdrowie? Mój Boże, wieki całe pani nie widziałem.

Lenora nie mogła sobie przypomnieć twarzy człowieka, który ją tak wylewnie witał.

— Pan mnie zna? — zapytała z wahaniem.

— A jakże... To jest... — Kupiec stropił się nieco. — Mam przyjemność z panią Sinclair, nie mylę się chyba?

— Nie... chyba nie — odparła Lenora cicho.

Zdziwiony jej odpowiedzią mężczyzna zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

— Dobrze się pani czuje, madame?

Jakby dla usprawiedliwienia, Lenora ponownie zaczęła się wachlować chusteczką.

— To przez ten upał — bąknęła.

Kupiec uprzejmie wskazał kilka krzeseł, które stały pod ścianą w głębi sklepu.

— Niechże łaskawa pani zechce spocząć na chwilę.

— Dziękuję, dosyć się nasiedziałam — odparła z łagodnym uśmiechem. — Czekałam w powozie, aż mąż wróci, ale widocznie interesy zatrzymały go na dłużej, niż się spodziewałam.

— O tak, wiem jak to bywa — zachichotał jegomość i pokiwał głową.

Lenora zastanawiała się, jak też zapytać kupca o nazwisko, nie wspominając o chorobie i nie wprawiając go w jeszcze większe zakłopotanie.

— Zamyślałam prowadzić dziennik, w którym znaleźliby się wszyscy ci, których znam tutaj, w Biloxi. — Rzeczywiście nosiła się z takim zamiarem, w nadziei, że jakieś nazwisko otworzy być może zamknięte wrota pamięci. — O panu też, oczywiście, chciałabym wspomnieć... nie wiem tylko, jak się pisze pana nazwisko.

— B-l-a-c-k-w-e-l-l — przeliterował z dumą. — J-o-s-e-p-h Blackwell.

Lenora zaśmiała się, splonęła lekko i powachlowała chusteczką. Że też musiał mieć takie łatwo nazwisko, pomyślała z urazą. Teraz będzie patrzył na nią jak na niepiśmienną idiotkę.

— Tak też przypuszczałam.

— Rozumiem, że zamierza pani zatrzymać się na dłużej w naszych stronach, jeśli zamierza prowadzić dziennik — zauważył kupiec.

— O tak. W każdym razie mąż nic nie wspominał, żebyśmy mieli przenosić się, dokąd indziej. Poza tym jest tu z nami mój ojciec.

— Naprawdę? — Joseph zdziwił się, po czym zachichotał swoim zwyczajem. — Jak udało się pani przekonać szanownego tatusia do opuszczenia Anglii? Z pani opowiadań pamiętam, że nie znosi Stanów i nie mówi o naszym kraju inaczej jak kolonie.

Lenora wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Widocznie zmienił zdanie.

— Tak, pewnie ciężko mu się żyło samemu, z dala od rodziny. — Kupiec pokiwał głową ze zrozumieniem. — Czasami ojcu trudno pogodzić się z tym, że córka wybiera sobie inne życie niż to, które dla niej wymarzył. Musiał być srodze rozczarowany, kiedy się dowiedział, że szanowna pani chce zamieszkać w Stanach, taki świat drogi od domu. A właśnie, jak się miewa pani siostra?

Uśmiech znikł z twarzy Lenory, przed oczami mignęła mała dziewczynka z plaży, która pojawiała się w jej wizjach.

— Nie żyje.

— Och, tak mi przykro, pani Sinclair — powiedział kupiec ze szczerym współczuciem. — Najpierw mąż, teraz siostra.

Lenora poderwała gwałtownie głowę, szeroko otworzyła oczy.

— Mój mąż?

Joseph spojrział na nią jakoś dziwnie, teraz zupełnie już zbity z tropu.

— Owszem, kiedy panią poznałem, była pani wdową. W każdym razie tak pani mówiła, jeśli mnie pamięć nie myli, ale może coś pokręciłem. Nigdy wiele ze sobą nie rozmawialiśmy, ot czasami kilka słów przy okazji. Ledwie miesiąc temu dowiedziałem się, że wyszła pani ponownie za mąż.

W głowie Lenory rodziły się mgliste obrazy: sylwetka ojca, ledwie widoczna, okryta cieniem, z szeroko rozłożonymi ramionami, Robert przywołuje ją do siebie, chce pocieszyć, ktoś, chyba Malcolm, nakłania ją, by podeszła do ojca.

— Tu jesteś! — Usłyszała za plecami znajomy głos.

Odwróciła się gwałtownie w stronę męża. Przez chwilę miała wrażenie, że majaki i rzeczywistość zlały się w jedno. W jej wizji jakiś tęgi mężczyzna poklepywał Malcolma po ramieniu.

— Nie sądziłem, że wysiądziesz z powozu — zauważył z wyrzutem w głosie. — Martwiłem się o ciebie.

— Przepraszam, Malcolmie — mruknęła. — Nie chciałam cię zdenerwować, ale zrobiło mi się duszno i musiałam odetchnąć.

Widząc zaintrygowane spojrzenie pana Blackwella, Malcolm poczuł się zmuszony udzielić wyjaśnień:

— Moja żona źle się czuje, mam nadzieję, że nie sprawiła panu zbytniego kłopotu. Pamięć ją ostatnio zawodzi — dodał, nie zważając na to, że wprawia Lenorę w zakłopotanie swoimi tłumaczeniami.

— Doprawdy, przykro mi to słyszeć — zmartwił się pan Blackwell.

Malcolm posłał mu wymuszony uśmiech.

— Przepraszamy teraz pana, musimy jechać. Jesteśmy umówieni z ojcem żony a już się spóźniliśmy. Do widzenia panu.

Chwycił Lenorę za rękę w mocnym, bolesnym wręcz uścisku i poprowadził ją do powozu niby więźnia.

— Mówiłem ci, żebyś nigdzie się stąd nie ruszała — warknął, kiedy wsiedli.

— Było tak gorąco, że nie mogłam wytrzymać, a ty kazałeś na siebie tak długo czekać — odparła z narastającym gniewem. — Zabrałeś mnie ze sobą do miasteczka ze strachu, żebym nie została sama sama z Ashtonem, kiedy ciebie nie będzie w domu.

— Nie myślisz chyba, że boję się tego łajdaka — prychnął Malcolm.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się upierałeś, żebym czekała w powozie. Bardzo miło gawędziło mi się z panem Blackwellem.

— Doprawdy? I coś ten jegomość miał ci do powiedzenia?

— Dowiedziałam się od niego, że kiedy wychodziłam za ciebie, byłam wdową. Chciałabym wiedzieć, dlaczego to przede mną zataiłeś?

— Uznałem, że przyprawi cię to o jeszcze większe pomiesza nie. Chciałem oszczędzić ci dodatkowych trosk, próbowałem strzec przed plotkami — tłumaczył Malcolm. — Co jeszcze po wiedział ci ten uprzejmy kupiec? — zapytał tonem inkwizytora.

— Nic specjalnego. Z rozmowy wywnioskowałam, że nie zna mnie zbyt dobrze, a i nie zabawiłam zbyt długo w jego sklepie.

Malcolm, już nieco spokojniejszy, zdjął kapelusz i otarł pot z czoła.

— Rzeczywiście strasznie dziś gorąco — zauważył, zmieniając ton. — Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać, ale zatrzymały mnie ważne sprawy.

Raz rozbudzona ciekawość Lenory musiała być zaspokojona.

— Co wiesz o moim pierwszym mężu? — zapytała, nie dopuszczając, by rozmowa zesłała na inny temat.

Malcolm wzruszył ramionami.

— Niewiele. Wydaje mi się, że umarł wkrótce po waszym ślubie. Nie pamiętam żadnych innych szczegółów, poza tym, że mieszkał gdzieś na Karaibach. Tyle tylko mi o nim powiedziałaś.

— Jak się nazywał... wiesz, jak się nazywał? — nie ustępowała Lenora.

Malcolm przetaił wewnętrzny rant kapelusza i zerknął spod oka na żonę.

— Cameron Livingston.

— Livingstone, Livingston — powtórzyła kilkakrotnie. Miała wrażenie, że nazwisko to brzmi znajomo. — Tak, coś sobie przypominam. — Zmarszczyła lekko czoło. — Lenora Livingston? Lenora Livingston. Oczywiście! Słyszałam już to! — Zaśmiała się uradowana swoim odkryciem. — Być może wraca mi pamięć. Och, jak bardzo bym chciała, żeby ta męka wreszcie się skończyła.

— Od wypadku minęło już sporo czasu, tak, że zaczynałem się zastanawiać, czy kiedykolwiek przypomnisz sobie coś z przeszłości, czy zrozumiesz, ile kiedyś dla siebie znaczyliśmy.

— Pamiętam więcej niż w chwili przyjazdu do Biloxi — przyznała. — Wspomnienia wracają powoli, niemniej pojawia się ich coraz więcej.

Malcolm sięgnął po walizeczkę, którą wcześniej rzucił na siedzenie.

— Mam tu kilka urzędowych dokumentów, twój ojciec chce, żebyś je podpisała. Mogłabyś? Za chwilę mamy się z nim spotkać.

— Nie moglibyśmy załatwić tego, kiedy indziej? — zapytała. — Upał mnie wykończył, nie mam siły czytać tych papierów.

— Nie musisz nic czytać, moja droga. Twój ojciec ma nad wszystkim kontrolę.

— Ojciec inaczej mnie wychował. Nie podpiszę, dopóki nie usłyszę od niego samego, że mam to zrobić. — Przechyliła lekko głowę, zastanawiając się, co jej kazało wypowiedzieć te słowa.

— Doprawdy, Lenoro. — Zniecierpliwiony Sinclair westchnął ciężko. — Te dokumenty nie są aż tak ważne, byś musiała je przeglądać.

— Nie chcę zajmować się tym teraz, Malcolmie — odparła stanowczo, zła, że mąż tak na nią napiera. — Porozmawiam z ojcem, wtedy być może podpiszę, ale niczego nie obiecuję.

— Strasznie harda zrobiłaś się ostatnio — zauważył Malcolm z przekąsem. — To bez wątpienia wpływ tego przyjaciela czarnuchów, który koczuje na trawniku przed naszym domem. Nie zapominaj jednak, że to ja jestem twoim mężem... a nie Ashton Wingate. Winna jesteś okazywać należy mi szacunek.

Lenora nie rozumiała, dlaczego Malcolm tak się gorączkuje z powodu jakichś papierów, które, jak sam mówił, nie były wcale ważne;

— Ja tylko prosiłam, żebyś dał mi trochę czasu na przeczytanie tych dokumentów, mój panie.

— Twój upór jest dla mnie wręcz obraźliwy. Zachowujesz się tak, jakbyś nie ufała ani mnie... ani własnemu ojcu, kiedy my robimy wszystko, co w naszej mocy, dla twojego dobra.

— Ojciec już dawno temu nauczył mnie dbać o własne interesy.

— Do diabła z twoim ojcem i jego naukami!

— Malcolmie! — Lenora spojrzała na niego ze zdumieniem. — Nie widzę najmniejszych powodów, żebyś tak się złościł.

— Owszem, muszę się złościć. Proszę cię o drobiazg, a ty od mawiasz. i o zakład, że gdyby to twój najdroższy Wingate był na moim miejscu, wystarczyłoby jedno jego słowo, a z zamkniętymi oczami uczyniłabyś wszystko, czego ten pan zażąda.

— Zazdrość przez ciebie przemawia — zauważyła ze spokojem.

— Może nie mam racji? Gdybyś tylko miała okazję, wpuściłabyś tego sukinsyna do swojego łóżka.

— Mam wrażenie, że posuwasz się za daleko, Malcolmie — rzekła ostrzegawczo.

— Za daleko? Dlatego, że nazywam go sukinsynem, a ciebie dziwką?

Lenorze aż dech zaparło na te ordynarne wyzwiska. Ujęła parasolkę i zastukała w okienko przedniej ściany powozu, dając znak stangretowi.

— Henry, zatrzymaj się, chciałabym wysiąść, mam tu zakupy do zrobienia.

— Nie ośmielisz się wysiąść — sprzeciwił się Malcolm, gdy powóz stanął. — Domagam się, byś pojechała ze mną prosto do domu.

— Pierwej musiałbyś mnie zabić, Malcolmie. Jeśli w tej chwili mnie nie wypuścisz, urządzę taką scenę, że nie będziesz już mógł się pokazać w miasteczku. — Wypowiedziała te słowa powoli, wyraźnie i z taką determinacją, że uwierzył, iż gotowa jest wprowadzić swoje pogroźki w czyn. Nie miał wyjścia, musiał ją wy puścić, jeśli nie chciał się narazić na publiczną awanturę na środku ulicy.

— Jeśli teraz wysiądziesz, wrócisz do domu pieszo — burknął.

— Z największą przyjemnością. A teraz z drogi, przepuść mnie.

Ciskając gniewne iskry z oczu, pchnęła energicznie drzwiczki powozu i wysiadła bez słowa pożegnania. Stała na środku ulicy, otworzyła parasolkę, po czym, zadarłszy wysoko głowę, ru szyła przed siebie, wprost pod nadjeżdżający wóz zaprzężony w dwa ręce koniki. Wóznica dostrzegł ją w ostatniej chwili, ściągnął lejce, o włos mijając niedoszłą ofiarę wypadku.

— Zwariowałaś, paniusiu? Śmierci szukasz? Taż bym cię rozjechał! — krzyknął z kozła przerażony chłopak.

— Godzien pogardy cham i prostak! — mruzczała Lenora pod nosem. — Bóg jeden wie, dlaczego wyszłam za niego za mąż! Żałuję, że go w ogóle spotkałam.

Szła teraz chodnikiem, mijając kolejne sklepy. Jakiś młodzieniec oparty o witrynę wyprostował się na jej widok z niekłamanym podziwem w oczach.

— Dzień dobry pani — zagadnął, uchylając z galanterią kapelusza. — Mogę w czymś pomóc?

Kiedy minęła go obojętnie, młodzieniec ruszył pospiesznie za nią, nie spuszczać oka ze zgrabnej sylwetki. Odwróciła się po chwili, nieco przestraszona, a dojrawszy zachęcający uśmiech na twarzy fircyka, przyspieszyła kroku.

— A to ci kobitka — zachwyił się fryzjer, obok którego zakładu właśnie przechodziła. — Gorętsza niż te małe papryczki, co rosną w Luizjanie — mruknął, nachylając się do ucha klienta. Ashton odwrócił namydloną twarz w stronę okna.

— Lierin! — Zerwał się z fotela, zrzucił ręcznik z szyi, wytarł mydło i rzucił się do drzwi, potrącając po drodze jakiegoś jegomościa oczekującego swojej kolejki.

— Pański surdut, sir! — zawołał za nim fryzjer. — Zostawił pan surdut!

— Wróć po niego — odkrzyknął Ashton przez ramię i już biegł za energicznie kroczącą Lenorą.

Lenora, kiedy poczuła czyjaś dłoń na ramieniu, odwróciła się gwałtownie. Pewna, że to ów fircyk, który szedł za nią, gotowa była zdzielić intruza parasolką, ale na widok uśmiechniętej, znajomej twarzy dłoń z bronią szybko opadła.

— Ashton! Co tutaj robisz?

— Ruszyłem do miasta w ślad za tobą i Malcolmem — przyznał. — Gdy zobaczyłem, że wsiadasz do powozu, postanowiłem pójść do fryzjera.

Lenora ze śmiechem starła resztkę mydła z brody Ashtona.

— Wygląda na to, że nie zdążył cię ogolić.

— Wybacz, że musisz oglądać mnie z zarostem — powiedział Ashton, pocierając szczeniasty policzek. — Wyjeżdżałem rano w wielkim pośpiechu. — Rozejrzał się, szukając wzrokiem po wozu Sinclairów. Co tutaj porabiasz sama? Gdzie Malcolm?

Lenora zadarła dumnie głowę, ciągle jeszcze zła na prostaka, z którym się przed chwilą rozstała.

— Odesłałam go precz.

— Zgodził się zostawić cię samą? — zdziwił się Ashton.

— Myślę, że gdzieś tutaj musi być mój ojciec, chociaż nie dbam o to.

— Pozwól, Lierin, że wróć po surdut, a potem z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa, gdziekolwiek zechcesz pójść.

Młodzieniec, który szedł za Lenorą, stanął teraz na środku chodnika, szeroko rozstawił nogi, dłonie wsparł na biodrach. Nie spieszył się, nie przerywał rozmowy tamtych dwojga, ale sikoreczka warta była zachodu. Ashton dostrzegł go, rysy mu się zaostrzyły, odsunął Lenorę na bezpieczną odległość, sam zrobił krok do przodu i wymierzył niewczesnemu amantowi potężnego kuksańca łokciem pod żebra. Młodzieniec zachwiał się zdumiony porywcznością dżentelmena, który sprzątnął mu damę sprzed nosa.

— Zabieraj się stąd, człowieku, jeśli drogi ci twój zadek — warknął Ashton cicho.

Odzyskawszy równowagę, młodzieniec chwycił go za ramię, gotów do bójki.

— Ja pierwszy ją zobaczyłem...

W tej samej chwili obszyta falbaną parasolka zamknęła się z trzaskiem i jej ostre zakończenie ugodziło młodzieńca w pierś. Zalotnik krzyknął z bólu i cofnął się, rezygnując przezornie z walki o względy pięknej nieznajomej.

— Skoro pan nalega! — rzucił jeszcze przez ramię i poszedł swoją drogą.

Widząc, jak ludzie oglądają się za Lenorą, Ashton rósł z dumny, szczęśliwy, że może nacieszyć się swoją królową, choćby przez jedno popołudnie. Przywołał Hickory'ego, a kiedy powóz podjechał i obydwójce usadowili się już wygodnie w środku, ujął dłoń Lenory, splatając palce z jej palcami i spoglądając z zachwytem w szmaragdowe oczy.

— Taka jesteś piękna, najdroższa. Szkoda, że ostatnio tak rzadko mogę cię oglądać — szepnął ciepłym, niskim głosem.

Lenora zaśmiała się cicho.

— Mój ojciec i Malcolm uważają, że widzimy się zbyt często. — Kąciki jej ust drgnęły w rozbawieniu. — Robert był wstrząśnięty, żeś paradował na moich oczach w stroju kąpielowym.

Ashton parsknął śmiechem.

— Owszem, przyszedł do mnie wtedy i zbeształ za nieskromność. Uważał, że dama nie powinna oglądać takich widoków. Nie domyśla się nawet, że żyliśmy ze sobą jak mąż i żona, zanim wyjechałaś z Belle Chante.

— Nie mogłam im powiedzieć, Ashtonie — szepnęła, oblewając się rumieńcem i spuszcżając oczy. — Zbrukałoby to, co piękne. Dla nich każdy twój gest jest godny pogardy, a mój ojciec ciągle cię obwinia za to, że przez ciebie stracił Lierin.

Ashton uścisnął jej palce w pełnym zrozumienia geście.

— Wiele przeszedł w życiu. Dziwne, ale zaczynam go lubić wbrew samemu sobie.

— Jesteś takim dobrym człowiekiem, Ashtonie Wingate — powiedziała Lenora, spoglądając w jego twarz z czułością, przed którą tak bardzo się ostatnio broniła.

Ashton roześmiał się, rzucił kapelusz na wolne siedzenie.

— Dlaczego? Dlatego, że nie chowam w sercu nienawiści do człowieka, który uparł się widzieć we mnie swojego największego wroga? Przecież nie będę odpłacał mu tym samym. Nie wiedziałem, że lubi zaglądać do kieliszka, alkohol musi mącić mu w głowie. Kiedy rozciął sobie rękę, był na granicy delirium, majaczył. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to biedny, wyniszczony starzec, który zasługuje na współczucie. Nie, wolę obrócić swój gniew przeciw komuś innemu.

— Przeciwno Malcolmowi, tak?

Rsy Ashtona stężały, zacisnął usta, milczał przez chwilę.

— Tak, on sobie zasłużył na moją nienawiść — odparł wreszcie.

Widząc, jak bardzo zirytowała Ashtona wzmianka o Malcolmie, Lenora położyła mu dłoń na ramieniu uspokajającym gestem.

— Nie mówmy już o nim — powiedziała miękko. — Opowiedz mi lepiej o swoich planach. Jak długo zamierzasz trzymać „Czarodziejkę” w zatoce?

— Tak długo, jak będzie trzeba... chyba że każesz mi odpłynąć.

— Już cię o to prosiłam.

Ashton podniósł jej dłoń do ust i ucałował szczupłe, białe palce.

— Odpłynę dopiero wtedy, kiedy wyczytam to w twoich oczach. Och, Lierin, moja Lierin — szepnął z udręką w głosie. — Tęsknię za tobą, pragnę cię, nie śpię po nocach, tylko myślę o tobie. Ty tam, w domu, z Malcolmem. Zazdrość mnie zżera, kiedy widzę cię u jego boku. Ulituj się nad moją biedną duszą, jedź ze mną, najdroższa.

— Och, Ashtonie — jęknęła przez łzy. — Kimże bym była, gdy bym wróciła z tobą teraz do Belle Chante. Nie wiedząc, czy jestem Lenorą, czy Lierin. Zdana na wieczny konflikt. Męczona tysiącnymi pytaniami. Wiem, że klucz do tajemnicy jest tutaj, w Biloxi. W swoich wizjach widzę przerażające, straszne rzeczy. Jeśli nie zrozumie ich znaczenia, będą mnie prześladowały do końca życia. Pragnę tego samego, co ty. Chciałabym z tobą pojechać, ale nie mogę, dopóki się nie dowiem, kim jestem, skąd przybywam, jak wyglądało moje dotychczasowe życie. Tak, nie ma innego rozwiązania. A teraz odwieź mnie, proszę, do domu. — Lenora odwróciła głowę, by ukryć napływające znowu do oczu łzy. — Odwieź mnie, zanim będzie za późno, zanim ulegnę twoim namowom.

Ashton ze smutkiem myślał, że znowu zostanie sam, chciał odwlec moment rozstania.

— Zostań ze mną jeszcze trochę, potem cię odwiozę. — Widząc błagalny wyraz twarzy Lenory, zreflektował się. — Zdaję się, że proszę o zbyt wiele. Wiem, masz kłopoty, jesteś zdenerwowana. Odwiozę cię. Będą jeszcze inne okazje, by spędzić razem czas.

Lenora chlipnęła po raz ostatni, otarła łzy, Ashton tymczasem wydał polecenie Hickory'emu, usiadł wygodnie i zapatrzył się w piękną twarz ukochanej.

— Zamierzam wypożyczyć „Czarodziejkę” moim partnerom w interesach, którzy działają tutaj, w Biloxi. — Widząc zdziwioną minę Lenory, pospieszył z wyjaśnieniami: — Chcą wydać wielkie przyjęcie dla tutejszej śmietanki towarzyskiej. — Prawdę mówiąc Ashton sam ich do tego namówił, gdy uznał, że przyjęcie na statku pomoże mu zdobyć królową.

— Co to ma wspólnego ze mną? — zapytała Lenora, widząc błysk w oczach Ashtona.

— Chcę zaprosić ciebie i Malcolma.

— Malcolm nie postawi nogi na twoim statku. Zbyt cię nienawidzi.

— Być może, wiem jednak, że Malcolm bardzo lubi hazard, a na przyjęciu będą stoły do gry. Nie pogardzi szansą zdobycia łatwych pieniędzy. Nie jest tak zamożny, jak początkowo myślałam. Prawdę mówiąc, trudno dociec, z czego się utrzymuje.

— Ja też nic nie wiem na ten temat — mruknęła, myśląc, że Malcolm nigdy nie opowiadał o swojej przeszłości, swojej rodzinie, zajęciach. — Właściwie nic o nim nie wiem.

— Kilku moich ludzi śledziło go przez pewien czas. Wygląda na to, że zasoby finansowe czerpie z pokoi przy tawernie.

Lenora obląła się rumieńcem.

— Chcesz powiedzieć, że zarabia na... sprzedajnych kobietach?

— Nie, moja droga — odparł Ashton ze śmiechem. — Takich rzeczy nie zdradziłbym ci. Chodzi o coś innego. Otóż Malcolm spotyka się w gospodzie z podejrzanymi osobnikami, którzy potem rozjeżdżają się w różne strony, by spotkać się znowu po kilku dniach.

— Kiedy Malcolm wychodzi z domu, nieodmiennie mówi mi, że umówił się z prawnikami, po czym wraca z dokumentami, które każe mi podpisywać.

— Jakie to dokumenty?

Lenora wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie dał mi ich do przeczytania.

— Podpisałaś coś? — zapytał Ashton pełnym niepokoju tonem.

— Nie i nie podpiszę, dopóki nie dowiem się, co podpisuję.

— Bardzo rozsądnie.

— Jak myślisz, co to za dokumenty? — chciała wiedzieć Lenora.

— Nie wiem, ale gdyby mógł, podsunąłby ci choćby zeznanie obciążające moją osobę. Ucieszyłyby się, gdybym trafił za kratki, podejrzany o zabicie Mary.

— Kto ją zabił, Ashtonie?

— Być może Horacy Titch. Mary pracowała kiedyś u jego siostry. Mordercą był najpewniej ktoś z zewnątrz, krążył wokół domu, wywabił dziewczynę, zabił, a potem zawłókł ciało do łódki.

Lenora wzdrygnęła się.

— Nic nie słyszałam.

— Prawdopodobnie nieszczęście wydarzyło się, kiedy byłaś ze mną na statku. Strach mnie ogarnie na myśl, że mniej więcej w tym samym czasie pojawiłaś się na plaży sama jedna, bez żadnej opieki. — Spojrzał c w szmaragdowe oczy. — Nie po dziękowałem ci jeszcze za alibi, które mi zapewniłaś. Byłem zaskoczony, że powiedziałaś szeryfowi o swojej wyprawie na „Czarodziejkę”.

— Miałam pozwolić, żeby cię aresztowano tylko, dlatego, że droższa mi jest własna reputacja?

Ashton dotknął delikatnie kosmyka włosów na karku Lenory.

— Gdzie to podziałaś swój śliczny niebieski kapelusik?

— Było tak gorąco, że zdjęłam go i zostawiłam w powozie — odparła z zaskoczoną miną. — Ale jakim sposobem ty...

— Chciałaś zapytać, skąd wiem, że miałaś na głowie niebieski kapelusik? — dokończył A — Widziałem cię dzisiaj rano, kiedy wychodziłaś z domu, nie pamiętasz? Poza tym dostrzegam każdy szczegół twojej sylwetki. Gdybym nie wiedział, że miałaś na głowie kapelusz, byłbym zdziwiony, dlaczego masz potargane włosy.

Lenora natychmiast podniosła dłonie, by poprawić fryzurę i równie szybko je opuściła na widok rozbawionej miny Ashtona; żartował sobie z niej.

— Widziałem cię już z włosami w nieładzie, najdroższa, i możesz mi wierzyć, że ten cudowny widok zapiera dech w piersiach — szepnął, ściskając delikatnie jej dłoń.

Myśli Lenory zajęte były czymś innym.

— Wiedziałaś, że byłam wdową, kiedy wychodziłam za Malcolma? — zapytała, składając głowę na ramieniu ukochanego.

— Masz na myśli Lenorę...?

— Tak. — Skinęła głową. — Mówię o sobie. Zanim wyszłam za Malcolma, byłam żoną Camerona Livingstona

— Jeśli kiedykolwiek wyszłaś za Malcolma — sprostował Ashton.

— Czy nadał upierasz się, że jestem Lierin, nie Lenorą?

— Owszem, dopóki nie będę miał niezbitego dowodu, który przekona mnie o pomyłce.

— Lierin Li to mi jakoś źle brzmi.

— Lierin nie była wdową, kiedy się z nią żeniłem. — Ashton potrząsnął głową i uśmiechnął się do własnych wspomnień. — Była dziewczicą.

— Czego nie można powiedzieć o mnie, gdy po wypadku zapraszałam cię do swojego łóżka. Rzecz w tym, że nie wiem, czyją byłam żoną.

Ashton roześmiał się i ucałował włosy Lenory.

— Cóż, moja droga, stało się, przestałaś być dziewczicą trzy lata temu, w dniu naszego ślubu. Mogę cię zapewnić, że następny poranek przywitaliśmy jako mąż i żona.

— Jesteśmy w domu! — krzyknął Hickory.

Nadeszła chwila rozstania.

— Malcolm lada dzień otrzyma zaproszenie na przyjęcie na pokładzie „Czarodziejki”. Czy obiecasz mi, że pojawisz się tam razem z nim? — szepnął Ashton, kładąc rękę na dłoni Lenory.

— Tak, jeśli to dla ciebie takie ważne.

— Owszem... bardzo ważne. Chcę mieć cię blisko siebie. Kiedy zobaczysz, że „Czarodziejka” odpływa, nie martw się, nie będzie to oznaczało, że cię opuściłem.

— Będzie mi brakowało jej widoku. Budząc się rano, wychodzę na balkon, by na nią spojrzeć.

— W miejsce „Czarodziejki” pojawi się inny statek. Czekaj cierpliwie.

Lenora nie kryła zdumienia.

— Czy twoje statki nie powinny zarabiać, przewożąc towary? Tracisz, kotwicząc je w zatoce.

— Kiedy serce boli i tęskni, człowiek nie myśli o pieniądzach, najdroższa. — Ashton wyjrzał przez okno, zmartwiony, że za chwilę przyjdzie się mu się rozstać z Lenorą. Zbliżali się do domu. Jeszcze ostatni, namiętny pocałunek i powóz stanął przed wejściem do rezydencji.

Ledwie obydwójce wysiedli, drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i na ganek wypadł, ledwie posiadając się z wściekłości, Malcolm.

— Pan Wingate był tak miły, że zechciał odwiedzić mnie do domu — oznajmiła z niezmaconym spokojem Lenora. — Dzięki jego uprzejmości nie musiałam wracać pieszo.

Malcolm zacisnął pięści, z oczu ciskał gniewne błyski, a pełen wyrozumiałości uśmiech Ashtona doprowadzał go do prawdziwej furii.

— Do domu — syknął, zwracając się do Lenory. — Później z tobą porozmawiam, tymczasem mam coś do załatwienia z panem Wingate'em.

Lenora bez słowa usłuchała polecenia, ale kiedy już zamknęła za sobą drzwi, skierowała się prosto do salonu, skąd, stojąc przy oknie, mogła słyszeć rozmowę obydwu mężczyzn i interweniować, w razie gdyby wymiana zdań zamieniła się w ostre starcie.

— Kiedy się stąd wreszcie wyniesiesz? Kiedy przestaniesz czepiać się mojej żony?

— Przepraszam, czyjej żony? — zapytał Ashton uprzejmym tonem.

Swobodne zachowanie Ashtona jeszcze bardziej rozsierdziło Malcolma.

— Niech cię diabli, doskonale wiesz, czyją jest żoną!

— Masz rację, wiem czyją. Przyjechałem tutaj, żeby zabrać ją do domu.

— Można do ciebie mówić i mówić, a ty w kółko swoje, faktów nie chcesz przyjąć do wiadomości.

— Ja powiedziałbym, że nie przyjmuję do wiadomości twoich wrzasków, Malcolmie.

— Jesteś głuchy na prawdę!

— Uchodzę za upartego, ale nigdy nie zdarzyło mi się zaprzeczyć prawdzie. Dotąd nie przekonałeś mnie, że masz prawo nazywać się mężem Lierin.

— Ona ma imię Lenora!

— To się jeszcze okaże, Malcolmie. To się okaże — odparł Ashton z cichym śmiechem, postawił nogę na stopniach powozu, odwrócił się jeszcze i spojrzał po raz ostatni na rozsierzonego Sinclaira. — Nawet, jeśli to Lenora, nie zasługujesz na nią.

Z tymi słowami wszedł do powozu i odjechał do swojego obozowiska.

Gdziekolwiek Lenora się ruszyła, tam był też Ashton. Jeśli zostawała w domu, czuwał, siedząc przed namiotem, kiedy je chała gdzieś z Malcolmem, on jechał w ślad za nimi, nie tracąc nigdy ukochanej z oczu.

Malcolmowi ustawiczna obecność Ashtona działała na nerwy, innych bawiła. Jedno jest pewne, Ashton zyskał ogromną sympatię Megan, ilekroć go widziała, uśmiechała się doń porozumiewawczo, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że ma w niej cichą współpracowniczkę, a gdy jechał gdzieś za Lenorą, odprowadzała jego powóz rozradowanym wzrokiem, spokojna, że jej pani będzie miała czułą opiekę. Tylko, gdy szedł się kąpać do oceanu, udawała, że go nie dostrzega i skromnie odwracała spojrzenie od pięknej męskiej sylwetki w obcisłym stroju kąpielowym.

Robert Somerton też przywykł do obecności Ashtona. Wybaczył nawet intruzowi poranne ablucje w morzu i raz czy dwa zajrzał do obozu z nadzieją na wychylenie szklaneczki czegoś mocniejszego, ale poczęstunek ograniczał się zwykle do kawy, zaprawianej przez starego trunkiem z piersiówki, z którą nigdy się nie rozstawał.

Lenora czuła się tak szczęśliwa, że ma pod bokiem najdroższego, iż z każdym dniem coraz trudniej było jej widzieć siebie w roli żony Malcolma, w końcu zupełnie zarzuciła tę myśl.

Tymczasem „Czarodziejka” odpłynęła. Malcolm nie bardzo wiedział, co się za tym kryje, niemniej triumfował przekonany, że ludzie Ashtona opuścili swojego pana. Krótco się cieszył, albowiem już następnego ranka ujrzał w zatoce pełnomorski parowiec, który zakotwiczył w miejscu, gdzie dotąd stała „Czarodziejka”. Wkrótce od burty „Szarego Orła”, bo tak nazywał się statek, oderwała się szalupa, w której do brzegu płynął kapitan, dwóch marynarzy przy wiosłach i jakaś kobieta. Malcolm z zainteresowaniem obserwował przybyłych, gdy znaleźli się brzegu i ruszyli w stronę obozowiska. Miał nadzieję, że niewiasta wzbudzi zazdrość Lenory, ale uważnie się jej przyjrząwszy, stwierdził, że musi być służącą: wskazywała na to jej skromna popielata sukieneczka i równie skromna fryzura: gładko zaczesane włosy zebrane były w węzeł na karku. Jej twarz wydawała mu się znajoma, nie mógł jednak przypomnieć sobie, gdzie i kiedy ją widział, ale szybko uznał, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Co mogła go obchodzić zniszczona, zaniedbana kobieta?

Ashton wyszedł na spotkanie gości, odebrał od Sary księgi rachunkowe, które mu wręczyła.

— Pańska buchalteria jest w całkowitym porządku, panie Wingate — oznajmiła rzeczowo, dumna z wykonanej pracy.

— Świetnie, Saro. Dowiedziałś, że jesteś nieocenioną osobą dla naszej firmy. Nie wiesz nawet, jak bardzo cenię sobie to, co robisz.

Sara pokraśniała z zadowolenia, słysząc taki komplement pod swoim adresem.

— Lubię pracować, sir, to pozwala mi zapomnieć o kłopotach.

— Jedni za wszelką cenę chcą zapomnieć, inni rozpaczliwie usiłują odzyskać pamięć. Z niecierpliwością czekam dnia, kiedy Lierin przypomni sobie wreszcie, kim jest — powiedział Ashton ze smutnym uśmiechem.

— Ja zaś niczego tak nie pragnę, jak tego, by zapomnieć i wybaczyć, chociaż bardzo wątpię, czy będę w stanie.

— Wybaczając, odzyskujemy spokój, Saro — rzekł kapitan Meyers, który czerpał mądrość ze swojego wieloletniego doświadczenia. — Nienawiść niszczy naszą duszę, człowiek powinien robić, co w jego mocy, żeby się od niej uwolnić.

Ashton pomyślał, że słowa kapitana dotyczą także jego. Pod niósł głowę, spojrzął na stojącego w oddali Malcolma.

— Trudno uwolnić się od nienawiści, kiedy wróg jest blisko.

Sara powiodła wzrokiem za spojrzeniem Ashtona i przetarła oczy, pewna, że ma przywidzenia. Nie, to niemożliwe, pomyślała i odwróciła szybko głowę ku swoim towarzyszom.

Ashton wskazał dłonią na okazały namiot.

— Wejdźcie, proszę, zobaczycie, jak się tu urządziłem. Poleciałem chłopakowi, żeby przygotował kawę i herbatę, znajdują się też ciastka, jeśli macie ochotę na skromny poczęstunek.

Cała trójka weszła do namiotu, którego wnętrze przypominało obraz z orientalnej baśni, taki panował tu przepych. Kapitan aż zatarł dłonie rad, że spędzi kilka chwil pławiąc się luksusem, Sara zaś wodziła wokół pełnym zdumienia wzrokiem. Ogromne łoże z puchowymi poduchami, przykryte kapą z czarnego jedwabiu wyszywaną w złote liście, mogło wzbudzić zazdrość arabskiego szejka. Nad łożem zwieszała się bogata moskitiera z delikatnego jak mgielka złotego jedwabiu, tak pyszna, że próżno by szukać podobnej w całym dorzeczu Missisipi.

— Kiedy usłyszałem, że zamieszkałeś w namiocie, Ashtonie, nie spodziewałem się, że tak to może wyglądać — wykrzyknął kapitan Meyers z nieskrywanym podziwem. — Wyobrażałem sobie, żeś rozbił na trawniku skromną pałatkę, w której koczujesz niczym, jaki traper-asceta. Sam zaprojektowałeś to wnętrze?

Ashton zaśmiał się i upił łyk gorącej, aromatycznej kawy. Rzeczywiście, pretensjonalny komfort nie licował z jego subtelnym gustem.

— Chodziło m o odpowiedni efekt, Charles. Taki krzykliwy przepych działa na Malcolma Sinclaira, rozumiesz, co mam na myśli, prawda? — Malcolm wymykając się z domu, szukał towarzystwa tandetnie wystrojonych kokot, które mniej miały elegancji wszystkie razem niż Lierin w jednym małym palcu. — Chciałem go oszołomić, gdyby zdecydował się kiedyś mnie odwiedzić.

Kapitan pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Ten jegomość musi lubić kobiety, co?

— Można tak powiedzieć — odparł Ashton, nie wdając się w komentarze.

— Malcolm Sinclair? — Powtórzyła Sara powoli. — Kto to jest?

Ashton wskazał głową w stronę domu.

— Mieszka tutaj... razem z Lierin i wmawia mi, że to Lenora.

— Matka mojego męża była z domu Sinclair — powiedziała Sara w zamyśleniu i podeszła do otwartej klapy namiotu, by zerknąć w kierunku tarasu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Malcolm. Nie widząc go, usiadła z westchnieniem na poduszkach, wzięła do ręki filiżankę z herbatą i zwróciła się do Ashtona: — Wie pan, że Horacy Titch bardzo się interesował parostatkiem, który kupił pan niedawno? A potem kręcił się wokół spalonego magazynu. Nie wiedziałam, co robić, ale pomyślałam sobie, że trzeba zawiadomić szeryfa. Obiecał, że będzie miał jegomościa na oku.

— Horacy był i tutaj — powiedział Ashton, dolewając sobie kawy ze srebrnego dzbanka. — Może nawet jeszcze jest. Harvey przesłuchiwał go, nie ma jednak żadnych dowodów, że Titch był zamieszany w sprawę pożaru. Na wszelki wypadek nająłem kilku ludzi, którzy pilnują bezpieczeństwa Lierin, dopóki on się tu kręci. — Zaśmiał się z goryczą. — Malcolm tymczasem wystawił swoje pionki, żeby trzymać mnie z dala od domu.

— Pionki? — Kapitan zmarszczył czoło, słysząc to zaskakujące określenie. — Czyżbyś prowadził jakąś grę, Ashtonie?

— Owszem, rozgrywam partię szachów, w której stawką jest moje serce.

Malcolm postanowił wykorzystać fakt, że Ashton zajęty jest gośćmi i wywieźć żonę niepostrzeżenie do Biloxi. Ruszył do jej pokoju, nie myśląc o tym, że Megan nie obudziła jeszcze pani. Drzwi były zamknięte na klucz, obudzona głośnym pukaniem Lenora otworzyła, jęknęła na widok pełnego energii, gotowego do wyjścia Sinclaira, czym prędzej wróciła do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę, żeby nie widzieć intruza.

Mam do załatwienia kilka spraw w Biloxi, madame. Byłbym szczęśliwy, gdyś zechciała mi towarzyszyć. Wstań tedy, z łaski swojej, i ubierz, bo chciałbym ruszać jak najszybciej.

— Och, Malcolmie, jedź beze mnie, źle się czuję i nie mam ochoty czekać na ciebie całymi godzinami w powozie, jak to się zdarzyło ostatnio.

— Rusz się, Lenoro, od razu lepiej się poczujesz, kiedy wsiądziesz do powozu. Przejazdźka dobrze ci zrobi. — Kiedy Lenora wysunęła nos spod kołdry, Malcolm podniósł dłoń na znak, że nie chce słuchać żadnych tłumaczeń. — Nie wymawiaj się, moja droga. Przyślę ci zaraz Megan, przyniesie ci herbatę, a potem pomoże się ubrać. Pospiesz się, proszę, mam ważne spotkanie i chciałbym zdążyć na czas.

Wyszedł pospiesznie, nie dając Lenorze szansy odmowy. Kiedy jego kroki ucichły, rozejrzała się po sypialni. Gorący, wilgotny wiatr, który wpadał przez okno, nie przynosił najmniejszej ulgi. Koszula przywierała do ciała, w zagłębieniu między piersiami zbierały się kropelki potu. Słabym ruchem odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Chwilę trwała bez ruchu, walcząc ze wzbierającymi nudnościami, po czym podeszła powoli do umywalni. Jedno spojrzenie w lustro upewniło ją, że dzieje się z nią coś złego: blada, zmęczona twarz, podkrążone, pozbawione zwykłego blasku oczy. Westchnęła ciężko i z rezygnacją przystąpiła do porannej toalety. Obmyła twarz zimną wodą, licząc, że to ją orzeźwi i przywróci energię.

Nie przywróciło. Dopiero po wypiciu przyniesionej przez Megan herbaty poczuła się nieco lepiej, ale kiedy pokojówka pod sunęła jej do powąchania wodę kolońską, której miała użyć, odepchnęła dłoń z flakonikiem i odwróciła głowę ze wstrętem.

— Nie, Megan, proszę o coś delikatniejszego, ten zapach jest zbyt intensywny, mdli mnie.

Dziewczyna bacznie przyjrzała się swojej pani.

— Przepraszam, że ośmielam się pytać, ale czy madame może mi powiedzieć, co jej dolega?

Lenora wzruszyła ramionami.

— To ten upał. Nie rozumiem, dlaczego ty jesteś taka żwawa.

— Ano, jakoś się ruszam, ale bo też mnie nic nie dolega.

Lenora przyłożyła chłodny okład do czoła i spytała ostrożnie:

— Uważasz, że mnie coś dolega, poza upałem?

— Ja swoich dzieci nie mam, psze pani, ale kiedy moja siostra była przy nadziei, to wypisz wymaluj tak się męczyła jak pani.

Lenora przymknęła powieki z ciężkim westchnieniem. Gdyby była w Belle Chante przyjęłaby wiadomość o ciąży z radością, ale w obecnej, już i tak przecież niełatwej sytuacji oznaczało to same komplikacje. Bała się, była przerażona, nie miała pojęcia, jak upora się z przygniatającymi problemami. Być może postąpiłaby rozsądniej, gdyby od razu, na samym początku wyznała, co łączy ją z Ashtonem; wówczas Malcolm i Somerton musieliby się liczyć z możliwością, która teraz okazała się rzeczywistością. Zastanawiała się, kiedy zauważą jej stan, wiedziała jednak, że nie może czekać, że powinna ich jakoś uprzedzić, unikając przy tym gwałtownych scen.

— Megan, czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

— Słucham, psze pani?

— Proszę, żebyś zachowała na razie tę wiadomość w sekrecie. Nadarzy się stosowny moment, wtedy powiem. Mocno wątpię, by pan Sinclair ucieszył się, słysząc, że oczekuję dziecka.

— Rozumiem. Może pani na mnie liczyć, madame. Umiem trzymać język za zębami.

— Naprawdę rozumiesz? — zapytała Lenora z nikłym uśmiechem.

Pokojówka powoli pokiwała głową.

— To pan Wingate, prawda? Jego dziecko nosi pani w łonie.

Lenora mogła mieć tylko nadzieję, że Malcolm i Robert nie będą tak przenikliwi jak Megan. Lękała się o bezpieczeństwo Ashtona. Nagle ogarnęła ją fala nudności, przytknęła dłoń do ust, nachyliła się nad miską, którą podsunęła jej Megan, a kiedy torsje ustały, spojrzała bezradnie na dziewczynę.

— Nie mogę w takim stanie jechać z Malcolmem do Biloxi — szepnęła.

— Proszę się niczym nie martwić. Zaraz powiem panu Sinclairowi, że pani źle się czuje, a jeśli będzie nastawał na wyjazd, niech tu przyjdzie i przekona się na własne oczy.

Lenora przeraziła się, słysząc, co Megan knuje.

— Nie zamierzasz chyba...

— Proszę odpocząć. Jeśli nie będzie innego sposobu, to i ten dobry. A niechby go zemdliło, co tam — mruknęła dziewczyna, której od dawna nie podobał się sposób, w jaki Malcolm traktuje jej panią.

Letnie dni stawały się coraz dłuższe, po krótkim zmierzchu szybko zapadały ciemności. Kiedy Ashton wyszedł przed namiot, słońce właśnie chowało się za horyzontem. Przeciągnął się i spojrzał w usiane gwiazdami niebo, potem na ocean. W zatoce rysowała się zgrabna sylwetka „Szarego Orła”, a lampa zapalona przez wachtowego stanowiła znak, że jego rozkazy zostały wykonane i że załoga czuwa, by na pokład nie dostał się nikt obcy.

Gdzieś na bagnach rozległ się głos czapli; Ashton odwrócił głowę i zerknął w stronę domu. W oświetlonych oknach na próżno wypatrywał sylwetki ukochanej. Zapalił cygaro i ruszył powoli w kierunku plaży.

Lenora! Lierin! Lenora? Lierin? Twarz ta sama, dwa różne, nakładające się na siebie imiona...

Zacisnął zęby, gniewnym gestem odrzucił cygaro. Chętnie wyładowałby na kimś dławiacą go złość. Najlepiej na Malcolmie. Cóż, kiedy stał na brzegu samotnie, za jedynych potencjalnych przeciwników mając jedynie lotny piasek i bezkres oceanu. Wtem kątem oka dostrzegł jakiś ruch. W jego stronę zmierzała ubrana na białą postać. Czy to możliwe...? Czyżby to była...?

— Lierin! — szepnął niemal bez tchu, acz miał wrażenie, że wykrzyczał ukochane imię pełnym głosem. Tak, nie mylił się, to była ona.

Kiedy rzucił się biegiem w jej kierunku, stanęła spłoszona. Dopiero teraz zobaczył, że jest w samej koszuli nocnej. Dół szatki zmoczyły fale przyboju, wiatr igrał z rozpuszczonymi włosami dziewczyny, całą postać spowijała delikatna poświata księżycy.

— Lierin — szepnął powtórnie i w tym jednym słowie zawierała się cała tęsknota człowieka, który umiłował niepochwytne miraż, żył marzeniem i cierpiał męki.

— Lenora — odparła niemal błagalnie.

Ashton nie widział, co prawda jej twarzy, ale słyszał rozdzierający serce smutek w jej głosie.

— Jakkolwiek masz na imię, nadal jesteś moją miłością.

Odgarnęła kosmyki włosów z twarzy, zapatrzona w Ashtona walczyła z ogarniającym ją pragnieniem i napływającymi wspomnieniami. Jaką okrutną torturą potrafi być miłość, myślała i pytała samą siebie, czy jej biedne serce kiedykolwiek zazna spokoju.

— Nie przypuszczałam, że cię tu spotkam — powiedziała cicho. — Ojciec mówił, że widział, jak odpływasz na swój statek, i zaprosił ludzi, którzy pilnują domu, na kieliszek whisky.

— Twój ojciec musiał widzieć marynarza, który przywiózł mi jedzenie i zaraz potem wrócił na pokład „Szarego Orła” — wyjaśnił Ashton.

— Och.

— Czy w domu wszystko w porządku? — zapytał z troską w głosie.

— Tak, po prostu nie mogłam usnąć i pomyślałam, że wyjdę na spacer. — Zamilkła na chwilę, wahając się, czy ma zdradzić, co naprawdę wyгнаło ją z pokoju. — Śniło mi się, że Malcolm zaprowadził mnie na twój grób. Widziałam tablicę nagrobną z wyrytym na niej twoim nazwiskiem. Wiał wiatr, padał deszcz, wszystko wydawało się takie realne, że obudziłam się przerażona.

— To tylko senna mara, najdroższa — uspokoił ją. — Nie zostawię cię samej. A poza tym, czy na pewno wszystko w porządku? — Zapytał raz jeszcze, czując, że Lierin jest spięta, niespokojna, że coś ją trapi.

Otworzyła już usta, by zapewnić go, że nic złego się nie dzieje, ale nie była w stanie dobyć głosu. Pokręciła głową, do oczu napłynęły jej łzy. Odwróciła się szybko i ruszyła przed siebie. Bardziej czuła, niż słyszała że Ashton idzie za nią, zrównuje się z nią.

— Coś cię gnębi, widzę przecież — odezwał się po chwili. — Możesz mi powiedzieć, o co chodzi.

Zrozumiała, że nie może zbyć jego dociekliwych pytań, że musi mu się zwierzyć.

— Ja... będę miała dziecko — szepnęła ledwie słyszalnie, spoglądając na morze.

Ashtona w pierwszej chwili ogarnęła bezmierna radość i unie sienie, miał ochotę pochwycić swoją Lierin w ramiona, ale nagle poczuł ukłucie niepokoju i znieruchomiał. Zdawała się taka od legła, zimna, jakby uczynione przed chwilą zwierzenie przyszło jej z najwyższym trudem.

— Czyje? — zapytał wreszcie ze ściśniętym gardłem, z trudem opanowując drżenie rąk.

Zabolało ją to pytanie, nie powinien go w ogóle zadawać. Otarła spływające po policzkach łzy i rzuciła przez ramię:

— Od chwili, gdy tu przyjechałam, nie spałam z Malcolmem.

Ashton uczynił krok w stronę ukochanej, jedną ręką objął ją delikatnie, drugą położył 1a jej łonie, zdumiony cudem życia, który za kilka miesięcy miał ich obydwoje obdarować dzieckiem.

— Czy teraz zdecydujesz się wrócić ze mną do domu? — szepnął, nachylając wargi do jej ucha.

Lenora westchnęła smutno.

— Dziecko niczego nie rozwiązuje, Ashtonie. Nie mogę wrócić do Belle Chante nie wiedząc, kim jestem. Tyle rzeczy muszę sobie przypomnieć. Jak mogę przystać na to, że jestem twoją żoną, kiedy w moich wizjach widzę swój ślub z Malcolmem?

— Wizje niekoniecznie muszą odpowiadać rzeczywistości. Skąd pewność, że to, co ci się jawi, jest prawdą?

264

— Malcolm zdaje się potwierdzać moje wyobrażenia, a przecież nie czyta w moich myślach, a ja mu się z niczego nie zwierzam.

— Nie sądzisz chyba, że będę beczynn timer patrzył, jak inny mężczyzna zabiera mi ciebie i nasze dziecko? — Głos Ashtona brzmiał surowo, ochryple.

— Daj mi jeszcze trochę czasu, najdroższy — powiedziała prosząco. — Czuję, że ten dom kryje w sobie wiele sekretów. Jeśli stąd teraz wyjadę, być może nigdy już się nie dowiem, kim jestem.

— Pozwól mi, zatem pozbyć się stąd Malcolma — zasugerował Ashton. — Boję się o twoje bezpieczeństwo, wiedząc, że ten człowiek jest w pobliżu. Kiedy wpadnie w gniew, potrafi być nie obliczalny, a twój ojciec nie obroni cię przed nim.

— Wiem i będę ostrożna, ale musisz pamiętać, że Malcolm jest częścią mojego życia.

— Co ze mną?

Lenora oparła mu głowę na piersi i zapatrzyła się w daleki widnokrąg.

— Nie wiem, Ashtonie. Mam nadzieję... — Usta jej zadrżały, do oczu ponownie napłynęły łzy. — Choćby ze względu na dziecko, chciałabym wierzyć, że łączy mnie z tobą coś więcej

niż tylko terażniejszość. Kładę się wieczorem cło łóżka i kiedy gasną wszystkie światła, wspominam, jak było z tobą. Mam wrażenie, że jesteś obok mnie, czuję dotyk twoich dłoni, tęsknię za tobą...

— Nie musisz mi mówić, aż nazbyt dobrze wiem, co to jest ból niezaspokojonych pragnień.

— Muszę się dowiedzieć, kim jestem. — Z oddali doszedł od głoś końskich kopyt i turkot powozu. — To Malcolm. Pora wracać do domu.

Ashton przytulił ją mocniej, odwlekając rozstanie.

— Nie odchodź bez pocałunku — szepnął. — Nie mam aż tak silnej woli, jak ci się wydaje.

Kiedy się rozstali, długo za nią spoglądał, aż w końcu jej sylwetka zniknęła w mroku, a on znowu został sam, jakby noc zagarnęła to, co było dla niego najważniejsze. Księżyc skrył się chmurami, zbierało się na deszcz, zbliżał się przyływ, który już wkrótce miał zmyć z piasku ślady spotkania kochanków.

Popołudnie było spokojne, ale Lenora nie mogła zaznać spokoju. Chociaż wiedziała, że Ashton jest gdzieś w pobliżu, czuła się bardzo samotna. Chciała, żeby był obok niej, była pewna, że zjawiłby się na jej pierwsze wezwanie. Z każdym dniem coraz więcej myśli poświęcała dziecku i bardzo pragnęła podzielić się nim z kimś, kto darzył miłością zarówno ją, jak i nie narodzone maleństwo, ale cóż, spotkanie z Ashtonem, pod okiem pilnujących jej ludzi, było właściwie niemożliwe, a nawet jeśli, to ściągnęłoby tylko na obydwójce gniew Malcolma.

Robert wyjechał w interesach do Nowego Orleanu i zamierzał zabawić tam kilka dni. Sinclair wyprawił się do miasteczku, jak zwykle nie informując, kiedy wróci do domu. Chociaż nie opowiadał się Lenorze, na czym i z kim spędza czas w Biloxi, od nosił się do niej ostatnio z pewnym respektem, jakby zaczęło mu zależeć na jej dobru albo bał się, że ją utraci.

Rozesłano już zaproszenia na przyjęcie, które miało się odbyć w salonach „Czarodziejki”, i Malcolm, ku zaskoczeniu Lenory, z entuzjazmem przygotowywał się do owego wieczoru. zaproponował nawet, by z tej okazji sprawiła sobie nową kreację; chciał się pokazać i pochwalić żoną przed innymi gośćmi, wpływowymi osobistościami stanu Missisipi. Lenora nie musiała na wet jechać do Biloxi, bo Malcolm, gotów na każdy wydatek, byle dobrze wypaść w tak znakomitym towarzystwie, sprowadził krawcową do domu.

Przechadzała się teraz nerwowo po pokojach rezydencji, szukając dla siebie jakiegoś zajęcia, które zabsorbowałyby myśli. Malcolm podsunął jej pomysł, by sięgnęła po tamborek, mulinę i zajęła się haftowaniem, ale nie miała do tego nastroju. W końcu znalazła tom ze sztukami teatralnymi, który ojciec zostawił rano na stole w jadalni, i usiadła w salonie, zamierzając spędzić czas nad książką. Otworzywszy zniszczoną okładkę, natrafiła na pierwszej stronie na nieczytelne zawijasy. Dopiero po chwili udało się jej odcyfrować prawie nieczytelny podpis, ale potraktowała go obojętnie, jako że nazwisko Edward Gaitling nic jej nie mówiło. Nic dziwnego, pomyślała, tyle spraw i wspomnień zatoneło w mrokach niepamięci ze wraz nimi mogło zatrzeć się również i to nazwisko. A może Edward Gaitling był po prostu odtwórcą ról szekspirowskich i proszony przez ojca złożył swój autograf na edycji sztuk poety, którego był entuzjastą? Odłożyła na moment książkę, upiła łyk herbaty i jej wzrok padł na wiszący nad kominkiem pejzaż. Odniosła to samo wrażenie, co pierwszego wieczoru po przyjeździe, wrażenie dziwnej dysharmonii między obrazem a resztą wystroju wnętrza.

Zaintrygowana podeszła bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć malowidłu. Choć okazałych rozmiarów, nie uzyskałoby godziwej ceny w galerii sztuki.

Ścisnęła skronie palcami, usiłując nadażyć za własnymi myślami. Skąd wiedziała, że obraz jest marny i zostałby nisko wy ceniony przez marszanda? Czyżby była w galeriach? Na jakiej podstawie oceniała wartość płótna, które miała przed oczami?

Przypomniała sobie szkic, który ojciec przywiózł do Belle Chante Somerton powiedział wtedy, że to jej dzieło. Skoro sama malowała, być może znała się na sztuce i umiała ocenić wytwory innych artystów?

Chcąc sprawdzić możliwości własnej ręki, podeszła do biurka w poszukiwaniu pióra i atramentu. W środkowej szufladzie znalazła plik papierów, które wyglądały na niedokończone szkice. Zaczęła je uważnie oglądać, jakby spodziewała się znaleźć w nich rozwiązanie dręczących ją pytań dotyczących własnej tożsamości. Było tam kilka rysunków przedstawiających ten sam stary dwór w Anglii, jakieś niebudzące żadnych wspomnień pejzaże.

Jej zainteresowanie wzbudził dopiero zgrabnie narysowany portret kobiety w stroju do konnej jazdy. Spoglądała na dziewczynę w zawadiackiej pozie w przekrzywionym na bakier kapeluszu, ale to nie poza i nie strój dziewczyny zwróciły jej uwagę, lecz twarz. Był to portret czy też autoportret? Podobizna Lierin czy Lenory? Uważnie się przyjrzawszy, odkryła dobrze ukryty pośród linii tworzących fałdy sukni podpis „Lenora”. To zrozumiałe, że własnej postaci nie oddałaby z taką biegłością kreski i dbałością o szczegół, do szkicu musiała, zatem pozować jej siostra.

Oparła kartkę ze szkicem o podstawę lampy, ujęła w dłoń pióro i zaczęła rysować replikę. Choć bardzo się starała, nie była w stanie oddać choćby zbliżonego kształtu. Oporne pióro kreśliło niezgrabne zygzaki, znaczone od czasu do czasu kleksem. Zmiała kartkę i zaczęła od początku, z tym samym skutkiem. Różnica między oryginałem a repliką była wprost niewyobrażalna, co Lenora złożyła na karb nieprofesjonalnych narzędzi, jakie miała na podorędziu. Zniechęcona uprzątnęła bałagan na biurku i poszła na piętro, ale tu zatrzymała się z wahaniem przed drzwiami swojego pokoju: nie miała ochoty spędzić pozostałej części popołudnia na czytaniu, drzemka też nie wchodziła w rachubę, bo ledwie zamknęła oczy, pod powiekami pojawiał się obraz Ashtona i na nowo odżywała bolesna tęsknota. Stała tak chwilę w korytarzu, rozmyślając, co ze sobą począć, gdy jej wzrok padł na znajdujące się po drugiej stronie schodów drzwi, jedyne, których nikt nie otwierał, jakby wiodły do nigdy nieużywanego pokoju. Postanowiła sprawdzić, co się za nimi kryje, ale z rozczarowaniem stwierdziła, że są zamknięte na klucz. Ponieważ wiedziała, że większość kluczy w domu pasuje do rozmaitych pomieszczeń, przyniosła klucz od swojej sypialni, włożyła do zamka, przekręciła, usłyszała chrobot, drzwi ustąpiły, skrzypnęły zawiasy i znalazła się w wąskim korytarzyku, z którego wiodły schody zamknięte na górze kłapą, prowadzące najwyraźniej na strych. Pociąg nęła za sznur, opatrzona przeciwwagą kłapa się uchylila. Lenora wspięła się na górę i ostrożnie wychyliła głowę przez otwór w podłodze. Służący musieli przynajmniej raz na rok sprzątać strych, bo nie dostrzegła pajęczyn i grubej warstwy kurzu, których można tu było oczekiwać. Pod jedną ze ścian piętrzyły się ogromne kufry i stare sakwojaże, obok nich rozłożone na części łóżko, a o filary podtrzymujące konstrukcję dachu stały wsparte jakieś obrazy owinięte w płótno, między filarami dostrzegła pudła z różnymi drobiazgami.

Lenora otarła pot z czoła, bo na strychu panowała nieznośna duchota, i bliżej przyjrzała się kufrom. Szczególnie jeden zwrócił jej uwagę: nowszy od pozostałych, zdawał się jej dziwne znajomy. Prawie pewna, że należał do niej, nachyliła się, usiłując podnieść wieko, ale kufer był zamknięty. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, którym mogłaby podważyć metalową skuwkę, nie znalazła jednak nic poza starym, ułamanym nożem do otwierania listów. Męczyła się kilka minut — bez skutku, kufer nie chciał odkryć swoich tajemnic. Zrezygnowała, obiecując sobie, że wróci na strych z czymś skuteczniejszym niż zardzewiały

nożyk i podeszła do obrazów. Wśród banalnych pejzaż i mar twych natur natrafiła wreszcie na portret mężczyzny, wysunęła go ze sterty pozostałych i ustawiła tak, by na płótno padało więcej światła. Przedstawiony na obrazie człowiek mógł być mniej więcej w wieku Roberta, miał szpakowate włosy, surowe rysy, a z jego twarzy biła uczciwość, poczucie sprawiedliwości i siła charakteru. Chociaż Lenora długo studiowała portret, oblicze mężczyzny nie budziło w niej żadnych wspomnień. Odstawiła malowidło na miejsce i nagle uderzyła ją zaskakująca myśl, przebłysk pewności, że ów tajemniczy portret musiał kiedyś wisieć nad kominkiem w salonie, tam gdzie teraz znajdował się pejzaż.

Odwróciła się, ponownie wysunęła obraz ze stosu i ostrożnie zeszyła z nim na dół, do salonu. Oparła płótno o ścianę, przysunęła krzesło do kominka, zdjęła pejzaż i zawiesiła w jego miejsce podobiznę mężczyzny, po czym przyjrzała się swojemu dziełu z pewnej odległości. Tak, teraz, kiedy znad kominka zniknął rażący bohomasz i pojawił się tam portret, wewnątrz wyglądało zupełnie inaczej, tak ja\ powinno wyglądać. Upewniwszy się, że jej przeczucia były słuszne Lenora zdjęła portret ze ściany. Nie chciała dokonywać żadnych zmian w salonie, bojąc się, że może tym rozdrażnić Malcolm. Być może pejzaż miał dla niego jakieś szczególne znaczenie i jego zniknięcie wprowadziłoby go w złość. Tak rozmyślając, odniosła portret na strych, zamknęła klapę w suficie, przekręciła klucz w zamku i wróciła do swojej sypialni.

Nie bardzo wiedząc, czym wypełnić czas sięgnęła po tom ze sztukami Szekspira po czym z książką w dłoni usadowiła się w fotelu przy oknie. Po chwili książka opadła jej na kolana Lenora zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w widnokrąg, a przed jej oczami powoli zaczęła się pojawiać twarz. Twarz człowieka z portretu: ożywiona uśmiechem, strapiona, zamyślo na, to znowu pełna czułości, za każdym razem inna...

Lenora zmarszczyła czoło. Gdzieś w głębi zablokowanej pamięci tkwiły wspomnienia związane z człowiekiem z portretu. Musiała go dobrze znać.

W jakiś czas potem przed domem pojawił się Malcolm na spienionym wierzchowcu, tak jakby całą drogę z miasteczka prze był galopem. Zamiast jednak zsiąść i dać wreszcie odpocząć zajeżdżonemu prawie na śmierć zwierzęciu, skierował konia w stronę obozowiska Ashtona. Kilka razy okrążył namiot, wreszcie zatrzymał się przed wejściem i zawołał gromko:

— Wyjdź no ze swojej kryjówki, Wingate, mam słowo do ciebie.

Po chwili przed namiotem pojawił się Ashton, a zaintrygowana Lenora wyszła na taras, by stąd śledzić rozmowę między mężczyznami.

— O co ci chodzi, Malcolmie? zagadnął Ashton, unosząc brwi.

Malcolm, zamiast odpowiedzieć, nachylił się i poklepał ogiera po szyi w niezwykłym dla siebie odruchu czułości. Nie dbał nigdy o zwierzęta, nie troszczył się o nie, był dla nich okrutny, potrafił zamęczyć, zmuszając do nadmiernego wysiłku.

— Słyszałem w miasteczku, że nosisz się z zamiarem kupienia konia dla pewnej damy — odparł Malcolm po dłuższej chwili.

— To prawda — przytaknął Ashton i zapalił trzymane w kąciку ust cygaro.

— Wolno spytać, co to za dama?

Ashton zerknął spod oka na Sinclaira, zaciągnął się cygarem i dopiero, kiedy był już pewny, że się rozpałiło, wyjął je z ust, by udzielić odpowiedzi.

— Lierin swego czasu świetnie jeździła konno. — Zdjął okruch tytoniu z języka, wziął go między palce i pstryknął nim w po wietrze. — Pomyślałem, że ucieszy ją prezent w postaci wierzchowca.

Malcolm zmierzył rywala lodowatym spojrzeniem.

— Lenora posiada wiele umiejętności, jeśli jednak sądzisz, że pozwolę mojej żonie przyjąć prezent od innego mężczyzny, toś chyba zwariował.

— Och, nigdy bym się nie zgodził, żeby koń trafił do twojej stajni, Malcolmie. Jeśli miałyby mieć taką opiekę, jak ten, Lierin nie cieszyłaby się nim długo... — Wskazał końcem cygara spienionego ogiera.

Malcolm nawet nie próbował się tłumaczyć.

— Od zwierząt oczekuję, by mi służyły, kiedy są potrzebne — odparł z bezczelnym uśmiechem. — To samo mógłbym powiedzieć o kobietach.

Ashton spojrzął twardo na Sinclaira, potarł dłonią brodę.

— Miałem okazję przekonać się jak traktujesz kobiety z gospody Ruby'ego. Rzeczywiście, niewiele lepiej niż tego biednego konia.

Malcolm stanął w strzemionach, miał ochotę zeskoczyć z grzbietu wierzchowca i rzucić się do bójki, ale zdrowy rozsądek wziął górę, każąc mu pozostać w siodle.

— Ale nie takie niewiasty, które się nam obu podobają — mruknął wreszcie.

— Nie trudno podziwiać taką kobietę, jak Lierin. — Ashton przez chwilę rozkoszował się smakiem cygara, po czym dodał: — Zastanawiam się natomiast cały czas, co też Lenora dostrzegła w tobie.

Malcolm spąsował na tę obelgę, ale i tym razem powściągnął wściekłość.

— I ja mógłbym zapytać, dlaczego Lierin zgodziła się wyjść za ciebie za męża. i o zakład, żeś ją do tego zmusił. Jesteś jak zakała, chwast, który się wszędzie wciśnie.

Ubawiony epitetem Malcolma, Ashton parsknął śmiechem.

— Dla ciebie na pewno jestem zakałą.

— Nie ma co się okłamywać — oznajmił zimno Malcolm. — Obydwaj doskonale wiemy, jakie uczucia do siebie wzajem żywimy. Chyba nie masz w tej kwestii żadnych złudzeń, Wingate?

— Wyobraź sobie, że nie mam i że nienawiść jest obopólna — zgodził się Ashton.

— Rozumiesz zatem, dlaczego nie zgodzę się, by Lenora przyjęła prezent od ciebie. Dobrze radzę, oszczędź sobie niepotrzebnego wydatku.

— Nie potrzebuję twojej zgody, by kupić konia, Malcolmie — odparł Ashton z niezmaconym spokojem. — To, żeś dał wyraz swym uczuciom do mnie niczego nie zmienia. Znalazłem już piękną klaczkę Prawdę mówiąc niedługo powinni ją tu przyprowadzić

— Nie pozwolę, żeby Lenora ją przyjęła — huknął Malcolm. — Rozumiesz?

Ashton wzruszył obojętnie ramionami.

— Klacz będzie stała u mnie, do dyspozycji Lierin. Hickory się nią zajmie i przygotuje do jazdy, kiedy tylko madame będzie miała ochotę.

Malcolm zwiesił bezradnie ramiona.

— Wierzyć się nie chce, że człowiek może być taki uparty. Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Nie pozwolę Lenorze jeździć na tym koniu! Nie pozwolę i już! Kropka. Słyszysz?

— Chciałbyś zrobić z niej więźnia, prawda? Od kiedy tu jestem, nie pozwalasz jej poruszać się swobodnie, pilnujesz na każdym kroku.

— To chyba oczywiste! — warknął Malcolm. — Strzegę jej właśnie przed tobą. Nie chcę, żeby spotkał ją ten sam los, co Mary! Dziwnym trafem dziewczyna zginęła zaraz po twoim przyjeździe. Powiedz mi, waszmość Wingate, jak mam to sobie tłumaczyć? Zanim się tutaj pojawiłeś, Biloxi było cichym, spokojnym miejscem.

— Oczywiście — odparł Ashton z ironią. — Nikt nie kwestionował twoich roszczeń, nikt ci nie przeszkadzał. Jeśli zaś chodzi o Mary, wiesz równie dobrze jak ja, że nie miałem nic wspólnego z jej śmiercią, podobnie zresztą jak moi marynarze.

— Nie, nie wiem. — Malcolm trwał przy swoim. — Nie przekonasz mnie o swojej niewinności.

— Myślałem, że jesteś trochę bystrzejszy, ale widać się myliłem. Wiem, że najchętniej oskarżyłbyś mnie o morderstwo i po zbył stąd. Boisz się, że stracisz Lierin albo to, co możesz dzięki niej zyskać.

— Można wiedzieć, do czego zmierzasz? — natarł Malcolm.

Ashton spojrzał mu prosto w oczy.

— Jej ojciec jest zniedołężniałym, starym człowiekiem, dużo pije, może mu się przytrafić nieszczęśliwy wypadek. Jeśli będziesz cierpliwy, trochę poczekasz i zdasz się na bieg zdarzeń, pewnego dnia zostaniesz bogatym człowiekiem.

— Mam własny majątek! — zawołał Malcolm tonem urażonej godności.

— Tak? Gdzie? Z tego, co wiem, nic nie posiadasz. Nie jesteś plantatorem, nie masz ziemi, żyjesz nie wiadomo, z czego, włóczysz się po świecie i tylko szukasz, gdzie by sobie ciepłe gniazdko uwić.

— Dłużej nie będę tego słuchał. — Malcolm ściągnął mocno cugle, obrócił konia i rzucił jeszcze przez ramię: — Wybij sobie z głowy swój prezent, Wingate, a pieniądze wydaj, na co innego. Nie pozwolę Lenorze dosiąść klaczy.

Po chwili był już przed domem, zeskoczył z wierzchowca, rzucił cugle chłopcu stajennemu i wtargnął jak burza na taras, gdzie stała Lenora.

— Ten bufon z namiotu kupuje ci klacz... — zaczął bez zbędnych wstępów. — Ale nie ciesz się zbyt wcześnie jego wspaniałomyślnością, moja droga, bo zabraniam ci przyjmowania jakichkolwiek prezentów. — Oczy pociemniały mu ze złości.

Oczekuję, że mnie usłuchasz — dodał jeszcze z emfazą i zniknął w domu.

Lenora drgnęła, gdy rozległo się potężne trzaśnięcie drzwiami, i po chwili odetchnęła z ulgą. Na jakiś czas była znowu wolna od humorów Sinclaira.

Prezent Ashtona dostarczono następnego dnia, na szczęście pod nieobecność Malcolma. Kiedy Lenora zobaczyła jeźdźca, który zbliżał się niespiesznie do domu, prowadząc śliczną klaczkę za swoim wierzchowcem, wybiegła bez tchu na podjazd, by na cieszyć oczy jej widokiem. Klacz była rzeczywiście piękna. Smukła, dumna, ze wspaniałą, rozwianą grzywą, stąpała tanecznym krokiem, wysoko unosząc nogi o cienkich pęcinach.

Nie zważając na pilnujących rezydencji ludzi, którzy ruszyli, by go zawrócić, jeździec podjechał namiotu. Na jego spotkanie wyszedł szeroko uśmiechnięty Ashton, przywitał się,

zamienił kilka słów z przybyszem i polecił, by podprowadził klacz bliżej domu, do samej granicy oddzielającej obozowisko od gruntów należących do rezydencji. Widząc, że strażnicy zagradzają drogę chłopakowi, Lenora zbiegła z tarasu i dołączyła do grupki mężczyzn. Po jednej stronie granicy stanęli pilnujący, po drugiej Ashton i młodzieniec z klaczką. Jeden ze strażników, usiłując powstrzymać Lenorę uczynił taki gest jakby zamierzał odesłać ją na powrót do domu, Ashton już chciał interweniować, ale Lenora nie potrzebowała pomocy.

— Zejdźcie mi z drogi, człowieku, albo was siłą usunę, a jak nie, to wam po głowie przejdę i ze skóry obedrę, jeśli mnie dotkniecie — zagroziła nieznośnym sprzeciwu tonem. — Czy wyrażam się jasno?

Ashton omal nie parsknął śmiechem; oszołomiony atakiem Lenory, kompletnie zbity z pantafelki osiłek zerknął niepewnie na swojego towarzysza, daremnie szukając u niego wsparcia. Co innego wdać się w bójkę z mężczyzną, inna rzecz kłótnia z niewiastą, zwłaszcza tak porywczą. Jegomość mruknął coś na swoje usprawiedliwienie i ustąpił Lenorze z drogi.

— Och, ona jest piękna, Ashtonie! — westchnęła, przekraczając granicę dzielącą wrogie terytoria i podchodząc do klaczy. — Jak mam ją nazywać?

— Najmilsza — odparł Ashton rad, że sprawił Lierin przyjemność.

— Bardzo odpowiednie imię.

— Mnie też się tak wydaje — przytaknął z chłopięcym uśmiechem. — Jest wyjątkowa. Jak ty. Będziesz pięknie na niej wyglądała.

Lenora westchnęła na wspomnienie awantury wywołanej przez Malcolma.

— Nie mogę jej przyjąć. Wiesz przecież, że to niemożliwe.

Ashton spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Zatrzymam ją w swojej stajni, u mnie będzie bezpieczna. Będzie na ciebie czekała..., kiedy tylko będziesz miała ochotę popatrzeć na nią... albo wybrać się na przejażdżkę... Jest twoja, madame.

Pokusa była rzeczywiście wielka.

— Może, jeśli pożyczę ją od ciebie od czasu do czasu, Malcolm nie będzie protestował. — Pokręciła głową, nie bardzo wierząc we własne słowa i westchnęła z rezygnacją. — Nudzę się, nie mogę usiedzieć beczynnym w domu, konna przejażdżka byłaby wspaniałym urozmaicheniem. — Nagle na jej twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech. — Mógłbyś ją dla mnie osiodłać... teraz?

Słyszając to, jeden ze strażników uczynił krok do przodu./

— Pani Sinclair... chyba pani nie powinna...

Zamilczże, człowieku! — Lenora stanowczo ucięła wątpliwości najemnego opiekuna. — Będę robiła tylko to, na co mam ochotę, a jeśli nie spodoba się to Malcolmowi... to trudno

Ashton ujął klacz za cugle i odprowadził ją do boksów, przy których czekał już Hickory, Lenora zaś, wysoko unosząc kraj spódnicy i zapominając o manierach, jakie przystoją damie pognała co tchu w piersiach w kierunku domu.

— Megan! — wołała, przeskakując stopnie ganku. — Megan, przygotuj mi amazonkę, wybieram się na konną przejażdżkę.

W chwilę później była już z powrotem, ubrana w szarawą amazonkę z białym koronkowym żabotem. Hickory tymczasem zdążył osiodłać także Ashtonowego ogiera i czek już przy wierzchowcach.

Ashton pożegnał się z chłopcem, który przyprowadził klacz, po czym pomógł Lenorze dosiąść Najmilszej.

— Przekonajmy się, co pamiętasz — powiedział, podając cugle dziewczynie. — Bądź ostrożna, nigdy nie darowałbym sobie, gdy by stało ci się coś złego.

Lenora ruszyła stępą, zataczając szerokie koła na podjeździe przed domem, potem sprawdziła, jak będzie się trzymała w siodle w kłusie, galopie, cwale. Zarówno ona, jak i klacz zdały egzamin celująco. Ashton skinął głową z aprobatą, dosiadł swojego ogiera i obydwójce ruszyli w stronę plaży, znikając po chwili z oczu bezradnym strażnikom.

Jechali obok siebie zatopieni w rozmowie. Tyle mieli sobie do powiedzenia: Lenorę radowało wszystko: towarzystwo Ashtona, wspaniała klacz, orzeźwiająca morska bryza, słońce, on zaś chciał dowiedzieć czegoś więcej o jej stanie, chciał usłyszeć jak się czuje, kiedy oczekuje porodu, kiedy zaszła w ciążę.

— Przypuszczam, że przed naszym wyjazdem do Nowego Orleanu. Poza tobą i Megan nikt o niczym nie wie.

— Na miłość boską, nie mów nic Malcolmowi — przestrzegł ją Ashton. — W każdym razie nie wtedy, kiedy będziecie sami w domu. Byłbym spokojniejszy, gdybyś pozwoliła mi pozbyć się i jego i tych dwóch ponurych jegomości, którzy mają cię pilnować. Mogłabyś mieszkać tylko z ojcem, a ja przysięgam, że nie próbowałbym nawet zbliżyć się do rezydencji... Nie będę też zmuszał cię, żebyś wróciła ze mną do Belle Chante dopóki sama nie uznasz, że już czas.

— Tak mówisz, jakbyś cały czas nie próbował mnie zmuszać i namawiać do wyjazdu — powiedziała Lenora ze śmiechem.

— Przyznaję, nalegam na wyjazd, ponieważ martwię się o ciebie.

— Dziękuję — odparła i uśmiechnęła się czule.

Ashton cicho jęknął. Czy ukochana zdawała sobie sprawę, co się działo w jego duszy, gdy tę najdroższą twarz opromieniał łagodny, pełen miłości uśmiech?

— Robisz ze mną, co tylko chcesz, jestem jak glina w twoich rękach — wyznał bezradnie.

Lenora pokręciła głową.

— Nie sądzę. — Odwróciła głowę, zaniepokojona tym, że za bardzo oddalili się od rezydencji. — Powinniśmy chyba wracać. — Zaśmiała się na wspomnienie min jej osłupiałych strażników, kiedy ci tracili ją z oczu. — Jeśli Malcolm pojawi się w domu przed nami, gotów zabić tych dwóch smętnych jegomości.

— Bardzo dobrze by uczynił — odparł Ashton bez namysłu.

— Och, Ashtonie, nie mówisz chyba poważnie. Dajmy już spokój, nie wracajmy więcej do tego tematu.

Zawróciwszy konie, skierowali się w stronę domu. W pewnej chwili Ashton ściągnął cugle, osadził swojego wierzchowca w miejscu, zeskoczył z siodła i podniósł jakąś drobinę, którą wypatrzył na piasku.

— Popatrz, maleńki krab — powiedział, wyciągając otwartą dłoń.

— Tak, musi być bardzo przestraszony.

— Ano właśnie, madame. — Przyklęknął i wypuścił stworzonko. Kiedy się wyprostował, dojrzał w oczach Lenory tę samą tęsknotę, którą znał tak dobrze. Stał bez ruchu, jakby się lękał, że wzajemne porozumienie lada chwila pryśnie. Lenora nachyliła głowę, jej wargi dotknęły jego ust...

— Kiedy kota nie ma...! Słyszając zjadliwy głos za plecami, oderwali się natychmiast od siebie i rozejrzeli niespokojnie. Z niewielkiej odległości obserwował ich Malcolm. Kiedy go dojrzel, spał swojego ogiera, podjechał i ustawił go tak, by rozdzielić kochanków, nie bacząc, że mógł przy okazji strącić Ashtona, który zdołał w ostatniej chwili uskoczyć spod kopyt.

— Powiedziałem ci, żebyś wybił sobie z głowy pomysł z obdarowywaniem mojej żony koniem — wycedził przez zęby, spoglądając lodowato na Ashtona, po czym przeniósł wzrok na Lenorę. — A tobie zakazałem przyjmowania prezentu.

— Nie przyjęłam... jeszcze — odparowała cierpko Lenora. — Chciałam jej tylko dosiąść.

— Zatem więcej nie będziesz jej już dosiadać — uciął Malcolm i wskazał ręką w kierunku rezydencji. — Do domu... Natychmiast! Potem się z tobą rozmówię.

— Pojadę do domu tylko, dlatego, że tam właśnie zmierzałam, a nie, dlatego, że ty tak sobie życzysz. — Lenora dumnie podniosła głowę i odjechała niespiesznym kłusem.

Teraz Malcolm zwrócił się do Ashtona:

— Wiem, że tylko patrzysz, kiedy i jakby sobie użyć z moją żoną. Oświadczam, jeśli się na to kiedykolwiek ważysz, jeśli jeszcze raz cię z nią przyłapię, to wyrwę ci serce i nakarmię nim ryby.

— Spróbuj, bardzo proszę — zachęcał Ashton.

— A żebyś wiedział. Jeszcze poproszę moich ludzi, żeby mi pomogli.

— Zawsze robią to, co im każesz?

— Jasne — odparł Malcolm chełpliwie. — Znam ich od kilku lat i wiem, że mogę na nich polegać w każdej sytuacji.

— Ciekawe. Jak zatem wytłumaczysz to, że jeden z nich jeszcze niedawno pływał jako marynarz na moim parostatku?

Malcolm patrzył na Ashtona z szeroko rozdziawionymi ustami.

— Kiedy to było?

— Usiłuję sobie przypomnieć, ale nie jestem w stanie. Mogę ci tylko zaręczyć, że z całą pewnością pracował u mnie.

— Widać nie bardzo mu się spodobało u waćpana, skoro od szedł — zauważył Malcolm z przekąsem, na co Ashton wzruszył ramionami.

— Może miał inne powody...

— Jakże, mianowicie?

— Nie wiem. Jak się dowiem, nie omieszkam cię poinformować.

— Czekam z niecierpliwością. — Otrząsnąwszy się z zaskoczenia wywołanego wiadomością o pracy jednego ze strzegących domu osiłków na statku Ashtona, Malcolm powiedział swoim

zwykłym zjadliwym tonem. — A tymczasem zabieraj tę przeklętą klacz i raz jeszcze powtarzam, trzymaj się z dala od Lenory.

— Powiedziała ci już, Malcolmie, że nie możesz jej więzić w nieskończoność.

Sinclair nieoczekiwanie dobył pistolet, odwiódł kurek, zmu szając zaskoczonego rywala, by cofnął się o kilka kroków. Ashton nie mógł się bronić, a tym bardziej atakować, stał więc bez ruchu i spoglądał w otwór lufy, spodziewając się, że w każdej chwili otrzyma kulę w pierś.

Malcolm napawał się swoim triumfem. Tego właśnie mu było trzeba, mieć dumnego, wyniosłego imię Wingate'a w swojej władzy, usłyszeć, jak błaga o łaskę. Jeśli jednak spodziewał się jakichś oznak przerażenia, srodze się przeliczył.

— I cóż, zastrzelisz mnie w końcu czy nie? — warknął Ashton.

— Z rozkoszą. Wierz mi, że uczyniłbym to z prawdziwą rozkoszą. — Malcolm uśmiechnął się i opuścił lufę pistoletu. — Ale akurat tę kulkę muszę zachować dla twojej klaczy.

Spiąwszy konia, ruszył pełnym galopem w stronę domu. Ashton jednym susem dopadł swojego wierzchowca, wskoczył na siodło i popędził za gotowym na wszystko, wymachującym bronią szaleńcem.

Malcolm był dobrym jeźdźcem. Nisko pochylony nad końskim grzbietem, uniesiony w siodle gnał przed siebie jak wiatr. Już rozkoszował się widokiem klaczy leżącej w kałuży krwi u stóp Wingate'a. Tak, zrobi to, zastrzeli przeklętą kobyłę, da tamtemu nauczkę. Usłyszał dudniący tętent kopyt za swoimi plecami. Obejrzał się przez ramię. Wingate... Parł do przodu jak błyskawica, zbliżał się, zrównywał z Malcolmem. Konie przez chwilę szły łeb w łeb, ale oto już ogier Ashtona począł wysuwać się do przodu. Szedł lekko, jakby sprawiała mu przyjemność gonitwa dla samej gonitwy. Ashton, inaczej niż Malcolm, nie okładał go pejcem, nie uderzał po bokach kolanami, do niczego nie przymuszał, wystarczyło mu zdać się na zwierzę i jego szlachetny instykt walki.

Lenora obejrzała się na odgłos szaleńczego cwału, zobaczyła, że Ashton unosi się w siodle, wskazuje ręką, by nie jechała do domu, tylko skierowała się w stronę obozowiska.

— Do namiotu, Lierin! — wołał. — Szybciej, szybciej! Schowaj konia!

— Zatrzymajcie ją, chłopcy! — zagrzemiał Malcolm w stronę strażników. — Zatrzymajcie ją za wszelką cenę! Chwytajcie klacz!

Lenora nie miała pojęcia, co się dzieje, ale ufała Ashtonowi, przeto usłuchała natychmiast jego polecenia. Spiąwszy klacz do galopu, minęła pierwszego osiłka, który już biegł w jej stronę, a kiedy drugi zagroził jej drogę, nie próbowała nawet ściągać cugli. Mężczyzna spojrzał rozszerzonymi ze strachu oczami na pędzącą wprost na niego amazonkę. Ta kobieta gotowa była go stratować! W ostatniej chwili zdążył paść na trawę, boleśnie ocierając sobie skórę na twarzy i dłoniach, ale ratując życie.

Przed namiotem czekał już Hickory; wymachując gwałtownie rękoma, przynaglił Lenorę, która wreszcie była już na tyle, blisko, że mógł chwycić za cugle: przyskoczył, osadził rozpędzoną klacz w miejscu i zaraz ukrył ją w boksie. Ledwie Lenora stanęła na ziemi, nadjechał Ashton; jeszcze nie zdążył zsiąść z konia, jak runął na niego, Malcolm, ściągnął z siodła, obalił na trawę, całym ciężarem ciała przygniótł go do ziemi, po czym zaczął dusić w potwornym uścisku.

— Przestań, Malcolmie! — Przerażona Lenora szarpnęła napastnika za ramie, ale on odepchnął ją z taką siłą, że zatoczyła się w stronę namiotu. Ten jeden nieopatrzny ruch pozwolił wyswobodzić Ashtonowi rękę i wymierzyć przeciwnikowi cios w szczękę. Głowa Malcolm'a odskoczyła do tyłu, zawył wściekle i stoczył się na ziemię. Uwolniony Ashton

zerwał się na równe nogi i wy mierzył gramolącemu się z ziemi Malcolmowi cios kolanem pod brodę. Rozjuszony Sinclair, nie bacząc na ból, ciągle jeszcze na klęczkach, zamknął nagłym wyrzutem ramion nogi Ashtona w kleszczowym uścisku i nie zwalniał miażdżącego uchwytu mimo razów, które spadały na jego głowę i barki. Ashton zmienił taktykę, wraził przeciwnikowi knykcie w oczy, przyprawiając go o ból nie do zniesienia. Ze straszliwym rykiem Malcolm zwolnił uścisk, zasłonił twarz rękoma i tak trwał przez chwilę, zbierając siły.

Gdy wreszcie podniósł głowę i odważył się otworzyć oczy, zobaczył jak przez mgłę sylwetkę stojącej u wejścia do namiotu Lenory, a tuż za jej plecami niewyraźny zarys końskiego łba. Prawda, przecież chciał zabić klacz, musi ją zabić, pomyślał ociężale i rozejrzał się za pistoletem, który upadł na ziemię zaraz na początku starcia z Ashtonem. Dojrzał w trawie błysk lufy, wyciągnął rękę w tamtym kierunku, ale zanim zacisnął palce na kolbie, poczuł kolejne bolesne kopnięcie. Broń zakreśliła wielki łuk w powietrzu, upadła, rozległ się huk wystrzału i zaraz potem rozdzierający krzyk:

— Zabił mnie! Zastrzelił! Ratunku, pomocy! — Malcolm, kurczowo ściskając ramię, wił się na trawie, jakby co najmniej dostał kartaczem.

Ashton przyklęknął przy rannym, wprawnym ruchem rozerwał rękaw surduta, potem koszuli, obejrzał uważnie ramię i podniósł wzrok na twarz Lenory, kiedy ta do niego dobiegła i uklękła obok.

— Zwykle draśnięcie — oznajmił z ironią w głosie. — Nic mu nie będzie. Za kilka dni rana powinna się zagoić bez śladu.

Zirytowany, czerwony na twarzy Malcolm szybko zasłonił niepozorną ranę chusteczką, po czym wycedził oskarżycielskim tonem:

— Mógłbym umierać, a on nadal utrzymywałaby, że nic mi nie jest.

— Miałem nadzieję, że to coś poważniejszego — stwierdził Ashton z udanym smutkiem. — Przemij mu tę ranę — zwrócił się do Lenory. — Opatrz, a potem zostaw go. Niech ubolewa nad samym sobą w spokoju ducha. Mam nadzieję, że raz na zawsze odechciało mu się strzelać do klaczy, a gdyby kiedyś jeszcze popróbował... będzie musiał tłumaczyć się przed szeryfem.

Malcolm wstał powoli i odrzucając pomoc Lenory, ruszył w stronę domu. Ashton podniósł tymczasem pistolet i przyjrzał mu się uważnie.

— Jaka też mądrość kierowała tą bronią, że tak bezbłędnie znalazła wśród nas głupca?

Robert Sornerton wrócił do domu z gościem, człowiekiem w tym samym mniej więcej co on wieku i z podobnym pociąganiem do kieliszka. Samuel Eyans przedstawił się jako artysta i rzeczywiście posługiwał się biegle piórkiem, i to tym, które Lenora wcześniej uznała za całkiem bezużyteczne. Rozsiadał się w salonie przy biurku, rysował i snuł barwne opowieści o przypadkach swego życia, a tak przy tym koloryzował, tak się chełpił, fantazjował i przesadzał, że Lenora słuchała jego historii z narastającym powątpiewaniem. Miała wrażenie, że w miarę jak z każdą wypitą szklaneczką jego kreska stawała się coraz bardziej kapryśna, w życiu gawędziarza następowały coraz to bardziej nieoczekiwane zwroty. A spod piórka wychodziły misterne, abstrakcyjne ornamenty, przypominające raczej skomplikowany wzór pisma niż pejzaż czy martwą naturę. Lenora patrzyła zafascynowana, jak rozmaitymi charakterami pisma gość kreśli swoje nazwisko.

— Ejże — zaśmiał się pewnego wieczora Robert. — Ja też tak potrafię.

Samuel gwizdnął na znak niedowierzania.

— Gdzieżby tam, mój przyjacielu! Nie powiesz mi, że umiesz stawiać równie greckie litery! Za sztywną masz rękę, by wodzić piórem jak ja.

— Zaraz się przekonasz. — Robert zanurzył pióro w kałamarzu, złożył zamaszysty podpis, ujął pergamin w dłonie i z dumą za prezentował swe dzieło córce oraz przyjacielowi. — Patrzcie! Robert Somerton! I co teraz powiecie?

Lenora z rozbawioną miną sięgnęła po kartkę. Zrazu nie zauważyła niczego szczególnego, ot płatanina linii. Dopiero po chwili przypomniała sobie autograf, który widziała w książce ojca. Nie, to niemożliwe, pomyślała. Po co Robert miałby pod pisywać własny tomik nazwiskiem innego człowieka?

Podniosła na niego w zadumie oczy. Ostatnio okazywał jej wiele serdeczności i choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego tak się działo, było jej miło, że Robert traktował ją jak córkę, a nie osobę pozbawioną znaczenia. Przy całej dla niego sympatii, nie potrafiła jednak patrzeć na niego inaczej niż z politowaniem.

— Podejdz tu, Lenoro — zachęcał ją teraz. — Pokaż naszemu gościowi, jaki masz piękny charakter pisma. Złóż swój podpis, no, śmiało, moje dziecko, podpisz się.

Czując na sobie badawcze, pełne oczekiwania spojrzenie Samuela Eyansa, Lenora podeszła do biurka, ujęła pióro i nagle, nie wiedząc dlaczego, wstrząsnął nią zimny dreszcz. Zawahała się, zabawa w składanie podpisów wydała się jej pozbawiona sensu. Wtem usłyszała głośne rżenie i, rada z nadarzającego się pretekstu, podeszła do okna; Hickory ćwiczył właśnie Najmilszą na podjeździe.

— To nowa klacz Ashtona — rzuciła przez ramię. — Piękna, prawda?

— Ja — mruknął Robert i napełnił ponownie swoją szklaneczkę. — Nie bardzo się znam na koniach...

Lenorę zaskoczyła ta uwaga. Dlaczego dotąd zakładała, że jej ojciec kocha konie i że jest... albo był, świetnym jeźdźcem? Zmarszczyła czoło, wracając myślami do autografu w tomie dra matów Szekspira.

— Zastanawiam się, sir — ciągle z trudem przychodziło jej zwracać się do niego per ojcie — kim jest Edward Gaitling.

Robert, który podniósł właśnie szklaneczkę do ust, zakrztusił się z wrażenia, whisky opryskała Samuela, ten, rzucając ostre spojrzenie przyjacielowi, zerwał się zza biurka i począł strzepywać krople trunku z surduta.

Biedny Somerton zaniósł się kaszlem, na czoło wystąpił mu pot.

— Dlaczego pytasz, dziewczyno? — wykrztusił, gdy wreszcie złapał oddech.

— Po prostu zobaczyłam jego nazwisko w twojej książce, to wszystko.

— To, widzisz... taki jeden znajomy aktor... Grał kiedyś w którejś ze sztuk Szekspira, po spektaklu poprosiłem go autograf.

— Ach tak — mruknęła Lenora bardziej do siebie niż do Somertona. Tłumaczenie ojca niczego nie wyjaśniało, w jego pod pisie dojrzała coś, co nie dawało jej spokoju. A może przesadza, doszukuje się tajemnic tam, gdzie ich nie ma?

— Zapomniałaś, Lenoro? Miałaś złożyć swój podpis... — Zaczął Robert, ale Lenora udawała, że nie słyszy. Wyszła na taras, po czym ruszyła w stronę Hickory'ego, który ćwiczył na podjeździe Najmilszą.

— Śliczna klaczka, prawda, pani Wingate? — zagadnął chłopak, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Jestem teraz panią Sinclair — sprostowała Lenora.

— Słyszałem, proszę pani, ale ja tam nie mogę uwierzyć, że taka dama, jak wy, poślubiłaby człowieka, co to gania z pistoletem za niewinnym koniem i krzyczy, że będzie strzelał.

Lenora pokiwała głową ze smutkiem.

— Mój ojciec zawsze powtarzał, że charakter człowieka można poznać po tym, jak się odnosi do swojego wierzchow... — zaskoczona przerwała w pół słowa. Robert przed chwilą właśnie stwierdził, że nie ma pojęcia o koniach, skąd, więc przyszła jej do głowy ta ojcowska maksyma?

— Oj, nie znajdzie się człeka bardziej dbałego o swoje koniki nad pana Wingate'a — oznajmił chłopak z powagą.

Lenora pogłaskała aksamitną szyję klaczki.

— Lubisz swojego pana, prawda, Hickory?

— Bardzo, proszę pani.

— W tym problem, że ja też bardzo go lubię — przyznała Lenora z westchnieniem.

— To widać, proszę pani.

— Cóż, moja siostra lepiej wybrała męża niż ja.

Hickory znowu się uśmiechnął, ukazując garnitur lśniących, białych zębów.

— Jak powiada pan Wingate, poczekamy, zobaczymy po czyjej stronie prawda.

Przybrane girlandami kwiatów pokłady „Czarodziejki” witały gości oszłamiającymi zapachami. Recepcyjne salony statku zapełniały się powoli paniami w strojach wieczorowych i paniami w wytwornych, bogatych kreacjach.

Gdy wsparta na ramieniu Malcolma Lenora weszła do sali, gdzie grano w karty, przywitały ją pełne ciekawości spojrzenia. Ci, którzy znali pana na Belle Chante słyszeli pogłoski na temat ostatnich wydarzeń i chcieli ujrzeć damę jego serca.

A oto i on sam stanął w drzwiach, szukając wzrokiem ukochanej.

— Ten głupiec pewnie myśli teraz o tym, jak pod pierwszym lepszym pozorem zwabić cię do swojej kabiny — mruknął Malcolm przez zęby.

Lenora zakrztusiła się winem. Nie mogła przecież powiedzieć Sinclairowi, że była w tej kabinie wiele razy i że Ashton nie musiał jej tam wcale zwabiać.

— Tak, Wingate bez wątpienia tylko po to urządził przyjęcie — ciągnął z uporem Malcolm — ale ja nie spuszczę cię z oka. Przez cały wieczór pozostaniesz przy moim boku. Pamiętam, jak go całowałaś na plaży. Nie dopuszczę, żebyś przyniosła mi wstyd przy ludziach. Jeśli jeszcze raz cię z nim przyłapię, to tak się z tobą porachuję, że popamiętasz na całe życie.

Lenora słuchała tych pogrózek z narastającą odrazą. Jeśli teraz Malcolm potrafił być tak wstrętny, to na wieść o dziecku gotów uciec się do rękoczynów.

Ashton spoglądał na Lenorę, myśląc ze smutkiem, że to on powinien teraz stać u jej boku zamiast uzurpatora. Wtem zauważył, że do Lenory i Malcolma podchodzi, Marelda, która dotąd w towarzystwie Horacego Titcha obserwowała grę, a teraz widać postanowiła dać upust swej złości.

— Chyba się jeszcze nie znamy, sir — zagadnęła, uśmiechając się zalotnie do Sinclaira. — Jestem Marelda Rousse... — Odwróciła się, by wskazać na swojego towarzysza. — A to pan Horacy Titch, mój serdeczny przyjaciel.

Malcolm z galanterią ucałował dłoń damy.

— Malcolm Sinclair, do usług. — Wyprostował się i gestem właściciela położył rękę na ramieniu Lenory. — A to moja żona, Lenora Sinclair.

Marelda zerknęła na Lenorę z ironicznym uśmiechem.

— Miałam przyjemność poznać pańską żonę, gdy mieszkała, w Belle Chante tylko że wtedy wszyscy, no, prawie wszyscy uważali ją za żonę Ashtona. — Skinęła Lenorze głową. — Masz na sobie piękne klejnoty, moja droga. — Rzeczywiście Lenora nosiła tego wieczoru kosztowny naszyjnik z dużym rubinem otoczonym drobnymi brylantami i takie same kolczyki, prezent od Malcolma, który w ten sposób chciał ją udobruchać po awanturze o Najmilszą. — Kiedyś już widziałam ten piękny garnitur, ale, o ile mnie pamięć nie myli, zaginął., albo został skradziony. — Marelda ponownie zwróciła się do Malcolma, nawiązując do poprzedniego tematu: Ja oczywiście wiedziałam, że to niemożliwe, by kobieta, która utonęła, pojawiła się nieoczekiwanie po trzech latach, ale Ashton zupełnie stracił rozum i upierał się, że odnalazł żonę.

— Tak, to trudny człowiek — przytaknął Malcolm, rzucając pełne nienawiści spojrzenie w kierunku swojego rywala i wroga.

Widzę, że nie żywi pan do niego ciepłych uczuć — Marelda zaśmiała się. — Cóż, Wingate rzeczywiście nie budzi w ludziach sympatii. — Zerknęła z kpina w oczach na Lenorę. — Z wyjątkiem pana żony, ma się rozumieć. Tych dwoje bardzo sobie nawzajem przypadło do serca. Aż dziw, że sprawa między panem i Wingate'em nie zakończyła się pojedynkiem.

— Wingate niecnie wykorzystał fakt, że Lenora straciła pamięć, ja jednak zdołałem ją przekonać, jak bardzo była naiwna, dając posłuch słowom tego człowieka — oznajmił Malcolm. — Wróciła do domu i obydwójce jesteśmy z tego bardzo radzi.

— Słyszałam, że Ashton nadal upiera się przy swoim. Ktoś powinien dać mu do zrozumienia, że nie jest mile widziany, w Biloxi i powinien wracać do Belle Chante

Widząc pełen oczekiwania wzrok Mareldy, Horacy już otworzył usta, by powiedzieć, że w tej kwestii nie powinna na niego liczyć, ale towarzyszka spojrzała na niego tak surowo, że stulił po sobie uszy i jęknął w duchu. Czego jeszcze ta kobieta od niego zażąda? Czyż mało już dla niej uczynił, mało zniósł upokorzeń ze strony Ashtona?

— Próbowałem — powiedział Malcolm. — Ale ten człowiek jest tak zatwardziały w swoim mniemaniu, że nie trafiają do niego żadne argumenty. Nawet ojciec Lenory nie jest w stanie go przekonać.

— On... on po prostu nie słyszy, co się do niego mówi — wtrącił Horacy niepewnie.

— Skoro jest głuchy na głos rozsądku, trzeba doń przemówić głośno i wyraźnie, a jeśli i to nie odniesie skutku, to huknąć — stwierdziła Marelda.

— Obawiam się, że to też na nic — zauważył Malcolm cierpko.

— Ależ, mój panie, musi być jakiś sposób, żeby pozbyć się tego natręta — nie ustępowała Marelda, spoglądając z satysfakcją na bladą, milczącą Lenorę.

— Ja... muszę wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza — bąknął Horacy i umknął, ocierając pot z czoła. Owszem, nie miał nic przeciwko temu, żeby ktoś przytarł wreszcie Ashtonowi

rogów, ale nie rozumiał, dlaczego to niewdzięczne zadanie jemu właśnie miałyby przypaść w udziale.

Przecisnąwszy się przez grupkę gości, podniósł oczy i jego wzrok napotkał rozbawioną twarz Wingate'a.

— Dobry wieczór, panie Titch.

Horacy poczuł zimne ciarki na plecach.

— Przepraszam, szukam znajomego, mam z nim pilnie do powiedzenia — tłumaczył się biedny Horacy i prawie wypadł z sali, tak mu było spieszo uciec przed budzącym strach panem na Belle Chante. Na zewnątrz oparł się ciężko o ścianę, głęboko wciągnął powietrze w płuca, przerażony, że któregoś dnia Ashton zechce wziąć odwet za wszystkie kłopoty, których mu przysporzył. Nagle z mroku wyłonił się jakiś cień.

— Titch?

Na szczęście nie był to Ashton, lecz człowiek, którego Horacy spodziewał się spotkać na pokładzie „Czarodziejki”.

W sali Marelda nadal zabawiała rozmową Malcolma, rozwodząc się na temat pogody i ostatnich burz, które przeszły nad wybrzeżem. W niej też przetaczała się burza na widok pieszczot, jakimi Malcolm obdarzał żonę, co i raz dotykając jej ramienia lub dłoni. Ashton też stracił był głowę dla tej przybłądy do tego stopnia, że kiedy ona, Marelda, chciała mu ofiarować swoje ciało, odrzucił z lekceważeniem jej awanse. Irytowało ją niepomierne, że obydwaj mężczyźni świata nie widzą poza tą obmierzłą ladacznicą. A jednak dostrzegła błysk w oku Sinclaira, świadczący o tym, że ten przystojny blondyn nie pozostaje zupełnie obojętny na jej kokietyjne uśmiechy. A może... pomyślała mściwie, powinna pokazać zarozumiałej Lenorze, że nie jest bezpieczna i w każdej chwili może stracić uczucie męża?

— Powiedz mi, panie Sinclair...

— Dajmy spokój tym oficjalnym formom — zaprotestował Malcolm z uśmiechem. — Proszę zwracać się do mnie po imieniu, nalegam.

— A więc, Malcolmie — poprawiła się skwapliwie Marelda.

— Tak brzmi znaczenie lepiej. Co więc mówiłaś?

— Chciałam cię właśnie zapytać, czy miałaś już okazję zwiedzić „Czarodziejkę”? Jest tu wiele bardzo miłych pomieszczeń, przytulnych, eleganckich i... Zapewniających intymność. Przejdziemy się po statku? Z największą przyjemnością będę twoją przewodniczką..., twoją i pani Sinclair, ma się rozumieć. Ashton nie będzie chyba miał nic przeciwko temu.

Malcolm pytająco spojrzął na żonę, ale ta stała sztywna, nieporuszona, walcząc z ogarniającymi ją nudnościami. Obecność Mareldy Rousse dosłownie przyprawiała ją o mdłości.

— Przepraszam cię, Malcolmie, ale nie czuję się zbyt dobrze. — Lenora z trudem wymawiała słowa, prawie nie mogła oddychać. Powietrze w salonie wydawało się jej duszne, do głowy uderzały fale gorąca, żołądek odmawiał posłuszeństwa. — Idźcie, proszę, beze mnie.

Malcolm skłonił głowę, skwapliwie korzystając z nadarzającej się okazji zadzierzgnięcia bliższej znajomości z piękną Mareldą. Widział, że Lenora rzeczywiście źle wygląda i był spokojny, że Ashton Wingate nie będzie się umizgał do kobiety, której zbiera się na wymioty.

Kiedy Sinclair odszedł ze swoją towarzyszką, Lenora też po woli ruszyła ku najbliższym drzwiom. Na zewnątrz usłyszała jeszcze śmiech Mareldy, niosący się w rześkim wieczornym powietrzu, więc skierowała kroki w przeciwną stronę.

Ashton zamoczył chusteczkę w szklance wody i podążył za Lenorą. Rozejrzał się po pokładzie, chwilę nasłuchując: miał wrażenie, że kilka metrów od miejsca, gdzie stał, dojrzał sylwetkę Horacego Titcha, który szybko ukrył się w mroku, unikając spotkania, a znacznie dalej zamajaczyła mu jasna suknia Lenory. Podeszedł do niej, objął ją ramieniem, a kiedy drgnęła przestraszona, szepnął uspokajająco:

— To tylko ja, najdroższa.

Kiedy oparła się o niego bez sił, delikatnie przetarł jej twarz zwilżoną chustką.

— Lepiej już? — zapytał z troską.

— Chyba tak — odparła słabym głosem.

— Może chcesz się położyć na chwilę w mojej kabinie?

— Och nie, Malcolm by się złościł. — Zaśmiała się krótko. — Już wygłaszał jakieś komentarze na ten temat, twierdząc, że tylko czekasz okazji.

Ashton wziął ją pod brodę i spojrzał w rozświetlone blaskiem gwiazd szmaragdowe oczy.

— Piłeś — zauważyła Lenora, czując mocny zapach brandy w jego oddechu. — Domyślam się, że więcej niż jedną czy dwie szklaneczki...

— Człowiek pije, kiedy trapią go troski — odparł z bolesnym grymasem.

— Troski? — Lenora spojrzała na niego pytająco. — Jakie troski?

— Ciężko mi widzieć cię u boku Malcolma... myśleć, że mieszkasz z nim pod jednym dachem... Taka jesteś daleka, nieosiągalna.

Na pokładzie rozległy się kroki: w stronę rozmawiających szedł Malcolm, ponury jak chmura gradowa, gotów do kolejnej kłótni. Gdzieś zostawił halsztuk, koszulę na piersi miał szeroko rozpiętą. Widać nie tracił czasu w towarzystwie Mareldy.

— Coś mi mówiło, że znowu będziesz się naprzykrzał mojej żonie — syknął, chwytając Ashtona za ramię i potrząsając nim gniewnie. — Niech cię wszyscy diabli, kiedy wreszcie zostawisz ją w spokoju?

— To raczej ty powinieneś zostawić ją w spokoju — odparował Ashton, uwalniając się z uścisku. Malcolm pomachał mu pięścią przed nosem.

— Ona jest moja!

— A ja ci mówię, że nie — warknął zirytowany Ashton. — Jeśli wola, rozstrzygnijmy sprawę choćby teraz.

Malcolm szybkim ruchem dobył mały pistolet z kieszeni surduta, kierując lufę w pierś przeciwnika.

— Wiem, że o tym marzysz, ale nie uda ci się zrobić z niej wdowy, przyjacielu.

Jeśli myślał, że osiągnie podobny efekt zaskoczenia jak kilka dni wcześniej na plaży, to srodze się przeliczył, bo Ashton, za miast błagać o litość, skwitował pogrózkę pobłażliwym uśmiechem. Och, jak bardzo Malcolm pragnął wytrącić wreszcie tego zarozumialca z równowagi, doprowadzić go do białej gorączki, rozbić skorupę wyniosłości i lekceważenia. Nienawidził opanowania Wingate'a równie mocno, jak jego samego.

— Roztrzaskam ci łeb, a trupa rzucę rybom na pożarcie.

— Przy świadku? — Zainteresował się Ashton. — Chyba że zamierzasz też zabić Lierin.

— Będzie szczęśliwa, kiedy się wreszcie ciebie pozbędzie — prychnął Sinclair.

— Przestań, Malcolmie! — W przeciwieństwie do Ashtona Lenora była naprawdę przerażona. — Schowaj broń, zanim zrobisz komuś krzywdę. Jeśli mnie nie posłuchasz, pójdę zaraz do kabiny Ashtona i nigdy więcej mnie już nie zobaczysz — zagroziła, widząc, że Malcolm nie reaguje na jej prośby.

— Co madame powinna teraz, twoim zdaniem, uczynić? — za pytał Ashton ciekawie.

— Ashtonie, on cię gotów zabić! — krzyknęła Lenora, widząc, jak bardzo jej najdroższy lekceważy sobie niebezpieczeństwo.

Malcolm nie opuszczał pistoletu. O niczym nie marzył tak bardzo, jak o tym, żeby raz na zawsze pozbyć się Wingate'a, ale wiedział, że nie poważy się na ryzyko. Wtem usłyszał suchy trzask odwodzonego spustu i poczuł, że coś twardego wbija mu się w brzuch. Spuścił oczy: Ashton też trzymał w dłoni pistolet, trochę większy niż jego własny.

— Dość mam już twoich pogroźek, teraz na mnie kolej, Sinclair.

Malcolm słyszał bicie własnego serca, które waliło jak młotem.

— Liczę do trzech — powiedział Ashton. — Jeśli w tej chwili mnie nie zabijesz, nie będziesz już miał okazji. — Tu łagodnie odsunął Lenorę, niepomyślnie na jej desperackie zaklęcia, żeby oby dwaj się opamiętali. — Raz... — Ręka Malcolm'a z wycelowanym pistoletem zaczęła drżeć zdradziecko. — Dwa...

Malcolm zaklął siarczyście, opuścił pistolet, cofnął się o krok. Widząc, że przeciwnik zrejterował, Ashton schował broń, dobył z kieszonki cygaro, włożył je niedbałym gestem do ust i zapalił.

— Radzę ci, żebyś na przyszłość nie szafował pustymi pogroźkami, Malcolmie — powiedział spokojnie. — Ktoś w końcu się obrazi i łeb ci rozwali.

— Zobaczymy, waszmość Wingate, jak się rzecz cała za kończy — sarknął Malcolm, któremu rada poszła nie w smak, ujął, Lenorę pod ramię i obydwójce po chwili zniknęli w mroku.

Ashton ruszył w ślad za nimi niespiesznym krokiem, rozmyślając o tym, że sytuacja stałaby się o wiele prostsza, gdyby Lierin pozwoliła mu pozbyć się Sinclair'a. Bez jej zgody miał związane ręce, mógł tylko stać z boku i przyglądać się rozwojowi wypadków, co nie było ani łatwe, ani przyjemne.

— Nie masz halsztuku — zauważyła Lenora, spoglądając pytająco na Malcolm'a. — Miło spędziłeś czas z Mareldą? Zdążyłeś ją uwieść?

— Tyyy...! — wycharczał Malcolm, nie znajdując odpowiedniego epitetu, którym mógłby obdarzyć żonę. — Masz jeszcze czelność czynić uwagi, kiedy sama zabawiasz się z tym łotrem!

— Marelda musiała być rozczarowana, że nie skończyłeś, co zacząłeś. Naprawdę mi przykro, Malcolmie, że przeze mnie mu siałeś poniechać miłosnych podbojów. To zabawne, że odmawiasz mi przyjemności, których sam zażywasz.

Malcolm nic nie odpowiedział, zgrzytając zębami, zacisnął mocno palce na ramieniu Lenory, wprowadził ją do sali balowej i ruszył do walca. Obracali się na parkiecie pełni wzajemnej niechęci, świadomi, że przyciągają uwagę zebranych.

— Mówiłem ci już, jak wspaniale dziś wyglądasz? — zdobył się w końcu na wymuszony komplement, którym chciał przełamać lodowatą atmosferę. — Jesteś najpiękniejszą damą na przyjęciu.

Lenora kątem oka dojrzała wchodzącą właśnie do sali Mareldę. Z jej nadąsanej miny bez trudu odczytała, że dziewczyna jest ciężko obrażona na Malcolma.

— Twoja przyjaciółka wróciła — oznajmiła chłodno. — Wygląda na zagniewaną. Nie chcesz do niej podejść i udobruchać miłym słowem?

— Ona nic dla mnie nie znaczy — burknął Malcolm. — Traktuję kobiety jak zabawki, czekając, kiedy ty mi wreszcie ulegniesz.

Lenora podniosła na niego zdumione spojrzenie.

— Jak możesz oczekiwać, że kiedykolwiek ci ulegnę, kiedy zachowujesz się jak kot w marcu? Nie będę twoja, szczególnie teraz, gdy wiem, że byłeś z Mareldą.

— Jesteś zazdrosna? — Malcolm uśmiechnął się dufnie na samą myśl o takiej możliwości.

— Lęk byłby lepszy określeniem niż zazdrość. Nie pójdę z tobą do łóżka, mój panie, choćby ze strachu, że mogłabym się zarazić od ciebie brzydką chorobą.

— Jesteś zimną niewiastą, Lenoro Sinclair.

Jakby na potwierdzenie tych słów zeszytniała, czując, jak Malcolm mocniej obejmuje jej kibić i chce przygarnąć do siebie. Ten, widząc, że Ashton wszedł właśnie do sali, nachylił głowę

i musnął wargami jej nagie ramię, rad, że przynajmniej w ten sposób może pognać przeciwnika.

Jeśli twój Wingate upiera się, żeby nie spuszczać ciebie z oka, tedy niech patrzy i cierpi mękę — szepnął Lenorze do ucha.

— Co masz na myśli?

Malcolm zwolnił uścisk, odsunął się o krok, spojrzał żonie prosto w twarz.

— Ten łajdak wypatruje za tobą oczy, to przecież oczywiste, ale ja będę mu przypominał, że należysz do mnie, że jesteś moją żoną.

— Zaczynam myśleć, że coś musiało zamrozić mi umysł, kiedy wychodziłam za ciebie — odparła krótko Lenora.

W tej samej chwili wśród gości zapanowało poruszenie. Oto bowiem do sali wszedł szeryf Coty, prowadząc za kołnierz szarpiącego się Horacego Titcha.

— Mam tutaj złodzieja, panie Wingate — oznajmił stróż prawa, potrząsając Titchem niczym pies szczurem. — Złapałem go na gorącym uczynku. Jego i kilku jego kompanów.

— Głupcze skończony — zawołał Horacy, kręcąc się i wiercąc w uścisku Coty'ego. — Mówiłem ci przecież, że to mnie okradziono i że nie mam nic wspólnego z tymi opryszkami.

— Zapewne, zapewne, panie Titch. A te klejnoty znalazły się przypadkiem w pana kieszeni, prawda? — Szeryf Coty na po twierdzenie swoich słów zademonstrował naszyjnik z brylantów. — W jednej z kabin znaleźliśmy kilkoro gości, których okradziono, a potem wsadzono pod klucz. Ci ludzie spacerowali po pokładzie dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, a wtedy bandyci pod przewodem tego oto jegomościa przystępowali do swojej roboty.

— Ja też byłam na pokładzie — odezwała się Lenora, dotykając swojego naszyjnika.

— Zatem miała pani szczęście — zauważył szeryf uprzejmie.

— Ja też wychodziłam — dodała Marelda, przeciskając się wśród gości.

— Powiedz im, Mareldo, że ja nie mam z tym nic wspólnego — zwrócił się do niej Horacy błagalnym tonem.

— To pani znajomy? — zapytał szeryf.

— Tak — odparła Marelda z wahaniem, niepewna, czy nie przy sporzy sobie kłopotów.

— Zapewne dlatego nie została pani okradziona. Titch musiał widocznie uprzedzić bandytów, żeby nie tykali jego przyjaciół.

— To jakiś absurd! — oburzył się Horacy.

— Mnie też wydawało się śmieszne, kiedy pan Wingate po prosił, żebym czuwał nad bezpieczeństwem gości podczas dzisiejszego przyjęcia. Możecie wyobrazić sobie państwo moje zdumienie, gdy ja i moi ludzie dostrzegliśmy przemykających z nabrzeża na statek opryszków. Wszystko sobie starannie zaplanowali, ale pan Wingate ich przechytrzył.

— Nikomu z gości nic się nie stało? — zapytał Ashton z troską.

— Nie, są tylko bardzo wzburzeni — odparł szeryf i ponownie potrząsnął Titchem. — Tego tutaj jegomościa aresztuję i przesłucham. Mam do niego kilka interesujących pytań.

— Niech mu ktoś wytłumaczy, że jestem niewinny! — zawołał Horacy z błaganiem w głosie.

— Niczego nie ukradłem! Ktoś pod rzucił mi ten naszyjnik, żeby na mnie skierować podejrzenia.

— Może pan mówić, co się panu podoba, Titch, ale jeden z opryszków twierdzi, że to pan ich wynajął i kazał okradać gości.

— Ja nic nie wiem — bronił się Horacy. — Spotkałem tego człowieka kilka dni temu w gospodzie, prosił mnie o rozmowę tutaj, na pokładzie „Czarodziejki”, to wszystko.

— Czego chciał od pana?

Horacy wzruszył ramionami.

— Tego nie powiedział, po prostu mnie okradł.

— Dobrze pan wyszedł na tej kradzieży, skoro znaleźliśmy u pana cenny naszyjnik z brylantami — zauważył szeryf z ironią w głosie.

— Lierin... Lierin...

Lenora obróciła się niespokojnie we śnie.

— Gdzie jesteś, Lierin? Lierin, wyjdź wreszcie. Gdzie się schowałaś?

Dwie rudowłose dziewczynki, chichocząc cichutko i nasłuchując zbliżających się kroków, przycupnęły za krzewem w ogrodzie starego dworu.

— Lierin... Lenoro... Wyjdźcie wreszcie... Gdzie jesteście...?

— Ciii — szepce ostrzegawczo jedna z dziewczynek. Jej siostra jest tak rozbawiona, że za chwilę gotowa wybuchnąć głośnym śmiechem. — Cicho bądź, bo nas usłyszy.

Chrzęszczą kamyki na ścieżce, na trawę pada cień męskiej sylwetki, dziewczynki siedzą za krzewem niczym trusie, cień znika, kroki się oddalają. Wtem nadlatuje osa i wystraszone pannice wyskakują zza krzewu.

— A, mam was, psotnice! — woła mężczyzna.

Lenora obudziła się przerażona i usiadła w pościeli, rozglądając się na wpół przytomnie po pokoju. Twarz mężczyzny z portretu! Ta sama twarz, którą przed chwilą ujrzała we śnie!

— Lierin... Lierin...

Poczuła zimne ciarki na całym ciele. Dlaczego ten głos ze snu tak ją prześladowuje?

— Lierin... Lierin...

Ashton! Nie śni już, to Ashton ją woła! Zerwała się z łóżka i wybiegła na balkon. Chwilę szukała wzrokiem w ciemnościach znajomej sylwetki, wreszcie dostrzegła ukochanego.

— Co tu robisz, Ashtonie? — zawołała stłumionym głosem, stała rając się robić jak najmniej hałasu.

— Moja najdroższa! Moja Lierin! Moja królowo! — Ashton zachwiał się lekko i złożył pełen galanterii ukłon. — Wreszcie cię wywołałem, ukochana. Dusza moja rozpaczła, nie widząc ciebie, teraz drży na dźwięk lubego głosu.

— Wracaj do namiotu i kładź się spać, Ashtonie.

— Za nic, najdroższa. — Ashton z uporem pokręcił głową. — Na cóż mi wracać do pustego łóżka?

— Obudzisz Malcolma — syknęła Lenora, nie na żarty przerażona taką perspektywą. — W takim stanie nie obronisz się przed nim.

— Ach, madame, nie dbam o swoje bezpieczeństwo, dla ciebie tu przyszedłem. Składam swój miecz u twoich stóp i w twoją służbę się oddaję... Pokonam tego, który cię więzi, po czym do swojego zamku uwiozę moją królową. — Ashton niepewnym gestem wskazał namiot.

— Idź już, Ashtonie, proszę cię — nalegała Lenora.

— Nie odejdę bez ciebie. — Ashton zatoczył się, padł na kolana, głowa opadła mu bezwładnie jak u szmacianej lalki. — Lierin... moja Lierin... zjedź do mnie.

Litość ją zdjęła, bo w pijackich nawoływaniach Ashtona słyszała prawdziwą rozpacz i tęsknotę. Bała się przy tym, że za chwilę Malcolm rzeczywiście się obudzi. Rozumiejąc, że nie pozbędzie się inaczej swojego rycerza, zbiegła bosą, w samej koszuli na trawnik i stanęła, rozglądając się bezradnie. Nigdzie nie mogła dojrzeć nocnego gościa. Zniknął? Rozpłynął się? Nagle poczuła, że chwytają ją mocne ramiona i unoszą w powietrze.

— Pragnę cię, Lierin. Nie odejdę stąd bez ciebie. — Wionęło ku niej oddechem mocno zaprawionym brandy.

Nie miała innego wyjścia, jak odprowadzić Ashtona do namiotu i ułożyć do snu. Przedłużanie sceny pod balkonem było zbyt niebezpieczne.

— Dobrze, pójdę z tobą, tylko mnie postaw na ziemi — szepnęła.

— Zaniosę cię — oznajmił z mocą.

— Puść mnie, bo obydwójecie się przewrócimy. Jesteś zbyt pijany, mój drogi.

— Rzeczywiście, trochę wypilem — przyznał Ashton, stawiając w końcu Lenorę na ziemi.

— Trochę! — fuknęła z przyganą.

Kiedy dotarli do namiotu, Lenora w pierwszej chwili oniemiała. Nie oczekiwała takiego przepychu: bogate draperie, misternie rzeźbione meble, złoty blask lamp...

Widząc, że Ashton padł na najbliższe krzesło i znieruchomiał z twarzą ukrytą w dłoniach, podeszła do łóżka, zdjęła narzutę, poprawiła poduszki.

— Połóż się, mój drogi.

Kiedy już pomogła mu się rozebrać i okryła kołdrą, westchnął jeszcze żałośnie i natychmiast zapadł w głęboki sen. Lenora przyglądała się przez chwilę ukochanej twarzy, po czym zgasiła lampy i podwinawszy nogi, usiadła po turecku na miękkim łożu. Trwała tak przez chwilę, aż i ją zaczęła ogarniać senność. Złożyła głowę na poduszkach, powtarzając sobie stanowczo, że nie wolno jej zasnąć, że powinna spróbować przywołać utracone wspomnienia przeszłości.

— Po świecie wędruję... ścieżkami różnymi... ścieżkami krę tymi... lasami, wzgórzami... drogami, traktami..., idę przed się, aż do domu zajdę, aż dom znajdę.

Wiatr od morza rozwiewa rude, przybrane kokardami włosy dziewczynki. Mała przygląda się biegnącej przodem siostrze, rączkę wsunęła dłoń dorosłego. Po chwili mężczyzna unosi ją i sadza sobie na barana, dziewczynka piszczy z uciechy...

Dziewczęta idą przez ciemny las. Siostra, teraz dorastająca panna, kładzie palec na ustach, obje zastygają na moment olśnione widokiem jelenia. Zwierzę podnosi głowę, strzyże uszami i wy płoszone trzaskiem łamanej gałązki ucieka, sadząc wielkimi susami. Za plecami dziewcząt rozlega się znajomy głos.

— Lenoro... Lierin...

Zza drzew wylania się mężczyzna ubrany w strój myśliwski, ze strzelbą przewieszoną przez ramię.

— Lierin? — Cichy szept, dotknięcie warg na policzku. Lierin...?

— Tak?

— Kochaj mnie, najdroższa.

Otoczają ją ramiona Ashtona i obydwoje powoli zapadają się w otchłań rozkoszy.

Ashtona obudził wściekły okrzyk.

— Ty sukinsynu!

Do namiotu wpadł Malcolm, przyskoczył do łoża, już dłoń wyciągał, chcąc zerwać kołdrę z kochanków, gdy Ashton chwycił go za nadgarstek.

— Moja żona nie jest odpowiednio ubrana, by przyjmować wizyty, Malcolmie.

— Twoja żona! — Malcolm wyrwał dłoń i zmierzył Lenorę pełnym nienawiści spojrzeniem.

— Dobrze spałaś, madame?

Lenora w milczeniu odwróciła twarz.

— Teraz, kiedy już się zabawiłeś, domagam się, żebyś stąd wyjechał, waszmość Wingate. Dość już szkody wyrządziłeś swoją obecnością. Przyjdzie mi patrzeć i czekać, czy co nie wzejdzie z twojego posiania — pieklił się Malcolm.

Lenora poczuła, jak na te słowa oblewa się szkarłatnym rumieńcem.

Musisz wiedzieć, Malcolmie, że zimą urodzę dziecko Ashtona — oznajmiła cicho.

— Nieeee! — Malcolm z wrzaskiem rzucił się w jej kierunku, gdy nagle ujrzał wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

— Powiedziałem ci, że zginiesz, jeśli ośmielisz się dotknąć mojej żony — zagroził Ashton, po czym wskazał bronią wejście do namiotu. — A teraz wynoś się stąd.

Malcolm cofnął się, ale nie zamierzał wychodzić.

— Jeśli jest twoją żoną, to dlaczego wyszła za mnie? — Zapytał nie najmądrzej.

— Też chciałbym wiedzieć, dlaczego Lenora wybrała sobie takiego męża — przytaknął Ashton z niezmaconym spokojem.

— To jest Lenora! — upierał się Malcolm.

— Lienin — poprawił go Ashton.

Sinclair zacisnął zęby, na próżno szukając przekonującego argumentu.

— Wstawaj i marsz do domu, Lenoro — powiedział wreszcie władczym tonem.

— Wydaje mi się, że to ty powinieneś stąd wyjść, Malcolmie — odparła na to.

— Co? Tak odpowiadasz własnemu mężowi? Kazesz mi wyjść, a sama zamierzasz tu z nim zostać?

— Nie, każę ci spakować twoje rzeczy i opuścić mój dom... jeszcze dzisiaj, najlepiej zaraz — sprostowała.

Malcolm na moment osłupiał, potem pokręcił głową.

— Twoje niedoczekanie. Mam prawo tu zostać i zostanę. To on musi wyjechać, nie ja! — krzyknął, wskazując na Ashtona.

— Wyjedziesz. Jesteś niebezpieczny, a ja muszę myśleć o dziecku, które noszę w łonie.

— A co z nim, gdzie on będzie mieszkał? — Twarz Malcolma poczerwieniała ze złości.

— Gdzie zechce — odparła Lenora. — Zamierzam go prosić, żeby popłynął ze mną do Anglii. Muszę odnaleźć swoją dawną nianię, ona na pewno mnie rozpozna. Rozstrzygną się wreszcie wątpliwości, kim naprawdę jestem.

— A jeśli ci powie, że jesteś Lenorą, co wtedy? — zagadnął Malcolm z przekąsem.

— Wtedy będę musiała przemyśleć swoje położenie. Nie mogę nadal pozostawać twoją żoną, skoro urodzę dziecko innego mężczyzny. Po tym, co dzisiaj zaszło, twoja obecność w tym domu jest niepożądana. Proszę cię, zatem, żebyś się wyniósł. Nawet, jeśli jestem Lenorą, między nami wszystko skończone. Wystąpię o rozwód.

— Żeby wyjść za niego, tak? — krzyknął Malcolm. — Będą mieli ludzie, o czym plotkować.

— To niewiele mnie obchodzi, Malcolmie. Muszę myśleć o dziecku.

— Owszem, mały bękart będzie przecież musiał mieć jakieś nazwisko.

Ashton utkwiał lodowate spojrzenie w nieproszonym gościu.

— Szafujesz obelgami równie hojnie jak pogroźkami, a ja mam już dość wysłuchiwania tak jednych, jak i drugich, mój panie. Naprawdę najwyższa pora, żebyś nas opuścił. Chcę porozmawiać z panią sam na sam.

Malcolm spiorunował jeszcze wzrokiem leżącą w łóżku parę, po czym jak niepyszny wyniósł się z namiotu. Idąc do domu, kłął pod nosem i przetrawiał w myślach rozmaite koncepcje od wetu. O nie, nie skończył jeszcze z imię Wingate'em!

Kiedy zostali sami w namiocie, Ashton podniósł się z łóżka, owinął ręcznikiem i podszedł do wyjścia, patrząc za odchodzącym Malcolmem.

— On tak łatwo nie zrezygnuje — mruknął Ashton, jakby odgadywał zamiary Malcolma. — Nawet jeśli wyjedzie stąd dzisiaj, wróci jeszcze.

— Dlaczego miałby wracać?

- Jest wiele powodów, a wszystkie łączą się z twoją osobą, moja droga — powiedział Ashton, siadając obok Lenory.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli jest równie uparty jak ty, waszmość Wingate — powiedziała z figlarną miną.

— Ja walczyłem o to, co mi w życiu najdroższe, madame, o prawo kochania swojej królowej.

— A teraz, kiedy wygrałeś walkę?

— Pozostało jeszcze kilka ruchów, które muszą przypieczętować moje zwycięstwo.

— Nadal twierdzisz, że jestem Lierin?

Ashton nachylił się i pocałował nagie ramię ukochanej.

— To niemożliwe, żeby istniały dwie takie jak ty, najdroższa.

Ashton zerknął na zegar stojący w namiocie. Niecierpliwie wyglądał powrotu Lierin. Wybrała się do miasteczka z ojcem i panem Eyansem, a po jej powrocie mieli zjeść wspólny posiłek w rezydencji.

Po jej odjeździe do obozowiska przyplłynęła Sara z księgami rachunkowymi. Mieszkała i pracowała w kabinie na „Szarym Orle” i codziennie odwiedzała Ashtona, by omówić z nim sprawy księgowości, albo on płynął na statek. Po tym, jak wydobył ją z zakazanej knajpy w Natchez, zdążyła się zaprzyjaźnić ze swoim chlebodawcą, ale dzisiaj po raz pierwszy ośmieliła się zapytać o Lierin, czy też Lenorę, a Ashton opowiedział jej wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, oczekując komentarza.

— To straszne — westchnęła, gdy skończył. — Nie wiedzieć, kim się jest... w co wierzyć... człowiek może zwątpić, czy jeszcze jest przy zdrowych zmysłach, czy już traci rozum. — Spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie. — Czasami myślę, czy i ja nie wariuję od tej nienawiści, co mnie zżera. Widzę ciągle jego twarz, ciągle nie mogę zapomnieć, że zamienił mi życie w piekło. Mąż sfalszował mój podpis i wszystko, co posiadałam, stało się jego własnością. Nawet nie musiał się mnie pozbywać, pozwolił mi żyć. Czemu by nie? Nie mogłam mu już zaszkodzić. Pomyśleć, jeden ruch piórem przesądził o moim losie. — Sara otarła oczy. — Przepraszam, panie Wingate, znowu użalam się nad sobą.

— Nie masz za co przepraszać, Saro. Czasami trzeba się komuś zwierzyć.

— Tak, ma pan rację, panie Wingate. Widziałam mojego ojca zupełnie zrujnowanego..., Prawdopodobnie został zamordowany, mnie, sfalszowawszy papiery, umieszczono w zakładzie... To było straszne miejsce, nawet nie wyobraża pan sobie jak straszne, gorsze od zwykłego więzienia: łańcuchy, bicie... Strażnik, jedyny, który okazał mi trochę litości, zginął. Teraz mam wrażenie, że historia się powtarza... Może powinnam zacząć mówić, żeby nie doszło do najgorszego... tyle że nie jestem pewna... mogę się mylić... — Spojrzała na swojego rozmówcę błagalnym wzrokiem, jakby prosiła, by zrozumiał bez słów przekaz zawarty w jej opowiadaniu.

Ashton ujął jej drobną dłoń w swoje.

— Wysłuchałem cię bardzo uważnie, Saro, i chyba pojmuję, o czym mówisz.

— Naprawdę, panie Wingate?

— Tak sędzę.

Kiedy Sara wyszła, Ashton zaczął nerwowo krążyć po namiocie, co chwila zerkając na zegar i niecierpliwie wyczekując powrotu Lierin.

Szukając zajęcia przebrał się w strój do konnej jazdy; obiecał Lierin, że po południu zabierze ją na przejażdżkę, ale teraz modlił się już tylko o to, by bezpiecznie wrócić do domu.

Właśnie stanął przed niewielkim lustrem, by uczesać potargane włosy, gdy kątem oka dostrzegł błysk stali. Odruchowo uchylił się, coś świsnęło mu koło ucha i niewielki nóż trafił w lusterko, roztrzaskując je na drobne kawałki. Ashton chwycił leżący na skrzyni pistolet i odwrócił się ku wejściu do namiotu akurat w chwili, gdy do środka wpadło dwóch zbirów. Pierwszy przy padł do niego, uderzył w żebra, Ashton zachwiał się, oparł o skrzynię, ale zaraz przyskoczył do napastnika i zdzielił go kolbą pistoletu w skroń z taką siłą, że tamten bez czucia padł na ziemię. Teraz pozostał mu tylko jeden przeciwnik, ale już dwóch następnych pojawiło się w progu. Widząc wzniesiony do ciosu sztylet, bez sekundy zwłoki odbezpieczył pistolet. Rozległ się huk i już drugi napastnik leżał na ziemi, brocząc krwią i od dając Bogu ducha. Ashton odrzucił bezużyteczny pistolet, chwycił nóż, którym rozpoczęto atak, i ruszył na dwóch pozostałych zbirów. Tego, który wysunął się do przodu, zdzielił między oczy. Zbój zachwiał się, zatoczył do tyłu, wpadł na swojego kompana i nadziawszy się na krótki bosak stanowiący broń tamtego, osunął się z jękiem w jego ramiona, po czym runął na twarz, z bosakiem w plecach.

Teraz szanse zdawały się wyrównane, pozostał czwarty, ostatni napastnik; właśnie nachylił się i błyskawicznym ruchem dobył długiego noża zza cholewy, zerknąwszy przy tym z błyskiem w oku gdzieś obok Ashtona. Tym się zdradził, bo Wingate uświadomił sobie w ułamku chwili, że pierwszego zbója nie zabił, a tylko ogłuszył kolbą; uskoczył, przeto w samą porę, by uniknąć ataku od tyłu, i dźgnął bandytę pod żebra. Rana nie mogła być śmiertelna, ale zbój kwiknął jak zarzynane prosię i umknął w kil ku susach z namiotu.

Ashton nie zdążył ochłonąć, a już natarł na niego ostatni zbir. Przypadli do siebie w śmiertelnej ciszy, zwarli się, chwilę mocowali, po czy odskoczyli od siebie, wznosząc zbrojne w noże dłonie do ciosu. Ashton był szybszy, zdołał odparować atak, godząc przeciwnika ostrzem w ramię. Ten jeden cios przeważał szalę na jego stronę, bo mężczyzna cofnął się z krzykiem, ale Wingate już był przy nim, zadając razy jeden za drugim, aż zbir na ostatnich nogach wytoczył się z namiotu i tam padł na trawę.

Dopiero teraz Ashton zdał sobie sprawę, że podczas walki namiot stanął w płomieniach. Gęsty duszący dym wypełniał wnętrze. Z trudem chwytając powietrze, wybiegł przed namiot, tylko po to, by nadzieć się na lufę pistoletu dzierżonego przez pierwszego napastnika, którego przed chwilą ugodził pod żebro.

— Teraz zginiesz od kulki, diable, albo usmażysz się w płomieniach — ryknął zbój ze śmiechem. — Tak czy inaczej śmierć ci pisana.

Ashton cofnął się do wnętrza i mrużąc oczy, zaczął szukać swojego pistoletu. Nigdzie go nie mógł dojrzeć wśród dymu, podbiegł, więc do skrzyni, uniósł wieko, wydobyl niewielkiego colta i, osłaniając się przed płomieniami, wybiegł ponownie na zewnątrz, ale zbój tymczasem gdzieś znikł, natomiast na pod jeździe pojawiło się wracające z miasteczka lando. Widząc ogień, Lierin wyskoczyła z powozu i puściła się biegiem w kierunku Ashtona.

— Cofnij się! Uciekaj, na miłość boską! — zdążył jeszcze krzyknąć Ashton, a już za plecami usłyszał złowrogi chichot.

— Jesteś — mruknął zbój z obleśnym uśmiechem, wyłaniając się zza pobliskiego krzaka. — Jaśnie dziedziczka w sam raz się wróciła, by obejrzeć twój koniec. — Świńskie oczka spoczęły na moment na colcie. — Taketm też myślał, że nagana szukasz, ale już go nie użyjesz.

Ashton usłyszał huk wystrzału, był pewien, że kula przeszła mu pierś, ale, o dziwo, nie poczuł bólu, za to jego przeciwnik osunął się bez życia na ziemię. Ciągle jeszcze nic nie rozumiejąc, podniósł głowę i zobaczył Hickory'ego, który biegł w jego stronę ze strzelbą w rękę. Chłopak dopadł namiotu, spojrzął na mar twego bandytę, po czym utkwiał jeszcze rozszerzone strachem oczy w twarzy Ashtona.

— On chciał pana zabić, massa — stwierdził z niedowierzaniem.

— Owszem, Hickory. Wygląda na to, że uratowałeś mi życie.

Lenora, wysoko uniósłszy spódnicę, biegła przez trawnik.

— Ashtonie, Ashtonie! — Zawołała, padając w otwarte ramiona ukochanego.

Nie było jednak czasu na wyjaśnienia, bo ogień już na dobre się rozszalał.

— Hickory, trzeba wyprowadzić konie z małego namiotu! Szybko, chłopcze! — krzyknął Ashton, biegnąc już w tamtą stronę.

Lenora podniosła do oczu splamioną krwią dłoń i poczuła, że serce tłucze się jej w piersiach jak oszalałe. Powoli zaczęły ogarniać ją ciemności, zapadała się w czarną otchłań, gdzie nie było nic, tylko gęsty, nieprzenikniony mrok.

Nikłe światło w mroku!

Płomień! Ogień! Kominek! A obok sprzęt do rozpalania ognia. Szeroka dłoń zaciska się na pogrzebaczku, unosi go i śmiertcionośne narzędzie opada na głowę przerażonego mężczyzny, po kilkakroć, dopóki ofiara nie osunęła się na ziemię. Wtedy postać w pelerynie odwraca się i Lenora czuje palący ból w plecach.

Biegnie przez mroczny korytarz! Słyszy za sobą ciężkie kroki! Zatrzaskuje drzwi, zamyka je na zasuwę! Wyskakuje przez okno i biegnie, biegnie! Nie, pędzi na grzbiecie konia!

Wąska ścieżka, migające obok drzewa... i ogień! Dom dla szaleńców, gdzie kobieta jest więziona! Tutaj nie znajdzie po mocy! Za nią gna czarny zabójca! Las! Znowu drzewa! Szybciej, szybciej! Trzymaj się mocno końskiej grzywy! Nie spadnij! Nie daj się schwytać!

Przed nią otwarta przestrzeń! Ratunek! Tętent kopyt za plecami! Powóz zaprzężony w parę koni. Pędzi wprost na nią. Och, nieeee!!!

I znowu ogarnia ją ciemność... głęboka, nieprzenikniona ciemność.

Lenora otworzyła oczy i ujrzała pochyloną nad sobą, zatroskaną twarz Ashtona.

Leżała w ubraniu na łóżku we własnej sypialni. Obok Ashtona stała Megan z gotowym okładem w dłoni, w nogach łóżka Robert Somerton z dziwnie niewyraźną miną.

— Co się stało? — szepnęła ochrypłym głosem.

— Zemdlałaś, najdroższa — powiedział Ashton, całując jej dłoń.

— Ano, zemdlała pani — zawtórowała mu Megan.

— A jak się znalazłam w łóżku?

— Pan Wingate panią przyniósł — pospieszyła z wyjaśnieniem pokojówka.

Lenora próbowała się podnieść, ale pokój zawirował jej przed oczami i głowa opadła bezwładnie na poduszki.

— A twoja rana, Ashtonie? To coś poważnego?

— Nie, tylko draśnięcie. Megan już ją opatrzyła.

— Przeraziłam się. Ten człowiek chciał cię zabić. Ktoś go nasłał.

— Nie jego jednego — powiedział Ashton.

Lenora teraz przypomniała sobie ciało leżące przed namiotem.

— Było ich dwóch? — bardziej się upewniła, niż zapytała.

— Więcej. Naliczyłem czterech.

— Czterech? — Na moment dech jej zapało ze zgrozy. — Jak ich pokonałeś?

— Mam szczególny talent do bójk — odparł Ashton z uśmiechem.

— Och, proszę, nie strój sobie żartów — jęknęła cicho. — Przecież mogłeś zginąć z ich ręki. Czego ci złodzieje chcieli?

— Przypuszczam, że mojego życia.

Lenora zmarszczyła czoło.

— Więc to nie byli złodzieje?

— Mordercy. Ktoś musiał ich nasłać — domyślał się Ashton.

— Malcolm? — szepnęła Lenora.

Robert Somerton, uznawszy, że pora wtrącić się do konwersacji, energicznie pokręcił głową.

— Nie obwiniaj, Malcolma, dziewczyno. To na pewno robota tego Titcha, co był wczoraj na „Czarodziejce”. Malcolm mówił mi, co się stało, i że ten człowiek miał swoje powody, żeby życzyć Wingate’owi śmierci.

— Ależ Horacy został wczoraj aresztowany — sprzeciwiła się Lenora.

— I cóż z tego? — Robert wzruszył ramionami. — Wynajął wczoraj złodziei, to mógł wynająć też zabójców.

— Nie wiem — powiedział Ashton. — Interesuje mnie, co innego. Dlaczego Marelda wczoraj wystąpiła w obronie Horacego i dla czego powiedziała, że klejnoty, które Malcolm kupił dla Lenory, zostały jakiś czas temu skradzione jej przyjaciółce?

— Megan, przynieś naszyjnik — poprosiła Lenora. Skoro został skradziony, trzeba będzie zawieźć go szeryfowi.

Megan podeszła do komody, otworzyła sekretny schowek i za marła.

— Nie ma klejnotów, psze pani! Zniknęły!

— Niemożliwe, przecież sama je tam chowałam wczoraj wieczorem... Widziałaś, żeby ktoś wchodził do mojego pokoju, kiedy mnie nie było?

— Pan Sinclair był tu rano, zobaczył, że pani nie ma i zaraz wybiegł.

— Potem już tu nie wracał? — Chciała się upewnić Lenora. — Może przysłał swoich ludzi?

— Czy pan Sinclair wchodził, to nie powiem, bo nie wiem.

A tych dwóch, co to pani mieli pilnować, to jak raniutko zeszlłam, spało w salonie, pan ich potem ze sobą zabrał, jak wyjeżdżał. W domu byli kucharka, pacholek, ja, pan Somerton i pan Eyans. Po mojemu każdy jeden mógł wejść do pokoju i zabrać klejnoty.

— Malcolm wyjechał, ale pan Eyans wrócił wieczorem... — zaczęła Lenora.

— Nie będziesz chyba oskarżała mojego przyjaciela — obruszył się Robert. — A może Horacy przysłał tu swoich ludzi? Widział wczoraj, że masz cenny naszyjnik. Tak czy inaczej, klejnoty zginęły i już ich pewnie nie odzyskasz, dziecko.

Lenora podniosła się ostrożnie i usiadła na łóżku.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Ashton z troską w głosie.

— Dobrze, tylko jestem okropnie głodna.

— Już biegnę na dół, powiem kucharce, żeby coś przygotowała... państwo zejdą do jadalni, kiedy tylko będą chcieli — zawołała ze śmiechem Megan i wybiegła z pokoju.

— Ja też chyba pójdę — mruknął Robert i z ociąganiem ruszył w stronę drzwi. — Idziesz pan, Wingate? — zapytał, najwyraźniej nie chcąc zostawiać młodych sam na sam w sypialni.

— Za chwilę — odparł Ashton, czekając, aż Somerton wyniesie się z pokoju.

Robert skrzywił się na tę odpowiedź.

— Mało szkód narobiłeś, człowieku, jeszcze chcesz uczynić z mojej córki swoją utrzymankę?

— Nie mamy sobie już nic do powiedzenia, Somerton. Myślę, że będzie lepiej, jeśli pan stąd wyjdzie — rzucił Ashton chłodno.

Robert rzucił jeszcze Lenorze pełne wyrzutu spojrzenie, po czym wyniósł się, trzaskając głośno drzwiami.

— Wreszcie jesteśmy sami — szepnął Ashton, nachylając się ku ukochanej.

Znacznie, znacznie później wykąpana i przebrana Lenora otworzyła drzwi wiodące na strych. Po prawie nieprzespanej nocy Ashton odpoczywał w jej pokoju, ale ona nie mogła zaznać spokoju. Ciągle szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania. Wiedziała już, co spowodowało wypadek, ciągle jednak niewyjaśniona po zostawała sprawa człowieka z pogrzebaczem... człowieka, który czyhał na jej życie, chciał ją zabić...

Wspięła się po stromych schodach, podeszła do stosu obrazów i wyciągnęła portret mężczyzny... Spoglądała teraz na tę samą twarz, którą widziała we śnie.

— Robert Somerton? — Szepnęła i dodała już z pewnością w głosie: — To ty jesteś moim ojcem, ty jesteś Robertem Somertonem.

Odwróciła się i spojrzała na kufer, który w czasie ostatniej wizyty na strychu usiłowała bezskutecznie otworzyć. Podeszła bliżej, musnęła wieko palcami. Miała wrażenie, że widzi, jak służący pakują ten sam kufer na tył powozu, ona zaś stoi w sukni z błękitnej organdy na stopniach domu u boku Malcolma i żegna odjeżdżających gości. Kiedy za bramą znika ostatni powóz, Malcolm bierze ją na ręce i wnosi do domu, niesie na piętro... Teraz Lenora widzi swoje odbicie w lustrze toaletki: nie jest zbyt szczęśliwa, w oczach można dostrzec smutek. Prostuje się, poprawia fryzurę, wtem kątem oka widzi męską sylwetkę koło otwartych drzwi balkonowych... Zna tego człowieka z koszmarów sennych, które ją prześladują, tyle, że teraz nie pada on ofiarą zabójcy z pogrzebaczem, nie krzyczy. Jest wyraźnie zalekziony, wchodzi do pokoju, daje jej znać gestem ręki, żeby milczała, i idzie w stronę sekretery, wyjmując jakiś dokument, podsuwa jej przed oczy, zachęca do czytania, a potem zaczyna się cofać... kiwa na nią, prosi, by szła za nim... prosi, prosi... przywołuje...

Lenora otrząsnęła się z majaków, spojrzała raz jeszcze na kufer, teraz już pewna, że za wszelką cenę powinna sprawdzić, co jest w środku. Najpierw jednak postanowiła zanieść portret ojca do salonu i powiesić go nad kominkiem, w miejsce nieudanego pejzażu.

Tak też uczyniła, po czym usiadła w fotelu, czekając, kiedy przyjdzie ten, który mienił się jej rodzicem.

Stanął w progu po kilkunastu minutach.

— Taki dzisiaj gorąco, że ryby się w morzu gotują — stęknął, ocierając pot z czoła i zachichotał rad z własnego żartu, gdy wtem śmiech zamarł mu na ustach. — Wielkie nieba! — wyjąkał zapatrzony w portret.

— Zechcesz mi odpowiedź na jedno pytanie? — zapytała cicho.

— Co chcesz wiedzieć, dziewczyno?

— Kim jesteś?

— Jak to, kim jestem, córeczko? — wydukał Somerton, opadając na najbliższe krzesło.

— Nie sądzę... żebym była... twoją córką.

— Ależ jesteś!

— Nie — powtórzyła, tym razem bardziej stanowczym tonem.

— Na Boga, chyba postradałaś zmysły!

— Czyżby? — zapytała, unosząc brwi. — A może właśnie je odzyskuję?

— Nie wiem, do czego zmierzasz. — Robert zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. — Co w ciebie wstąpiło? Dość, że w domu pojawił się ten twój Wingate, a nagle odtrącasz wszystkich, którzy cię kochają...

— To nazwisko w tomie z dramatami Szekspira... Tak się na prawdę nazywasz, prawda? Edward Gaitling... aktor szekspirowski.

— Czemu mnie dręczysz? — Stary stanął przed Lenorą, załamując ręce. — Czy nie widzisz, jak bardzo jesteś mi droga?

— Tak?

— Wątpisz? — Wzniósł ręce do góry, jakby wzywał niebiosą na świadka swych słów. — Jestem przecież twoim ojcem!

Lenora zerwała się z fotela.

— Dość tego! Nie jesteś moim ojcem, ale Edwardem Gaitlingiem! Nie musisz już udawać. To jest mój ojciec — zawołała, wskazując portret. — To jest... Robert Somerton, a teraz chciałabym wiedzieć, kim ja jestem. Dla Lenory Somerton nie mu sielibyście przecież odgrywać komedii.

— Ależ ty j e s t e ś Lenorą... a Malcolm naprawdę jest twoim mężem.

Innej spodziewała się odpowiedzi.

— Po co więc to udawanie? Dlaczego odgrywałeś rolę mojego ojca?

— Nie rozumiesz, dziewczyno? — Podszedł do niej, błagalnie wyciągając ręce. — Mieszkałaś w domu Wingate'a, byłaś przekonana, że jesteś jego żoną, on też tak twierdził. Potrzebowaliśmy czegoś, co przeważałoby szalę na korzyść Malcolma.

— Dlaczego zatem nie pojawił się w Belle Chamte mój prawdziwy ojciec?

— Bo jest w Anglii, a Malcolm lękał się, co też może zająć między tobą a Wingate'em. Zanim twój ojciec dotarłby do Stanów... mój Boże... Mogłabyś zająć w ciążę z tym człowiekiem!

— Zatem Malcolm wynajął cię, żebyś odgrywał przede mną komedię? — zapytała Lenora z oburzeniem w głosie.

Edward Gaitling zerknął na nią niepewnie.

— Tak to wyglądało — bąknął.

— Zdajesz się być wyjątkowo lojalny wobec Malcolma — zauważyła sucho. — Możesz mi powiedzieć, od jak dawna go znasz?

Od bardzo dawna.

— Zanim zostałam jego żoną?

— Ja... dość długo byłem... nieobecny — wykrztusił Edward z trudem.

— Nie wiedziałeś, zatem o ślubie?

— Nie..., nie wiedziałem... Nie umiem ci nic powiedzieć na ten temat.

— Przypominam sobie... jakieś fragmenty — wyznała Lenora.

— Tak? — Edward podniósł głowę. — A ja myślałem, że ty... masz kłopoty z pamięcią.

— Mówiłam ci już chyba, że pamięć zaczyna mi wracać — powiedziała Lenora z niewesołym uśmiechem.

Edward jakby się speszył, ale szybko odzyskał kontenans.

— Malcolm ucieszy się z tej wiadomości.

— Nie przypuszczam.

— Słucham?

— Nawet, jeśli w pełni odzyskam pamięć, w niczym to nie zmieni stosunków między nami. Nie mam pojęcia, dlaczego wy szłam za niego za męż... ale czymkolwiek kierowałam się, już się skończyło.

— Biedny Malcolm — westchnął Edward ze smutkiem. — On naprawdę cię kocha.

— To nie ma już żadnego znaczenia. Nie zmienię swojej decyzji.

— Chcesz wrócić do Natchez z tym swoim Wingate'em?

— Nie zamierzam zwierzać ci się z moich planów. Chciałabym, żebyś opuścił mój dom tak szybko, jak to możliwe. Nie ma powodów, byś dłużej tu bawił — rzekła lekko drżącym głosem.

Edward Gaitling spojrział na nią zaskoczony, wreszcie skinął głową, odstawił szklaneczkę i ruszył ku drzwiom. Lenora słyszała jeszcze jego kroki na schodach, skrzypnięcie drzwi na górze.

W głowie wirowały jej najróżniejsze myśli. A zatem jest Lenorą, utrzymanką Wingate'a, jak powiedział Edward, uzurpatorką, która chce zająć miejsce swojej siostry... żoną Malcolma... Ślub, niebieska suknia, weselni goście przed domem...

Poczuła, że jeśli chce poznać prawdę o sobie, musi koniecznie sprawdzić, jakie tajemnice kryje kufer na strychu. Wstała, by poszukać dłuta oraz młotka, a kiedy już znalazła potrzebne narzędzia, ruszyła na górę, dźwigając zdjęty ze ściany w salonie pejzaż.

Raz jeszcze znalazłszy się na górze, chwilę walczyła z metalowym skobelkiem, a kiedy wreszcie ustąpił, spotkało ją rozczarowanie; kufer wypełniony był kamieniami. Kamienie i...

jakiś nieprzyjemny zapach, fetor właściwie. Rdzawe plamy na wewnętrznej, płóciennej wyściółce skrzyni...

Odskokzyła przerażona, zasłaniając usta dłonią, walcząc z narastającymi nudnościami. Krew, wszędzie pełno krwi. I znowu ten sam pogrzebacz wzniesiony do ciosu, postać w czarnej pelerynie. Mężczyzna odwraca się ku niej, jego twarz wykrzywia wściekły, morderczy grymas. Zna tę twarz. Dobrze ją zna!

— Malcolm! — wykrztusiła bez tchu, otwierając oczy.

— Ty suko! — Jego warkliwy głos niósł się od schodów. Po chwili Sinclair był już przy niej, już w żelaznym uścisku zamknął dłoń na jej ramieniu, drugą ręką chwycił za włosy.

— Zabiłeś go! — syknęła przez zaciśnięte zęby. — Zamordowałeś go, a potem schowałeś ciało do mojego kufra, żeby zatrzeć ślady.

Nie powinnaś była z nim wyjeżdżać. Nie powinnaś go słuchać. Czekałem na ciebie na dole... czekałem i czekałem. Czas było załadować się na statek. Mieliliśmy płynąć do Europy, a ty nie schodziłaś. Raptem wpadł stangret z krzykiem, że ktoś zdzielił go w głowę i ukradł powóz. Pobieglem na górę, ale ciebie już nie było.

— Skąd wiedziałeś, gdzie pojechałam?

Malcolm zaśmiał się gorzko.

— Zostawiłaś jego list..., na toaletce. Stąd wiedziałem, kto był w domu i dokąd cię zabrał... uwiózł cię do Natchez... żebyś zobaczyła się z jego siostrą... zaświadczyła, że mówi prawdę. Sara! Jeszcze jedna suka! Ona też mi nie wierzyła... ale kochała mnie, a ty straciłaś głowę dla tego łajdaka Wingate'a.

— Bigamista! — krzyknęła, na próżno usiłując uwolnić się z żelaznego uścisku. — Morderca!

— Nie martw się, maleńka — wycedził, obracając jej twarz ku sobie i zaglądając w szmaragdowe oczy. — Zająłem się nią tak, że jeno popiół został.

— To ty podpaliłeś dom dla obłąkanych!

— Tak, moja droga, jestem w tym naprawdę dobry. Ilekroć szukałem wyręki, kończyło się fiaskiem. Weźmy, na przykład, magazyny Wingate'a. Wszystkie miały spłonąć. Winą chciałem obciążyć Titcha, twojego amanta wyciągnąć do Natchez, a ciebie wywieźć z Belle Chante w przekonaniu, że czynisz rzecz szlachetną.

Mur niepamięci kruszył się z każdym słowem Malcolma, po wstawały w nim coraz większe szczeliny, przez które sączyła się zgroza minionych zdarzeń.

— Wtrąciłeś Sarę do domu wariatów, kiedy już się znaliśmy. Byłam wtedy w Anglii, jej brat krążył gdzieś po świecie. Nie wiem, dlaczego wybrałeś właśnie Natchez... i dlaczego jej nie zabiłeś.

— Miałem po swojej stronie prawników rodziny. Nie chciałem wzbudzać ich podejrzeń, tym bardziej że każde dochodzenie ujawniłoby, że ojciec Sary nie zginął w wypadku. Adwokaci, przekonani, że jej brat nigdy nie wróci, pozwolili mi przejąć cały majątek, ale pieniądze szybko się rozchodzą. Już miałem coś nowego na widoku, kiedy zjawił się braciszek obieżyświat... i uwiózł cię.

— Ledwie zdążyliśmy przyjechać do Natchez. Następnego dnia mieliśmy spotkać się z Sarą. Jak udało ci się dogonić nas tak szybko?

— Popelniliście błąd. Podrózowaliście powozem, ja wsiadłem na statek. Musieliście popasać po drodze, stawać na nocleg, mnie nic nie zatrzymywało. — Malcolm nachylił głowę do ucha Lenory i mruknął niemal pieszczotliwie: — Nie powinnaś była wchodzić wtedy do jego pokoju...

— Usłyszałam podniesione głosy...

— Ta ciekawość omal nie zaprowadziła cię do grobu, najdroższa. Nie mogłem pozwolić, by świadek zbrodni chodził nadal po świecie, choćby była to najdroższa mi osoba. Gdybyś nie zobaczyła, jak go zabijam, pomyślałabyś pewnie, że zniknął, wystawiając cię do wiatru. Nie pojechałabyś przecież rozpytywać do domu dla obłąkanych, tym bardziej, że pożar zatarł wszystkie ślady.

— Jak pozbyłeś się ciała? — Widząc, że Malcolm w miarę opowiadania zaczyna się upajać swoimi zbrodniami, Lenora chciała wydobyć z niego jak najwięcej.

— Kiedy wyjechaliśmy z Natchez, zakradłem się podczas pierwszego popasu nocą do powozu, wyjąłem ciało z kufra i za ciągnąłem do lasu, a kufer napełniłem kamieniami, żeby stangret niczego się nie domyślił.

Przerwał i zaczął gładzić jej szyję, jakby za chwilę zamierzał zacisnąć palce w morderczym uścisku.

— Jeśli chcesz mnie zabić, zrób to zaraz! Teraz chyba nic cię już nie powstrzyma.

— Być może, być może, najdroższa — zaśmiał się, wyraźnie ubawiony jej słowami. — Dlatego właśnie ożeniłem się z tobą. Ze względu na majątek, który posiadasz. Mam wszystkie potrzebne dokumenty zaświadczające, że jestem twoim mężem. Dają mi prawo do twojej fortuny. Jest nawet testament...

— Nigdy nie podpisałabym czegoś takiego!

— Nie musisz, moja droga. Samuel Eyans to człowiek biegły w swoim fachu. On sporządził wszystkie papiery, a zrobił to tak dobrze, że wyglądają jak prawdziwe. Z łatwością złoży twój podpis na każdym dokumencie. Wyobraź sobie, że nikt nie zauważył nic podejrzanego w naszym akcie ślubu. Samuel trochę go zmienił. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby ten diabeł Wingate dowiedział się, kiedy naprawdę zostaliśmy małżeństwem.

— Nic nie dostaniesz, Malcolmie. Jeśli umrę, wszystko, co posiadam... z wyjątkiem tego domu... wróci do mojego ojca. To jest jego majątek i w jego rękach pozostanie.

Malcolm popatrzył na nią w zadumie.

— O tym też pomyślałem. Wysłałem do Anglii człowieka ze specjalnym zadaniem i wkrótce zapewne otrzymam wiadomość, że twój ojciec nie żyje.

— Nieee! — jęknęła głucho Lenora.

— No, no, moja droga, nie trzeba rozpaczać. Ojciec mieszkał w Anglii, ty tutaj, i tak prawie się nie widywaliście..., przy odrobinie wyobraźni ciągle możesz myśleć o nim jako o żywym, ja zaś zgarnę cały majątek, który po jego śmierci przypada tobie.

— Co zamierzasz ze mną zrobić?

— Och, zachowam cię jeszcze przy życiu, dopóki się nie upewnię, że nie ma żadnych kłopotów ze spadkiem. Muszę tylko trzymać cię z dala od Wingate'a. Znam przytulny dom dla wariatów, gdzie będziesz bezpieczna... do czasu, aż nie będziesz mi już do niczego potrzebna.

— A wtedy tam też podłożysz ogień? — Zapytała z sarkazmem w głosie.

— Być może. To najprostsze rozwiązanie.

— Wszystko ci jedno, ilu ludzi zginie przy okazji?

— To nieszczęsne dusze, skrócę im tylko nędzny żywot na tym padole.

— Jesteś samym złem, Malcolmie. Prawdziwie szatańskie z ciebie nasienie.

— Dość tych dyskusji, idziemy — mruknął, pociągając Lenorę ze sobą. — Chcę zobaczyć minę twojego kochanka, kiedy przy stawię ci pistolet do głowy... Mów, gdzie jest ten pies Wingate.

— Byłabym głupia, gdybym ci powiedziała.

— Nie powiesz ty, powie mi mój ojciec.

— Twój ojciec? — Lenora usiłowała wyczytać coś z twarzy Malcolma. — Któż to taki?

— Ten pijak — prychnął ze wzgardą.

— Edward Gaitling... jest twoim ojcem? — zdumiała się Lenora.

— Nie mam powodów być specjalnie dumny z tatusia, ale lepszym mnie los nie obdarzył. Zostawił matkę, kiedy byłem dzieckiem, a po latach pojawił się u mnie, błagając o wybaczenie. Do tej pory pokutuje za tamte grzechy.

— Popelniając nowe? — Lenora się zaśmiała.

— To tchórz. Udaje, że nic złego się nie dzieje i że o niczym nie wie. Do tej pory niby to zastanawia się, kto zabił Mary, a przecież razem ją przyłapaliśmy, jak podsłuchiwała naszą rozmowę. Ja potrafię spojrzeć prawdzie w oczy, wiem, jaki jestem, on nie.

Tak rozprawiając, nieświadom, jaki wstręt i zgrozę budzą jego wyznania, Malcolm sprowadził Lenorę ze strychu. Kiedy stanęli w korytarzu, potrząsnął nią jak szmacianą lalką.

— Mów, gdzie jest Wingate — zażądał. — Przecież i tak go znajdę.

— W mojej sypialni.

— Otwieraj drzwi, ale uważaj, pistolet jest odbezpieczony. Je den twój zbędny ruch i zastrzelę ciebie albo jego, rozumiesz?

Lenora położyła drżące palce na klamce i ostrożnie ją nacisnęła. Ashton spał, leżąc na boku. Na pierwszy szmer uniósł powieki, uśmiechnął się sennie do Lenory, ale dojrawszy za jej plecami Malcolma, w jednej chwili oprzytomniał i rzucił się ku skrzyni w nogach łóżka, gdzie, rozbierając się, zostawił rewolwer.

— Zastrzelę ją — warknął Malcolm. — A teraz uważaj, Wingate. Połóż swój pistolet, czy co tam masz, na kołdrze, i powoli przesun go w moją stronę, jeśli życie tej kobiety coś dla ciebie znaczy.

Ashton nie miał wyboru, usłuchał polecenia i po chwili Sinclair z triumfalną miną chował jego colta do kieszeni.

— Zdziwiałeś, ile w was obojgu znajduję posłuchu — szydził, wrażając Lenorze lufę pistoletu pod brodę. — Wreszcie zaczynacie się uczyć. A teraz ubieraj się, Wingate. Moja żona woli cię pewnie bez spodni, ale Megan byłaby zgorszona, gdybyś zszedł na dół przystrojony tylko w tę ranę pod zębami. Kazałem dzisiaj kilku dżentelmenom skończyć z tobą, ale widzę, że spartaczyli robotę.

— Czego od nas chcesz? — wycedził Ashton.

— Mówię ci przecież, chcę, żebyście zeszli ze mną grzecznie na dół, tam poczekamy na moich ludzi.

— A potem?

— Potem potraktujemy cię, jak na to zasługujesz. Obiecałem Lenorze, że jeśli przyłapię cię z nią, to marny twój los, i zamierzam dotrzymać danego słowa.

— Nie! — krzyknęła Lenora w przerażeniu. — Nie, Malcolmie! Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko nie czyń nic złego Ashtonowi.

— Twoja troska o niego jest doprawdy wzruszająca. — W tonie Malcolm'a słychać było wzgardę. — Szkoda, że mnie nie okazywałaś podobnych względów, oszczędziłabyś sobie wielu kłopotów.

— A ty okazywałaś mi względy, kiedyś kłamał i oszukiwał?

— Och, to była tylko niewinna bigamia — odparł Malcolm na pytanie Lenory z lekkim wzruszeniem ramion. — Sara już nie żyje, a inne problemy rozwiążemy wkrótce.

Widząc pytające spojrzenie Ashtona, Lenora pospieszyła z wyjaśnieniem.

— Malcolm był już żonaty, kiedy brał ślub ze mną. Zamknął swoją żonę w zakładzie dla obłąkanych, który później podpalił, i tak się jej pozbył.

— A więc to ty jesteś mężem Sary — powiedział Ashton bardziej do siebie niż do Malcolm'a.

— Dziewczyna miała rację, nic się jej nie przywidziało.

Malcolm zmarszczył brwi, uważnie spojrzał na Ashtona.

— Znałeś Sarę?

— Czy ją znam? — Ashton skorygował formę pytania. — Pracuje dla mnie. Nie udało ci się jej zabić.

— Ta suka zawsze przysparzała samych kłopotów! — warknął Malcolm, obnażając zęby, po czym dodał: — A teraz na dół. Ty pójdziesz przodem, Wingate, ale nie próbuj zniknąć mi z oczu i żadnych głupich pomysłów, bo rozwalę łeb tej ślicznotce.

— Nie zrobisz z nas zakładników, kiedy w domu jest ojciec Lenory i kilkoro służby — zauważył Ashton.

— Tak się składa, że to mój ojciec i zdążyłem mu polecić, żeby trzymał służbę pod kluczem — odparł Malcolm dumny ze swojej przebiegłości.

Kiedy zeszli na dół, w holu czekał już Gaitling ze sznurkiem w ręku.

— Posadź go na fotelu i zwiąż, ale szybko — polecił Malcolm, wskazując na Ashtona. — Nogi też, nie chcę, żeby ten sukinsyn zaczął kopać.

Z głębi domu doszedł odgłos ciężkich kroków i po chwili w salonie pojawiło się dwóch potężnych drabów. Jeden miał za tknięte za pas dwa pistolety, drugi uzbrojony był w strzelbę myśliwską i groźnie wyglądający nóż.

Ashton zjeżył się cały, rozpoznawszy jednego ze zbirów.

— To też twoi ludzie? — zapytał, rzucając Malcolmowi ostre spojrzenie.

Sinclair najpierw polecił bandytom, by stanęli na czatach, odpowiednio przy drzwiach na taras i do holu, i dopiero wtedy zwrócił się łaskawie do Ashtona.

— A jeśli tak, to i cóż?

Ashton wskazał głową potężniejszego ze zbirów.

— Ten tam był na moim statku podczas ataku piratów, tamtej nocy, kiedy Lierin utonęła. To on do mnie strzelał.

— Dzisiaj znowu będzie miał szansę. — Malcolm się zaśmiał.

— Jeden z tych, którzy pilnowali domu — ciągnął Ashton — był palaczem w maszynowni na „Czarodziejce”. To on musiał wtedy zniszczyć kotły. Jeśli to twoi ludzie, musisz być hersztem piratów, którzy w tamtym czasie grasowali na rzece i napadali na statki...

— Kiedy pojawi się reszta, Tappy? — zwrócił się Malcolm do jednego ze zbirów.

— Część niedługo, reszta gotuje statek do drogi — burknął zbir.

— Odpłyniemy dopiero po zmierzchu, nie chcę, żeby ludzie Wingate’a deptali nam po piętach.

— Przeciwno jednemu zwołałeś całą armię — zdziwił się Tappy. — W dodatku widzi mi się, że ranny.

— Ranny! — prychnął Malcolm. — Zabił dzisiaj czterech naszych i wyszedł ledwie z zadrapaniem. To diabeł. Spadek po Robercie Somertonie zbyt jest dla mnie cenny, nie będę ryzykował.

— Co z nim zrobisz? — zagadnął drugi zbir z obleśnym uśmiechem.

— Dam ci go, Barnaby, wytniesz mu serce i ofiarujesz tej tu damie, żeby mogła je ze sobą zabrać, kiedy ją wyślę do domu wariatów.

Ledwie wypowiedział ostatnie słowa, powietrze przeszły okrzyk wściekłości, ostry obcas trzewika boleśnie rozorał goleń Malcolma. Miał wrażenie, że raptem opadło go ze wszystkich stron stado rozjuszonych kocic, drapiących, kłających i wściekle miauczących. Kiedy ostre paznokcie wbiły mu się w policzek, z całych sił odepchnął napastniczkę, przewracając ją na podłogę. Ledwie się od niej uwolnił, wyrósł przed nim Ashton, widać Gaitling zapomniał jednak skrępować mu nogi.

— Dalejże, strzelaj — zachęcił Malcolma, widząc wycelowaną w siebie lufę pistoletu. — I tak zginę, ale jeśli moi marynarze usłyszą huk wystrzału, będziesz ich miał zaraz na karku.

Do Ashtona podszedł Barnaby i pchnął go z powrotem na fotel.

— Nie psuj mi zabawy, poczekaj, człowieku, jużem się ucieszył, że ci wytnę serce.

Malcolm przyłożył chusteczkę do policzka, posiał wściekle spojrzenie Lenorze, po czym ryknął na ojca:

— Ty opoju zatracony! Mówiłem ci, żebyś związał mu nogi. W niczym się nie można zdać na ciebie!

— Przepraszam, Marcusie — bąknął speszony reprimendą stary.

— Marcus? — zainteresował się Ashton.

— Owszem, Marcus Gaitling — odparł Malcolm z nonszalancją. — Sinclair to panięskie nazwisko mojej matki.

W holu pojawiło się trzech kolejnych mężczyzn. Na ich widok Malcolm chwycił ojca za rękę.

Idź, sprowadź Megan, powiedz jej, że ma spakować panią do drogi. Ci dwaj pójdą na górę z Lenorą, zostaną pod drzwiami, ona tymczasem ma się przebrać w strój podróżny. Nie chcę wzbudzać podejrzeń, kiedy będziemy przejeżdżali powozem przez Biloxi.

Lenora przywitała Megan, mając już gotowy plan w głowie.

— Widziałas tego zbira przy drzwiach, prawda? — zaczęła bez zbędnych wstępów. — Drugi pilnuje wyjścia na taras. — Zawołasz go tutaj, powiesz, że zemdlałam, a kiedy się nade mną nachyli, zdzielisz go w głowę tym. — Walcząc z koszmarnymi wspomnieniami, sięgnęła po pogrzebacz. — Nie mamy nic innego. Dasz sobie radę, Megan?

— A jakże, jeśli to mi uratuje życie, a widzi mi się, że wielkich widoków nie mam, to tak mu przyłożę, że za tydzień się obudzi.

Lenora ułożyła się na podłodze i dała znak pokojówce, że jest gotowa.

— Wołaj go... i bądź ostrożna.

Megan pchnęła z impetem drzwi.

— Szybciej, tutaj, proszę! — krzyknęła głosem tak pełnym przejęcia, że Gaitling mógłby jej pozazdrościć talentu. — Moja pani zemdlała, pomóżcie no, człowieku, przenieść ją na łóżko.

Tappy wbiegł do pokoju, na widok kobiety leżącej na dywanie zatknął pistolet za pas, przyklęknął i w tej samej chwili poczuł przeszywający ból w czaszce.

— Musimy go związać i zakneblować — szepnęła Lenora do Megan. — Potem wymkniesz się przez taras i pobiegiesz po pomoc. Jeśli nie pojмали Hickory'ego, znajdziesz go w obozowisku, niech pędzi co koń wyskoczy po szeryfa. W domu są bandyci i mordercy.

Megan z niepokojem spojrzała na swoją panią.

— A pani? Gdzie pani będzie?

— Ja wrócę na dół. Ci zbrodniarze grozili, że wytną Ashtonowi serce, ale im się to nie uda.

Pójdzie pani do tej jaskini zbójów? — zdumiała się dziewczyna. — Toż to pewna śmierć.

Lenora uśmiechnęła się smutno. Ujrzała przed oczami postać smukłego mężczyzny wspartego o reling i pomyślała, że życie bez niego i tak nie byłoby nic warte.

Słońce zwolna chyliło się ku zachodowi, kiedy przed domem zatrzymał się powóz i po chwili do salonu wkroczył zażywny jegomość z opierającą się kobietą.

— Patrzenie, kogo znalazłem w Biloxi! zachichotał, prezentując wszem wobec swoją towarzyszkę. Malcolm spoglądał w osłupieniu na wykrzywioną gniewem twarz, z piersi jego kamratów dobyły się pomruki zdziwienia. Pomieszany bardziej niż inni Edward Gaitling opadł ciężko na fotel.

Ashton zbliżył się do przybyłej, chcąc lepiej się jej przyjrzeć.

— Lie... — zaczął, urwał w pół słowa i pokręcił stanowczo głową. Rysy niemal te same, ale mniej subtelne. — Nie, nie jesteś Lierin.

— Oczywiście, że nie. Jestem Lenora, siostra Lierin. A pan kto taki, jeśli wolno wiedzieć? Czy też należysz do tej bandy łotrów, którzy nas porwali, kiedy schodziliśmy ze statku?

Ashton zaczął się śmiać serdecznym, prawie beztroskim śmiechem.

— Ktoś się pomylił i przysłał mi niewłaściwy portret — stwierdził wesoło, po czym już poważniej spytał: — Pani Livingston?

— Tak — odpowiedziała ostrożnie. — Z kim mam przyjemność rozmawiać?

— Jestem twoim szwagrem, pani. Ashton Wingate, do usług.

— Ashton? — W jej głosie zabrzmiało zdziwienie połączone z niedowierzaniem. — Ależ on nie żyje.

— Skądże. Żyję, jak najbardziej.

— Lierin była przekonana, że Ashton zginął. Widziała na własne oczy... Malcolm zaprowadził ją nawet na grób.

Ashton zerknął na swojego grabarza, któremu wreszcie udało się zamknąć rozdziawione zdumieniem usta.

— Mój grób? A gdzie się on znajduje... i kiedy dokładnie Malcolm pokazał go Lierin?

— Mówiła mi, że grób znajduje się niedaleko miejsca, gdzie piraci zaatakowali „Czarodziejkę”. Zawiózł ją tam wkrótce po tym, jak ją uratował.

— Wygląda na to, że Malcolm oszukał nas wszystkich... a w każdym razie próbował oszukać — zwrócił się Ashton do przybyłej. — Klnę się, że żyję i że jestem tym, za kogo się podaję. Twoja siostra to potwierdzi, pani.

— Gdzie ona jest? Gdzie jest Lierin? Muszę ją zobaczyć. Ashton spojrzał na Malcolma z niemal triumfalnym uśmiechem.

— Mógłbyś posłać któregoś ze swoich ludzi, żeby sprowadził tu moją żonę.

— Niech ją, który przyprowadzi. Aby tylko razem z pokojówką — polecił i zwrócił się do Lenory z pretensją w głosie: — Co tu robisz?

— Przyjechaliśmy zobaczyć się z Lierin. Ktoś nastawał na życie ojca i chcieliśmy się upewnić, czy Lierin nic nie grozi. Przyplłynął z Anglii przez Karaiby, skąd już podróżujemy razem.

— Twój ojciec jest tutaj?

— Tak, w powozie. Ten zbój tak go ogłuszył, że jeszcze nie całkiem doszedł do siebie.

— Ty idioto — huknął Malcolm na zażywnego jegomościa, który przyprowadził Lenorę. — Natychmiast idź po Somertona, choć- byś miał go tu wnieść na barana. Zostawiać tak niebezpiecznego człowieka samego! Już, znikaj i wracaj, co tchu w piersiach.

— Domyślam się, Malcolmie, że jesteś hersztem tych bandytów? — zainteresowała się Lenora.

Z wyjaśnieniami pospieszył Ashton, który był w wyśmienitym nastroju.

— Słusznie się domyślasz, pani, z tym że jego prawdziwe nazwisko brzmi Marcus Gaitling, syn... — wskazał starego komedianta — Edwarda Gaitlinga, aktora szekspirowskiego. To zaś niektórzy z współników Malcolma, chętnie bym ich przedstawił, ale niestety, nie dane mi było poznać nazwisk tych pa...

— Rozwiąż mnie, łotrze! Natychmiast!

Z podjazdu doszedł grzmiący głos, po czym rozległo się dudnienie kroków, trzasnęły z wielkim hukiem drzwi i do salonu wkroczył dumnie Somerton.

— Chcę widzieć swoją córkę! — zawołał od progu, zmiatając stojącego mu na drodze zbója z takim impetem, że ten wyrzwał głową o ścianę i runął na podłogę.

Do salonu wślizgnął się opryszek, wysłany na górę przez Malcolma, i coś szepnął mu do ucha.

— To ją znajdź! — wściekł się Malcolm. — Nie pozwól jej się stąd wydostać!

Ashton kątem oka dostrzegł na tarasie kraj sukni. Ostrożnie zbliżył się tyłem do drzwi balkonowych, związane ręce wysunął możliwie najdalej za siebie i poczuł, że zwinne palce zaczynają rozsupływać węzeł. Po chwili ze zdziwieniem zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Nie spodziewał się takiej brawury po swojej Lierin, ale nie było teraz czasu na pochwały i podziękowania. Liczyła się każda chwila. Wsunął pistolet za pasek spodni na plecach i odchrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

— Może Lierin schowała się na strychu. Chodziła tam czasami — zasugerował.

— Zabrać mi go stamtąd — huknął Malcolm, widząc dopiero teraz, jak niebezpiecznie blisko drzwi stoi Ashton. — Nie spuszczać z niego oka! Obiecałem tej suce, że przyjrzy się, jak jej amant kona w męczarniach, i chciałbym dotrzymać słowa.

— Doprawdy, Malcolmie, zrobiłeś się ostatnimi czasy okropnym prostakiem — zakpiła Lierin, wchodząc do salonu. — Ciągłe tylko wygrażasz ludziom, ale od czasu uśmiercenia Mary nie udało ci się nikogo zgładzić. W końcu przestaniemy traktować cię poważnie.

— Ty suko. — Z gardła Malcolma dobył się głuchy pomruk. — Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz na pokładzie „Czarodziejki”, wydałaś mi się aniołem. Kazałem moim ludziom zabić Wingate’a, żeby mieć ciebie, a ty sprowadzasz na mnie same nieszczęścia.

— Nieładnie, nieładnie, Malcolmie — rzuciła Lierin napominającym tonem i podeszła do ojca, by paść w jego szeroko otwarte ramiona. Kiedy Somerton ją przytulił, wsunęła mu do kieszeni ukryty dotąd pod szalem pistolet.

— Ten człowiek bez koszuli to przyjaciel, resztę możesz posłać do Hadesu — szepnęła.

Robert ucałował córkę w czoło i zwrócił się do Malcolma.

— Chcę wiedzieć, co tu się, do diabła, dzieje. Kiedy przywiozłeś Lierin do Anglii, odnieśliśmy wrażenie, że wyratowałeś ją z rąk piratów, którzy zabili jej męża, tymczasem wygląda na to, że jesteś ich hersztem.

— Owszem — przytaknął Edward Gaitling, napelniając sobie szklaneczkę. — Mój syn zwietrzył okazję i postanowił ją wykorzystać... oby zgnił w piekle.

— Wygląda na to, że wszystkich nas chciałeś oszukać, nawet własnego ojca — odezwał się Somerton, spoglądając na Malcolma oskarżycielskim wzrokiem. — Zadałeś sobie wiele trudu, by uczy nić z mojej córki swoją żonę.

— Lierin miała coś, czego pragnąłem. — Malcolm uśmiechnął się nieznacznie. — Majątek. Zalecałem się do niej bardzo długo, wreszcie zgodziła się wyjść za mnie. Tylko po to, żeby mnie opuścić w dzień ślubu... i szukać dowodów, że jestem już żonaty. Uwierzyła bratu Sary bez żadnego wahania.

— Pokazał mi wasz akt ślubu, miniaturkę przedstawiającą Sarę i ciebie... list od pielęgniarki, którego wynająłeś, żeby jej pilnował, on tymczasem serdecznie się nią zaopiekował... i nie podobało mu się twoje postępowanie. Brat Sary zaczął cię szukać... odkrył, że zamierzasz się ożenić ze mną... chciał mnie ostrzec. Przed samą ceremonią wetknął mi nawet karteczkę w dłoń, ale byłam tak przejęta ślubem, że przeczytałam ją dopiero później... już po wszystkim.

— I opuściłaś mnie w noc poślubną! — krzyknął Malcolm.

— Owszem! I nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że nigdy nie poszłam z tobą do łóżka!

Teraz z kolei Ashton szeroko otworzył usta i spoglądał w zdumieniu na dwoje rozsierdzonych, mierzących się wściekłym wzrokiem ludzi. Wreszcie nie wytrzymał i parsknął śmiechem, czym zaraził wszystkich. Po chwili śmiał się Somerton, chichotała

Lenora, zanosiła się jasnym śmiechem Lierin, ale najbardziej dopiekło Malcolmowi rozbawienie Ashtona.

Zaciskając zęby, przypadł do niego i chwycił za gardło, gdy usłyszał znajomy szcęk odbezpieczanego pistoletu i poczuł, że twarda kolba wbija mu się brzuch. Opuścił wzrok i zadrżał.

— Każ się wynosić stąd twoim zbójom albo za chwilę zginiesz — powiedział Ashton niemal łagodnie.

— Skąd ten drań ma broń? — krzyknął Barnaby. — Bierzcie go chłopcy, co tak stoicie.

Niby cudownym zrzędzeniem losu w salonie zaroilo się raptem od uzbrojonych ludzi, którym przewodził szeryf Coty.

— Megan! — Zawołała Lierin ze łzami radości w oczach. — Niech Bóg błogosławi tę kochaną dziewczynę i jej dzielne serce! Uratowała nas.

Szeryf Coty położył dłoń na ramieniu Malcolma.

— Słyszałem, że przysparzasz pan samych kłopotów. Pójdiesz z nami. Titch się ucieszy, kiedy aresztujemy cię za zbrodnie, o które jego posądzano.

Robert Somerton podszedł do Ashtona z wyciągniętą ręką.

— Nie wiem, kim jesteś, młody człowieku, ale córka powiada, żeś przyjaciel.

— Więcej niż przyjaciel, papo. — Lierin zaśmiała się, opierając się na ramieniu Ashtona. — To mój mąż... Ashton Wingate... człowiek, którego kocham całym sercem.

Robert Somerton długą chwilę spoglądał na młodych, łzy na płynęły mu do oczu.

— Szczerze jestem rad, że cię poznałem, synu. Witaj w rodzinie.

Lierin pogłaskała nagie ramię męża.

— Cieszę się, tato, że nas błogosławisz — szepnęła. — Teraz twój wnuk będzie miał nazwisko oraz ojca, z którego będzie mógł być dumny... tak jak ja jestem dumna z ciebie.